

# POWSTANIE '18

OPOWIADANIA WIELKOPOLAN

**Powstanie'18**

## **Autorzy opowiadań**

Piotr Bojarski

Maria Elżbieta Budzyńska

Sylwia Chutnik

Joanna Ciechanowska-Barnuś

Anna Czachorek

Tomasz Genow

Przemysław Godyla

Magdalena Hrycz

Jagoda Jabłońska

Dorota Kotas

Damian Kruczkowski

AleXander Mielczyński

Emilia Teofila Nowak

Joanna Nowak

Anna Pacyna

Rafał Pawlak

Przemysław Semczuk

Jakub Skibiński

Ewa Spławska

Kamil Tułaza

Magdalena Wasilewska



# Powstanie'18

Opowiadania Wielkopolan



SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA  
WIELKOPOLSKIEGO

Copyright © Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego  
w Poznaniu, Departament Kultury, Poznań 2018

Zdjęcia: kolekcja szklanych negatywów Fundacji Tres

Projekt okładki: Teodor Jeske-Choiński

Korekta: Paulina Jeske-Choińska

Projekt graficzny i skład: Teodor Jeske-Choiński

Fotografia na okładce

Defilada wojsk polskich na Rynku w Zbąszyniu z okazji przybycia  
dowódcy frontu wielkopolskiego gen. J. Dowbor-Muśnickiego,  
19.01.1920 r.

ISBN 978-83-60782-26-2

Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego

Departament Kultury

al. Niepodległości 34

61-714 Poznań

tel. 61 626 68 80

fax 61 626 68 81

[dk.sekretariat@umww.pl](mailto:dk.sekretariat@umww.pl)

[www.umww.pl](http://www.umww.pl)

[kulturaupodstaw.pl](http://kulturaupodstaw.pl)

## **Sto lat temu...**

... 27 grudnia 1918 roku w Poznaniu wybuchło powstanie wielkopolskie. Rok 2018 jest okazją do wielu wydarzeń podkreślających jego znaczenie dla kształtu rzeczywistości, w której żyjemy dzisiaj. Powstają liczne projekty mające na celu przypomnienie osób i zdarzeń związanych z historycznym zrywem Wielkopolan. Znalazł się wśród nich pomysł zorganizowania warsztatów literackich, których efektem jest niniejszy tom opowiadań. Uczestnikami byli mieszkańcy regionu, a prowadzenia zajęć podjęło się troje znakomitych twórców: Sylwia Chutnik, Piotr Bojarski i Przemysław Semczuk.

Dla organizatorów warsztatów, ich uczestników oraz nauczycieli istotne było to, w jaki sposób wydarzenia z grudnia 1918 roku obecne są w świadomości współczesnych Wielkopolan i czy temat powstania wielkopolskiego może stać się literackim wyzwaniem.

Jak praca nad opowiadaniem zachowała się w pamięci pisarzy prowadzących zajęcia?

*Zajmowałam się literacko i naukowo powstaniem warszawskim, ale wielkopolskim? Mimo wszystko przyjąłam zaproszenie, bo miałam dzięki temu możliwość podjęcia zupełnie nowego dla mnie tematu. Przede wszystkim zależało mi na przekazaniu wiedzy ogólnej dotyczącej nie tylko samego procesu pisania, ale i tworzenia. Tego,*

*w jaki sposób sprawić, że pomysł zostanie zrealizowany i doprowadzony do finału. A że warsztaty oznaczają zwykle różnorodną grupę, to liczyłam również na ciekawą wymianę myśli. I nie zawiodłam się. Uważam, że każda osoba może tworzyć, a moim zadaniem jest przekazanie jej narzędzi do konstruowania fabuły, bohaterów i myślenia o samym procesie twórczym. Jako pisarka z ponaddziesięcioletnim doświadczeniem mogę również dzielić się wskazówkami czysto praktycznymi oraz wiedzą z zakresu rynku wydawniczego. Mam nadzieję, że uczestniczki i uczestnicy wynieśli przede wszystkim chęć do dalszej pracy nad własnym warsztatem. A może i śmiałość do podejmowania różnych wyzwań artystycznych, które początkowo mogą onieśmielać lub wprawiać w nerwowy stupor.*

Sylwia Chutnik

*Moja grupa była niesamowicie zróżnicowana stylistycznie i charakterologicznie. Obok osób hołdujących narracjom tradycyjnym znalazł się w niej także miłośnik science fiction i autorka, która bohaterami opowiadania uczyniła nietoperze! Jak zareagowałam na propozycję warsztatów? Szczerze mówiąc, w pierwszej chwili pomyślałam, że temat jest zbyt trudny dla osób, które z pewnością nie są profesjonalnymi historykami, a doświadczenia z pisaniem mają bardzo różne. Na szczęście myliłam się. Ale na wszelki wypadek położyłam nacisk na reportaż historyczny, bo to forma, która wydobywa z otchłani dziejów detale i uczy konstruowania opowieści wokół nich. A potem szlifowaliśmy już elementy pisarskiego warsztatu, takie jak dialogi, narracja dynamiczna, redakcja tekstu, zwroty akcji. Czego nauczyli się moi podopieczni? Trzeba by o to zapytać ich samych: Ewę, Jagodę, Anię, Tomasza Aleksandra, Przemka czy Tomka. Staralem się uczciwie podzielić swoim doświadczeniem. I tylko mam nadzieję, że nie przynudzałem.*

Piotr Bojarski

*Wciąż powtarzam, że trzeba szukać nowych, ciekawych sposobów na mówienie o historii. Czasy wykładów szkolnych odchodzą do lamusa. Poznając powstanie wielkopolskie w tej formie, mogliśmy dosłownie dotknąć ważnych dla Polski wydarzeń. Warsztaty dały jeszcze jedną możliwość. Zwykle na zajęcia z pisania uczestnicy przynoszą swoje pomysły, bardzo różnorodne. Narzucenie tematyki pozwoliło ujednoczyć kierunek i ułatwić pracę zespołową. Mówiliśmy o tym samym temacie i dlatego uczestnicy, tworząc wątki fabularne, wpadali na ciekawe pomysły. Zadziałał efekt synergii. To bardzo pomogło i jak widać przełożyło się na doskonały efekt finalny. Grupa była zróżnicowana, od osób z dużym doświadczeniem do początkujących. Dzięki temu uczestnicy sporo nauczyli się od siebie nawzajem. Mam wrażenie, że ja pomogłem im tylko nadać kierunek, przekazałem kilka cennych porad wynikających z praktyki. Dla mnie też było to ciekawe doświadczenie. Na co dzień zajmuję się bliższą historią. Inaczej spojrziałem na powstanie wielkopolskie i z pewnością wykorzystam zdobytą wiedzę.*

Przemysław Semczuk

Każdy z dwudziestu jeden tekstów stanowi efekt wyobraźni twórczej piszących — należą one zatem do literackiej fikcji — choć oczywiście tłem opowiadań są wydarzenia historyczne. Tom, który mają Państwo przed sobą, zawiera także autentyczne fotografie wykonane w okresie powstania wielkopolskiego, a pochodzące z kolekcji szklanych negatywów Fundacji Tres.

Zanurzymy się zatem w atmosferę powstania wielkopolskiego! Niech mówią do nas przeróżne opowiadania: historie miłosne, sensacyjne oraz fantastyczne o mieszkańcach Wielkopolski — tych sprzed stu lat — pisane przez współczesnych Wielkopolan.







Piotr Bojarski  
**Incydent w Royalu**

➤ Grupa żołnierzy w mundurach niemieckich na stacji kolejowej w Zbąszyniu przy pociągu pancernym. Jeden z mężczyzn trzyma w rękach psa. Rok 1919.

**M**ajor śłaniał się na nogach ze zmęczenia. Dopóki jednak wokół niego pracowali oficerowie sztabu i podoficerowie, nie miał prawa okazać słabości. Wszyscy wpatrywali się w niego jak w fachowca, który wie, co robi. Prawdę mówiąc, nie był przekonany, czy wydaje właściwe rozkazy. Starał się jednak, jak potrafił. Z wątpliwościami też się nie zdradzał. Na zewnątrz wszystko szło dobrze, a on nie zamierzał ingerować w to, co już świetnie funkcjonowało. Postawił sobie za punkt honoru, że pomoże podwładnym, by powstanie nabrało rozpędu i miało doskonałą organizację.

Dwa dni wcześniej, w poniedziałek szóstego stycznia nad ranem, odbili szkiebrom<sup>1</sup> lotnisko w Ławicy. Poznań mógł wreszcie odetchnąć: groźba bombardowania z powietrza została odsunięta. Wprawdzie Niemcy odpowiedzieli nalotem na Ławicę, ale tylko na tyle było ich stać w tym czasie totalnej zawieruchy. Czarny Orzeł już dawno stracił pazury. Teraz chodziło o to, by przetrącić mu dziób.

Na zewnątrz pospiesznie zapadał mrok. Major właśnie odprawił oficerów i wreszcie — po dobrych dziesięciu godzinach na nogach przy mapach i wykresach — znalazł chwilę tylko dla siebie. Pod-

---

<sup>1</sup> W gwarze poznańskiej: Niemcy.

szedł do okna hotelu Royal, w którym zbierali się od końca grudnia w cywilnych ubraniach, by nie prowokować podejrzeń. Z zacięciem wyjrzał na ulicę.

Życie na Świętym Marcinie zdawało się zamierać. Tężejący mróz i wiatr zacinający drobnym śniegiem z zachodu wygoniły już z chodników ostatnich mieszkańców i interesantów pobliskich sklepów. W witrynach ciągle jeszcze widać było akcenty świąteczne, ale również biało-czerwone kokardy i wycięte z białej krepy piastowskie orły. Major z przyzwyczajenia wyglądał czarne, podgolone z obu stron wąsy. Te narodowe barwy za szklanymi połaciami były dla niego jak zobowiązanie. Stanisław Taczak wiedział, że dotychczasowy sukces trzeba za wszelką cenę utrzymać. Że trzeba wytrwale budować trzy fronty, kopać linie okopów, obsadzać je kolejnymi kompaniami i batalionami...

Niespodziewanie ktoś zapukał delikatnie do drzwi salonu, wyrwijąc oficera z zadumy.

— Wejść!

W progu stanęła Leokadia Świtalska, dostojna siwa kobieta w skromnej, szarej garsonce. To ona wraz z mężem Janem udostępniła pomieszczenia swojego hotelu przy Świętym Marcinie trzydziści osiem na tajną kwaterę powstańczego sztabu. A teraz troskliwie doglądała, by „jej oficerom” niczego nie brakowało.

— Pan major wygląda na kompletnie zmęczonego. — Zmartwiła się na widok ciemnych worków widniejących pod oczami Taczaka. — Pan pozwoli... Przyniosłam sznytki z leberką<sup>2</sup>. I czarną kawę.

Nie oponował, więc skinieniem palca nakazała hotelowemu boyowi wnieść do salonu tacę z talerzem pełnym kanapek i dzbankiem wywaru. Szare wnętrze zapachniało arabiką.

---

<sup>2</sup> W gwarze poznańskiej: kromki chleba z wątrobianką.

— Dziękuję. — Major ucałował szarmancko dłoń właścicielki. — To bardzo miłe z pani strony.

Nie przyznał, że od południa nie miał nic w ustach. Nie wypadło. Odwlekając moment sięgnięcia po kanapkę, zdobył się na żart.

— Czy wszyscy pani podopieczni już smacznie śpią?

Pani Leokadia uśmiechnęła się jak dziecko.

— Skądże znowu! Poza tym nie ma ich znowu tak wielu. Powiedziałabym, że ocalały ledwie niedobitki. Większość Niemców wyjechała już następnego dnia po strzałach przed Bazarem.

— Rozumiem. — Taczak uznał, że może się w końcu poczęstować. Kanapka była doskonała, przywodziła na myśl dawne śniadania w restauracji ojca w rodzinnym Mieszkowie pod Jarocinem. — Czyli aktualnie mamy na pokładzie tylko Polaków?

Kobieta spojrzała na majora zaskoczona. Najwyraźniej był bardzo zmęczony, skoro nie usłyszał dokładnie, co powiedziała.

— Większości Niemców już nie ma. Ale kilku pozostało — potwórzyła z naciskiem na drugie zdanie. — Musimy być ciągle czujni, panie majorze.

— Ma się rozumieć, szanowna pani. — Taczak przytaknął, pałaszując już bez zażenowania drugą sznytkę. — Czy... Czy wydarzyło się w ostatnich godzinach coś niepokojącego?

\* \* \*

Hotelowym boyem Franek Furmaniak był ledwie od wiosny. Dostał tę posadę dzięki uprzejmości Norberta Kajdy, sąsiada rodziców, który trudnił się aprowizacją dla hotelu Royal. A że Kajda był nadzwyczaj przedsiębiorczy i nawet w trudnych czasach kawy z domieszką zmielonych żołądzi potrafił wydobyć jak spod ziemi prawdziwą paloną brazylijską, nic dziwnego, że Świtalscy bardzo go poważali. Skoro szepnęła słówko w sprawie Franka, szybko przystali na zatrudnienie go na czas próbny.

Rodzice chłopaka ucieszyli się niepomieranie. W ciężkich czasach każda marka przyniesiona do domu liczyła się w trójnasób. Pracownik okazał się zresztą równie bystry i rzutki, co jego promotor, więc szybko dostał liberię i odpowiedzialne zadania na hotelowych korytarzach. I tylko tamtego pamiętnego dnia, w którym polscy strażnicy odpowiedzieli Niemcom ogniem na placu Wilhelmskim i pod prezydium policji, Franek o mały włos nie porzucił służby. Wyrwał się na godzinę z Royała i pognął do Biblioteki Cesarskiej przy Ritterstrasse, w której werbowali do służby straży i bezpieczeństwa. Chciał się zaciągnąć na wojnę ze szkiebrami, ale odesłano go z kwitkiem.

— Za młody — padło jak wyrok z ust starego wiarusa w szynelu koloru *feldgrau*<sup>3</sup>.

Wielkie mi coś! Jakby szesnaście lat to było mało!

Musiał więc zadowolić się służbą w innym mundurze, choć od momentu oswobodzenia miasta błyszcząca liberia bardziej go paliła, niż nobilitowała. Bo gdy jego nieco tylko starsi koledzy z karabinami w dłoniach pełnili warty pod dyrekcją poczty albo bankiem Rzeszy, on musiał tkwić jak ten pajac w przeszklonych drzwiach hotelu. I co gorsza, kłaniać się niemieckim gościom! Inna sprawa, że akurat ci ostatni gwałtownie zaczęli wyjeżdżać, gdy tylko stało się jasne, że z końcem roku 6. Pułk Grenadierów opuści koszary na Jeżycach i wyjedzie poza miasto. Franek z satysfakcją patrzył, jak Niemcy pakują się na sanie czy powozy i w pośpiechu opuszczają hotel, podążając w ślad za wycofującymi się przez Wolę grenadierami.

Marzyły mu się wielkie rzeczy, bohaterskie czyny i decydujące momenty bitew pod huraganowym ogniem artylerii wroga, tymczasem utknął jak kołek w płocie w drzwiach hotelu Royal. I nic nie zapowiadało, by miał odegrać jakąkolwiek rolę w powstaniu.

---

<sup>3</sup> Polowa szarość (niem.).

Z czasem zaobserwował jednak coś niezwykle ciekawego. Od drugiego dnia walki do hotelu zaczęli się schodzić na jakieś dziwne spotkania elegancko ubrani, zwykle młodzi mężczyźni. Franek naliczył ich bodaj osiemnastu. Choć w cywilnych ubraniach, trzymali się sztywno, chadzali z wysoko uniesionymi głowami i zdawali się wprost stworzeni do wydawania rozkazów. Raz podsłuchał, jak jeden przemówił do drugiego per panie kapitanie! W jednej chwili jego podejrzenie nabrało rumieńców. Już był pewny, że tajemnicze męskie narady w hotelu to nie przypadkowe spotkania, a raczej jakiś tajny spisek. Konspiracja, która musiała mieć coś wspólnego z walką ze szkiebrami.

W tym przeświadczeniu utwierdziło go kilka dalszych faktów. Po pierwsze: szczelnie zamknięto od środka drzwi ponad dwudziestu pokoi na drugim i trzecim piętrze. Zaraz potem od strony klatki schodowej stanęli przy nich skauci w efektownych, zielonkawych mundurach i kapeluszach z szerokimi, giętymi rondami. Te nakrycia głowy ogromnie Frankowi imponowały, tym bardziej że wcześniej nie miał okazji zaciągnąć się do skautów, a słyszał o ich leśnych manewrach pod Poznaniem same dobre rzeczy. Tylko oni mogli wpuścić kogokolwiek do zarezerwowanych pomieszczeń. Wreszcie na schodach i w pokojach pojawili się znienacka monterzy z Urzędu Telegrafii i Telefonów. Na drugim piętrze założyli szafkę rozdzielczą i połączyli ją z aparatem telefonicznym znajdującym się w hotelu. Dyżurował przy nim młody mężczyzna w nienagannym garniturze, czasem pani Helena Szedzińska, córka właścicielki, a bywało, że i sama Świtalska.

Wszystko to wyglądało szalenie podejrzanie i nasuwało jedno tylko logiczne wytłumaczenie. Wszakże Franek żyłby pewnie jeszcze długo w niepewności, gdyby nie stary woźnica Marciniak, który dostarczał na hotelowe podwórze węgiel.



— Tej, szczunie<sup>4</sup>! — zagadnął go kiedyś na poczekaniu, gdy dwóch ejbrów<sup>5</sup> rozładowywało wóz z czarnego złota. — A to ty nie wiesz, że panowie oficerzy stąd walką dowodzą?

Chłopakowi aż zaświeciły się oczy. Wreszcie ktoś nazwał po imieniu to, co od dawna chodziło mu po głowie, ale o co bał się zapytać.

— Jaką walką, panie szanowny? — zagaił podstępnie.

— No jak to jaką? To ty nic nie wiesz? — Siwe brwi starego powędrowały w górę. — Powstaniem kierują, szczunku! W waszym hotelu!

W jednej chwili Franek Furmaniak, lat szesnaście i pół, poczuł się ważny jak nigdy dotąd. Zrozumiał, że los jednak się do niego uśmiechnął.

\* \* \*

Ten dzień dłużył mu się jak flaki z olejem, tym bardziej że jako oficer rezerwy szybko przejrzał na oczy. Wszystko wiedział i czuł się z tym cholernie źle. Pozostało mu już tylko jedno: postępować zgodnie z honorem.

Drżącą ręką sięgnął po podręczną torbę. Musiał opanować nerwy. Od tego zależało powodzenie jego akcji.

Wyrzwał na ulicę. Śródmieście Poznania tonęło w śniegu i ciszy. Nie będzie żadnych świadków...

Z rozmysłem zdjął buty i w samych skarpetach podszedł do drzwi. Skorzystam ze schodów dla służby, postanowił. Tylko w ten sposób miał szansę.

---

<sup>4</sup> W gwarze poznańskiej: młody chłopak.

<sup>5</sup> W gwarze poznańskiej: osilek.

\* \* \*

Tamtego wieczoru Helenie Szedzińskiej chciało się potwornie spać.

Nic dziwnego, bo dyżurowała przy telefonie w hotelowym holu już drugą noc z rzędu. Mocna parzona kawa z dostaw Kajdy dawno już przestała działać i oczy kleiły się jej na potęgę. Wiedziała, że musi być czujna. Matka przestrzegała ją nawet przed chwilą nieuwagi. Wtajemniczona w pracę dowództwa głównego, bardzo starała się podołać nietypowemu zadaniu. Pech jednak chciał, że tego dnia meldunków z terenu spływało jakby mniej. Widocznie sytuacja na frontach stabilizowała się i napór Niemców zelżał, tłumaczyła sobie w milczeniu. Pod wieczór telefon po prostu przestał dzwonić, nie musiała więc ustawicznie łączyć kolejnych rozmów z drugim piętrem.

Po dwudniowych walkach w centrum miasta hotelowych gości było w Royalu jak na lekarstwo. Pozostali dawno już zameldowali się tego wieczoru w swoich apartamentach. Schowana w głębi parteru restauracja również działała na pół gwizdka.

Szedzińska zerknęła ostatkiem sił na wiszący naprzeciwko zegar. Dwudziesta druga z minutami.

Monotonne tykanie wahadła miało w sobie magiczną moc. Ach... Ten błogi spokój był dla młodej, przemęczonej kobiety jak chustka z eterem. Świat odpłynął nagle i niepostrzeżenie. Zapadła w mocny, jakże miły sen.

Pusty, pogrążony w półmroku hol nie pogrążył się jednak we śnie wraz z jego strażniczką. Do leżącej na złotych widelkach słuchawki zbliżył się zniecka cień czyjejs dłoni.

\* \* \*

Franek kończył właśnie służbę. Po całym dniu spędzonym między piętrami hotelowej kamienicy był zmęczony jak nieboskie stworze-

nie. Marzył tylko o dwóch rzeczach: by wymoczyć stopy z odciskami w misce z ciepłą wodą i mydlinami, a potem rzucić się na swoje łóżko w domu rodziców na Piekarach i twardo zasnąć. Uważał, że ten drobny luksus po prostu mu się należy.

Szedł z wolna schodami, mijając skautowskie warty. Strażnicy sprawiali wrażenie niezwykle dumnych ze swojej misji. Niektórzy byli wręcz napuszeni, spoglądając na chłopca w liberii i krągłej czapce jak na egzotycznego ptaka. Franek wzruszył tylko ramionami. Czuł się równie potrzebny i ważny jak oni. W końcu co by było z tym całym powstaniem, gdyby nie przyniósł na czas zamówionej na drugie piętro kawy i posiłków? Każde wojsko, nawet to tajne, musi przecież coś jeść.

Pokonał jeszcze kilkanaście stopni w dół i był już na parterze. Przez szklane drzwi po prawej widział martwe wnętrze restauracji, a przez kolejne na wprost równie pusty hol. Ten drugi obrazek mocno go jednak zaniepokoił.

Nikt nie dyżuruje przy telefonie? A może Szedzińska zeszła z posterunku? Dlaczego zatem nie zastąpiła jej sama pani Leokadia?

Nie wiedząc dlaczego, zaczął nagle skradać się w pozycji skulonej w stronę największego pomieszczenia hotelu Royal, które wszyscy goście poznawali jako pierwsze. Stawiał drobne, ciche kroki, udając kota swoich sąsiadów polującego na myszy.

Jeszcze trzy kroki, jeszcze dwa. Jeden...

Ukradkiem wyjrzał zza uchylonych drzwi. Zamarł z przerażenia.

\* \* \*

Nad pogrążoną w głębokim śnie panią Szedzińską pochyłał się jakiś mężczyzna w okularach z grubymi oprawkami.

Jezu, czyżby to był ten chudy, pryszczaty doktor Kruschke z pokoju sto trzy? — Franek się wzdrygnął.

Trzymając w jednej dłoni słuchawkę, drugą osłaniając usta, Niemiec szeptał do mikrofonu jakieś słabo słyszalne słowa...

— *Sofort Berlin, bitte... Ich habe wichtige Nachrichten für...*<sup>6</sup>

Szpieg! — Przemknęło przez głowę boya. — Ohydny, szwabski szpieg! Co robić?! Matko Boska, co robić?!

Nie namyślając się długo, młody Furmianiak chwycił za stojącą w kącie miotłę i skierował jej kij przed siebie. Przy odrobinie szczęścia dostanie się niepostrzeżenie do holu i zajdzie Kruschkego od tyłu. Tylko... Co będzie potem, kiedy Niemiec się odwróci?

Od razu odrzucił tę myśl. Nie dbał o ciąg dalszy. Teraz liczyło się tylko to, by zwrócony do niego bokiem mężczyzna nie usłyszał, jak chłopak wślizguje się przez uchylone drzwi do holu...

Spocony z emocji, poprawił chwyt na kiju miotły i wykonał najtrudniejsze zadanie: dwoma zwinnymi jak lew ruchami dostał się do pomieszczenia, nie poruszając skrzydła drzwi nawet o centymetr.

— *Schneller, zum tausend Teufel!*<sup>7</sup>

Do uszu Franka docierały nerwowe ponaglenia hotelowego gościa przy aparacie.

— *Ich muss sofort Herrn Oberleutnant Knabe sprechen*<sup>8</sup>.

Franek zaszedł doktora Kruschkego szerokim łukiem od tyłu. Znał niemiecki nie tylko ze szkoły i doskonale wiedział, że nie powinien zwlekać. Lada chwila Niemiec zostanie połączony z wrogiem dowództwem i przez linię frontu przekaże na zachód najważniejszą, tajną wiadomość.

— *Hände hoch!*<sup>9</sup> — wrzasnął, celując i dźgając kijem od miotły między łopatki gościa ze sto trzy.

Kruschke drgnął zaskoczony, wypuszczając z dłoni mosiężną słuchawkę. Upadła z hukiem na blat biurka tuż obok głowy zaspanej

---

<sup>6</sup> Proszę natychmiast z Berlinem... Mam ważne wiadomości dla... (niem.).

<sup>7</sup> Szybciej, do diabła! (niem.).

<sup>8</sup> Muszę natychmiast mówić z panem porucznikiem Knabe (niem.).

<sup>9</sup> Ręce do góry! (niem.).

pani Szedzińskiej. Zaraz potem posłusznie uniósł w górę ramiona. Kiedy jednak próbował odchylić się w stronę boya, ten wbił mu mocniej kij w plecy, z miejsca zniechęcając Niemca do ryzykownych pomysłów.

— O, zdrajco! — ryknął tym razem już po polsku. — Alaaaaarm! Mamy szkiebra szpiega! Alaaaaarm!

\* \* \*

Pierwsi wpadli do holu skauci. Ich rozbiegane spojrzenia potwierdzały krańcowe zaskoczenie. Zaraz potem w pomieszczeniu zjawili się dwaj mężczyźni w cywilu, za to z lugerami w dłoniach. Od razu wymierzili broń w Niemca.

— Co pan tu robi, do jasnej cholery?! — zapytał ten bardziej krępy z charakterystycznym czarnym wąsikiem. — Do kogo pan dzwoni, jeśli wolno zapytać?!

Szybkim krokiem podszedł do słuchawki i przyłożył ją do ucha.

W samą porę, by usłyszeć całą litanię zaniepokojonych pytań zadawanych w języku wroga. Zdaje się, że padło nawet dobrze mu znane nazwisko pewnego oficera z Berlina!

— Przegracie to, panowie! — krzyknął po niemiecku w słuchawkę i natychmiast się rozłączył. — Do aresztu z nim — nakazał podwładnemu, wskazując na strapionego niepowodzeniem Kruschkego. — Trzeba go natychmiast przesłuchać. Niewykluczone, że znalazł się tutaj nieprzypadkowo.

— Sądzi pan major, że zdążył przekazać najgorsze? — niepokoił się drugi z mężczyzn.

— Nie spodziewam się. — Major mrugnął okiem do ciągle przejętego Franka. — Zdaje się, że *oberleutnant*<sup>10</sup> Knabe spóźnił się odrobinę do telefonu.

---

<sup>10</sup> Porucznik (niem.).

— Skąd pan wie, jeśli wolno...

— Wolno, Staszku. Wiem, bo przed chwilą usłyszałem go w słuchawce.

\* \* \*

Panią Szedzińską trudno było docucić. Wszystko stało się zrozumiałe, gdy major Taczak odkrył tuż obok śpiącej sporej wielkości gazę nasączoną chloroformem. Musiała pochodzić z podręcznej apteczki doktora Kruschkego. Tym samym wojskowi zyskali niezbity dowód, że działania Niemca były zaplanowane i w pełni świadome oraz że miały na celu ujawnienie przeciwnikowi informacji, która mogła wpłynąć na losy tej kampanii.

— Chwacko się spisałeś — pochwalił major młodego Furmanika. — Jak masz na imię?

— Franek, panie majorze — odpowiedział przytomnie boy.

— O, jaki rozgarnięty! — Taczak był szczerze ubawiony sytuacją. — No, chyba trzeba ci będzie sprawić trochę lepszy karabin, nieprawdaż? Z tego wykrzesaleś więcej, niż mogłeś, ha, ha, ha!

Furmaniak bynajmniej nie wyglądał na speszzonego. Przyjął żart majora za dobrą monetę.

— Tak jest! — Zasalutował do swojej hotelowej czapki.

— I trzeba cię wreszcie zwolnić z tej służby. Na pewno bardziej przydasz się teraz w skautach. Oni mają naprawdę sporo roboty.

— To akurat da się załatwić, panie majorze — oświadczyła Leokadia Świtalska, wchodząc w szlafroku do holu. — Właśnie usłyszałam o tym pożałowania godnym incydencie. Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny.

— Co też pani, pani Leokadio! — zachnął się major. — Mieliliśmy do czynienia z podstępną próbą przekazania wrogom ważnej informacji. Podstępną, podkreślam. Ale ten oto młody człowiek stanął na wysokości zadania.

— Słyszałam. Zapewniam pana, że nagroda go nie ominie.

Major podrapał się lekko zażenowany za kołnierzem. O czymś myślał. Już dawno nosił się z tym zamiarem, ale właśnie teraz uznał, że pora jest jak najbardziej stosowna.

— Chyba najwyższy czas, by zakończyć te przebieRanki — oświadczył wszystkim zgromadzonym. — Staszku, kończymy konspirację! Widać zresztą, jak niewiele jest ona warta. Od jutra przychodzimy do pracy w pełnym umundurowaniu. Przekaż rozkaz wszystkim członkom sztabu.

— Tak jest! — ucieszył się podkomendny Taczaka.

— I natychmiast wystaw warty przed wejściem na Świętym Marcinie. Koniec z ukrywaniem się! Jesteśmy w końcu Wojskiem Polskim czy nie?!

— Jesteśmy, a jakże!

— Ja myślę! Leć zatem do naszych sąsiadów, do Naczelnej Rady Ludowej i wreszcie im to powiedz.

— Tak jest, panie majorze. Tak jest!

*Poznań, maj 2018*



Maria Elżbieta Budzyńska  
**Słowianka**



➤ Portret kobiety w mundurze polskim.  
Nieznana lokalizacja. Nieznany czas powstania zdjęcia.

*Pani od języka polskiego,  
przyjaciółce Oliwii  
i całej klasie 6a*

**P**owstanie wielkopolskie wybuchło tuż po Bożym Narodzeniu. W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku znaczenie słowa „prezent” uległo zmianie. Polacy wręczali podarki swojej ojczyźnie aż do lutego. Najczęściej własne życie.

\* \* \*

— Klara, przestań się gapić — mówi oschle matka, krzątając się po kuchni.

Za oknem stoi grupka Niemców. Opierają się o fasadę jednej z kamienic, palą papierosy. Co jakiś czas któryś z nich mamrocze coś w swoim języku. Na ich twarzach widzę ponure miny. Nic dziwnego. Ponieśli klęskę, choć nadal panoszą się, jakby byli u siebie.

— Klara! — powtarza ostrzejszym tonem.

Nie chcę jej drażnić. Zasłaniam szybę i odchodzę od parapetu. Ojciec siedzi przy stole, czyta gazetę. Tydzień temu mężczyźni gadałi o możliwym powstaniu. Czy jeżeli wybuchnie, to będą walczyć? Pewnie tak. Ja też powinnam? Nie. Jedyne, na co mogę liczyć, to chodzenie w białym fartuchu pomiędzy chorymi, a jakoś nie uśmiecha mi się praca sanitariuszki.

Matka z rozmachem stawia na stole talerze z zupą. Wyciągam trzy łyżki i siadam obok ojca, rozkładając sztucce.

— Kiedy Antek wyszedł z domu? Znowu szwenda się po mieście?  
— Rodzicielka marszczy brwi.

— Chodzi po ulicach z kumplami. Pewno zaraz wróci. — Mieszam krupnik.

Kręci głową.

— Nie szanuje niczyjej pracy. Obiad mu wystygnie... — Ojciec zaczyna zrzędzić.

— Idź go poszukać! — Matka jest zdenerwowana. Chowa twarz w dłoniach, kładzie łokcie na stole. Pęka jej głowa.

Wstaję bez słowa. Biorę buty i zakładam znoszone, wyliniałe futro. Sięgam po beret. Wychodzę, trzaskając drzwiami.

Przed domem jest jeszcze kilka zasp. Dachy pokrywa cienka, biała warstwa puchu. Ulica Wettiner wygląda dziwnie ponuro. Wieje.

Idę prosto, krzyżując ręce. Gdzie on się może włóczyć? Przecież wiedział, że ma niedługo przyjść na obiad. Minęła godzina, dwie, a Antka nadal nie ma. To do niego niepodobne. Skręcam w prawo. Słyszę wystrzały i okrzyki. Coraz częściej. Co się dzieje? Ludzie zgromadzili się kilka ulic dalej. Trzymam się blisko ściany. Idę. Na zakręcie widzę biegnące kobiety. Krzyczą.

Kilku mężczyzn przywarło do muru. Trzymają broń, przygotowani do strzału. Mają niemieckie mundury, ale rozmawiają po polsku.

Nic nie rozumiem! Gdy zmierzam w kierunku Tiergarten, mający za mną jakaś sylwetka. Ktoś podpira się o ścianę, ledwo idzie. Krztusi się? Może wypił za dużo? Nie. Krzyczy. Woła mnie po imieniu. Zatrzymuję się. Czy to może być...

Biegnę do niego. W jednej chwili grunt osuwa mi się spod nóg. Antek?

— Matko Święta — mówię cicho.

Wygląda przeraźliwie. Ma sińce na twarzy. Ale nie to jest najgorsze. Na jego koszuli widnieje krew. Wielka plama krwi. W oczach zbierają mi się łzy. Nie wiem, co robić.

— Boże mój!!! Antek!!! Co ty... — urywam.

Przyciska palec do ust. Mam nie krzyczeć?

— Weź to — mówi z trudem. Pluje krwią na chodnik. Wciska mi w dłoń jakąś kartkę.

— Ale...

— Weź. Obiecuj... Zim... — przerywa. Chwieje się.

Każę mu się o mnie oprzeć.

— Idziemy do domu. Do szpitala. Do... — Łzy płyną mi po policzkach. Zaciskam zęby.

— Ja... Nie mogę.

— Chodź!

Kolejne wystrzały i huk. Ledwo porusza nogami. Ktoś wrzeszczy po niemiecku kilka ulic dalej. Kolejny pisk.

Dzwoni mi w uszach. Każdy zakręt wydaje się kilometrem. Zaraz upadnę. Biorę głębokie oddechy. W brzuchu mnie ściska. Kręci mi się w głowie od mdlącego zapachu krwi. Pisk kobiety. Strzał.

Dom. Walę pięścią w drzwi, dopóki ktoś nie otworzy. Matka staje w progu.

— Ratuj go, mammo!

\* \* \*

— Kula dostała się do płuc. Nie można było nic zrobić. Bardzo mi przykro... — Głos lekarza dochodzi z drugiego pokoju.

Słyszę szloch matki, pojedyncze, ciche słowa ojca. Nie chcę do nich iść. Wolę zostać tu — w moim pokoju na pierwszym piętrze. Myśl o śmierci Antka nadal do mnie nie dociera. Co działo się na ulicach? Wiedział o demonstracji niemieckiej, gdy wychodził z domu? Oberwał z karabinu na wysokości klatki piersiowej. Dlatego tak

okropnie się dusił. Co mi chciał powiedzieć? Ledwo zrozumiałam cokolwiek. On nie zasługiwał na taką śmierć. Wojna trwa nadal. Nikt nie ma litości.

\* \* \*

— Stój!!! — Wyrwam się. Chcę go zatrzymać, ale nie mogę. Moja ręka napotyka pustkę. Dookoła panują całkowita ciemność i cisza. Spoglądam w dół. Siedzę na moim łóżku.

Miałam koszmar. Był wiarygodny. Spociłam się. Biorę głęboki oddech. Co właściwie mi się śniło? Pamiętam niewiele. Ktoś podawał Antkowi kartkę... To było gdzieś na ulicy Am Berliner Tor. Potem on biegł. I jakiś człowiek wycelował, pociągnął za spust.

Wzdrygam się. Na półce nad moim łóżkiem nadal leży ten świstek papieru. Co tam właściwie napisano?

Sięgam po karteczkę. Jest pomięta, zniszczona.

*21.72.M.RTS.04.61*

*1.2.G.G.RTS.14.30*

Szyfr. Co może oznaczać? Antek kazał mi coś obiecać. Ale co? Sama nie zgadnę, ale gdybym spytała kogoś odpowiedniego... Co, gdybym przekazała tę kartkę powstańcom? Może oni będą wiedzieć? Może znali mojego brata? Walki nadal trwają. I tak już nie zasnę, a jeśli wyjdę z domu teraz, pewno uniknę większych kłopotów z Niemcami.

Przenoszę wzrok na zniszczony zegar. Druga trzydzieści. Wychodzę po cichu z łóżka i staję na miękkim dywanie. Może na ulicach nie będzie roić się od Niemców, ale spotkania z nimi są nieuniknione. Powinnam się bronić. Chociaż spróbować. Idę do starej komórki za spiżarnią. Tam wśród rupieci jest ledwo widoczna skrzynka na klucz, który Antek trzymał w uszkodzonym naczyniu zawiniętym w ścierki.

Wyjawil mi tę tajemnicę kilka lat temu, kiedy przyłapałam go w tym miejscu. Zrobił to w zamian za moje milczenie przed rodzicami.

Znajduję klucz i otwieram skrytkę. Przeglądam broń. Mój brat przetrzymywał ją podczas wojny, a teraz może się przydać, jeśli wpadnę w tarapaty. Ciężki karabin odpada. Nie zdążę wycelować, a już mnie zabiją. Będę poza domem tylko przez chwilę. Rewolwer będzie odpowiedni.

Zamykam komórkę. W pokoju, który należał do Antka, jest jego stary szarozielony płaszcz. Założę go. Osiemnastolatka w futrze spacerująca po Poznaniu o trzeciej nad ranem mogłaby się rzucać w oczy. Może dzięki ubraniu brata wtopię się w tło?

*Wyszłam na krótką przechadzkę po mieście. Nie mogłam spać. Mam nadzieję, że po zaczerpnięciu świeżego powietrza poczuję się lepiej. Będę uważać i postaram się unikać Niemców.*

*Wrócę niebawem.*

*Klara*

Liścik kładę na stole w kuchni. Nie mogłam napisać prawdy. Dobrze wiem, że matka nie chce, abym mieszała się w sprawy powstania. Ojciec zresztą też nie. Ta wiadomość powinna ich uspokoić choć na chwilę.

Chwytam rewolwer, zamykam drzwi.

Spod długiego rękawa wystaje zaledwie koniec lufy. Mam nadzieję, że nie wyglądam podejrzanie. Ulice świecą pustkami, choć jeszcze niedawno widać było ślady krwi i szkody po strzelaninie.

Dwudziesty dziewiąty grudnia. Powietrze jest rześkie i wilgotne. Miasto spowite mgłą wygląda na bardziej zrujnowane. Minął już dzień od śmierci Antka. Do mnie nadal to nie dociera. W domu było okropnie cicho, jakby języki nam ktoś poucinał. Po co on tam szedł? Gdyby go nie było wtedy na tamtej ulicy, nadal by żył.

Zachciało mu się jakichś szyfrów. Kartkę przekazać powstańcom tylko dlatego, że mogą z niej się czegoś dowiedzieć. Gdyby brat wtedy mi jej nie wcisnął w dłoń, nawet bym się nie zainteresowała tym konfliktem.

Idę w kierunku Tiergartenstrasse. Nie zamierzam szukać powstańców na ulicy Święty Marcin. Tam z pewnością jest więcej Niemców. Poza tym nie uśmiecha mi się przechodzić przez miejsce strzelaniny.

Kiedy mam skręcić na Marienstrasse, słyszę śmiech. Wyglądam zza rogu kamienicy i widzę trzech mężczyzn. Z ich akcentu wnioskuję, że są Niemcami. Zaciskam zęby. Drą polską flagę, spluwają na nią. Zachowują się jak wściekle psy.

— *Verrückte Hunde!*<sup>1</sup> — krzyczę i błyskawicznie chowam się za ścianę budynku.

Usłyszeli mnie. Nie spodobało im się. Nie wiem, czy mnie zobaczyli, ale chyba ruszyli w moim kierunku.

Wpadam na sąsiednią ulicę. Mijam ogród zoologiczny. Po co ja się odzywałam? W życiu nie biegłam tak szybko. Trzymam broń w pogotowiu, choć nie wiem, czy będę w stanie strzelić. Depczą mi po piętach. Rozglądam się. Gdzie by się schować? Jediną nadzieją jest opuszczony zakład fryzjerski. Łąduję za fotelem przykrytym wypłowiałym kocem. Nie powinno przyjść im do głowy mnie tu szukać. Nasłuchuję. Biegną ulicą. Nie zatrzymują się. Odczekam chwilę i wyjdę. Nie chcę się na nich natknąć ponownie. Gdzie właściwie mam teraz iść?

Moje rozmyślenia przerywa charakterystyczny zgrzyt. Drzwi się otwierają. Niemcy? Nie. Oni są już daleko. W takim razie kto?

Słyszę pojedyncze słowa. Kamień spada mi z serca. To Polak.

Wyglądam z kryjówki. Nieznajomy siedzi kawałek od drzwi wejściowych. Trzyma broń. Głęboko oddycha. Zamierza tutaj zostać?

---

<sup>1</sup> Wściekle psy! (niem.).

Chyba powinnam się ujawnić. Jeśli jest powstańcem, mogę dać mu kartkę z szyfrem i po sprawie.

Miejmy to już za sobą.

Wstaje, wychodzę zza mebla. Chłopak ma czarne włosy i niebieskie oczy. Ładny.

— Nie, czekaj! — proszę, kiedy sięga po broń. Podnoszę rękę.

Powoli wstaje. Podchodzę do niego.

— Co tu robisz? — pyta, marszcząc brwi.

— Schowałam się.

— Przed trójką Niemców?

— Skąd wiesz?

— Właśnie mnie gonili. Nie wiem, co takiego według nich zrobiłem, ale zadowoleni to oni nie byli.

Śmieję się. Pierwszy raz od bardzo dawna.

— Jesteś powstańcem?

— Można tak powiedzieć. Próbuję jakoś pomóc. Mam dosyć wojny.

Powinnam być bardziej ostrożna w rozmowie z nim, ale jakoś nie wierzę, żeby ten chłopak mógł mieć złe zamiary.

— Mój brat... — Milknę na chwilę. — On nie żyje, ale przed śmiercią dał mi to. — Wręczam mu kartkę z szyfrem. — Wiesz, co te ciągi mogą oznaczać?

Chowam broń do torby. Chłopak wpatruje się w tekst, marszczy brwi.

— Jak się nazywał? — pyta, nie podnosząc wzroku znad kartki.

Przez chwilę się waham.

— Antoni Rybicki — mówię wreszcie zgodnie z prawdą.

Oddaje mi kartkę.

— Niestety, nie znałem twojego brata, ale wiem, kto może nam pomóc.

Patrzę na niego pytająco.

— Tą sprawą powinno zająć się dowództwo powstania. Chodź.



Dopiero teraz orientuję się, że się sobie nie przedstawiliśmy. Tym razem powinnam być ostrożniejsza. Imię i nazwisko brata podałam, bo to może być istotne, ale moje prawdziwe imię zachowam dla siebie, przynajmniej na razie. Właściwie i tak nigdy go nie lubiałam.

— Wanda — kłamię.

Uśmiecha się.

— Mów mi Franek. Chodźmy, zanim pojawią się kolejni Niemcy.

Wychodzimy z zakładu, a gdy jesteśmy już na ulicy, słyszę, jak on coś mruczy pod nosem.

— Wanda — mówi cicho — czyli Słowianka.

\* \* \*

Spacerowanie przez miasto, w którym na każdej ulicy jest ktoś z bronią, to ostatnia rzecz, na którą mam ochotę. Jedyne, czym mogę się pocieszyć, to fakt, że wystarczy przekazać szyfr dowódcom, a mój udział w powstaniu będzie zakończony.

Zbliżamy się do ogrodu zoologicznego. Jest opuszczony, pozostały wydeptane ścieżki i uszkodzone ławki.

— Pójdziemy na skróty. — Franek wskazuje mi drogę.

Wzruszam ramionami. Podążam za nim.

Od momentu wyjścia z domu zrobiło się jaśniej.

— Kiedy przyłączyłeś się do powstania? — pytam.

Chłopak mruży oczy.

— Tak się złożyło, że słyszałem o planach Niemców już wcześniej. Nie znałem dokładnej godziny ich pochodu, ale przebywałem niedaleko Bazaru, a tam zaczęła się strzelanina. Potem zgłosiłem się po broń.

Chcę odpowiedzieć, ale zaciskam usta. Coś mnie powstrzymuje.

— *Stehen bleiben!*<sup>2</sup> — Słyszemy za nami.

Podnosimy ręce i zatrzymujemy się. Zaszli nas od tyłu, więc ich nie widzę. Cholera!

Gadają coś do siebie. Powoli się zbliżają. Słyszę ich kroki. Serce mi łomocze. W co ja się wpakowałam? Matko Święta, było nie wchodzić do tego przeklętego parku!

Jest ich dwóch. Każą opuścić ręce. Przynajmniej mnie. Franek nie ma tyle szczęścia. Musi iść pod drzewo... Boże, nie pozwól go zabić. Co ja mam robić?

Wiem! Jemu kazali rzucić broń, ale nie zwrócili uwagi na mnie. Aktualnie zajęci są chłopakiem i pewno nie podejrzewają... Sięgam do torby. Mój kompan już stoi w wyznaczonym przez Niemców miejscu. Znajduję rewolwer. Zaraz go zabiją.

— Franek!

Odwracają się. Mam ich na celowniku. Teraz wystarczy tylko oddać strzał. Zaraz... Mam zabić? Zabić człowieka? Ręce mi się trzęsą. Zaraz... Franek w ułamku sekundy chwycił swoją broń.

Dwa strzały. Cisza.

Padają na trawę. Trafiają w gęste krzaki. Nie żyją.

— Chodź! — krzyczy chłopak. — Uciekamy!!!

\* \* \*

Idziemy ulicą Święty Marcin. Wolałabym ominąć to miejsce.

— Skąd masz rewolwer? — pyta.

Krzyżuję ramiona.

— Brat przechowywał broń w czasie wojny.

Spuszcza wzrok. Kiwa głową.

— Strzeliłeś im w plecy — mówię z wyrzutem. — Nie powinieneś. Franek idzie przede mną. Zwalnia i odwraca się w moją stronę.

---

<sup>2</sup> Zatrzymać się! (niem.).

— Miałem czekać, aż wyciągną giwery? Chcesz wygrać to powstanie czy nie? — odpowiada.

— Ja nie biorę w nim udziału — stwierdzam sztywno po chwili wahania.

— A twój brat?

Nie odpowiadam. Podnoszę głowę.

Stoimy przed dużym hotelem.

— Tutaj — Franek wskazuje budynek — jest główne dowództwo.

Podchodzi do mnie.

— Teraz podam ci hasło. — Ścisza głos. — Odczekasz, aż wejdem na górę, podasz je mężczyźnie w recepcji, a dowiesz się, pod które drzwi masz iść. Będę tam na ciebie czekać. Rozumiesz?

Kiwam głową.

Franek szepcze mi na ucho dwa słowa. Znika wewnątrz hotelu. Czekam chwilę.

Powoli wchodzę do eleganckiego budynku. Na suficie wiszą zdobione żyrandole, dookoła ustawiono kilka stolików z rzeźbionymi krzesłami. Franka już nie ma. Podchodzę do niskiego mężczyzny siedzącego za kontuarem.

— Czerwony ster — podaję hasło.

Rozgląda się i odpowiada:

— Pokój numer osiem.

— Dziękuję.

Wchodzę po schodach na piętro. Franek już tam jest.

Chłopak podchodzi do drzwi i wystukuje na nich skomplikowany rytm.

— Proszę! — Słyszę głuchy głos zza ściany.

Pomieszczenie nie przypomina pokoju gościnnego. Wygląda na to, że wyniesiono z niego meble i postawiono jedynie ogromny długi stół z krzesłami. Na samym końcu widzę trzech mężczyzn. Pochylają

się nad wielką mapą i wymieniają uwagi. Po jakimś czasie przenoszą na mnie pytający wzrok.

Franek rusza w ich kierunku.

— Moje nazwisko Majewski — zaczyna chłopak. — Przyszedłem złożyć zeznania.

Pozwolono nam usiąść. Mój kompan opowiada całą historię ze szczegółami. Zaczyna od momentu, gdy gonili nas Niemcy. Mówi, że schowaliśmy się w zakładzie fryzjerskim, a potem wspomina o szyfrze i wręcza kartkę jednemu z dowódców. Cała trójka uważnie czyta, a Franek kontynuuje. Mówi o tym, jak spotkaliśmy Niemców w ogrodzie zoologicznym i że odwróciłam ich uwagę.

— Skąd wzięłaś broń? — pyta dowódca o surowym wyrazie twarzy.

Prostuję się. Chrząkam.

— Mój brat pomagał podczas wojny. Miał karabin i rewolwer. To właśnie od niego dostałam ten szyfr. — Wskazuję kartkę.

— Czy jest w stanie złożyć zeznania?

— On nie żyje — odpowiadam chłodno.

Mężczyzna odwraca wzrok i wpatruje się w mapę.

— Cóż, proszę przyjąć wyrazy współczucia — odzywa się drugi. — Pani brat dostarczył nam istotną informację. Zeznania przyjęte. Zezwalam na odejście.

— Dziękujemy, panie poruczniku. Odmeldowuję się — mówi Franek.

Wychodzimy.

\* \* \*

— Kim oni są? — pytam już na chodniku.

— Porucznicy Murawski, Lisowski i Dębski. Zeznania, które od nas otrzymują, docierają do dowodzących: Stanisława Taczaka, Stanisława Łacińskiego i Bohdana Hulewicza.

Spacerujemy przez Tiergarten. Teraz powinnam być spokojna: szyfr trafił w odpowiednie ręce, prośba Antka została spełniona. Czuję dziwny niedosyt. Tak, jakby moja historia się dopiero rozpoczynała, a ja miałabym ją skończyć po pierwszych wydarzeniach.

Skręcamy na Wettiner. Zatrzymujemy się kilka metrów przed moim domem.

— Jeśli będę coś wiedział na temat szyfru, powiem ci.

— Dziękuję.

— Jeszcze jedno. — Ścisza głos. — Kiedy podasz hasło „błękitny marynarz” w recepcji hotelu Royal, dostaniesz klucze do pokoju numer dwadzieścia trzy. Jeżeli ktoś zabrał je przed tobą, podajesz hasło, pukając do drzwi. Często szwendają się tam Jadźka, Marcin i Paweł. Jeśli ja nie będę nic wiedzieć, oni już tak.

— Rozumiem.

Żegnamy się. Franek znika mi z oczu na Marienstrasse, a ja wyciągam klucze z torby i wchodzę do domu. Pierwsze, co widzę, to rodziców stojących kilka metrów przede mną. Matka ma skrzyżowane ręce.

— I co? Poczulaś się lepiej? — drwi.

\* \* \*

— Obiad o czternastej — mówi rodzicielka, zamykając drzwi.

Słyszę, jak gwałtownie schodzi po schodach. Dźwięk zanika, aż nastaje cisza. Rzucam się na łóżko. Dzisiaj wyjście z domu za zgodą rodziców jest niemożliwe, jutro pewnie też. Za moimi plecami ludzie walczą o wolność, a ja mam tu beczynnienie siedzieć? Fakt, na początku nie chciałam się w to mieszać, ale teraz jestem wściekła, bo jest wręcz przeciwnie. Co się ze mną dzieje?

Wstaję i podchodzę do okna. Otwieram je. Na ulicy stoją Niemcy. Ciężko wdycham. Może z ich rozmowy dowiem się czegoś ciekawego? Niewiele jestem w stanie usłyszeć. Zrozumiałam, że dyskutują o Gar-

barach. Nie ma co się dziwić — to wielka ulica. Jeden z nich wygląda dziwnie znajomo. Skąd ja mogę go kojarzyć? Chyba mi się tylko wydaje.

Zastanawiam się, czy ktoś z towarzystwa Franka mógł znać mojego brata. Antek rzadko wspominał o swoich kolegach. Chyba nie miał ich zbyt wielu. Jedyny, który przychodzi mi na myśl, to Marcin Brzozowski.

Czekając na obiad, mogłabym poczytać ciekawą książkę. Muszę się pogodzić z tym, że odegrałam już swoją rolę w powstaniu, a jeśli przekaz szyfru stanie się jasny, dowiem się o tym. Sięgam po powieść. Pomiędzy pierwszymi stronami tkwi wciśnięta kartka, na którą wcześniej przepisałam szyfr.

Powinam ją lepiej schować, może nawet podrzeć lub spalić. Oryginał ma dowództwo, więc kopia jest zbędna, ale chyba nic się nie stanie, jeżeli obejrzę ciągi ostatni raz? Co właściwie Niemcy mogli mieć na myśli, pisząc te szyfry? Chcieli kogoś zabić czy informowali o miejscu położenia? A może posiadali mapę i na jej podstawie ustalali współrzędne? Ostatnia opcja raczej odpada. Musieliby wysłać mapę razem z szyframi, a to byłoby dość uciążliwe. Pomysł z zabiciem też nie jest najlepszy. Kiedy kogoś zabijają, to się nad tym nie głowią. Zostają współrzędne, ale to bez sensu. Zanim szyfr dotarłby do adresata, nadawca byłby już gdzie indziej. W takim razie musieli planować coś zbiorowego, może spotkanie.

Miejsca ataków? Demonstracji?

O której godzinie spotkałam Antka? O siedemnastej? To było dwudziestego siódmego... Szyfr nie zawiera żadnej z tych informacji. Nie rozumiem. Może wszystko jest zapisane wspak? Chyba powinnam spalić... Zaraz! Wspak?

Szesnaście, czterdzieści, dwadzieścia siedem, dwanaście. To zaczyna mieć sens. Spotkałam Antka około siedemnastej, ale demonstracja mogła się przecież zacząć wcześniej, na przykład o szesnastej czterdzieści. Co do daty nie ma wątpliwości: dwudziesty siódmy grudnia.

Nie mogę w to uwierzyć! Demonstracja była planowana o wiele wcześniej. A litery? S, T, R, M. ST i R są oddzielone kropką. Co zazwyczaj oznaczają kropki? Skróty. Ale jaki to może być skrót? Żaden z polskich nie przychodzi mi do głowy, więc może to niemiecki? Strasse! Pewnie chodzi o ulicę Święty Marcin. To przecież głównie na niej rozegrała się ta strzelanina.

Muszę pilnie widzieć się z Frankiem. Z dowództwem. Z kimkolwiek. Rodzice nie mogą o tym wiedzieć!

*Przed śmiercią Antek przekazał mi ważną informację dotyczącą powstania. Muszę przekazać ją dowódcom.*

*Wanda Klara*

Na szczęście płaszcz brata zabrałam do swojego pokoju. Nie muszę kręcić się po domu, szukając okrycia. Biorę ze sobą tylko klucze i rewolwer. Otwieram okno. To głupota, ale też jedyne wyjście. Staję na parapecie i z wyczuciem przymykam szyby, trzymając się ściany. Siadam. Nogi wiszą w powietrzu. Powoli je opuszczam. Teraz trzymam się parapetu. Wiszę twarzą do budynku. Na szczęście nikt nie przechodzi obok naszego domu. Miejmy to już za sobą.

Ześlizguję się na gzyms na parterze. Zaciskam zęby. Zdarłam sobie skórę na nosie o ścianę.

Odwracam się i skaczę na ziemię. Wreszcie pewny grunt pod nogami.

\* \* \*

— Czerwony ster.

— Pokój numer dwanaście.

Wchodzę po schodach na piętro i zbliżam się do dwunastki. Wystukuję na drzwiach rytm, taki, jakiego wcześniej użył Franek.

— Proszę.

Wchodzę do pomieszczenia. Jest niemal identyczne jak ósemka. Jedyną różnicą są obrazy na ścianach. Mężczyźni siedzą przy stole i wypełniają jakieś dokumenty. Podnoszą wzrok.

— Moje nazwisko Rybicka. Kilka godzin temu wraz z Majewskim składałam zeznania dotyczące szyfru. To właśnie w tej sprawie przychodzę.

Pozwolono mi usiąść. Dzielę się pomysłem, co może oznaczać kod. Opowiadam o tym, jak wszystkie fakty w przypadku pierwszego szyfru się sprawdziły.

— Drugi może więc oznaczać, że kolejna demonstracja będzie mieć miejsce drugiego stycznia o godzinie trzeciej czterdzieści jeden. Trzeba się tylko dowiedzieć, na jakiej ulicy — oznajmiam.

Przez chwilę milczą. Jeden z nich odchrząkuje.

— Wygląda na to, że doszło do złamania kodu. W dodatku przez żołnierza w spódnicy.

Śmieją się. Drwią ze mnie? Wstaję.

— Może gdyby żołnierze chodzili w spódnicach, nie byłiby szybsi, ale choć trochę bardziej inteligentni! — rzucam.

W pomieszczeniu zapada cisza. Nie otrzymuję odpowiedzi.

— Cóż, dziękuję panom porucznikom. Odmeldowuję się.

Wychodzę i idę prosto do pokoju numer dwadzieścia trzy. To, co powiedziałam, mogło być śmieszne, ale nie dla nich.

\* \* \*

— Błękitny marynarz.

Drzwi się otwierają. W progu staje niska dziewczyna. Ma czarne włosy, takie jak moje. Zaplotła je w dwa warkocze, które sięgają jej do łokci. Oczy nowej znajomej są tak intensywnie zielone, że gdy na mnie patrzy, czuję się nieswojo.

— Czego chcesz? — Uśmiecha się łobuzersko.



— Jestem znajomą Franka Majewskiego — mówię, mając nadzieję, że go zna.

Mierzy mnie wzrokiem.

— No dobrze. Właż.

Pomieszczenie jest nieco mniejsze od poprzednich, w których tu byłam. Na samym środku ustawiono stół. Siedzi przy nim dwóch chłopaków. Gadają. Śmieją się.

— Czego się chichracie? — Dziewczyna ich ucisza. — Mamy gościa.

Wstają. Jednego z nich widziałam już kiedyś w towarzystwie Antka. Blond włosy, brązowe oczy. Brzozowski.

— Franek dużo o tobie opowiadał — mówi. — Jestem Marcin.

— Kla... Wanda. — Podaję mu rękę. Ściska ją.

— Jesteś siostrą Rybickiego?

Kiwam głową.

— Franek coś gadał. Sam Antek też wspominał — mówi.

— Ja jestem Jadźka — wtrąca dziewczyna.

— A ja Paweł. — Drugi chłopak się uśmiecha. Brązowe włosy sięgają mu do ramion. — Czekaj, co się stało z twoim nosem?

— To długa historia. — Drapię się po głowie.

— Wszyscy już się poznali? — pyta Jadźka. — Znakomicie. Franek też powinien niedługo do nas dołączyć. Ale czy nie jest ci z nią ciężko? — zwraca się do mnie. — Póki co, możesz odłożyć do schowka. — Wskazuje na moją torbę.

Pomiędzy pokojami znajduje się jeden, który jest nieużywany. To właśnie ten nazywa się schowkiem.

— Paweł zamontował wihajstry do wieszania płaszczy. — Jadźka wskazuje uchwyty na ścianie. — Możesz tu zawiesić płaszcz i torbę.

Nagle słyszymy huk, a po chwili przeklinającego Marcina.

— Wybacz — mówi dziewczyna i biegnie do pokoju. — Marcin, ty ćwoku!

Uśmiecham się. Coś mi się wydaje, że z nimi nie można się nudzić.

Zawieszam swoje rzeczy. Słyszę głuchy łomot. Chyba nie zauważyłam, że uchwyt był już obciążony. Nic dziwnego, bo strasznie tu ciemno.

Schylam się, aby podnieść czyjś bagaż. Był otwarty? Kilka rzeczy leży na podłodze. Da się tu włączyć światło? Po chwili pokój oświetla mała lampka. Kiedy pakuję rzeczy do cudzej torby, zauważam dokumenty. Nie powinnam się interesować prywatnymi rzeczami, ale mimo woli zerkam na imię i nazwisko. Erwin Zimmermann. Niemiec. Nie to jest najgorsze! Obok imienia i nazwiska widnieje zdjęcie porucznika Dębskiego.

\* \* \*

Wszystko stało się jasne. Gdy siedziałam w swoim pokoju, na ulicy nie rozmawiali obcy Niemcy, tylko Dębski ze swym rodakiem. Dlatego twarz jednego z nich wydawała mi się znajoma. Kiedy poszłam złożyć zeznania, w pokoju siedzieli jedynie dwaj porucznicy. Jak mogłam być tak głupia?

— Nikt cię nie nauczył, że nie wtyka się nosa w nie swoje sprawy?

— Słyszę za sobą niemiecki akcent. — Łapy do góry!

Powoli podnoszę ręce i wstaję z podłogi. Odwracam się i widzę Dębskiego. Rewolwer jest we mnie skierowany. Drzwi zostały zamknięte.

— Nikt, panie poruczniku Dębski — odpowiadam po chwili cicho. — Och, przepraszam, poruczniku Zimmermann — cedzę.

— Milcz.

Zapada głucha cisza. Mężczyzna chodzi dookoła mnie. Nie ruszam się. Serce mi łomocze. Śmieje się krótko, szczerząc zęby.

— Jesteś taka jak twój brat. — Chwyta mnie za podbródek. Cuchnie od niego alkoholem. — Nawet widać podobieństwo.

Odchylam gwałtownie głowę.

— Skąd znałeś mojego brata?

Prycha.

— Bystra jesteś. Pomyśl.

Odrzebuje wszystkie wspomnienia. Nie przypominam sobie, żeby Antek zadawał się z Niemcami. Nigdy nie zaprzyjaźniłby się z nimi. Trwa wojna. Nie ufał im.

— Więc? — naciska.

Zaraz... Co mówił Antek przed śmiercią? „Weź. Obiecaj... Zim...” Zim? Czy on...

— I co? Wiemy czy nie? — pyta.

— Ty go nie znałeś.

Opiera się o ścianę.

— Ty go po prostu zabiłeś — mówię przez łzy.

Śmieje się.

— A teraz skończysz jak on. — Celuje we mnie.

Nagle drzwi się otwierają.

— Wandzia? — Słyszę głos Jadźki.

— Padnij!!! — wrzeszczę i rzucam się na odwróconego w stronę dziewczyny Dębskiego.

Nabój trafia w sufit. Turlamy się po podłodze. Krzyk Jadźki. Wyrwam się. Uderzam głową o ścianę. Syczę z bólu. Widzę podwójnie. Próbuję się podnieść. Strzał obok mojej stopy. Tracę równowagę. Rozpędzam się. Pcham Dębskiego na rupiecie w schowku. Szybko oddycham.

Ma rozdartą wargę i łuk brwiowy. Rzuca się na mnie z bronią. Wyrwamy ją sobie nawzajem. Strzał w ścianę. Upadam. Celuje w moją głowę. Robię unik.

Widzę chłopaków.

— Szpieg! — krzyczę tak głośno, jak się da.

Wstaję, ale upadam na ścianę. Mam poobijane kolana. Zdarła skóra. Ból rozrywa mi nogę. Słyszę Marcina. Paweł uderza Niemca.

Kałuża krwi. Przez chwilę nic nie widzę. Jadźka wrzeszczy. Pada strzał. Dębski. Obraz się zamazuje. Tracę przytomność.

\* \* \*

Kiedy otwieram oczy, widzę blask bijący od lampy. Zaciskam powieki. Pęka mi głowa. Gdzie ja jestem? Chcę się podnieść, ale nie mam siły. Czuję, jakby głowa miała mi eksplodować. Chyba poharatałam kolana i łydki.

Moment, gdzie jest Dębski?

— Aresztujcie go! To szpieg! — wołam, ale nikt nie reaguje.

— Już dobrze. — Słyszę spokojny ton. — Poniesie karę.

Szukam wzrokiem właściciela kojącego głosu. Natrafiam na uśmiechniętą dziewczynę z dwoma czarnymi warkoczami.

— Jadźka? Co tu robisz? Gdzie ja jestem? I gdzie Franek? A Marcin? Paweł? Co z Niemcem?

Śmieje się.

— Hej! Wolniej! Jesteś w szpitalu. Jeśli chcesz uzyskać odpowiedzi na swoje pytania, zamilknij, a ja opowiem ci historię od momentu, gdy straciłaś przytomność.

Nie wiem, kiedy dokładnie omdlałam, ale kiwam głową.

— No dobrze. Kiedy siedziałaś w schowku, poleciałam sprawdzić, co z Marcinem. Okazało się, że otwierał szampana, którego kupił z Pawłem. Nie wiem, co chciał uczcić, ale oberwał korkiem w łepetynę. Paweł zwijał się ze śmiechu, natomiast ty podejrzenie długo nie wracałaś. Poszłam sprawdzić, co z tobą, a tam Dębski ma ciebie na celu. Odwrócił się. Rzuciłaś się na niego. Potem przybiegli chłopcy. — Urywa, bo musi wziąć kilka głębszych oddechów. — Znaleźliśmy polską i niemiecką wersję jego dokumentów. O wszystkim dowiedziało się dowództwo. Potem zanieśliśmy cię do szpitala. Aktualnie Marcin, Paweł i Franek ustalają coś z Murawskim. Wiedzą już, gdzie będzie kolejny atak Niemców.

Prawie podnoszę się z łóżka w porywie entuzjazmu.

— Na Garbarach, a według szyfru na Grosse Gerber. Wypyтали Dębskiego. Złamałaś kod! Wszystko już wiadomo. Weźmiemy udział w akcji, jeśli do niej dojdzie. Potem wszystko ci opowiemy.

— Jak to opowiecie? — pytam.

— No raczej z nami nie pójdiesz. Jesteś za słaba.

— O to się nie bój. Do drugiego stycznia wydobreję.



Sylwia Chutnik

**Powstań, draniu**

➤ Portret mężczyzny w mundurze polskim w Atelier C. Sikorskiego.  
Na tle imitującym wnętrze pokoju z oknem. Nieznany czas powstania zdjęcia.

— Pani zatańczy czy od razu idziemy do mnie? — zagadał jakiś facet i pochylił się nad Ewą. Chciał pocałować jej dłoń, ale był tak pijany, że stracił równowagę i runął głową na stolik, przewracając kufel piwa.

— Panie, coś pan, jak rany Boga! Zalał mi kieckę! No sami widzieliście! — Ewa zaczęła wycierać mokre ubranie, trzymając w zębach dopalającego się papierosa. Popiół spadał na jej dekolt, tworząc na nim posypkę jak na ozdobnym cieście.

Ludzie siedzący przy tym samym stoliku nawet nie odwrócili głów. Zajęci byli grą w karty, która najwyraźniej wywoływała skrajne emocje. Raz panowie przypijali do siebie w poobijanych kieliszkach, to znowu wygrażali pięściami, wyzywając od najgorszych:

— Twoja matka cię wysrała po pijaku!

— A twoja nawet srać nie mogła, bo obracali ją w kantynie na okrągło!

Awantura wisiała w powietrzu. Wieczorami Adria stawała się kwintesencją typowej zabawy w tego typu lokalach. Na zewnątrz mrugał neon z napisem „Variete, dancing, drink bar, disco”, a w środku było raczej pijaństwo, poruta i prostytutka. Za barem Gruba Wiesia polerowała szklanki, robiąc przy tym takie miny, jakby



stała w sali balowej w złotych pantofelkach. Ruchy miała eleganckie, dostojne, a oczy rozmarzone. Co chwila cmokała językiem w zębie i podnosiła jedną brew. Ewidentnie podpatrzyła to w jakimś amerykańskim filmie. Wiesia była primadonną wypindaczoną jak królowa. Od niej wszystko zależało. Kto dostanie ile popitki i czy będzie mógł pić na krechę przed wyplatą. Poza tym znała wszystkich i o wszystkich wiedziała więcej, niż oni sami o sobie. Od lat w gastronomii stosowała te same triki z dolewaniem, handlowaniem swoim alkoholem, bajerowaniem wszelakich kontroli. A przede wszystkim znała się na ludziach. Bo ta profesja wymaga psychologii, magii i empatii. Do lokalu nie przychodzili wesołkowie i królowie życia. Owszem, zdarzali się tacy, ale byli głównie w fazie przejściowej. Zawieszeni między niespodziewanym sukcesem a tradycyjnym poczuciem beznadziei. Albo stawiali wszystkim kolejki i płacili orkiestrze za granie ulubionych przebojów, albo leżeli zaszczani przy pisuarze i błagali o kilka złotych na klina. Stanów pomiędzy nie było. Tu wszystko wyrysowano grubą kreską, bez półcieni i niedomówień.

W dzień rodzice z dziećmi zamawiali puchary lodowe, a narzeczeni macali się pod stolikiem przy kawie z eklerką. Wieczorami zaś Adria pokazywała prawdziwe oblicze. Między speluną a jedną z najpopularniejszych restauracji w Poznaniu. Kto tu nie bywał, kogo tu nie pobito! Z okolicznych Targów przychodzili partyjni notable i załatwiali interesy przy wódeczce. Girlsy miały potem branie jak nic. A znowu przedsiębiorcy czy zwykli handlarze obracali tu takimi dutkami, że w banku tyle nie widzieli. Jak to mówią: „Kto se ni może jak prywociorze”. Przynosili więc towar, zostawiali w szatni, na postoju taksówek, łypali oczkami we wszystkie strony, a potem dobijali targu i zamawiali tyle jedzenia, że stół się uginał. Kelnerzy lyrali się<sup>1</sup> między roztańczonymi parami, a muzyczka cięła powietrze kolej-

---

<sup>1</sup> W gwarze poznańskiej: chwiali się.

nymi nutami. Było tak, jakby Adria dryfowała wśród zwyczajnego świata, była wyspą między tymi wszystkimi kolejkami po pieczywo i mięso. Otwierało się drzwi i — buch — zapach papierosowego dymu zwodził niczym tajemnicze kadzidła buchające w świątyni nadatku. Tu kobiety miały więcej odwagi, a mężczyźni tęsknili za nimi mocniej niż na targu czy w kościele.

W takiej to scenerii nierealnych planów i utarczek słowno-ręcznych siedział Ejber i beznamiętnie dziobał widelcem w bigosie. Przyglądał się Ewie, która wściekła się po tym, jak wylano na nią piwo. „Odkupujesz, słyszysz? Odkupujesz mi alkohol i halkę!” — piła wódkę, odginając mały palec niczym baletnica nogę. Była taka piękna i taka niedostępna. Jej ojciec miał budę z kosmetykami i drobną galanterią. Wszystko, co zarobił, odkładał dla córeczki. Rozpieszczał ją tak bardzo, że potrafił odwozić do domu zapijaczoną i umorusaną. Z podartymi rajstopami od zbyt natrętnych dłoni. Upadłą damę z dobrego domu, która w Adrii szukała... Czego? Tego nie wiedziała sama. Kochali się w niej wszyscy: starzy, młodzi, bogaci i ci w jednej marynarce od komunii. Ewa z rajgu, w którym ciągle jadło się zgniłe jabłka.

Ejber nie lubił, kiedy była wyzywająca. Odwracał wzrok od jej skandalicznego popisywania się na parkiecie. Kilka tygodni temu, bardzo już pijana, podniosła bluzkę na środku parkietu. Miała pod nią elegancki stanik, który krył młode piersi. Pensjonarska bielizna na zmęczonym ciele. Krzyczała wtedy:

— Wszyscy mnie chcecie, ale nikt mnie nie kocha! Nikt nie wie, jak to robić!

Z rozmazanym makijażem i z brudnymi włosami była karykaturą bohaterki powieści młodzieżowych, w których nastoletnie oczy patrzą przed siebie i wierzą, że podbiją świat. Że sukces jest za rogiem. Wystarczy chcieć po niego sięgnąć.

Kiedy Ewa kompromitowała się przy ludziach, Ejber podszedł do niej i zakrył ją swoim swetrem. Odprowadził do stolika, zawołał

po taksówkę. Gdy stał z nią na zewnątrz i pomagał wsiąść do samochodu, przytuliła się do niego nagle i zachłannie. Mógł być jej ojcem. Stary, zmęczony i samotny. Patrzył na jej połamane obcasy i wyobrażał sobie, że rano robi jej herbatę. Że jest z nią wieczorem, kiedy samotność najbardziej kłuje między skroniami. Mogą sobie oglądać coś w telewizorze, może słuchać radia. On dba o nią jak o największy skarb. Ona po prostu jest.

Nawet nie wiedział, gdzie mieszka.

Teraz zerkał co jakiś czas na jej coraz większe upodlenie. Miał ochotę pić w związku z tym jeszcze więcej. Odwrócił się do Grubej Wiesi i nagłym gestem zamówił kolejne piwo.

— Co wy widzicie w tej wywłoce? — Pokręciła głową.

— My? Jakie my? Ja tam nic nie widzę. Ona mnie nie obchodzi. — Ejber zaprzeczył, ale z racji spożytego alkoholu jego słowa zabrzmiały nie tylko bełkotliwie, ale i niepewnie.

— Mnie nie oszukasz. Zresztą i po co? Zastanawiam się tylko, czemu faceci jak ćmy lecą do bab, co ich mają w dupie? Może to jakieś lubienie, żeby bolało? Nie rozumiem tego.

Zerknęła z naganą w stronę grupki panów siłujących się na ręce gdzieś w kącie sali. Muzyka zagłuszała myśli, więc można było swobodnie żyć w ramach czynności niemających większego sensu. Można było topić się w procentach, nucąc szlagiery wygrywane przez orkiestrę. Była sobota i jej przyjemna wizja dogorywania w dzień następny. Zanim jednak kac na dobre miał rozwalić skronie, warto było na niego zapracować.

Ejber rysował palcem ósemki na pianie piwa. Oblizywał go potem, gapiąc się przed siebie. Co jakiś czas musiał wstawać z barowego stołka, aby rozprostować kręgosłup.

— Nie lepiej siedzieć na krzesłach z oparciem? — zapytała Gruba Wiesia tonem starej żony, która robi mężowi wymówki, ale z rezygnacją, bo z góry zna odpowiedź.

— Ja tam wolę bliżej baru. Z kim bym miał siedzieć? Wszyscy to debile.

— A tak to ja muszę cię tu znosić dniami i nocami. Tych marudzeń słuchać. Tych złorzeczeń. Czy kiedykolwiek coś z tego miałam? Nic, tylko te opowieści, że kiedyś to, kiedyś siamto. Nudny jesteś, Ejberku. Mówił ci to ktoś? — kontynuowała Wiesia, uwijając się między butelkami a donoszonymi ze zmywaka naczyniami. Potrafiła obsługiwać gości, prowadzić z nimi rozmowę i jeszcze mieć baczenie na cały lokal, czy aby ktoś nie wychodzi bez zapłaty lub nie zachowuje się poniżej przyjętych norm. Na przykład gzi się po kątach lub niepotrzebnie awanturuje. Zbierała resztki sznytek z talerzy i podskubywała. Nie lubiła marnotrawstwa.

— W czasie wojny to byś tylko marzyła o takiej nudzie jak teraz. O rozmowach, jedzeniu. Nic nie było wtedy. Pamiętam, jak w powstaniu...

— No, znowu się zaczynają te blubry<sup>2</sup>. Przecież ja oszaleję! — Wiesia przewracała oczami, zgarniając z blatu śpiącego Zenka, który leżał między kuflem a talerzem zakąski.

— Kiedy ja ci mówię, że kiedyś to byś z wdzięczności po rękach mnie całowała za te opowieści. Bo w czasie wojny to zamiast ze szmatą byś z bandażami dla wojska latała co najwyżej. — Ejberowi głos zaczynał drżeć z przejęcia. Zawsze tak było, kiedy schodził na opowieści o dawnych czasach. Głos tężał, wydobywał się z gardła niczym z głębokiego wiadra. Oczy mu się szklily, a ręce trzęsły. Po swoich wykładach na temat historii nie mógł później usnąć i musiał brać leki, które coraz mniej entuzjastycznie przepisywał mu lekarz.

— Nie za dużo ich pan bierze, panie Heniu? — pytał.

— Kiedy ja spać nie mam jak. Ciągłe te stresy.

---

<sup>2</sup> W gwarze poznańskiej: brednie.

— Przecież jest pan na emeryturze. Jakie to stresy może mieć emeryt? — dziwił się lekarz, wypisując kolejne recepty na pastylki spokoju.

Jakie stresy może mieć stary dziad, którego jedynym zadaniem jest wyjść rano po gazetę, a wieczorem wrócić jako tako do domu i nie wpaść po pijaku na sąsiadkę, która i tak sobie myśli o nim to i owo? Ano: lęk przed tym, że przeszłość jak zła jędza zapuka do drzwi i sprzątnie wszystko wokół, meblościankę, nierozwiązaną krzyżówkę, tych kilka wygniecionych koszul wiszących w szafie jak flagi starokawalerstwa. Te resztki normalności, co się ją misternie budowało przez lata, wierząc, że nikt nigdy nie krzyknie: „Sprawdzam!”. Nie zapyta o powody zrezygnowania z życia. Odpuszczenia sobie tej staraniny i drobiazgowości, z którymi ludzie zakładają rodziny i awanturują się w kadrach o talon na samochód. Przesadzają kwiaty do kolejnych doniczek i wyprowadzają psy. Po co to, na co to? Ejber żywił przekonanie, że wszystko, co mogło się zdarzyć, już się dawno wydarzyło i na dodatek nie tak, jak powinno.

Siedział teraz w Adrii i pośepnie gapił się w rozstawione za barem butelki o kuszących nazwach. Gryzł się ze wspomnieniami i nie chciał ich znowu rozwijać. Wiedział, że u nikogo nie znalazłby zainteresowania.

Rok 1918. Kiedy to było? Ponad czterdzieści lat temu. On młody, pełen nadziei, jurny. Chodził po ulicach Poznania jak jakiś król. Sam nie wiedział, czego chce, ale razem z kolegami umiał o to zawalczyć. Na rynku podrywał najpiękniejsze dziewczyny. Żadna się nie oparła. Matka w domu wciąż gadała mu nad głową, że będą z tego problemy.

— Dzieciaka zrobisz. Nawet nie zauważysz. Ja tu twoich panien i ich bachorów niańczyć nie będę. Mówię od razu, aby potem nie było.

Ojciec był urzędnikiem, typem skrytego spryciarza. Wojna nie wojna — on coś tam gromadził, podpisywał, zliczał w kolumnach.

Skryba z krwi i kości. Niby siedział całymi dniami przy papierach, ale swoje interesy kręcił, gdzie się dało. Uwielbiał pieniądze. Ejber myślał po latach, że nie chodziło nawet o zamięłowanie do materialnych skarbów, ale o samo poczucie, że się te pieniądze po prostu ma. Że się je umie zdobyć, zaoszczędzić. Rodzinę zabezpieczyć. W rodzącym się państwie to wszystko było ważne. Potem ojciec nieraz ratował z opalów całą gromadę. Głównie zaś jego i brata, równie zaangażowanego w życie tułacze i hazard, co Ejber.

Oni razem to ho, ho! Pojawiali się w okolicy i od razu z bram wychodzili najgorsi: pijaki, oszuści, drobni złodzieje. Zaraz się zbierali wszyscy w jednej z tych karczm, jakich pełno było wokół. Pili, awanturowali się, potem znowu pili. Nad ranem — myk — do domu i spać. A potem znowu to samo. Tak upływała młodość.

I przyszedł czas, kiedy wreszcie można było się wyżyć. Od jakiegoś czasu szeptano po mieście, że coś strzyka w kościach na zmiany. Że coś się zaczyna dziać. Ejber politycznie był świadomy tyle, co nic. Kompletnie go nie obchodziło, kto z kim i po co. Żeby tylko było coś do wódeczki i ktoś na kolana, żeby potem miło spędzić czas w wynajętym pokoju na godziny. Tyle z kwestii narodowych. Ale wizja przewrotu to co innego — w czasie takiej ruchawki czas płynie szybciej i na nudę nie ma miejsca. Mięśnie układają się w kolejne mapy skoków, ucieczek, bijatyki i emocji. Coś się dzieje. Jest życie w tym nudnym mieście!

Kolega szepnął, że tłum zbiera się przy hotelu Bazar. Akurat byli nieopodał, kończyli wiśniówkę. Podeszli nonszalancko, z rękami w kieszeniach zimowych płaszczy. Na balkonie stał jakiś dziadek i wykrzykiwał płomienne przemowy do ludu, który tkwił jak zaczarowany. Nic nie było słyhać, ale wszyscy się ekscytowali. Gdyby ktoś chciał, mógłby śmiało podpalić papierosa od iskier, które żarzyły się w powietrzu. Równie dobrze człowiek na balkonie mógłby mówić wierszyk dla dzieci — reakcja tłumu byłaby podobna. Wszyscy cze-

kali po prostu na pretekst do walki. Do zrobienia czegoś. Wreszcie. Ledwo skończyła się wojna, a Niemcy ciągle nie chcieli zostawić ludzi w spokoju. Dzień po przemowach pozrywali flagi na Świętym Marcynie, jakieś powyczyniali parady. Ludzie byli zdenerwowani. Wybuchł bunt.

Większość kolegów Ejbera, w tym on sam, nie wchodził w żadne niuanse. Po prostu czekali na sygnał i gotowi byli bić się gołymi rękoma z niemieckimi żołnierzami. Dla zasady, naprzeciw, walcząc o swoje. Kwestie szczegółowe, jakieś plany militarne czy strategie nie były potrzebne. Chłopcy wyruszyli na front z pieśnią na ustach i łzami matek na mankietach. Ejber z bratem dostali łańcuszki z krzyżkami i całusa w czoło.

On wrócił do domu, ale brat na zawsze został w piachu gdzieś za Poznaniem. Żeby jeszcze był spektakularnie zabity, rozpruty bagnetem. Ale nie — ten przeziębził się po prostu w styczniowych mrozach, zachorował i zmarł z wycieńczenia. Rodzicom powiedziano, że poległ na polu chwały. Tak łatwiej znieść tragedię. Śmierć z *Virtuti Militari*, z szarfami i uroczystymi syrenami, to jest coś. Zwykła grypa nie ma w sobie nic z romantycznego mitu żołnierza. Nie ma sensu o niej wspominać.

W czasie powstania Ejber postarzał się o kilka lat. Biegał, czołgał się, a nawet raczył alkoholem, ale jakby w przyspieszonym tempie. Nie do końca obecny, a zarazem chłonący podwójnie wszystko, co działo się wokół niego. Jak to jest, że kilkanaście dni może w człowieku zostać na całe życie? Że to życie może być w czasie kilkunastu dni przeżyte parokrotnie?

Brat nieraz przychodził do niego w snach. Nic nie mówił, o niczym nie opowiadał, tylko stał w kącie pokoju i patrzył. Nawet trochę z wyrzutem, tak się Ejberowi zdawało i zaraz miał wyrzuty sumienia, że brata zostawił, że nie wyleczył. Nie upilnował, a to przecież rodzina. Nawet przed sobą nie przyznawał się do tego, co jeszcze

zrobił. Bo ciało nie ostygło, jak zabrał zza paska broń i zamienił się na buty. Były w lepszym stanie. No a trupowi broń i buty przecież niepotrzebne, prawda? Brat brata okradł po śmierci. Taka prawda. Na porządny grób w tej zawierusze nie było miejsca, ale na wzięcie tych resztek godności to i owszem.

Jeden brat pod topolą zakopany o tyle, o ile. Drugi — w nowych butach uciekał przed siebie, a za siebie się nie oglądał. Nie było po co.

I dopiero po latach przychodziły myśli, jakieś wyrzuty sumienia, które nie chciały zniknąć nawet po półlitrze. Brat stał w ciemnościach i nic nie mówił. To milczenie było najgorsze. Ejber ciskał w niego przedmiotami. Darł się, groził, wreszcie błagał i płakał, roztkliwiając się nad sobą. Nic nie zmieniało się jednak w postawie ducha. Stał i patrzył, jak z fałszywej skruchy żywy mężczyzna robi powoli swoje motto.

Powstanie było, to i trupy były. W czasie wojny też. Co ja temu winien, że człowiek zachorował? Dowódca zabronił nieść na rękach chorego, to trzeba było zostawić. Co ja temu winien?

Ale wrócił do domu zmieniony. Zmężniał, sylwetkę wyprostował, matkę ucałował. A potem poszedł w tygodniowy cug i tyle go widzieli. Wszyscy brali go pod ramiona albo klepali po głowie.

— Pochował brata — szeptali.

— Zabili go, skurwysyny, my ich jeszcze, ech, co to nie my!

Upijali się do nieprzytomności. Cóż, w końcu mieli co świętować.

I tylko w nocy, kiedy duch brata stał tak w kącie jak niemy symbol przewrotu, to Ejber nakrywał głowę kołdrą i bezgłośnie wył do tego, co już nigdy nie wróci.

Co nie wróci? Nie wiadomo.

Zamyślał się, aż go w końcu Gruba Wiesia trącała w ramię, bo chociaż była surowa w obejściu, to lubiła tych swoich klientów. Rozumiała, że każdy z nich ma w sobie osobistego demona, który toczy go gdzieś w środku i nie daje spokoju.



— Tej, Ejberku! Głowa do góry, bo cię żadna nie zechce! Masz dolewkę na koszt zakładu, bo jeszcze chwila, a będę musiała wzywać trumiennego.

„Żadna nie zechce”. Ech, wszystko mogło wywołać kolejny ciąg skojarzeń. Bo po powstaniu, kiedy tak topił smutki po śmierci brata, poznał jedną taką. W sumie szkoda gadać. Była niewiele starsza od niego, bardzo podobna do Ewy. Bezczelna, zepsuta, piękna i melancholijna. Grała głępszą niż była w rzeczywistości, ale Ejbera ciągnęło do niej tak, że żaden racjonalny argument się nie liczył. Koledzy próbowali tłumaczyć, że to zwykła dziwka. Panna bez honoru, co z każdym i za cokolwiek pójdzie, aby tylko samej nie wychodzić w nocy z baru. Ale dla niego była jak księżniczka. Pozwalała zapomnieć o śmierci, bo sama była witalna. Jak reklama młodości i tego nieopisanego uczucia, że jeszcze wszystko przed nami.

— Wszystko się skończyło. — Płakała mu w rękaw, a on wierzył, że dla niej mógłby jeszcze dwa powstania rozniecić. Ot tak, dla żartu. Że dla niej sam by pokonał wroga szybciej, niżby się zebrała polska armia.

Patrząc na nią, czuł, że wstępują w niego siły. Tak potrzebne, aby zacząć nowe życie. Rozpoczęła się przecież Polska. Wszyscy chcieli załapać się na zmiany, które się z tym wiązały. Ejber poszedł do pracy i zaczął dokładać się do rodzinnego gospodarstwa. Załatwił symboliczny grób dla brata i często tam chodził. Siadał na kamieniu, palił papierosy i robił plany: ożeni się ze swoją nimfą, znajdzie lepszą pracę, będzie żył chwilą i każdą z nich wykorzysta najlepiej jak potrafi. Tak się w tych swoich wizjach rozczulał, że od razu szedł do karczmy i upijał w trupa. Czasem siadała przy nim jego wybranka i głaskała po włosach.

— Dam ci za darmo. Chcesz?

Ale Ejber był dumny. Chciał, aby nie traktowała go jak uboższego klienta, ale przyszedłgo męża. Strącał jej dłoń i zataczając się,

wychodził. Pił tygodniami. Wreszcie zwolnili go z pracy. Przez wiele lat nie umiał sobie znaleźć miejsca. Ona wyjechała z miasta. Ktoś powiedział, że rzuciła się pod pociąg. Podobno była w ciąży. Ale czy to prawda, nie wiadomo.

Ejber dotrwał jakoś do wojny. Założył rodzinę. Nie z miłości, ale z rozędu i chęci zrealizowania chociaż jednego planu w swoim życiu. Rodzice cieszyli się, że jedyny syn, który im został, wreszcie się ustatkuje. Urodziło mu się dziecko. Córeczka. Nazwali ją Marysia od Maryi. A potem, w trzydziestym dziewiątym, walczył. Trafił do niewoli i wywieźli go na przymusowe roboty. Do Poznania wrócił już po wojnie. Dowiedział się, że nikt z rodziny nie przeżył. Rodzice zginęli w obozie. Żonę z córeczką podobno rozstrzelali gdzieś w czasie wysiedlenia do Generalnej Guberni. Podobno ktoś je widział, jak jechały na wozie. Potem gdzieś przepadły. Ślad urywał się pod granicą. Dalej już zupełnie nic.

Pustka w nowych czasach, w których wszyscy musieli zaczynać od początku. Ejber był zupełnie osamotniony. Błąkał się po opustoszałych ulicach. Mieszkał przez chwilę na Jeżycach, bo nie były tak zniszczone jak centrum miasta. Dawni koledzy zmatowieli. Wspólne picie nie było już niczym zabawnym. Natomiast dla niego alkohol stał się jedyną rozrywką. Zaczął pracować w zakładach kolejowych. W dzień patrzył na jadące pociągi, w nocy na puste butelki. Nie miał już żadnych planów i nie oczekiwał niczego. Byłe przetoczyć się przez życie i jak najszybciej je zakończyć. Wielokrotnie myślał o samobójstwie, ale nie miał na nie siły. Bo to przecież trzeba jakoś zaplanować, powziąć decyzję.

— Jakiś sznur mieć — zamruczał pod nosem Ejber, a Gruba Wiesia od razu to podchwyciła.

— Sznur? A gdzie ty teraz dobry sznur kupisz? Może w MHD, ale to tylko po znajomości. Chcesz się zabijać? Teraz? Jako stary dziad? Ale wymyśliłeś! — Wycierała mokre plamy na blacie obok

niego i szturchała go, niby niechcący, a w rzeczywistości, aby w ten dość szorstki sposób wyrazić uczucie. Próbowała zrozumieć Ejbra, jego zagubienie i samotność. — Pogadaj z kimś, a nie tak jęczysz sam do siebie jak wariat. O, tu obok Miecio siedzi. Mieciu! — zwróciła się do łysawego klienta, który ledwo trzymał się na nogach, ale dzielnie walczył z grawitacją, wspierając się na plecach kolegi.

Ejber zrezygnowany zwrócił twarz ku pijanemu facetowi i wybełkotał:

— Czy ty, kurwaaaa, wiesz, co to znaczy nieszczęśliwość?

Tamten nie dosłyszał, pochylił się więc nad głową Ejbra i stuknął go delikatnie w czoło.

— Masz coś do mnie? Obrażasz moją matkę?

— W dupie mam twoją matkę.

Awantura wisiała na włosku.

— Coś ty powiedział o mojej matce? A w mordę chcesz? — zapytał Miecio retorycznie.

— Żebyś wiedział, że chcę. Oj, jak ja chcę.

Dwa razy nie trzeba było powtarzać tego zaproszenia do bijatyki. Dwie postacie niemłodych mężczyzn przyłgnęły do siebie niezdarne i poczęły wymachiwać rękoma. Jeden z nich złapał kufel i rąbnął nim przeciwnika. Trysnęła krew, orkiestra zaczęła głośniej grać, a szatniarz zadzwonił po milicję. Rozróżba przeniosła się na podłogę. Słysząc było dyszenie i jęki. Po jakimś czasie skutecznie rozdzielono przeciwników. Ejber zalał się krwią, ale minę miał raczej zadowoloną. Kiedy przyjechali funkcjonariusze, machnął tylko ręką i po spisaniu go stwierdził, że wraca do domu. Wiesia usadziła go jeszcze na chwilę przy barze, opatrzyła ranę i umyła brudną ścierką twarz, „żeby nie mówili, że w Adrii ludzi biją”. Postawiła setkę na koszt firmy, a potem odprowadziła wzrokiem.

— Takiemu to nic nie pomoże. Nawet łomot — westchnęła.

Ejber wyszedł na zewnątrz. Uderzyło go zimne powietrze. Dosłownie zachwiał się na nogach pod jego wpływem. Orzeźwienie. Powrót myśli. Powoli powlókł się w stronę domu.

Kiedy przyszedł do siebie, było już mocno po północy. Wstawił wodę na herbatę i udał się do łazienki, obejrzeć się w lustrze. Skrzywił się przy odkażaniu rany spirytusem, ale wytrzymał ból. Usiadł na skraju wanny i ukrył twarz w dłoniach. Chwilę siedział w zawieszaniu, aż w kuchni zaczęła gotować się woda. Nie dopił herbaty. Położył się z trudem pod kołdrą. Jutro będzie bolał go pewnie każdy centymetr ciała. Ale dziś chciał się rozprawić z demonami. Resztkami sił.

Zawołał więc swojego brata.

— Tadek, chodź tu. Chcę z tobą pogadać.

W mieszkaniu panowała cisza przerywana kapaniem wody z kranu.

— Chodź tu. Wiem, że jesteś obok.

Nikt nie odpowiadał, nic się nie zadziało. Duchy nie lubią, jak się im rozkazuje. Są jak koty: przychodzą, kiedy chcą, i nikomu nic do tego. Ejber usiadł z posapywaniem na łóżku i wpatrywał się w ciemność. Firanki ruszały się razem z wiatrem. Noc zalewała wszystkie kąty czernią.

Wreszcie — jest! Pojawił się dziwny cień. Jakaś nieznaczną łuna, może zarys postaci. Wprawne oko mogło coś wypatrzeć, ale równie dobrze mogłoby to być odbicie latarni ulicznej. Ejber nie miał jednak wątpliwości.

— Słuchaj — zaczął — ja już jestem stary. Tak dłużej być nie może. Musisz mnie zostawić. Tak jak ja zostawiłem ciebie. Jesteśmy oddzielni. Każdy ma swoje sprawy. Dłużej nie mogę już żyć w zawieszaniu, a śmierć nie chce do mnie przyjść. Jestem w potrzasku. Rozumiesz?

Cisza. To oczywiste. Duchy rozmawiają tylko na seansach spirytystycznych, a nie ot tak sobie, w mieszkaniach. Cień się nie poruszył

choćby na centymetr. Ejber powoli wstał z łóżka, dławiąc w sobie stękanie z bólu, i podszedł do kąta. Zbliżał się tak, jak zbliżamy się do ostatecznego. Ze strachem, ale i z rezygnacją, która dodaje animuszu. Bo co jest jeszcze do stracenia? Niewiele przecież. Własne życie stracił już zupełnie. Po wojnie błąkał się tylko między pracą a fotelem. Nie chciał żadnej rodziny, bo przecież rodzinę to on już miał i na co mu była kolejna. Jakaś podrabiana.

Oddajcie mi tamten czas. Oddajcie mi marzenia.

A zaczęło się przecież od tego cholernego powstania. Gdyby nie ono, brat by żył i może razem by poszli na kolejny front, a potem walczyli ramię w ramię. Przynajmniej miałby kogoś bliskiego obok siebie. Noc stawała się nieznośna. Zaczynała podpowiadać coraz gorsze rozwiązania. Otwórz okno, skocz. Wsadź głowę do piecyka, odkręć gaz. Weź żyłki i do wody. Zrób coś. Przerwij to.

— Widzisz, do czego się doprowadziłem? Tadek, powiedz coś. Co ja mam zrobić?

Nasłuchiwał. Na górze sąsiad splukiwał wodę. Rury grały dziwny koncert. Znikąd pomocy.

— Jesteś tu jeszcze?

I naraz Ejber zaczął płakać. Tak zwyczajnie. Najpierw jedna łza, potem druga. Zaraz po nich krótka przerwa i ciąg dalszy. Płakał z bólu, tak mu się zdawało. Pobili mnie, myślał. Jak mogli pobić starego człowieka? I za co? Płakał z samotności. Bo nawet zmarły brat udawał przed nim, że go nie ma. Płakał z bezradności, bo nie wiedział już, co ma robić, aby wreszcie poczuć, że żyje. Łzy szczypały, a po jakimś czasie wpadały do ust słonymi kroplami. Brakowało tchu. Rozszalała się kaskada płaczu, który rósł w Ejbrze od lat.

— Stary chłop i ryczy jak dziecko! — zawstydzał się, ale zaraz też i pocieszał, że przecież jest ciemno, więc nawet Bóg nie zauważy jego mazgajstwa.

Płakał i kiwał się na łóżku, zapominając powoli o bracie, który stał w kącie. A potem, zmęczony i spuchnięty od ciosów i szlochu, położył się jak grzeczny chłopiec i zwinął w kłębek. Sen był wybawieniem. Zawsze jest.

Trzy dni później sąsiadka wyważyła drzwi.





Joanna Ciechanowska-Barnuś  
**Lekcja**



➤ Grupa dzieci pozująca do zdjęcia w pikielhaubach.  
Miejsce wykonania zdjęcia nieznane. Czas powstania nieznan.

**P**rzejmujący mróz wdzierał się pod ubranie i kłuł nieprzyjemnie. Jeszcze tylko jedna lekcja i potem do domu. Do łóżka. Odruchowo przyspieszyła kroku, bo marzenie o odpoczynku było bardzo silne. W dodatku ciemna i pusta w grudniowe popołudnie ulica nie dodawała otuchy. Nie lubiła tych wypadów na Chwaliszewo. Tu zawsze było tak jakoś mniej przyjemnie. Mniej światła, mniej ludzi, kamienice uboższe. Nie to, co w centrum miasta. Tam widać rozmach i wielkomięjską elegancję. A tutaj trzeba uważać, żeby nie wpaść w tarapaty. Niby niedaleko od Starego Rynku, a jednak za mostem na Warcie rozpoczynał się inny świat.

Świeżo podzelowane obcasy stukwały o bruk. Szła na lekcje polskiego, zakazane przez pruskie władze i systematycznie realizowane w polskich domach. Klara znała zasady ostrożności. Domy się zmieniały, nauczycieli także starano się podmieniać, by nie wzbudzać podejrzeń szpiegów i tej całej armii donosicieli, którym już dawno się w głowach pomieszało od propagandy Hakaty. Czuła, że to, co robi, jest ważne. Dlatego szła. Dzisiaj wołałaby co prawda udać się na dworzec, bo podobno Paderewski ma przyjechać. Na tę okoliczność miasto przystroјиło się jak panna na zabawę. Wszyscy się wybierają na to powitanie. No prawie wszyscy, bo ci, którzy mają inne zadania,

nie pójdą. Ona na przykład musi na Chwaliszewo, bo trzeba uczniom dawać dobry przykład rzetelności. Tego nauczyła ją pani Omańkowska, która w sprawach lekcji i nauczania pozostawała absolutnym autorytetem. A Klara była bardzo obowiązkowa.

Posłuszeństwa i rzetelności nauczyła się w domu. Ojciec decydował o wszystkim, a żona i córki, podobnie jak inne kobiety w okolicznych znanych jej rodzinach, miały jasno określone zadania i powinności. Tak było od zawsze i nikt nie widział potrzeby, by to zmieniać. Tam nauczyła się także, jak powinna się zachowywać, by nie spotkało jej nic złego. Bo dzieciństwo miała trudne.

Ojciec po utracie rodzinnego majątku prowadził cudze gospodarstwa. Był sprawnym zarządcą, więc wiodło się mu nie najgorzej. Na początku wszystko trzymał krzepko w swoich rękach — parobków, dostawców, odbiorców, Żydów i Polaków. Niemcom ustępował, bo mieli władzę i byli silniejsi od niego. Hakata uczyła posłuszeństwa. Z czasem władczy charakter ojca zaczął być uciążliwy, energia zmieniła się w gwałtowność, a pewność siebie w pogardę okazywaną słabszym. Matka Klary — cicha i spokojna — była przez niego traktowana tylko trochę lepiej niż kobyły w stajni. A i to dobrze, bo powinna gorzej, jak powtarzał w czasie ataków złości na wszystko.

— Kobyła to chociaż przyniesie konkretny grosz, a baba tylko ma fanaberie, ciągle słabuje i darmożjadów narodzi. — Z tym określeniem Klara oswoiła się w dzieciństwie. To ona i jej trzy siostry były darmożjadami.

Potem urodził się Aleksy, a dwie starsze córki zmarły szybko jedna po drugiej, ale i to nie zmieniło stosunku ojca do żony i córek. Tylko wtedy, kiedy pracowały w gospodarstwie, mogły liczyć na obojętność, a to już bardzo wiele.

Matka po urodzeniu syna zamknęła się w sobie jeszcze bardziej. Poświęciła życie modlitwie i Bogu. Właściwie rozmawiała już tylko z nim. O los córek przestała się troszczyć, bo i tak na nic nie miała

wplywu, a już na pewno nie na to, co zdecyduje jej mąż. Ten wiedział dobrze, jaka jest rola kobiety: dzieci rodzic i żoną być. Do tego ani szkół nie potrzeba, ani żadnych ksiązek. Ma być robotna i tyle. Dla takich zawsze się chłop znajdzie. Strachu nie ma. Dlatego Klara nie była na żadnej pensji. Kto by za to zapłacił? Obie z siostrą skończyły tylko szkołę realną. Wszystko według woli ojca. Brat natomiast otrzymał należyte wykształcenie. Poza tym ojciec zabierał go na wszystkie zjazdy ziemskie, wykłady i prelekcje dla właścicieli oraz zarządców majątków. Wybrali się nawet razem na Wystawę Wschodnioniemiecką do Poznania, o której potem długo obydwaj opowiadali.

Klara i jej siostra Marianna mogły tylko słuchać poleceń i je wykonywać. Naturalnie świat jest dla mężczyzn, a kobiety mają im służyć.

\* \* \*

Wejście do bramy kamienicy, w której mieszkali Kaczmarkowie, było ciemne i zimne. Pachniało wilgocią, kapustą kiszoną i stęchlizną starych piwnic. Budynek należał do tych uboższych, bez takich luksusów jak elektryczne światło, a w naftowej lampie ktoś zbił klosz. Od frontu wybudowano cztery piętra, a w podwórzu w oficynie trzy.

Po omacku, z wyciągniętymi jak ślepcy rękoma, Klara szła przez ciemny wąski korytarz klatki schodowej. Musiała jeszcze przejść przez podwórze, by dostać się do oficyny. Tam na drugim piętrze mieszkali Kaczmarkowie i tam na nią czekali. Przejście przez tę ciemną klatkę kosztowało ją sporo odwagi i wysiłku. Wreszcie z ulgą dotarła do wyjścia na dziedziniec. Tu było tylko trochę lepiej, bo grudniowy mrok spowijał smutne podwórze ciasno otoczone wysokimi budynkami. Po prawej stronie ciągnął się rząd komórek na węgiel i drewno. Nagle za składzikami, w zakamarku przed oficyną dostrzegła jakiś ruch. Zamarła z przerażenia.

— Matko Przenajświętsza... — wyszeptała i wyteżyła oczy.

Wyraźnie widziała wysoką postać szamoczącą się z czymś i wykonującą dziwne ruchy. Wtedy usłyszała ten dziwny dźwięk — ni to krzyk, ni jęk. Znała go. To nie mógł być nikt inny, tylko mała głuchoniema Goliwāsówna spod trójki. W tym momencie oczom Klary ukazał się goły tyłek, bo napastnik właśnie opuścił spodnie.

On chce ją zgwałcić, przemknęło nauczycielce przez głowę.

Teraz wyraźnie już widziała dziewczynę, która próbowała się wydostać z opresji, i postawnego mężczyznę mocującego się z ofiarą. Goły tyłek świecił w ciemności jak latarnia. I nagle zanim rozum pomyślał, ręce Klary zadarły długą wełnianą spódnicę, a jej noga z całych sił kopnęła w jaśniejący punkt. Napastnik zachwiał się i bezwładnie uderzył głową o mur, do którego chwilę przedtem dociskał pokrzywdzoną. Uderzenie musiało być silne, bo z głowy spadła mu pikielhauba, a ciało napastnika osunęło się po murze. W tej samej chwili i obrończyni, i ofiara uciekły każda w swoją stronę. Dziewczyna w czarną czeluść ofcyny, Klara z powrotem w ciemny otwór wejścia do kamienicy, by stamtąd wydostać się na ulicę. Jak najdalej od mrocznego podwórza, jak najdalej od tego, co tam się stało.

— Jezu Przenajświętszy, co ja zrobiłam? — szeptała do siebie, łapiąc oddech i próbując w ciemności klatki schodowej odzyskać równowagę i uspokoić walące serce.

Głowę oparła o zimną ścianę. Czowała, jak krew pulsuje jej w skroniach, za to nogi są jak z waty. Stała, łapiąc oddech. Nagle usłyszała dźwięk otwieranych na piętrze drzwi. Ktoś wychodził z mieszkania, więc bezszelestnie wyszła na ulicę, by uniknąć spotkania z mieszkańcem. Ruszyła w stronę mostu. Było ciemno. Nieliczni przechodnie mogli jedynie zobaczyć sylwetkę młodej kobiety zmierzającej równym krokiem do miasta. Nie wyróżniała się niczym od innych. Za to w głowie jej się kotłowało, nogi zrobiły się ciężkie jak z ołowiu. Siłą woli starała się jednak iść prosto, by nie zwracać na siebie uwagi.

Byle do krzyża! Byle do krzyża! — powtarzała w duchu. — Tam stanę. Muszę dojść.

Nikt jej nie gonił. Ulica robiła wrażenie wymarłej. Od rzeki ciągnęło chłodem. Jak to w grudniu pod wieczór na Chwaliszewie.

— Panie, wybac mi to, co zrobiłam, i ratuj mnie z kłopotów! — modliła się żarliwie pod krzyżem przy moście na Warcie. Powtarzała tylko te słowa, bo myśli trudno było zebrać, a strach i emocje utrudniały wszystko. A jeśli go zabiłam?! Matko! Pruskiego żandarma! Obawy wracały uporczywie i wywoływały skurcz żołądka oraz zimne poty. Tyle starań o lepsze życie ma iść na marne? Jeśli mnie złapią, to z więzienia nie wyjdę. Za takiego łajdaka mam życie stracić? To już lepiej z mostu skoczyć. — Ratuj mnie, Panie! — szeptała słowa modlitwy w mufkę chroniącą ukryte zziębnięte ręce. Stała skulona w sobie, zdrętwiała z zimna i przerażenia.

Z odrętwienia wyrwały ją głosy mężczyzn nadchodzących ciemnym Chwaliszewem, zmierzających w stronę Starego Rynku.

— A pani niech się modlić tutaj przestanie, tylko z nami idzie witać gościa znakomitego! — Usłyszała.

— Nie ma co zanosić modłów, tylko sprawy trzeba brać w swoje ręce. Modlić się będziemy potem! — dorzucił inny.

— Paniusiu, pod Bazarem wszyscy stoją! — krzyknął trzeci na odchodnym i weszli na most.

Matko! Co ja mam robić? Przecież stać tu wiecznie nie będę! Oni mają rację. Pójdę, by nie wzbudzać podejrzeń. Jeśli się chować, to w tłumie, w samym centrum. Najciemniej pod latarnią. A przecież dzisiaj od rana wszyscy rozmawiali tylko o Paderewskim. O zakazie przyjazdu do Poznania wydanym przez władze pruskie. O oczywistym dla Polaków obowiązku witania gościa, o nadziei na odzyskanie niepodległości, o przeczuciu, że trzeba działać i że teraz albo nigdy. Mimo zakazów miasto ustrojono flagami polskimi, francuskimi i angielskimi. Wszędzie czuło się wielkie podniecenie i radość. Jak nigdy.

Przynajmniej Klara nie pamiętała takiego dnia. Przeżegnała się i ruszyła za mężczyznami. Szła na plac Wilhelma, bo Paderewski miał się zatrzymać w Bazarze. Mimo późnej pory i zimna na ulicach koło rynku było wielu ludzi. Wszyscy zmierzali w tym samym kierunku. Sprawiali wrażenie radosnych. Gdyby tak mogła wyrzucić ze swojej głowy ten straszny obrazek, gdyby mogła cofnąć czas i jak oni radośnie iść na spotkanie z mistrzem. Ona zaś miała przed oczami goły tyłek, spadający pruski hełm, a w uszach rozbrzmiewał jej bezgłośny jęk głuchoniemej Jadźki. W każdej komórce swego ciała zamknęła wielki strach. Szła, bo miała nadzieję, że w tłumie się zaszyje i nikt jej tam nie znajdzie.

\* \* \*

Stanęła pod murem naprzeciw Bazaru tuż przy placu Wilhelma. Otaczało ją mrowie ludzi. Widziała ich podekscytowanie, ale sama nie czuła nic prócz strachu. Przeklęte to życie. Wszystko przez wielką wojnę i kłopoty. Krótco przed nią ojciec kupił gospodarstwo w Sarii koło Wągrowca. Przenieśli się tam spod Kościana, ale nowe miejsce, w którym ojciec pokładał nadzieję, bo chciał być wreszcie panem u siebie i zostawić spuściznę ukochanemu synowi, nie przyniosło spodziewanego spełnienia. Aleksa powołano do pruskiego wojska. Mimo zabiegów rodzica chłopak poszedł na wojnę. Słuch po nim zaginął, a ojciec z dnia na dzień robił się coraz bardziej oschły i niegodziwy dla pozostałych. Plony były gorsze, a zyski mniejsze. Polakom żyło się coraz trudniej, mimo że o wojnie czytali jedynie w gazetach. Właściwie to Klara im czytała, bo ona — mimo łajañ ojca — ciągle to robiła. Już w czasie wojny rodzic wydał dwie córki za mąż. Obu znalazł mężów tak, jak to od pokoleń załatwiano.

Marianę obiecał synowi dobrego znajomego z leżącego nieopodal Łosińca. Gospodarny młody Kazimierz Borowiec podobał się ojcu, gdyż umiał się postawić. Było jasne, że da sobie w życiu radę.

Klara została obiecana koledze ojca, który co prawda był od niej dużo starszy i już o nim gadano, że zbuk do żeniaczki niezdatny, ale za to miał posadę na kolei. To według ojca było bardzo korzystnym rozwiązaniem.

Obie panny zostały poinformowane o wyborach i nawet przez myśl im nie przeszło, by się nie zgodzić. Wola ojca — święta rzecz. Wszelkie rozmowy o wianie i majątku odbywały się bez nich. Nawet matka nie była w te układy wtajemniczona. Ustalono wspólny ślub i jedno wesele, był przyoszczędzić kosztów. W kościele ksiądz skupił się na rozważaniu posłuszeństwa mężowi, tak jakby którejś z nich trzeba było o tym przypominać. A potem było wesele, po którym we wsi gadano, że obie córki młodo wydane i obie nieszczęśliwie. Mąż Marianny upił się i pokłócił z teściem o morgi i zapis gospodarki, a ślubny Klary upił się i z nikim nie pokłócił, za to otrzeźwiał trzy dni później już w swoim mieszkaniu w Kobylcu, gdzie jako zasłużony pracownik kolei mieszkać miał teraz z młodziutką żoną. Pijanego Klara wsadziła do furmanki i dowiozła do ich mieszkania razem ze swoim skromnym wianem.

Dwa dni po wyjeździe młodszej córki ojciec zmarł na apopleksję. Znaleźli go na podwórzu. Jeszcze dychał, kiedy nieśli bezwładnego do izby. W ręce trzymał list od wojskowej komendy zawiadamiający, że syn poległ za cesarza na ziemi francuskiej. Ojciec w nocy zmarł. Klara nigdy mu nie powiedziała, ile krzywdy wyrządził swoim córkom. Jeszcze wtedy sama tak nie myślała. Pewnie nawet by nie zrozumiał. Kobiety pochowały ojca i już w tydzień po jego śmierci rządy przejął Kazimierz — mąż Marianny.

Matka otumaniona przez męża, modlitwy i bieg zdarzeń zrobiła zapis na starszą córkę i Borowca. Przekazując im gospodarkę, skazała siebie na poniżenie i wegetację.

Klara w Kobylcu uczyła się, jak być żoną swojego męża, którego tak naprawdę nie знаła. Szybko zorientowała się, że dość łatwo



odnajdzie się w tej roli. Wystarczyło ugotować, wyprać, posprzątać, a po kolacji zadbać, by karafka stała blisko. Miała szczęście, bo Edmund, który — jak się okazało — był prawie rówieśnikiem jej ojca, bardziej lubił alkohol od kobiet. To procenty dawały mu mocny sen, więc nieliczne próby zbliżeń jakoś przeżyła. Za każdym razem tak skutecznie sztywniała, a on tak konsekwentnie opadał z sił, że właściwie trudno byłoby stwierdzić, czy to małżeństwo jest consumatum, czy też nie. Wszystko odbywało się w grobowym milczeniu i było dla Klary wielce nieprzyjemną konsekwencją zamążpójścia, o której nikt nigdy z nią nie rozmawiał. Bo niby kto miałby to zrobić? Na szczęście była karafka, a ugotowany obiad, wyprane koszule i posprząpany dom rekompensowały mężowi brak pożycia intymnego.

Klara była bardzo zadowolona, bo mogła jeździć do pobliskiego Wągrowca po książki i gazety pożyczane w czytelni ludowej. Czytała po niemiecku i po polsku. Teraz była żoną, więc mimo młodego wieku miała więcej swobody. Spotykała inne kobiety, ale nie zaprzyjaźniła się z żadną, jakby przeczuwając, że nie zagrzeje tu miejsca.

Listy od siostry przynosiły niepokojące informacje. Marianna była w ciąży i wkrótce miało nastąpić rozwiązanie. Matka, przeganiana przez nowego gospodarza, powoli traciła kontakt ze światem. Mąż Marianny był podobno bardzo pracowity, ale między wierszami dziewczyna wyczytała, że siostra boi się skorego do bitki i wypitki mężczyzny.

Wspomnienia domu rodzinnego nie przynosiły ukojenia. Klara starała się nie myśleć o tym, co zdarzyło się na Chwaliszewie, i o konsekwencjach, które pewnie będzie musiała ponieść. W grudniowy wieczór pod Bazarem stała w wiwatującym tłumie i było to jedyne miejsce na świecie, które mimo zimna wydawało się przyjazne i bezpieczne.

Późnym wieczorem dotarła do swojego pokoju przy Ogrodowej. Poznaniacy przeżywali euforię po powitanium Paderewskiego. Tylko

ona była zziębnięta, zdenerwowana i nawet na chwilę nie umiała oderwać się od tego, co ją spotkało. Natrętnie wracał obraz ciała zsuwającego się bezwładnie po murze, dźwięk metalowej pikielhau-by uderzającej o kamienie i niemy jęk Jadźki. Nie miała wyrzutów sumienia, bo gwałt, a nawet tylko próba, zasługiwały na karę. Pruski mundur niczego nie zmieniał w ocenie czynu. Tylko konsekwencje mogły być surowsze, bo Polki nikt nie będzie słuchał. Poza tym kto jej uwierzy? Trudno! Musi iść w zaparte. Nikomu się nie przyzna. Wyjedzie z miasta. Jutro rano wyruszy do Wągrowca i wróci do Sarbii. Na Chwaliszewo już nigdy nie pójdzie. Kto ją znajdzie?

Nawet płakać nie mogła. Była zbyt przerażona. Położyła się do łóżka, ale o spaniu też nie było mowy. Wiedziała, że powrót do rodzinnego domu to także zło. Mniejsze, ale zawsze. Przecież niedawno stamtąd uciekła.

Do końca życia będzie pamiętać ten dzień, gdy cicho zamknęła furtkę na podwórze, przeżegnała się i ruszyła przed siebie. To przecież było nawet nie pół roku temu. Wtedy poranek był chłodny, ale dzień zapowiadał się pięknie. Sierpniowe słońce powoli wstawało nad polami za domem, a zapowiadające nadchodzącą jesień poranne mgły trwały nieruchomo. Ruszyła przed siebie pewnym krokiem, by jak najszybciej oddalić się od domu, który za sobą zostawiała. Nawet się nie obejrzała, tylko wpatrzona w zieleń lasu za główną drogą prowadzącą do miasta, szła przed siebie, niosąc niewielki sakwojaż<sup>1</sup>. Po głowie uporczywie tłukła się myśl, czy sobie poradzi. Jak to będzie? Żeby opanować lęk i przegnać wåtpliwości, zaczęła odmawiać *Zdrowaś, Maryjo*. Na głos, by uwierzyć, że ktoś ma ją w opiece i komuś na niej zależy. Dawno przestała w to wierzyć, ale modlitwa stała się jej ostatnią deską ratunku i choć Klara nie była zbyt religijna, powtarzane pacierze przynosiły ukojenie.

---

<sup>1</sup> Torba podróżna, walizka (daw.).

Gdy doszła do głównej drogi, zobaczyła nadjeżdżającą od wsi furmankę. Na przedzie siedział Banaś. Poznała go po płomiennie rudych włosach wystających spod kaszkietu. Miała szczęście, bo o tej porze trafić podwózkę nie było łatwo. Chłopi z towarem na targ pojechali przed świtem. Ten trafił jej się jak dar niebios, więc z wielką determinacją biegła ostatnie kilkaset metrów i krzyczała, by ją zauważył.

— Szczęść Boże, pani Klaro! — powiedział Banaś, kiedy dobiegła do zatrzymanego pojazdu.

— Szczęść Boże! Szczęść Boże! — wydyszała pospiesznie, wrzucając torbę na wóz i gramoląc się na kozła. — Podwieźcież mnie do stacji.

— Ano podwiozę wedle woli. Mnie po drodze, a uczynek dobry od rana zrobić to tak, jakby się do Boga uśmiechnąć. Wio! — rzekł rudy filozof, strzepnął batem i popuścił lejce.

Konie ruszyły, a Klara oddychała głęboko, zmęczona biegiem, drogą i przeżyciami. Nie oglądała się za siebie, bo wszystko, co za nią zostawało, chciała zapomnieć. Woźnica nie był gadatliwy i o nic nie pytał, choć z początku przyglądał jej się i pewnie czekał, aż sama opowie, dokąd się wybiera. Jednak był lękliwy w stosunku do kobiet. Nie wypadało tak samotnej baby wypytywać. Skupił się na drodze i swoich myślach, jak tu dobrze uprząż nową kupić na targu. Klara oddała się smętnym myślom, czy sobie poradzi w życiu, które właśnie wzięła w swoje ręce. Opowiadać o tej decyzji Banasiowi? Za nic w świecie! Była zbyt nieufna, by otworzyć się przed obcym. Nawet gdyby był jedynym człowiekiem na świecie. Przede wszystkim on był mężczyzną, a ona kobietą. Zbyt dobrze wiedziała, że wszystko, co powie, będzie traktowane w najlepszym razie z lekką pogardą lub ze zniechęceniem.

A przecież Klara chciała tylko uciec od poniżania i okropnych zaczepiek.

Często myślała, że z dwojga złego trafiła znacznie lepiej niż jej siostra. Ale spokój trwał krótko. Pewnego majowego wieczoru w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku mąż Klary nie wrócił do domu

na kolację. Tego dnia pojechał rowerem do Wągrowca po służbowe dokumenty. Przeczekała noc, a rano zaalarmowała jego zwierzchników i rozpoczęto poszukiwania. Znaleźli go pod wieczór w lesie. Miał złamaną nogę. Kości przebiły skórę i się wykrwawił, zanim nadeszła pomoc. Klara została młodą wdową bez środków do życia i bez pomysłu, co robić dalej.

Na początku czerwca wróciła do Sarbii do rodzinnego domu, gdzie już po kilku dniach zrozumiała, że dokonany przez ojca wybór męża dla Marianny był nieszczęściem. Siostra urodziła synka na wiosnę, ale źle znosiła połóg, czym naraziła się ślubnemu. Nie krył się ze swoimi potrzebami i dobierał do wszystkich dziewczek folwarcznych. We wsi mówili na niego Kogut. Kiedy pojawiła się Klara, uznał, że wszystkie kobiety w tym domu są jego własnością. Dochodziło do awantur, a Marianna coraz częściej spoglądała na siostrę jak na wroga rujnującego jej rodzinne szczęście. Kazimierz, skoro Klara go przeganiała, postanowił wydać ją ponownie za mąż, by — jak to powiedział — się nie marnowała. Kobieta się buntowała, bo czuła, że powinna się bronić.

Całe lato osiemnastego roku było właśnie takie — pełne napięcia. Klara schodziła szwagrowi z drogi, ale to nie pomagało. W lipcu do ich domu zajechali goście: daleki kuzyn z żoną Konstancją, którzy zatrzymali się u nich w drodze do Bydgoszczy. Konstancja opowiadała o nowym salonie z kapeluszami, który właśnie otworzyli w Poznaniu. Kiedy wszyscy poszli na cmentarz, by odwiedzić grób ojca, Klara przełamała zakłopotanie i na boku poprosiła miastową krewną o pomoc w znalezieniu pracy. Wyjazd do Poznania był dla niej ratunkiem. Wiedziała o tym od zawsze, tylko nie miała pojęcia, jak to zrobić, a teraz pojawiła się szansa. Konstancja obiecała, że po powrocie z Bydgoszczy rozejrzy się i napisze.

Na ten list Klara czekała jak na zbawienie. Przyszedł w sierpniu. Następnego dnia kobieta uciekła z Sarbii na koźle Banasia, by

w Wągrowcu wsiąść do pociągu jadącego do Poznania. Wtedy po raz pierwszy w życiu zrobiła coś, nie pytając nikogo o zgodę.

Pamiętała, jak podniosła głowę i zobaczyła wielki napis „Wongrowitz” na budynku stacji. To był początek nowego życia. Schodząc z wozu, powiedziała wystraszona:

— Bóg zapłać za podwiezienie. Niech się Banaś za mnie modli.

Mężczyzna nic nie odparł, tylko patrzył za nią, gdy minęła pruskiego żandarma i weszła do budynku stacji. A potem, już w Poznaniu, usłyszała:

— Pani Klara! Jak miło panią widzieć!

Te słowa powtarzała sobie każdego wieczoru, kiedy strudzona po całym dniu pracy kładła się do łóżka w pokoiku przy Ogrodowej. Tak przywitała Klarę Konstancja w nowym salonie z kapelusami i galanterią dla pań oraz panów, do którego wdowa udała się prosto z pociągu. Salon przy gwarnej ulicy Wilhelma był bardzo okazały i elegancki. Taki światowy, zupełnie inny niż pracownia kapelusznicza w Wągrowcu, gdzie raz jeden miała przez ojca obstalowane skromne nakrycie głowy. Była oszołomiona ucieczką, podróżą i wielkim miastem, ale najbardziej swoją odwagą i determinacją.

— Bardzo pani zmęczona? Jak to się dobrze składa, że tak szybko pani przyjechała. Rozpytywałam o posadę, a tu proszę, jaki zbieg okoliczności. Z nieba mi pani spadła, bo zarządca salonu, pan Bauer, właśnie postanowił podjąć studia w Berlinie i zrezygnował z pracy. To nie honor dla Niemca zarabiać u Polaków. Pani zna niemiecki?

To na początek było więcej, niż Klara mogła sobie wymarzyć. Stała otumaniona i nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Kiwała tylko głową, słuchając chlebobawczyni. A potem zawsze wieczorem kładła się do łóżka i zamiast modlitwy powtarzała: „Jak miło panią widzieć!”. Te słowa były dla niej obietnicą, że jej życie nie jest

jeszcze całkiem stracone i być może wcale nie musi być układane przez mężczyzn.

\* \* \*

Praca zarządczyni tylko w pierwszych dniach onieśmiała Klarę. Kobieta szybko zorientowała się w nowych obowiązkach. Przycho-  
dziła dwie godziny przed otwarciem salonu, by dopilnować wszyst-  
kich zleceń i zamówień, a potem aż do zamknięcia mieć czas na  
kontakt z klientami — wysyłać gońców z zamówieniami, umawiać  
spotkania z modystkami, pomagać dobierać fasony, czasem poczę-  
stować kawą, słowem — pełnić honory domu.

— Nasz majordomus w spódnicy — przedstawiała ją Konstancja  
nowym klientom i klientkom, wśród których były Niemki, Polki,  
a nawet Żydówki.

Klara była bardzo zadowolona z pracy, w której spędzała całe  
dnie. Po zamknięciu wracała do siebie, a w niedziele szukała rozry-  
wek tam, gdzie inni mieszkańcy Poznania: na Szelągu, nad Wartą lub  
spacerując alejami miasta. Klientki były źródłem informacji. Czytała  
gazety i książki z czytelnicy. Coraz wyraźniej docierały do niej odgłosy  
wojny i konflikty europejskie. Przyzwyczajona była do panowania  
i buty Niemców, ale dzięki niektórym paniom odkryła, że Polacy  
mają swoje zdanie i bardzo dbają o to, by móc je wyrazić.

Pod koniec września do salonu weszła nieznana Klarze elegant-  
ka. Konstancja, z którą zarządczyni omawiała zamówienie filcu  
i dodatków, odwróciła się do przybyłej i z uśmiechem podeszła się  
przywitać. Potem obie oddaliły się do gabinetu właścicielki. Kiedy  
po skończonym spotkaniu pani wychodziła z salonu, naciągając rę-  
kawiczki, przed progiem odwróciła się w stronę Klary, przyjrzała się  
jej uważnie i powiedziała:

— Pani Konstancja mówi, że jest pani inteligentna, rzetelna  
i można na panią liczyć.

— To miłe z jej strony. Staram się — odpowiedziała zarządczyni i odruchowo powstrzymała przed dziewczęcym dygnięciem nieprzy-  
stającym już młodej co prawda, ale wdowie.

— A nie myślała pani, by się trochę zaangażować? W sprawy na-  
szej niepodległości oczywiście. Prościej mówiąc, w nauczanie języka  
polskiego i krzewienie rodzimej kultury.

— Chętnie, ale ja tu cały dzień w salonie jestem — odparła Klara,  
zaskoczona propozycją.

— Moja droga... Są niedziele i święta. A odzyskanie niepodległo-  
ści jest już tylko kwestią czasu. I co? Po niemiecku będziemy w tej  
Polsce rozmawiać? Każdy przyzwoity Polak jest zaangażowany. Pani  
podobno też przyzwoita, tylko przyjezdna. Nie ma wymówek. Ob-  
cej bym nic nie powiedziała, ale Konstancja poświadczyła za panią.  
Omańkowska jestem. — Elegantka znowu zdjęła rękawiczkę i poda-  
ła oszołomionej Klarze dłoń, przyklepując tym samym fakt przyna-  
leżności wdowy do grona przyzwoitych.

Potem sprawy potoczyły się bardzo szybko i Klara, jak wiele in-  
nych kobiet, zaczęła odwiedzać wskazane domy, by uczyć polskiego  
i historii. W niedzielę oraz w święta. W drugi dzień Bożego Narodze-  
nia wypadło spotkanie na Chwaliszewie.

A teraz leżała w swoim łóżku, odganając stale powracający  
obraz ciała osuwającego się po murze. Nad ranem zmęczona usnęła,  
a smutne myśli zastąpiły koszmary senne, w których na zmianę gonili  
ją pruscy żandarmi bez portek, upiorny Kazimierz w pikielhaubie,  
a ojciec łajał za fanaberie.

\* \* \*

Kiedy obudziła się bardziej umęczona niż wypoczęta, dzień już  
trwał w najlepsze. Przespała poranek, a przecież musi uciekać! Taka  
była jej pierwsza myśl. Trudno! Nikogo nie poinformuje w salonie.  
Już nie zdąży. Zebrała najpotrzebniejsze drobiazgi, ubrała się ciepło

i wyszła, kierując się prosto na dworzec. Nerwowo rozglądała się dookoła, czy aby nikt za nią nie idzie. Ale na ulicy nie działo się nic szczególnego. Nic nie wzbudziło jej podejrzeń. Dopiero na dworcu zobaczyła niepokojące zjawisko, bo żandarmów i żołnierzy było znacznie więcej niż zwykle. Przeraziła się, gdy w kasie się dowiedziała, że odwołano pociągi do Wongrowitz.

— Jak to odwołano? — Na to nie była przygotowana. Zupełnie.

— Odwołano i już! — Usłyszała od kolejowego urzędnika, zanim zatrzasnął okienko kasy, by zimno nie leciało do środka.

Matko! Na pewno to mnie szukają! — pomyślała i zrezygnowana usiadła na ławce. — Nie mogę dopytywać, by nie wzbudzić podejrzeń. Ale co ja teraz zrobię? I skąd oni wiedzą, że chciałam do Wągrowca?

Nagle do budynku dworca wpadł gazeciarz z okrzykiem: „Paderewski w Poznaniu!”. Odruchowo kupiła gazetę i nerwowo ją przeglądając, szukała wzmianki o zdarzeniu na Chwaliszewie. Nic na ten temat nie było.

Obok niej przysiadła zamożna jejmość ze sporą nadwagą i wy piekami na twarzy.

— Pani słyszała, co to się robi? Pociągi odwołane. Tak się pruskie gady Paderewskiego wystraszyły! A ilu żołnierzy naściągali! Patrz, pani! Prusak nie popuści. O nie! Jeszcze nam pokażą, gdzie raki zimują.

— Pewnie pokażą — powiedziała Klara grzecznie i skierowała swe kroki do salonu Konstancji, bo innego pomysłu, co ze sobą zrobić w tej sytuacji, nie miała.

Trudno! Całe życie nie będę uciekać, postanowiła.

\* \* \*

W salonie nikt się nie zdziwił jej spóźnieniu, bo we wszystkich poznańskich miejscach pracy i domach nie mówiło się o niczym innym, tylko o Paderewskim, o poprzednim wieczorze, pruskich za-



kazach, mobilizowaniu wojska i napięciu społecznym. Kiedy weszła do środka, na ulicy właśnie zaczęły się manifestacje niemieckiej siły. W biurach sąsiedniego budynku wybito szyby, a potem wydarzenia na ulicy Wilhelma toczyły się z zatrważającą szybkością. Salon został zamknięty. Na zewnątrz więcej było wojska i poznaniaków, którzy stawiali opór, niż zwyczajnie przechadzających się ludzi. Dały się słyszeć strzały, tętent kopyt i wrzaski. Zrobiło się po prostu strasznie.

A potem każdego dnia Klara kupowała gazetę, by szukać w niej znaku, czy jest poszukiwana albo dowiedzieć się czegoś o żandarmie. Nic nie było, bo powstanie wielkopolskie okazało się ważniejsze. Kiedy szóstego stycznia przeczytała, że poznaniacy zdobyli Ławicę, wstąpiła w nią nadzieja. Uwierzyła w dobry los, gdy dwudziestego szóstego stycznia na placu Wilhelma, stojąc pod pomnikiem nachodzkiem, symbolem pruskiej władzy, obserwowała ślubowanie polskiego wojska. Wtedy poczuła się wolna.

Dopiero wtedy odważyła się pójść na Chwaliszewo.

Drzwi otworzyła jej Kaczmarkowa — miła i zycziwa niewiasta.

— Toż to szmat czasu, jak pani u nas nie było! A te nasze zyndry<sup>2</sup> to o panią pytają codziennie! Pani siada! Ja ciepłą zupą poczęstuję.

— Tylko miesiąc, pani Kaczmarkowa, równo miesiąc. Miałam być u państwa w ten dzień, jak Paderewski przyjechał, ale...

— Wiem, pani Klaro! — Gospodyni przerwała jej. — Wtedy to wszyscy polecieli pod Bazar. Kto by tam o lekcjach pamiętał! Ale my tu wtedy mieli, pani kochana, historię! Jak Paderewski przyjechał na dworzec, to u nas ktoś załatwił tego żandarma, co na Wielkiej mieszka i nasz rejon obchodzi. Pani go na pewno widziała, bo on tutaj pan i władca. Wstrętny jest i łapy ma lepkie. Pani wie, co to znaczy? Wszystko mu się lepi! I niech sobie pani Klara wyobrazi, że go

---

<sup>2</sup> W gwarze poznańskiej: łobuz, nierób, obibok; tu: żartobliwe określenie rozbrykanych dzieci.

znaleźli na naszym podwórku z gębą pokrwawioną, z opuszczonymi portkami i tyłkiem gołym. Ktoś musiał go rzucić o mur. Ludzie różnie gadają. A on podobno półżywy był, bo leżał tak na mrozie ogłuszony nie wiadomo jak długo. Teraz to go już widziała ta Goliwāsowa, co to nad nami mieszka, a jej Jadźka tu też przychodziła na lekcje. No, ta głuchoniema taka. Stara mówi, że cały na gębie w strupach był, jak go widziała, ale taki jakiś jakby mniejszy się zrobił. Może to przez to nasze powstanie, no bo w końcu tę prusacką zarazę wygoniliśmy. To i on mniej pewny siebie. No nie? Tylko czemu w grudniu z gołym tyłkiem na mrozie leżał? — Kaczmarkowej wyraźnie brakowało odpowiedzi na to pytanie. — A pani Klara to dobrze sobie wygląda! — rzekła nagle, spoglądając na nauczycielkę.

— Bo dobrze mi w tym Poznaniu, pani Kaczmarkowa.





Anna Czachorek

**Szczęśliwego polskiego roku**

➤ Mężczyzna w mundurze polskim oraz dwie kobiety w Atelier. Rekwizyt: stolik, wazon z kwiatami. książka, krzesło. Nieznany czas powstania zdjęcia.

**D**om rodziny Czachorków był nieduży, lecz przytulny. W kominku trzaskał ogień i fruwały małe iskiereczki. Pachniało bożonarodzeniową choinką. Na dworze panował mrok. Ojciec poszedł już spać, a matka krzątała się jeszcze po ciasnej kuchni, układając, przekładając i powtarzając, że to tak nie można, żeby nowy rok witać w nieporządku. Tomasz siedział w niewygodnym fotelu i chociaż udawał, że czyta, oczy same mu się zamykały. Zegar na ścianie tykał rytmicznie — poganiał nieustannym szmerem metalowych wskazówek kolejne sekundy, aby odeszły wraz z 1918 rokiem w zapomnienie, w tę tajemniczą przestrzeń nazywaną przeszłością. Wiatr tańczył za oknem z płatkami śniegu, które wirowały, wznosiły się i opadały. Było ich wciąż więcej i więcej.

Coś się kończyło, chociaż wszystko było takie jak zwykle. Coś innego się zaczynało, jakaś nowa epoka. I Janek czuł, że będzie to epoka lepsza. Zamyślony spoznał przez szyby ozdobione niepowtarzalnym arcydziełem mrozu. W domu było tak ciepło i dobrze, jak nigdzie na świecie. Kochane Wolenice! Minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd powrócił z niemieckiego frontu po przejściu połowy Europy. Najpierw Karpaty, potem Alpy, Lombardia, Verdun. Tam właśnie, w Verdun, gdzie przed dwoma laty rozegrała się tragiczna bitwa, tam

także i jego dogonił nieuchronny los żołnierza. Odłamek pocisku armatniego trafił w lewą nogę, rozszarpując ciało. To cud, że obyło się bez amputacji.

Rana przerwała żołnierską tułaczkę. Dobre i to. Pół roku czekał na odesłanie do domu najpierw w szpitalu w Malborku, później pracując jako grabarz. No, ale początek grudnia przyniósł lepsze dni. Janek dotarł pociągiem do Jarocina i stamtąd pieszo — całe trzydzieści kilometrów! — kulejąc, szedł do rodzinnych Wolenic, żeby teraz móc patrzeć przez okno ukochanego domu, być z rodzicami i z Tomaszem.

Brat był trochę starszy, miał dwadzieścia pięć lat i metr siedemdziesiąt wzrostu. Tak samo krępy, z tym samym pewnym krokiem wydawał się bardzo podobny do Janka. Jednak wyróżniał go zdecydowanie niespokojny charakter. Duch rewolucjonisty. To właśnie Tomasz namówił Janka, żeby ten nie wracał do batalionu jęgrów. Zamiast tego bracia nasłuchiwali wieści dotyczących powstania.

Nie mieli żadnej kryjówki i nie organizowali potajemnych schadek w środku nocy. W Poznaniu już rozpoczęły się zamieszki, nawet w pobliskim Krotoszynie powołano powiatową radę ludową. Działali tam Stefan Budzyński i Marceli Langiewicz, ten, którego kuzyn dowodził w styczniu 1863 roku. Wszędzie przygotowania do powstania trwały tak długo! A Wolenice? Naprawdę muszą czekać na rozkaz z miasta? Kiedy zaczną walczyć?!

Kilka dni temu, we Wigilię, kiedy według zwyczaju Janek wracał ze stajni, gdzie dawał koniom trochę świątecznego opłatka, usłyszał znajomy głos:

— Wesołych świąt, bracie! — rzucił stary przyjaciel Walenty Robaczyk.

Nic dziwnego, że spotkali się właśnie przy stajni — obaj byli miłośnikami jazdy wierzchem. Chyba dlatego się w ogóle zaprzyjaźnili.

— Najpierw z konikami, potem ze mną? — Walenty wyciągnął rękę z białym opłatkiem.

— Wszystkiego dobrego! — Janek ułamał kawałek i ściszył głos: — I żebyśmy się następnym razem już w wolnej Polsce spotkali.

Były to najszczęśliwsze życzenia, jakie w te święta zostały wypowiedziane.

Przy okazji ustalili jeszcze kilka szczegółów. Broń trzeba zdobyć z folwarku Niemca Materne. Zbiórka przy urzędzie pocztowym. Wezwaniem będzie dźwięk trąbki sygnałówki.

\* \* \*

Wtedy, trzydziestego pierwszego grudnia 1918 roku, kiedy śnieg prószył za oknem, a w kominku trzaskały iskry, wszystkie te myśli wróciły do Janka. Życzenia bożonarodzeniowe trzeba powtórzyć w Nowy Rok. I mocno wierzyć, że się spełnią.

Nagle chłopak usłyszał niewyraźną melodię... Czy to możliwe? Czy już? To pewnie tylko niespokojna wyobraźnia płata mu figle! Dla pewności otworzył okno. Nie, to nie imaginacja! Głos trąbki wdarł się z ogromną siłą do pokoju, przywołując z kuchni matkę i ojca z sypialni. Tomasz także się zbudził.

— Co to? — Matka nic nie rozumiała, ale na twarzy brata można było wyczytać pewność.

— Idziemy. — Jego głos brzmiał stanowczo.

— Dokąd?

— Nic się nie bój, matulu. — Starszy syn uściśnął rękę kobiety, starając się dodać jej otuchy. — Niedługo będziemy z powrotem!

Trąbka wołała, wzywała chłopców. I jeszcze wiatr popchnął otwarte okno. I jeszcze oczy matki niebezpiecznie zaświeciły. I jeszcze szarpnęło drzwi...

— Janek, Tomasz, słyszycie?! — W progu stanął Walenty. — Zaczyna się!



Chyba nikt nie widział jeszcze tak podekscytowanego Robaczka. Ostatnio taki rumieniec gościł na jego twarzy, kiedy się żrebiła Karusia, ukochana klacz chłopaka.

— Zaczyna się powstanie... — Ojciec pokiwał głową, ale synowie już tego nie widzieli.

Narzucili szybko płaszcze i wypadli na zewnątrz, a do ich uszu dobiegło jedynie ciche:

— Niech was Bóg prowadzi!

\* \* \*

Potrzebowali broni. Plan był znany wszystkim i prosty. Materna, były właściciel niemieckiego folwarku, urządził w gospodarstwie mały arsenał. Zgromadził kilka karabinów ręcznych i amunicję. Niedużo, ale wystarczy. W sam raz dla chłopców z Wolenic.

Zakradli się.

W domostwie Niemców poruszenie. Głos trąbki zbudził także ich.

Wygłądali na przerażonych. To było powstańcom na rękę.

Chłopcy biegli, szarpali drzwi i wtargnęli do środka. Walenty obezwładnił gospodarza, bracia zabrali broń. Znali kryjówkę!

Już uzbrojeni mogli ruszyć. Kierunek: urząd pocztowy. Tam ktoś nieustannie dął w złotą trąbkę, stamtąd płynęła melodia wzywająca powstańców.

Urząd był jednym z głównych budynków w Wolenicach. Został zbudowany z solidnej czerwonej cegły. Chodzili tu bardzo często, nie tylko po to, żeby nakleić kolorowy znaczek na czystą kopertę i wysłać w świat kolejny list do koleżanki z miasta. W tym budynku mieściła się też szkoła, tu spotykali się kiedyś codziennie, żeby ćwiczyć staranne pismo albo dodawać ułamki. Janek skończył tu trzy klasy, a wcześniej uczył się przez rok w innej wsi. Dziś na dachu powiewała niemiecka chorągiew. W mroku nie było dobrze widać

kolorów, lecz chłopak znał je dobrze i nienawidził tych trzech poziomych pasów: czerwonego jak krew prosięcia na rzezi, białego niczym niezdrowa cera chorych na gruźlicę i czarnego jak noc, jak węgiel, jak pocisk armatni.

Tomasz szturchnął delikatnie brata:

— To zadanie należy do ciebie.

Oślaniany przez towarzyszy Janek zakradł się do budynku. Wspiął się na dach. Pomimo szmerów, tłumionych krzyków powstańców i nietłumionych Niemców miał wrażenie, że słyszy wyraźnie kołatanie swojego dwudziestodwuletniego serca. Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Przecież brał już udział w niejednej podobnej akcji, działania wojenne były mu znane tak dobrze... Lecz tej nocy wszystko wyglądało inaczej. Tak szczególnie, wyjątkowo. Janek drżał z podniecenia. Chęć walki wypełniała go całego: od miękkich z emocji nóg, poprzez oszalałe serce, aż po głowę przepelnioną myślami o wolności, o Polsce, Wielkopolsce i Wolenicach.

Jak na żołnierza przystało, musiał opanować władające nim zdenerwowanie. Czy jest bezpieczny? Czy żaden Niemiec nie patrzy w jego kierunku? Spojrzał, żeby mieć pewność. Chociaż niewiele mógł dostrzec z dachu budynku, pomyślał, że nikt nie obserwuje teraz nieba.

Wyciągnął rękę i szarpnął za kawałek materiału. Po chwili na miejscu niemieckiej chorągwi tańczyła na wietrze biało-czerwona. Biel — kolor niewinności. I czerwień symbolizująca miłość.

Gdy wrócił bezpiecznie do Tomasza i Walentego, spostrzegł, że grupa powstańców powiększa się z każdą chwilą. Wciąż przyłączali się ochotnicy, którzy usłyszeli głos trąbki w środku nocy. Zebrały się ze dwa tuziny młodych chłopaków, niektórzy nie mieli nawet dwudziestu lat. A śnieg tańczył wokół nich, zima wystroiła się w białe gwiazdki i urządziła sobie najwspanialszą zabawę sylwestrową, jaka kiedykolwiek w Wolenicach miała miejsce.

Ulice i dróżki stały się wymarzoną salą balową, melodia trąbki łączyła się harmonijnie z cichym szumem wiatru. Powstawał jedyny w swoim rodzaju akompaniament, usilnie zapraszający do walca. Kreacje gwiazdeczek, śnieżnych dam, lśniły w blasku latarni i wdzięczyły się przy chłopcach, jakby chciały zapytać: „Żołnierzyku, zatańczymy?”.

Chłopcy jednak nie zamierzali tańczyć. Tańcem żegna się zwykle tylko stary rok. Ta noc na zawsze rozstaje się z czymś jeszcze: z ponad wiekiem niewoli niemieckiej. Janek był tego pewien, gdy mały płatek śniegu dotknął delikatnie jego dłoni.

— Urząd nasz! Wolenice są polskie! — Radość powstańców nie miała granic.

— Hura!

— Niech żyje Polska!

Ale to jeszcze nie był koniec walk. To był dopiero początek.

Chłopcy nie wiedzieli, do którego oddziału dołączą, dokąd poprowadzi ich powstanie ani jak długo będą trwały walki, ile jeszcze przed nimi pocisków, sygnałów, zbiórek i bitew. Na razie żyli tym, że polska flaga powiewa na urzędzie i że mieszkańcy swe domy przystrajają w narodowe barwy. Kobiety szyły piękne flagi z tego, co miały: z prześcieradeł, czerwonych poszewek na poduszki. Było ciemno i głośno, rozbrzmiewały polskie pieśni, okrzyki radości i szczęścia.

Rok 1919 rozpoczynał się wedle życzeń. Szczęśliwie.

\* \* \*

*Prawnuczka odłożyła długopis i przeszledziła wzrokiem małe czarne literki wypełniające kilka stron zeszytu w kratkę.*

*Tak, pomyślała. Bez tych nieznanych bohaterów, takich jak dziadek Jan, wujek Tomasz i pan Walenty, bez takich ludzi to zwycięskie powstanie nie miałoby szans powodzenia.*



Tomasz Genow  
**Poznański zryw**

➤ Grupa mężczyzn z powstańcami wielkopolskimi (na piersi rozeta powstańcza) w plenerze/ogrodzie. W tle widoczny chłopiec.

*27 grudnia 1918 roku, okolice Rycerskiej i placu Wilhelma*

**B** yło słycać krzyki. Panował chaos. Wrażenie jakiegoś kresu potęgowała ostra czerwień zachodzącego słońca. Ulicą szli w nieładzie żołnierze w niemieckich mundurach. Wbiegali do klatek schodowych i wypadali z nich ze zmiętymi flagami. Darli je.

— Że też nikt ich nie może powstrzymać... — powiedział Ludwik, obserwując wszystko z pewnej odległości wraz z dwoma druhami. Chłopak ze spiczastym kapeluszem i takimż samym nosem miał inteligentny wyraz twarzy. Wrażenie nie rozwiewało się, gdy otwierał usta.

— Ależ może. Sądzisz, że nasi broni nie mają? — skontrował postawny, nieco flegmatyczny młodzian o grubym głosie.

— Jasne, Stachu! Ale nikt nie ma ochoty umierać za angielską flagę.

— Polskie też wyrzucają. I to tych jest najwięcej — rzucił trzeci kompan. Jacek niby myślał chłodno, ale gdy zaczynało się coś dziać, górę brały emocje. Był na wskroś chłopięcy, choć z twarzy szelma.

— Oj dobrze, ale to nadal tylko materiał. Chodzi mi o to, że nikt tu nie chce rozlewu krwi, a ci, co zrywają te chorągwie, operują tylko na symbolice, którą spokojnie możemy zignorować...

Wtem przerażająca seria z karabinu maszynowego przygniotła ich do ziemi.

— No, skurwysyny! Naparzają w Bazar! — krzyknął Jacek. Szyby zwały się na trotuar jak odpadające sople.  
— Jak zabiją Paderewskiego, to nas cholera weźmie!  
— Idźmy stąd, po prostu idźmy... — wymamrotał Ludwik.  
— Teraz się robi najciekawiej, a ty chcesz dać drapaka? — Stach uśmiechnął się gorzko.

— My nie mamy broni. Nic tu po nas. Liczę, że nasi dadzą im popalić — rzucił Ludwik.

Wszyscy trzej wycofali się na inne ulice. Jacek długo oglądał się za siebie. Chciał być jak najlepiej zorientowany w sytuacji.

*28 grudnia 1918 roku, poranek,  
mieszkanie Wicorków w łazarskiej kamienicy*

— Co piszą w gazecie, ojciec? — zwrócił się Jacek do starszego wąsatego mężczyzny. Chłopak też miał wąsa, ale w całkiem innym stylu, nie tak sumiastego jak tata.

— Zaraz kończę, to sobie przeczytasz... Ale naprawdę czuję wzburzenie. Właściwie myślę to samo: Niemcy, depcząc flagi koalicjantów, zachowali się jak prostaki. Do znieważania naszych chyba przez te sto lat przywykliśmy, więc to akurat nic nowego. — Gorzko westchnął. — Ale zapomnieli, że ktoś tu przegrał wojnę, a w Warszawie znów istnieje państwo polskie. Hakatyści myślą, że nadal są u siebie. Pieruny! A jak się tobie to widziało? Byłeś z chłopakami w centrum czy tylko na dworcu?

— Wszędzie my byli. Niemcy wyglądali groźnie, ale proszą się o guza. Strzelali w Bazar. Myślę, że tam nikogo nie postrzelili, bo nie jest tak trudno schować się w budynku, ale trafili paru chłopaków od nas na ulicy. Zajęto się rannymi, chociaż nie wiem, czy wydobrzeją. Najgorzej dostał taki Franciszek. Nie znam go bliżej. Już ze Stachem i Ludwisiem żeśmy se powiedzieli, że pójdziemy walczyć. To jest ich

łabędzi śpiew, tata. Zobacz, jak my się przez te lata wyuczyli wojaczki. Teraz jest moment!

— Ja już nie pójdę walczyć przez to kalectwo, ale ty pogonisz Niemiaszków! — rzekł ojciec z błyskiem w oku.

— Heh, no rzecz pewna!

— Idziesz dzisiaj też z kolegami? — zapytał ojciec po chwili milczenia, jakby odmienionym głosem.

— Stach ma wpaść, ale gotuje się we mnie i mógłbym nawet sam ruszyć.

— Właśnie się boję, że to będzie bieganie ludzi z gorącymi głowami. Potrzeba dowództwa, dyspozycji. — Ojciec się zasepił. — Powstania w Polsce zawsze tak wyglądały: żołnierzyki z biało-czerwoną opaską padają jeden po drugim. Teraz musi być inaczej.

— Stary Bogdan powiada, że to nie będzie nawet powstanie. Niemcy sobie odjadą, bo zobaczą, że jesteśmy zwarci. Mamy Radę Ludową.

Ojciec się zachnął:

— Bogdan to jest pierduśnik straszny. Czy Niemiec skądkolwiek wyszedł po dobroci? Zobaczysz, że oni nawet jak stąd wyjdą, to sto lat będą to rozpamiętywać. Przecież te budowle na Wale kończyli jeszcze we wojnę<sup>1</sup>. I po to, żeby zaraz sobie pójść?

Jacek nic nie odpowiedział. Poczul, jakby ojciec go hamował, choć wiedział, że wszystko, co mówi, jest prawdą. Tak czy inaczej, czuł radość i nikt nie mógł jej zgasić. Jakby obserwował tryby historii i mógł teraz w samym dziejowym procesie uczestniczyć. Być częścią wielkiego polskiego przedsięwzięcia. Historia, piękna niewiasta, patrzy nań i zaprasza. Lubił się dawniej bawić pamperkami<sup>2</sup>

---

<sup>1</sup> Dzisiejsza al. Niepodległości.

<sup>2</sup> W gwarze poznańskiej: pajacyk, maskotka.



i wyobrażał sobie, że są to rycerze, którzy pokonują podłego wroga. Teraz on będzie takim wojem.

Te rozmyślania przerwało kołatanie.

Matka otworzyła i zawołała Jacka, chociaż on wiedział, że to do niego. Włożył buty, jesionkę i kapelusz, i po chwili był już na klatce z kolegami.

— Twój ojciec rozpytywał? — spytał Stach.

— No ba... Pytał, gdzieśmy byli, ale dużo nie powiedziałem.

— I dobrze. To nie jest sprawa starych. — Po głosie Stacha trudno było wyczuć, czy on tak serio, bo sam był już po trzydziestce.

— W końcu to my będziemy żyli dłużej w tym nowym państwie — włączył się cienkim głosem Ludwik, który zwykł filozofować w chwilach, kiedy nie było to nikomu potrzebne.

— Róbmy to, co żeśmy postanowili — zakomenderował Stach.

— Zgłaszamy się do Rady Ludowej, że chcemy walczyć z bronią u boku.

Szli przez zamgloną łażarską ulicę, a Ludwik odezwał się, jakby skończył coś przemyśliwać:

— Słuchajcie, a kto tu właściwie prowokuje? Prusaki pozrywały flagi koalicyjne, to mówimy, że nas prowokują. Ale my pozawieszaliśmy byli te flagi, więc w ich tageblacie<sup>3</sup> stoi, że celowo prowokujemy wrogimi symbolami. My się teraz uważamy za gospodarzy w Poznaniu, ale taka postawa jest dla nich prowokująca. Czy robimy wobec siebie cokolwiek innego od stu lat, niż wzajemne prowokowanie?

— Wiesz, Ludwiś, chyba trochę za bardzo komplikujesz.

Kompani się zaśmiali.

---

<sup>3</sup> Dziennik (z niem.).

*31 grudnia 1918 roku, wczesne popołudnie,  
koszary przy Bukowskiej w Poznaniu*

Kilku żołnierzy stało w okolicy okna i żywo dyskutowało:

— Ale jak się mają nie poddać? Są wysepką teraz, jak zamek w oblężeniu. Mieliśmy im nawet prąd odciąć. Pewnie już to jest zrobione — przekonywał Stach.

— Oni będą liczyli na odsiecz z Rzeszy. Zdajecie sobie sprawę, ile bejmów<sup>4</sup> kosztuje ten sprzęt na Ławicy? Podarunku nam z niego nie uczynią — odezwał się Ludwik sceptycznie.

— A powinni. Za to, żeśmy byli ich kolonią przez te lata. Francuzi mieli Afrykę, a Prusacy Wielkopolskę — perorował Jacek.

— To akurat prawda. Wiecie, co Fryderyk II powiedział? Że idzie tu oswajać Irokezów — rzucił Ludwik.

— Też, Irokezi się dobrze biją! — wykrzyknął Jacek zadziornie.

— Nie sądzicie, że oni się sami prosili o guza? — spytał Ludwik.  
— We wojnę powołali nas wszystkich do woja. Wiadomo, że byliśmy mięsem armatnim, ale ostatecznie wyszkolili nas i dali do ręki broń. Bardzo nierozsądne... — Usta Ludwika rozszerzyły się w nieznacznym uśmiechu.

— Bo według ich planów Rzesza miała sięgać od Moskwy Bóg wie dokąd, a my byśmy jej dzielnie strzegli. Teraz spadają z wysokiego konia — odpowiedział Stach.

— Ale to nie do końca jest ich wina. Każde mocarstwo miało swoje za uszami, a teraz, mam wrażenie, zwalono wszystko na nich — drążył Ludwik.

— Nawet nie gadaj takich rzeczy — obruszył się Stach.

---

<sup>4</sup> W gwarze poznańskiej: pieniądze.

— A słyszeliście, że Niemcy się podobno zrobili tacy bojowi przed wojną przez książki Nietzschego? Bo on napisał, że ciągle powinni zmierzać do podbojów. — Jacek trochę urwał się z choinki.

Stach pokręcił głową, ale Ludwik podchwycił:

— Wierzę w takie rzeczy, choć nadal sądzę, że Anglia z Francją też dążyły do konfrontacji.

— To kto jest w końcu winien w tej twojej teorii? — zapytał Stach.

— Miło, że mnie stawiasz w roli tego, który miałby to rozsądzić. Pewnie najbardziej Niemcy, ale ententa przed wojną się wcale a wcale nie wzbraniała. Ja zresztą też czytywałem Nietzschego.

— I co? — dopytywał Jacek z ciekawością.

— I nie dostałem manii podbojów.

Wszyscy roześmiali się szczerze.

— W każdym razie teraz chyba nie chcą umierać za Prowincję Pozańską — skonstatował Jacek. — Dzięki temu i my nie umieramy.

— Weź tak nie gadaj, bo są wyczerpani, ale potrafią kłuć bagnetem i choćby tej Ławicy nie chcą oddać, mimo że mogą poginać — zauważył Stach.

— Zobaczymy, jak to będzie. — Jacek często zmieniał pogląd na sprawę w trakcie wymiany zdań.

Do sali, w której w mundurach we trójkę stali przy oknie, wbiegł łącznik.

— Szykujcie się! Jedziemy na Ławicę! Za pół godziny mamy tam być!

Żołnierze chwycili za sprzęt.

— Czyli konfrontacja! Coś im zostało z Nietzschego. — Jacek się uśmiechnął.

W żyłach pulsowała mu krew. Po raz pierwszy poczuł, że zaraz za historią uprzejmie proszącą go do współpracy stoi śmierć, która równie uprzejmie widziałaby go przy sobie. Owszem, nie ponieśli

dużych ofiar, ale zawsze ktoś polegnie. Skąd ma wiedzieć, że to nie on tego dnia? A teraz się na pewno szwaby okopią i mają wuchtę<sup>5</sup> amunicji. Zaczął odmawiać pacierz. Dawno tego nie robił, ale uznał, że to odpowiedni moment.

Gdy ich ciężarówka dojechała na miejsce, artyleria była już rozstawiona.

— Dziwna sytuacja. Będziemy łupać, ale tak, żeby nic nie zniszczyć — rzekł Jacek, gdy podchodzili na pozycje.

— Oj, to przecież nie trzeba w nich ładować. Można tak, żeby pokazać, że z nami nie mają szans — odpowiedział Stach.

— Gorzej, jeśli oni podpalą to wszystko. Wtedy Polska nie będzie mieć lotnictwa. — Ludwik uśmiechnął się gorzko.

Artylerzyści na rozkaz ładowali już dwa działa.

*31 grudnia 1918 roku, tuż przed północą, koszary w Gnieźnie*

— Pierwszy sylwester na trzeźwo, co panowie? — Jacek uniósł szklankę z sokiem.

— Porucznik kazał nie pić, a rozkaz to rozkaz — rzekł zaczepnie jeden z żołnierzy.

— Mam trochę bimbru. Od chłopą kupilem — przyznał Ludwik. W grupie zapanowało ożywienie.

— Ale naprawdę trochę. Powinno być na trzech, a nas tu dziesięć.

— Rozrzedzimy, spokojnie, nie takie rzeczy się już piło — powiedział Stach, a parę osób z grupy się zaśmiało.

Gdy już każdy dostał wódczany przydział, zaczęły się nocne Polaków rozmowy.

---

<sup>5</sup> W gwarze poznańskiej: wielka ilość.

— Nieźle dajemy wycisk. Wszechniemcy ani się obejrzą, a zagonimy ich gdzie pieprz rośnie — zauważył Jacek.

— Na przykład za Odrę — dopowiedział Ludwik ironicznie.

— Jaką Odrę? Parędziesiąt kilometrów od Berlina? — Stach nie dowierzał.

— Ale nie powiesz, że źle idzie. Nie musimy czekać Hallera na białym koniu. Piłsudski też nie musi wojska przysyłać — ciągnął Jacek.

— Co za różnica, skoro i tak by tego nie zrobił — odezwał się Ludwik. — Spójrzmy prawdzie w oczy: jesteśmy samotni i pchamy się do państwa, które najwyraźniej nas nie chce.

— Wczuj się w rolę wodza! — Jacek nie wytrzymał. — Wyślesz wszędzie po jednej jednostce, a wtedy przegrasz na wszystkich frontach, łącznie z litewskim, czy zabezpieczysz raczej tę granicę, na której jest najgroźniej, by nie dać się hordzie?

— Ale to u nas jest najgroźniej. — Ludwik nie dawał za wygraną. — Dmowski o tym pisał.

— Tak: Polakiem jestem, mam obowiązki polskie — przyznał Jacek i dodał ze śmieszkim: — Więc dopiję wódeczkę...

— A ty, Ludwiś, co? Takiś lewicowiec, a Dmowskiego czytujesz? — spytał Stach.

— Czytam krytycznie. I parę mądrych spostrzeżeń zauważyłem.

Stach powiedział, jakby tłumaczył coś, co miał już na wskroś przemyślane:

— Wolność wywalczona lepiej smakuje. Czy naprawdę byśmy chcieli, żeby szwabcy spakowali tornistry, wydali biesiadę i odjechali pociągiem? Wtedy byśmy się fest urządzili we własnym państwie? Pokażmy, że na nie zasługujemy.

— Panowie, za minutę północ! — krzyknął jeden z żołnierzy.

— No to teraz sobie pocznijmy życzyć i się rozgadamy o państwie — dodał Ludwik z przekąsem.

Lecz Jacek zawsze marzył o takiej chwili. Wojskowo idzie wyczerpanie, zdobywają coraz to nowe miejscowości. Kamratów ma fajnych i nawet broń swoją polubił. Kiedy wróci, to sobie znajdzie żonę i już nigdy żaden Niemiec nie rozkaże nic jego dzieciom. Przypomniał sobie słowa pieśni: *Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały...* Zawsze uważał te słowa za dziwne, bo przecież Polacy przez setki lat dostawali po głowie, a sama melodia kojarzyła mu się z kolędą. Teraz po raz pierwszy bodaj pomyślał: Bóg naprawdę ukochał Polskę, która go wielbić nigdy nie przestała.

Wchodził w nowy rok w niepodległej ojczyźnie, o której marzyli jego dziadowie. To od młodych żołnierzy tutaj i teraz zależy, jaki kształt przybierze: dokąd będzie sięgać i jak roztropnie zostanie urządzona. Dzisiaj Niemcy pod Zdziechową się ładnie poddali, chcą być jak najszybciej w domach. W szeregowych wojakach nie ma tyle zacięcia, co w ich generałach. Wielka wojna będzie ostatnią z wojen — bo teraz każdy naród będzie u siebie w pokoju budował dobrobyt.

Okolo trzeciej nad ranem, z ochrypłymi głosami od rozmów i śpiewów, poszli wreszcie spać.

*17 lutego 1919 roku, lazarskie mieszkanie rodziny Wicorków*

— To już pewne, skoro linia demarkacyjna jest wyznaczona — powiedział Stach, odstawiając herbatę.

Na dworze panował ziąb i grube płatki śniegu opadały poganiane przez wichry.

— Że marszałek Foch kazał wyznaczyć linię, to jeszcze nie znaczy, że ktokolwiek się zastosuje — mitygował pan Wicorek.

— Chyba jednak znaczy, tato. Oni muszą robić to, co im każą Francuzi — powiedział Jacek z naciskiem, jakby właśnie sam wydawał polecenia narodowi niemieckiemu. — Zresztą Ludwik dobrze

gadał: skoro teraz to my jesteśmy żołnierzami ententy, staliśmy się zaraz w oczach Niemców kimś ważnym.

— Z poprawką na to, że naszych propozycji rozejmowych wielcy Teutoni nie przyjęli, a gdy Francuzi zaproponowali to samo, zgodzili się — dopowiedział Ludwik. — No bo wy sobie wyobrażacie, co to znaczy dla Niemca przegrać z Polakami? Z każdym innym, ale z Pol-la-ka-mi? — uniósł się Stach.

Patefon grał z miłymi trzaskami melodie wcale nie pobożne. Teraz trąbka dęła solo.

Pan Wicorek zaczął na znaną nutę:

— I to u Niemców wywoła resentyment. To jest naród, który jak zaden inny pielęgnuje w sobie resentymenty.

— A co tam tata gada — zachnął się Jacek. — Oni teraz o gołej dupie będą chodzić. Kontrybucje ich ładnie obrobiją. Zobaczycie, że Polska ich wyprzedzi, bo nas nic nie będzie hamować.

— Oby, oby — powiedział ojciec, ale chyba tylko dla formalności.

— Chociaż jedno muszę przyznać — rzekł znów syn. — Na początku mi się zdało, że Niemcy tylko tak walą z karabinów, bo im generałowie każą, i najchętniej to by do swojej Szwabii zwiali, ale przez ostatnie dni widziałem u nich autentyczne zacięcie. Trochę jakbyśmy przebudzili niedźwiedzia.

— To o Ruskich tak się gada, tej — wtrącił Ludwik.

— Wsio ryba. Ten Trewir nam spada w samą porę, bo byśmy się tylko wykrwawiali w takim klinclu.

Za oknem zrobiło się już ciemno. Na ulicy niemrawo migotały latarnie, a ludzie brodzili w śniegu.

Pan Wicorek pokuśtykał do regału i wyjął spod paru książek gazetę.

— Posłuchajcie — rzekł i zaczął czytać: — »*Mit Ausnahme von Deutschland*« 8 Januar. Das Pressenbureau meldet aus Washington,

*daß der Haushaltausschuß des Represäsentantenhauses dem Ersuchen Willsons um Zuweisung von 100 Millionen Dollars für das Hilfswerk in Europa für alle Länder mit Ausnahme von Deutschland.*

— Twój stary czyta szwabskie gazety? — zdziwił się Stach. — Przepraszam... — Popatrzył na ojca Jacka.

— To nic — odrzekł gospodarz. — „Posener Tageblatt” mam zawsze przeczytany. To wydanie sprzed miesiąca. Zrozumieliście wszyscy?

— Ja nie bardzo — wybąkał Stach.

Ludwik pospieszył z objaśnieniem:

— Piszą, że Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych zgodziła się z wnioskiem Wilsona, by udzielić stu milionów dolarów wsparcia dla wszystkich krajów w Europie. Z wyjątkiem Niemiec.

— *Mit Ausnahme von Deutschland.* Te słówka dźwięczą, prawda? — dopowiedział ojciec. — A pamiętajmy, że Niemcy sądzą, iż tak samo są winni wojnie, jak wszyscy pozostali. To straszny policzek.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

— Jak pan rozczytuje szwabachę? — spytał Stach hecarsko.

— Mam wrażenie, że ojciec tylko do tego zna niemiecki — stwierdził Jacek.

Ludwik wrócił do rzeczy:

— Oni dostają teraz mnóstwo policzków. Prawda. Ale czy to znaczy, że mamy nie walczyć?

— Absolutnie nie — zaprzeczył ojciec Jacka. — Idzie o to, żeby nie kopać leżącego.

— Nawet jeśli on sam nas tak długo kopał? — zdziwił się Stach.



*10 czerwca 1927 roku, potańcówka na Jeżycach*

Jacek wypatrzył ją, jakby była znaczona. Lubił ten typ urody: brunetka, rysy takie... słowiańskie. Miała włosy zaplecione w war-koczyk, nie ondulowane jak u wielu dziewcząt. Zdradził koledze, że ta właśnie mu się podoba. On na to, że jej chyba to powinien mówić. Wtedy Jacek poszedł ją poprosić:

— Zatańczy pani?

Przytaknęła, podśmiechując się.

Gdy kolebali się do muzyki, w której trąbka przygrywała melan-cholijnie, zamienili parę zdań.

— Ta blizna na ręce jest od kuli? — zapytała.

— Tak. Niemiec mi zrobił w powstaniu.

— I co mu zrobiłeś? — Zaśmiała się.

— Nic. Wzięliśmy jeńców. A potem puściliśmy i pojechali do sie-bie — odparł Jacek z zakłopotaniem. — Jak ci na imię?

— Agnieszka. A tobie?

— Ja jestem Jacek.

— Łe, mój brat ma tak na imię, wiesz?

— Żeby ci się nie myliło. — Uśmiechnął się.

Potem posiedzieli przy lemoniadzie. Mężczyzna powiedział kole-gom, że „wróci sam”. Towarzyszki Agnieszki również taktownie nie przeszkadzały parze. Jacek odprowadził ją do domu. Mieszkała na Jeżycach. Rozmawiali jeszcze długo przed bramą.

Tej cieplej nocy słychać było owady.

25 października 1939 roku, mieszkanie  
na Starym Mieście w Poznaniu

Stanowcze pukanie do drzwi rozległo się wtedy, gdy chłopczyk bawił się na podłodze drewnianą lokomotywą. Jacek poszedł otworzyć z sercem w gardle. Na klatce stało dwóch umundurowanych esesmanów. Byli wysocy.

— Jacek Wicorek? — wypowiedział jeden z nich ze śmiesznym akcentem. — *Zeige mal deinen Ausweis*<sup>6</sup>.

Jacek się wylegitymował.

Żona w zaawansowanej ciąży patrzyła na Niemców z wielkim niepokojem i niedowierzaniem.

Ten sam esesman rzucił do Jacka:

— *Du kommst mit uns!*<sup>7</sup>

Jacek nagle jakby się zmniejszył. Agnieszka zaczęła dyszeć. Przyłożyła dłoń do policzka, szepcząc:

— Ale za co?

Nie śmiała jednak chwycić za mundur żadnego z esesmanów. Chłopczyk łkał, wyczuwając nerwową atmosferę. Nie chciał, żeby tata odchodził z tymi ludźmi.

— *Er wird zurückkommen, keine Angst*<sup>8</sup> — rzekł drugi Niemiec, blondyn o miłych oczach.

Agnieszka wystarczająco знаła niemiecki, by zrozumieć, i wystarczająco znała zakłamanie Niemców, by w to nie uwierzyć. Dlatego nie uspokoiła się wcale. Tymczasem Jacek był już gotowy do wyjścia. Spojrzał jakby przepaszająco na żonę i z wielkim bólem na synka.

---

<sup>6</sup> Pokaż swój dowód (niem.).

<sup>7</sup> Pójdiesz z nami (niem.).

<sup>8</sup> On wróci, bez obaw! (niem.).

Nie był w stanie nic powiedzieć. Gdy drzwi za nimi trzasnęły, kobieta zaniósła się takim szlochem, jak jeszcze nigdy wcześniej.

Nie jechali długo. Jacek rozpoznał tę okolicę. Fort na Woli. Zaprowadzili go do celi. Tam spędził noc. Nazajutrz, gdy po niego przyszli, sądził, że idzie na proces w swojej sprawie.

Zobaczył deski oparte o mur. Z przeciwległej strony nadeszło paru więźniów prowadzonych przez mundurowych. Jacek rozpoznał wśród nich Ludwika. Zachciało mu się płakać.

Gdy byli blisko siebie, rzekł:

— Ludwiś... Zobacz no...

Kolega nieznacznie się uśmiechnął.

— Co zrobisz?

Stanęli w jednym szeregu. Strzelcy byli na pozycjach.

Jacek miał tyle myśli. Kołatało mu, że oni ich teraz jak psa...

Żołnierze wystrzelili na komendę, każdy w wybranego więźnia. Ci osunęli się błyskawicznie. Gdzieś nad nimi przeleciały szpaki, bo przestraszyły się wystrzałów.



Przemysław Godyla  
**Z rąk do rąk**

➤ Mężczyźni w mundurach polskich  
w Atelier. Nieznany czas powstania zdjęcia.

*Lötzen, 24 maja 1916 roku*

**W** zakładzie zegarmistrzowskim Efraima Truskera czas zawsze płynął jakoś inaczej. Może wynikało to z równego tykania setek mechanizmów, może z przyjemnego dla oczu półmroku spowijającego warsztat, a może z przyjacielskiej atmosfery, jaką roztaczał właściciel. Tego dnia do zegarmistrza przyszedł młody poborowy armii pruskiej, który — korzystając z kilkudniowego urlopu — postanowił odwiedzić rodzinne strony.

— Panie Efraimie, mam do pana małą prośbę — zaczął od progu i położył na blacie długi regulaminowy bagnet, tak zwany liść. — Ja wiem, że to wojskowe, że niszczyć nie można, ale człowiek chciałby mieć pamiątkę. Taką na lata. Czy mógłby pan wygrawerować na tym ostrzu moje nazwisko i obecny rok? Tak sobie wymarzyłem, że jak przeżyję na froncie, to dam synowi. A on swojemu. Grawer chyba wytrzyma wiele lat, prawda?

— Ależ złoty panie Grunau, jak Trusker się zabierze do roboty, to nie kilkanaście, nie kilkadziesiąt, ale kilkaset lat przetrwa! Jeszcze za sto jakiś młody Grunau będzie patrzył na ten bagnet. Co tam sto! Dwieście, trzysta! Pan mi da dwa tygodnie, panie Wilhelmie.

Podjeżdżam na Wzgórze Świętego Wojciecha. Druga sobota lutego. Nieopodal między ulicami Północną, Grochowymi Łąkami i Garbarami znajdują się tereny Starej Rzeźni, na co dzień wymarłe i puste, w weekendy jednak ożywione tłumem krzątającym się po placach między starymi ceglanymi budynkami. Rzeźnia jest już od dawna rzeźnią tylko z nazwy. Nie ubija się tu teraz świń czy krów. Dobija się targu. Co tydzień ma tu miejsce Flochmark, pchli targ, a w każdą drugą sobotę miesiąca giełda antyków. Pod samym murem Starej Rzeźni próżno szukać wolnego miejsca parkingowego, chociaż przejmujący chłód wyraźnie przetrzebia szeregi kupujących i sprzedawców. Co można zobaczyć na ich straganach, stanowiskach z pałatek i plandek? Wszystko. Jak śpiewał Kaczmarski, „przyda szabla się i puklerz połupany, nie przepadnie pas rycerski, płaszcz i szyszak”. Wszystko, co stare.

Podchodzę do jednego ze straganów i przeglądam fanty.

— Co szanowny pan uważa? Czego trzeba?

— Ile by pan chciał za tę klamrę obrony przeciwlotniczej?

— Tę? No widzisz, stan idealny, żadnych wgnieceń, żadnych wżerów. Mam jeszcze jedną, ale gorszą, no i zostawiłem w chacie, bo to wstyd pokazywać przy tej sztuce... Będzie dwieście pięćdziesiąt złotych.

— Dwieście pięćdziesiąt? Aż tyle?

— Tyle, tyle! A ile by pan proponował?

— Za klamrę nie dam więcej niż sto pięćdziesiąt.

— Sto pięćdziesiąt? Panie, tutaj wiara<sup>1</sup> zostawia grube bejmy<sup>2</sup>, a pan z takim groszem wyskakuje? To nie są tanie fanty. To sprzed wojny!

---

<sup>1</sup> W gwarze poznańskiej: ludzie, grupa ludzi.

<sup>2</sup> W gwarze poznańskiej: pieniądze.

— Dobra, to nie wezmę i już. A ten liść?

— Ten? Nieźle się trzyma, chociaż wykopek.

Ostatnio handlarze na gwałt pozbywają się wykopanych rzeczy. Nikt nie chce narażać się nowym przepisom ani iść za kratki za kilka starych guzików.

— Przecież widzę, że go rdza nieco zżarła. Z nakładek ani drzazgi przegnitej nie zostało, bicia całkowicie nieczytelne, no i zniszczony grawerka.

— Grawerka z epoki...

— Z epoki, nie z epoki. Ile?

— Trzysta. Normalnie wołałbym pięć stów, ale pan szanowny ma takie wymagania...

— Dobra, dam dwieście pięćdziesiąt. I pięć dych dorzucę, jak powiesz pan, gdzie go trafiłeś.

— Ja nie kopię. Ale idź pan tam za winklel do Jędrka. Od niego to wzięłem. On powie.

Mijam kolejne stragany: porcelana, mosiądze, militaria, mone-ty, ordery. Część pewnie uratowana ze śmietników czy rozbiórek, część wysprzedawana po kosztach przez uradowane spadkiem rodziny. Odziedziczone graty zwykle nie pasują do nowego mieszkania. I książki. Te akurat idą za bezcen. Kiedyś marzyłem o pisaniu, kiedy jednak zobaczyłem w Sklepie z Pierdołami regały uginające się pod ciężarem bezwartościowych woluminów, których nikt nie przeczyta, porzuciłem te myśli. A może po prostu znalazłem wygodną wymówkę dla swojego lenistwa?

Jędrak siedzi ubrany w replikę niemieckiej zimowej kurtki w kamuflażu Splittertarn i jakąś ruską uszankę. Jego twarz pokrywa bujna broda, której koloru nie ośmieliłbym się określić: oryginalnie czarna, ale z elementami rudych, żółtych i białawych włosów. Zarost wyraźnie go postarza i dodaje mu powagi. Gość prawdopodobnie ma około trzydziestki. Przyjmuję, że jest moim rówieśnikiem. Dogadamy się.



— Kupiłem bagnet od tamtego gościa. Mogę zapytać o kilka szczegółów?

— Dasz pan pięć dych i karkówkę, to pogadamy.

— Może być.

— Żal mi było się go pozbywać, no ale co zrobisz... Wykopałem to żelastwo w zeszłym roku na jesieni. Bez pochwy i żabki. Pojedyncze trafienie. Nic innego nie było obok, ale to i tereny całe rozkopane. Wcześniej wiara w okolicy znajdowała ponoć polskie garnki, salamandry<sup>3</sup>, adriany<sup>4</sup>, orzełki, okucia, jak to na poboju przy Bzurze. Bagnet miał szczęście, bo przeleżał w starym korycie w mule, dzięki czemu rdza nie zjadła go do cna przez te osiemdziesiąt lat. Nie trafił też do gospodarzy i nie skończył jako postrach chlewika.

— Liść to przecież pruski bagnet. Co robił nad Bzurą? Do tego te grawerki: *Gruna... 16, J. Jędrzejak 1919*. Gdybym znalazł to w internecie, uznałbym za zwykłą podpuchę.

— Szczerze mówiąc, gdybym nie wykopał go własnoręcznie, to pomyślałbym tak samo. Grawerki były praktycznie niewidoczne przed czyszczeniem elektrolizą. Zresztą to nie jedyna ingerencja z epoki. Z drugiej strony też jest coś wydrapane. Aż się dziwię, że nie zauważyłeś.

Zacząłem przyglądać się głowni. Faktycznie, znajdował się tam słabo widoczny napis: *A. Jędrzejak 1939*. Różnił się od poprzednich. Prawdopodobnie wydrapano go gwoździem.

— To nadal nie wyjaśnia, co pruski bagnet robił w polskich rękach we wrześniu — drążę.

Jędrzek znosi to cierpliwie.

---

<sup>3</sup> Polski hełm wz. 31 używany przez piechotę.

<sup>4</sup> Hełm wz. 15 produkcji francuskiej, w 1939 roku używany przede wszystkim przez kawalerię.

— Nie sędzę, by w wojskowych magazynach grawerowali ostrza. Stawiam dziesięć do jednego, że to rodzinna pamiątka. No a pruski? Pamiętaj, że nad Bzurą walczyły nie tylko regularne oddziały. Kutrzeba miał pod sobą też Poznańską Brygadę Obrony Narodowej, a tam trafiały różne starocie, głównie francuskie. W sumie niemiecki Mauser Gewehr 98<sup>5</sup> to najlepsze, co mogło wpaść tamtym chłopakom do rąk. Sporo też pruskiego sprzętu leżało w magazynach. Przecież nawet w spisach nie rozróżniano, czy trójkomorowe ładownice to nowe polskie, czy jeszcze pierwszowojenne z groszkowanej skóry. Tyle mogę powiedzieć. Jeśli liczysz na to, że potrafiłbym opowiedzieć ci historię tego bagnetu od momentu, gdy opuścił wytwórnię do dzisiaj, to niestety źle trafiłeś. Ja tu sprzedaję, a nie czary-mary i wiem wszystko o przedmiocie. Choć chciałbym.

*Ligota obok Kobylej Góry, południowy front powstania  
wielkopolskiego, 10 lutego 1919 roku*

*Hej, nasza kompania tam w okopach stoi, tam w okopach stoi  
I pisze do Niemców, że się ich nie boi.  
Hopaj, siupaj, hopaj, siupaj, dana do samego rana,  
Dziewczyno kochana!*

Pyra za pyrą lądowały w potężnym żeliwnym garze. Strzelec Jan Jędrzejak umiłał sobie pracę w kuchni, nucąc pod nosem lub na cały głos, mniej lub bardziej fałszując. Rano pieśni nabożne do Najświętszej Panienci, około południa patriotyczne, a wieczorem frywolne. Porzundek musi być. Teraz zbliżał się wieczór. W repertuarze była luźna piosenka powstańcza autorstwa Franciszka Rewasa.

---

<sup>5</sup> Standardowy karabin niemiecki używany podczas pierwszej wojny światowej, a także później przez Armię Wielkopolską i Wojsko Polskie.

*Wczoraj spałem na kanapie, dziś na wiązce siana,  
Do samego rana, do samego rana.  
I piszę do Niemców czarnym atramentem,  
że się ich nie boję z całym regimentem*

— dudnił po kuchni niski głos Jana.

Ech, jak się ta moja dowie, jak ja dobrze pyry strugam, to z kuchni nie wyjdę, pomyślał. Ciekawe, co będzie: chłopak czy dziewczyna? Jeśli szczun<sup>6</sup>, to Antek. A dziewczucha? Może Teresa? — planował.

Powstanie wielkopolskie zaczęło się dla niego już dwunastego listopada. Wtedy to Grabów leżący tuż nad Prosną przy prusko-rosyjskiej granicy opuściła kompania landszturmu z Pleszewa, zostawiając w miasteczku tylko niewielką załogę komory celnej i kilku żandarmów. Kiedy więc zobaczyli z Kazikiem, jak atletyczny żandarm przechadza się po rynku, od razu postanowili go rozbroić. Po prostu podeszli, odebrali mu karabin i całe wyposażenie. Później jakoś poszło. Mimo swych dwudziestu lat zebrali innych Polaków, dezertersów z armii pruskiej, dotychczas oczywiście cierpiących na wszelkie uniemożliwiające wyjazd na front choroby, którzy po przypięciu biało-czerwonych kokard cudownie zdrowieli. Dołączyli do kompanii grabowskiej pod dowództwem Andrzeja Krajewskiego i Mariana Genge. Tak trafili na ostrzeszowski odcinek południowego frontu powstania.

Front ten nie był szczególnie zagrożony, choć w Kępnie, Sycowie, Miliczu i Międzyborzu stacjonowały dość silne oddziały niemieckie, to jednak w większości był to Grenzschutz<sup>7</sup>. A z nim dawali sobie radę. Tutaj pod Ligotą już raz pognali ich w styczniu. Zdobyli pięć

---

<sup>6</sup> W gwarze poznańskiej: chłopak.

<sup>7</sup> Paramilitarna ochotnicza formacja niemiecka walcząca o odzyskanie wschodnich ziem odłączonych od Niemiec.

bezcennych elkaemów<sup>8</sup> i wzięli jeńców. Nie bez strat, niestety. Trzech chłopaków pochowali w Ostrzeszowie. Już wybrali napis na pomnik, który kiedyś tam stanie:

*Nikt im iść nie kazał... poszli, bo tak chcieli,  
bo takie dziedzictwo wziął po dziadku wnik.  
Nikt nie pytał o nic, a wszyscy wiedzieli,  
za co idą walczyć, komu płacić,  
że idą spłacić swej Ojczyźnie dług.*

Teraz znowu przyszła wiadomość, że kolumna Grenzschtuzu idzie na Ligotę. Komenda batalionu ostrzeszowskiego wysłała tam oddział ochotników. Jan był jednym z pierwszych. Gdyby wiedział, że znowu trafi do kuchni, zostałby w Ostrzeszowie. Plum! Kolejna pyra wylądowała w garze. No, ale ktoś to musi robić, pomyślał Jędrzejak. Tak to każdy ważny, a później narzekają, że głodni. Do powstania pierwsi. A robić nie ma komu, dumal.

Nagle do kuchni wpadł Kazik:

— Idą szkiebry<sup>9</sup>! Zbieraj się, Janek!

Jędrzejak szybko narzucił płaszcz i wcisnął rogatywkę. Niedawno odebrali je od krawca. Nowiutkie czapki z szarego sukna. W końcu łatwiej ich odróżnić od Prusaków. Orzełek Janka oczywiście błyszczał najbardziej w całej kompanii.

Zajęli z Kazikiem stanowiska w okopie. Zaraz się zacnie.

— Co na obiad? — spytał kompan.

— Gęsina, pyzy, modra kapustka.

— Czyli co, znowu suche pyry?

---

<sup>8</sup> Lekki karabin maszynowy (tutaj niemiecki leMG08/15).

<sup>9</sup> W gwarze poznańskiej: Niemcy.

— Kazik, żebyś ty tak wojował, jak nad garem politykujesz, to już dawno bylibyśmy po powstaniu. Gotuj się!

Kolumna była coraz bliżej. Prusacy zaczęli biec. Do okopu zbliżył się oficer i zapytał:

— Co jest, chłopaki? Nie strzelacie?

— Czekamy na rozkazy — odpowiedzieli chórem.

— Bardzo dobrze. Niech podejną jeszcze trochę. Jeszcze chwilka... Uwaga. *Feuer!!!* Znaczą się ognia!!!

Ryknęły elkaemy i karabiny. Janek oddawał strzał za strzałem. Cztery szybkie ruchy dłonią — strzał. Kochał ten karabin.

— Coś to za wolno idzie, chłopaki! — powiedział oficer. — Wychodzimy z tych okopów. Bagnet na broń!!!

Janek sięgnął do lewego boku. Pusto! Zostawił swoje ostrze w kuchni. Spojrzał przerażony na Kazika i zapytał:

— Masz bagnet na zapas?

Ten spojrział na niego zdziwiony, uśmiechnął się szelmowsko i odparł:

— Ja nie mam. Ale możesz od szkiebrów pożyczyć.

— Naprzód!!! — Rozległ się rozkaz dowódcy.

Powstańcze okopy opustoszały. Janek też rzucił się do ataku. Przecież nie mogą zostać z tyłu! — pomyślał.

— Rźnij, Walenty, Bóg się rodzi!!! — krzyknął, a za nim podchwycił to cały oddział.

Wpadli w Prusaków jak drapieżne ptaki w stado kaczek. Janek z gołymi pięściami rzucił się na „swojego” z obsługi ckm-u i od razu powalił go na ziemię. Wydawało mu się, że młody wojak nawet nie ma zamiaru walczyć, jednak gdy spróbował wyjąć mu zza pasa bagnet, ten rzucił się na niego ze zdwojoną siłą.

— To moje! Zostaw! — wrzeszczał po niemiecku.

Ale zapasy nie trwały długo. Polak szybko obezwładnił przeciwnika i ze zdumieniem odkrył, że został sam na placu boju. Reszta ko-

legów popędziła naprzód, a większość niemieckiej kolumny uciekła, porzucając za sobą broń. Jędrzejak oparł się o zdobyty ckm i zapytał swojego jeńca:

— Jak się nazywasz?

— Wilhelm Grunau. Oddaj mi bagnet — zażądał Niemiec.

— Ani mi się śni. Uczciwie go zdobyłem.

— To moja pamiątka rodzinna.

— Masz trochę racji, drogi Wilusiu. I trochę się mylisz. Owszem, to pamiątka rodzinna. Dobry pomysł. Choć chyba moja Marta wolałaby jakiś czajniczek albo inne cudo, ale mnie się podoba. A że twoja... Tu już nie masz racji. To będzie familijna pamiątka Jędrzejaków. Zostawię twój napis, nie martw się. Porządek musi być. Z drugiej strony każę wyryć *J. Jędrzejak 1919*. O tak, popatrz, jak ten wysiłek fizyczny i świeże zimowe powietrze mi służy! Taki genialny pomysł! Ty wrócisz sobie spokojnie do domu... Skąd jesteś?

— Lötzen — odparł Wilhelm.

— No proszę. Mazur. Wrócisz sobie spokojnie do swojego domu, ja do swojego. Powstanie się skończy, Polacy będą u siebie, Prusacy u siebie, a ten zacy liść u mnie. Na ścianie. Albo w szafie. Nie wiem jeszcze. Tak czy siak, odsyłam cię do sztabu, Wilhelmie. Tam cię wsadzą w banę<sup>10</sup> i wrócisz do Lötzen.

Powstańcy zaczęli wracać z pogoni. Zdobyli trzy ckm-y, jeden wóz, cztery konie, kilkanaście karabinów. Wzięli czternastu jeńców. Janek schował bagnet za pas. Popatrzył na zdobyty rysz tunek i eskortowaną do dowództwa kolumnę jeńców.

Może jednak syn będzie pierwszy, pomyślał. Przecież wojna, a na wojnie się rodzą chłopaki. To będzie Antek. Tak, Antek, ojciec kiedyś opowie, jak ci Wielkopolskę wywojował!

---

<sup>10</sup> W gwarze poznańskiej: pociąg.

*Okolice folwarku Łanięta, 15 września 1939 roku, piątek*

Jeszcze trochę. Niedługo świt. Byle do świtu, powtarzał w myślach Antoni Jędrzejak, ledwo słaniając się na nogach. W ciemności po krętej, polnej drodze wiła się serpentyna zielonych mundurów, znoszonych już i wyblakłych, okrywających równie wyniszczone ciała, które ostatnim niemalże wysiłkiem powłóczyły krwawiącymi stopami. Jeszcze miesiąc temu te stopy w tych samych podkutych butach wybijały równy rytm na mokrym bruku pod dawnym Zamkiem Cesarskim. Teraz ich nierówny stukot przerywał ciszę wrześniowej nocy, wzniesając tumany kurzu, który bezlitośnie wysuszał żołnierskie gardła.

Antek zagłuszał zmęczenie i gdzieś z zakamarków pamięci wydobywał obrazy sprzed miesiąca.

Wtedy był deszcz, tak, pamiętał, jak bał się, że zepsuje całe widowisko, a teraz oddałby wszystko, byleby tylko gęste chmury osłoniły jego oddział przed nalotami Luftwaffe, a rześiste opady rozmoczyły drogi i spowolniły pancerne niemieckie kolumny.

Wtedy byli dumni. Szli wyprostowani, z podniesionymi czołami. Nie wierzyli w wojnę, a nawet jeśli wydawała się nieunikniona — nie wierzyli w możliwość klęski. Teraz, po dwóch wrześniowych tygodniach w większości spędzonych na nocnych marszach i odwrocie, bez styczności z nieprzyjacielem, tylko nieliczni wierzyli w zwycięstwo. Gdyby choć pozwolili się bić. Gdyby tak w końcu rzucić się na szkiebrów i pokazać, kto lepszy. A nie tylko cofać się...

Były wiwaty. Pamiętał, że „Kurier Poznański” dwa dni później pisał: „Przemarsz wojska, a szczególnie Obrony Narodowej, wywoływał okrzyki i oklaski publiczności”. Cieszył się, że klaskali im głośniejszy niż tankietkom czy ułanom. Teraz idą w milczeniu, mijając opuszczone zabudowania albo przerażone cywilne kolumny patrzą-

ce z wyrzutem na wojsko. A może to była ostatnia taka deflada na Marcinie? — pomyślał. Po paradzie był obiad w domu. Taki prawdziwy, nie wojskowy. Mama zrobiła pyry z gzikiem i schab. I jeszcze mizerię. Tereska dopytywała brata o kolegów z wojska, a tata chyba pierwszy raz patrzył na niego jak na mężczyznę, nalewając mu do kieliszka wiśniówkę własnej roboty.

— No, Antek, dobrześ, szcunie, zrobił — powiedział, popijając nalewkę. — Ochotników trzeba. Myśmy swoje zdziałali, teraz kolej na was. Tylko powiedz ojcu, co wy za starocie tam nosicie? Francuskie jakieś karabiny? Toć myśmy już pod Verdunem kosili z mauzerów. To była giwera! I w powstaniu mi dobrze służyła. Ta, wtedy to było!

— Dają, co mają w magazynach, ale i długi karabin od Mausera się zdarzy — odparł Antoni.

— Dam ci flaszkę tej nalewki. Dogadasz się z szefem kompanii, żeby przydzielił ci coś porządnego. Dam ci coś jeszcze.

Ojciec podszedł to kredensu i wygrzebał podłużny pakunek owinięty poźółkłą ze starości tkaniną. Położył go na stole. Po chwili z namaszczeniem odwijał oplatające go sznurki, spoglądając w kierunku syna, jakby chciał się przekonać, czy młody patrzy uważnie.

— Patrzaj, Antek, do gwiazdora jeszcze daleko, a *Geschenk*<sup>11</sup> już jest — powiedział ojciec wesoło i odchylił ostatni płat tkaniny.

Oczom chłopaka ukazał się długi pruski bagnet, ten sam, którego za dzieciaka nie wolno mu było dotykać pod żadnym pozorem. Od razu przypomniał sobie tęgie cięgi, jakie otrzymał od ojca, kiedy wiele lat temu zabrał go do lasu, żeby z kolegami z Grabowa pobawić się w rycerzy spod Grunwaldu. Po tym wydarzeniu ostrze gdzieś zniknęło z zasięgu jego wzroku. Teraz okazało się, że całe lata spędziło w niewielkim zawiniątku, które powędrowało z nimi aż do Poznania.

---

<sup>11</sup> Prezent (niem.).



— To jest taka pamiątka. Zdobywczy liść. Masz, synu, ino nie zgub go gdzie tam pod Berlinem, jak pognacie szkiebrów.

Na wspomnienie tych słów Antek odruchowo sięgnął do lewego boku. Jest bagnet. Tylko miesiąc minął? — pomyślał. Jakby to było kilka lat temu... Jeszcze krok. Niedługo świt. Byłe do świtu.

Kolumna zatrzymała się na skraju folwarcznych zabudowań. Do porucznika podbiegł goniec, chłopak w harcerskim mundurze. Niejeden żołnierz patrzył ze zdumieniem, że ten szczun ma jeszcze siłę biegać.

— Panie poruczniku, rozkazy od kapitana — zameldował i wręczył oficerowi niewielką karteczkę.

Dowódca wziął ją do rąk i bezwiednie omiół wzrokiem.

— Pluton ckm: rozstawić się na skraju polany i wyznaczyć warty! — zawołał. — Reszta kompanii: pochować się w zabudowaniach i w lesie. Odpocznijcie nieco. Niedługo świta.

Antek zacisnął zęby i bezsilne pięści. Wizja odpoczynku znowu się oddaliła. Bez słowa odszedł za swoim plutonem na wyznaczone stanowisko. Byłe do świtu... Rozłożyli się na skraju polany i zaczęli przygotowywać miejsce dla ich ckm-u. Kiedy wykopywali niewielkie doły strzeleckie, do Antka podszedł plutonowy i powiedział:

— Jędrzejak, nie mamy amunicyjnego. Przepadł gdzieś po drodze. Zastąpisz go. Taśmy umiesz podawać.

— Tak jest — odpowiedział. Nie spojrzął nawet na plutonowego. Jak odurzony patrzył na horyzont, gdzie spoza mgieł zaczęło przebijać słońce. Nieśmiało. Pojedyncze promienie błyskały między gałęziami, czern przechodziła w szarość, później w błękit, następnie w biel...

Po chwili cały pluton przerwał swoje prace i wszyscy zastygli, patrząc na budzący się świt. Czesław Józwiak wbił w ziemię łopatkę, poprawił rogatywkę i pas. Stanął na baczność i zaczął śpiewać chrypliwym, lecz silnym, młodzieńczym głosem:

*Kiedy ranne wstają zorze,  
Tobie ziemia, Tobie morze...*

Antek spojrział na niego zdziwiony. Czesław był jego rówieśnikiem. Poznali się na kompanii na początku września, kiedy Józwiak za wszelką cenę próbował dołączyć do jakiegokolwiek oddziału i dopiero Batalion Obrony Narodowej „Poznań II” przygarnął go pod swoje skrzydła. Podobnie zresztą przyjęli Antka, gdy już trzeciego dnia wojny zgubił rodzimą formację, bratni „Poznań I”. Co prawda chcieli go wtedy rozwalić jako niemieckiego dywersanta, ale na szczęście oficer rozpoznał w nim syna kolegi z powstania i przyjęli chłopaka do kompanii. Jakiś czas jeszcze patrzyli na niego spod byka, ale po kilku dniach w końcu zdobyli ich zaufanie.

*Tobie śpiewa żywioł wszelki!  
Bądź pochwalon... — śpiewał dalej Józwiak.*

Polubili się. Czesiek nigdy nie narzekał i mimo tylu dni wędrówki zachowywał niesamowitą pogodę ducha, żartując nawet po najcięższych marszach.

*A człowiek, który bez miary  
Obsypany Twymi dary...*

Antek dołączył do Czesława. A za nim kolejni. I kolejni. Po chwili cały pluton stał na baczność, a po polanie płynął twardy śpiew kilkudziesięciu męskich gardel:

*Wielu snem śmierci upadli,  
Co się wczora spać pokładli,*

*My się jeszcze obudzili,  
Byśmy Cię, Boże, chwalili.*

Niejeden pomyślał wtedy o tych, co w domu. Niejeden pozazdrościł tym, którzy faktycznie mogli szczerze wyśpiewać, że się obudzili. Niejeden stwierdził przerażony, że momentami wolałby dołączyć już do tych, co „snem śmierci upadli”. A słońce wschodziło coraz wyżej.

Wschodziło krwawo.

— Za kilka godzin zmienią was inne plutony. — Chorąży prze-rwał ciszę. — Musicie wytrzymać w gotowości jeszcze jakiś czas. Na stanowiska!

Antek ustawił obok ckm-u dwie drewniane skrzynki ze sztywnymi metalowymi taśmami. Sprawdził stan osadzonej w nich amunicji. Czysta. Usiadł obok broni. Co za ulga! Łopatkę położył przed sobą — może trzeba będzie bić się wręcz. Sprawdził bagnet. Zatrząsk chodził gładko. Wyjął z chlebaka odrobinę machorki i skrawek papieru. Po chwili skręcając zapalił własnoręcznie zrobionego ćmika. Nie dane mu było jednak cieszyć się nim w całkowitym spokoju, bo do stanowiska podszedł chorąży, wyjął niewielką książkę i zaczął czytać na głos:

— Regulamin piechoty z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku, część druga, walka oddziałów piechoty i musztra, rozdział piąty „Strzelec w natarciu”, punkt osiemdziesiąty piąty „Szturm”: „Strzelcy muszą być tak wychowani, by przez niepowstrzymany pęd i okrzyk *hura!* umieli stworzyć wrażenie wszystko miażdżącej siły, której nic nie zdoła się oprzeć. W biegu każdy winien łączyć do tych, co pierwsi wtargną na stanowisko nieprzyjaciela, by napadać gromadnie. Walczy wszystkim, co ma pod ręką, bagnetem, kolbą, nożem, łopatką, pięścią. Każdy przeciwnik, który się nie podda, musi być zabity”.

Znużeni żołnierze wszelkimi siłami starali się sprawiać wrażenie, że słuchają tej pogadanki wychowawczej. Ćwiczyli już przecież przed

wojną pchnięcia i cięcia, ćwiczyli uderzenia kolbą i zamkiem karabinu. Przez wiele godzin atakowali słomiane kukły. Nie potrzebowali teorii.

Antek wyjął swój bagnet.

— Czesiek, masz jakiś gwóźdź? — szepnął do kolegi.

— Gwóźdź? Człowieku, po co ci gwóźdź?!

— Jak nie masz, to spytaj dalej.

— Grzechu, Antek pyta, czy masz gwóźdź.

— A może być śrubka?

— Może — powiedział Józwiak.

— Nie mam.

— Jak nie masz, to po co pytasz, czy może być. Pietrek, masz gwóźdź? — zagadnął bez nadziei na pozytywną odpowiedź.

— A mam. Tylko nie zgub. To na szczęście. — Piotrek wyjął z kieszeni długiego hufnala i dał go Czesławowi.

Ten popatrzył ze zdziwieniem i niedowierzaniem. Kto nosi z sobą szczęśliwe gwóźdźcie? — pomyślał Józwiak i podał metalowy przedmiot Antkowi. Młody żołnierz wyjął bagnet i zaczął ryc na głowni:  
*A. Jędrzejak 1939.*

Tata się nie obrazi.

Im dłużej rzeźbił, tym bardziej gasł głos chorążego, a głowa Antoniego dziwnie ciążyła i miarowo opadała coraz niżej, niżej i niżej...

— Amunicja!!! — Krzyk wyrwał Antka ze snu. Zerwał się na równe nogi, ale po chwili kapral rzucił go na ziemię.

— Padnij, Jędrzejak! Kryć się! — Seria pocisków uderzyła w przedpiersie okopu.

W kierunku ich stanowiska szła skokami wroga tyraliera.

— Idą! Ckm, seriami ognia! — zawołał kapral karabinowy.

Celowniczy przymknął oko i nacisnął na spust. Ciężki karabin maszynowy marki Hotchkiss z hukiem wypluwał języki ognia. Pojedynczy strzelcy także rozpoczęli kanonadę.

Piechota się nie zatrzymała.

— Antek, mój gwóźdź! Oddaj mi gwóźdź! — zawołał przyczajony obok ckm-u Piotr.

Antoni sięgnął do kieszeni. Wyciągnął hufnala.

— Trzymaj, Pietrek. Dzięki. Dlaczego to szczęśliwy gwóźdź?

Piotr nie mógł już nic powiedzieć. Leżał cicho z twarzą na ziemi, a spod jego kurtki sączyła się czerwona struga krwi. Powoli wsiąkała w ziemię.

Po chwili coraz więcej pocisków ze świstem rozcinało powietrze wokół Antoniego. Ten kulił się, podając ładownicemu kolejne taśmy. Ckm grzał niemal bez przerwy, a mimo to niemiecka tyraliera podchodziła bliżej i bliżej. Coraz bardziej wyraźne stawały się szarozielonkawe bluzy i szare spodnie. Co rusz któreś z polskich stanowisk cichło, częściej ktoś wołał sanitariusza. Albo kapelana...

— Jędrzejak, do cholery, amunicja!

— Nie ma! Nie ma! Skończyła się! — zawołał przerażony Antek, beznadziejnie wywracając skrzynki w poszukiwaniu kolejnych taśm.

Byli blisko. Już wśród zgiełku bitwy i huku wystrzałów można było usłyszeć niemieckie rozkazy:

— *Vorwärts! Vorwärts!*<sup>12</sup>

I komendę podawaną po polskiej linii:

— Bagnet na broń!

Nagle stanowiska zaroily się błyszczącymi szpikulcami. Dłonie mocniej zacisnęły się na broni, żołnierz zaczął szybciej oddychać. Czekał. Serce biło jak szalone. Źrenice się rozszerzyły. Zimny pot wylał się na czoło.

Bliżej. Bliżej. Bliżej.

Dwa długie gwizdy rozległy się z nienacka po polskiej stronie. Żołnierze nie czekali nawet na okrzyk dowódcy. Na dźwięk gwizdka

---

<sup>12</sup> Naprzód (niem.).

zerwali się do biegu i ruszyli, nim ten zdążył krzyknąć „Naprzód!”. Ryk „Huraaa!” kilkuset męskich gardeł zagłuszył nawet huk wystrzałów. Obok biegła cała kompania swarzędzka, też najeżona bagnetami.

Ruszyli jak fala. Byli jak fala. Piętnaście dni cofania się, nocnych marszów, braku snu, bezsilność wobec nalotów, widok bombardowanych cywilów — to wszystko przelało się teraz w ten niepowstrzymany bieg.

Jędrzejak biegł jak w amoku. Jak maszyna. Jeszcze krok. Wbij, przekręć, wyjmij. Dalej. Szybciej. Nawet nogi już nie bolały.

\* \* \*

Antoni stanął nad brzegiem rzeki. Było tylko przejść tę wodę, później znaleźć jakąś chałupę i cywilne ciuchy. I coś do jedzenia. A co dalej, to się zobaczy. Tylko nie do niewoli!

Odpiął pas z ładownicami i bagnetem. Położył wszystko na brzegu. Z sykiem bólu zdjął z siebie kurtkę mundurową. Ramię nadal krwawiło. Wyjął z pochwy bagnet. Chciał spojrzeć na niego ostatni raz. To jakby wrócić do domu. Wiedział, że nie może go nieść ze sobą. Jeszcze wpadnie w obce ręce. Szkoda go. Tacie będzie przykro, pomyślał. No i ja nie będę miał czego dać chłopakowi, jak się jaki urodzi. Trudno. Tak trzeba, zdecydował i rzucił ostrze w odmętę rzeki.

*Poznań, Łazarz, luty 2018 roku*

— Cześć, kochanie! Jak było? — Słyszę od progu.

— A, mało wiary. Zima. A ty jak się czujesz? Jak mały? — dopytuję.

— Może mały, może mała, skąd wiesz? Spokojnie dzisiaj. Kupiłeś coś ciekawego?

— Tak. Wypatrzyłem bagnet... — zaczynam.

— Wiesz, pomyślałam sobie, że jeszcze trochę i będziesz musiał gdzieś pochować swoje zabawki, żeby dziecko ich nie dopadło. I zrobić przy okazji więcej miejsca w szafie.

— Maryś, przecież zanim urodzisz, zanim on zacznie chodzić, to przecież sporo czasu minie. Zdążę. Chodź, pokażę ci, co kupiłem.

Wyjmuję liść z torby i zaczynam przyglądać mu się uważnie. Trzy napisy:

*Gruna... 16*

*J. Jędrzejak 1919*

*A. Jędrzejak 1939*

Marysia siada obok mnie.

— Ładny — mówi.

Doceniam, że naprawdę postarała się, by zabrzmiało to autentycznie.

— Za ile?

— Dałem stówkę — kłamię.

Dał dwieście, myśli Maria.

— Wiesz, Maryś, to ciekawa sprawa. Bo Jędrzejaków dużo jest na świecie, ale kto wie, może ten bagnet faktycznie należał kiedyś do tych moich, tych od babci Tereski. Ona mówiła, że miała brata na wojnie...

— Myślisz, że to możliwe?

— Nie wiem. Też, a jak właściwie nazywał się twój pradziadek? Ten od strony babci Sabiny? — pytam.

— Jeśli masz zamiar znowu szydzić, że mam niemieckie korzenie, to zapomnij, że ci powiem. Bo co, że z Mazur, to od razu źle, tak? Dzwoni do mojego taty i jemu się pośmiej do słuchawki...

— Maryś, ja tylko pytam tak z ciekawości. No powiedz...

— Grunau. Wilhelm Grunau.



Magdalena Hrycz  
**Aniela**



➤ Kobieta i dwie dziewczynki. W tle widać zabudowania gospodarcze.  
Nieznany dokładny czas powstania zdjęcia. Nieznana lokalizacja.

— Nie trzeba! — warknęła.

Gdyby szczun<sup>1</sup> chociaż był ciut fifniejszy<sup>2</sup>, to może by się i uśmiechnęła, a tak... Była niemiła, a chciał przecież pomóc. Bo też i same niewydarzone szczuny się do niej rwą. Ten powiedział chociaż „panienko”, a nie „dziewko”, jak mawiał tutejszy cieć. Dzisiaj tamten pewno zapił po świętach. A może z tego przepicia umarł wreszcie. Marzenie świętej głowy. Takich to matka Ziemia litościwie nosi i nosi. Jak zdarta płyta powtarzał:

— A ty, dziewczko, ciągle tu latasz z pudłami. A przyleć ty kiedy do mnie, to ci dogodzę, aż się będziesz oblizywać — kończył frechowym<sup>3</sup> rechotem.

Kiedy tylko zaczynał „a ty, dziewczko”, dalej jechał jakby na jednej nucie. Dziwne, że mu się to nie znudziło. No, ale trudno. Mieszkała tu jedna z najlepszych ciotczynych klientek. Nie było tygodnia, by nie trzeba zanieść choćby jednego kapelusza czy odebrać pióra do zafarbowania. Potem przynieść. I na nowo słuchać dziada. Jezu Nazareński...

---

<sup>1</sup> W gwarze poznańskiej: chłopak.

<sup>2</sup> W gwarze poznańskiej: zgrabniejszy, szykowniejszy, sprytniejszy.

<sup>3</sup> W gwarze poznańskiej: bezczelny, arogancki.

Tym razem Aniela niosła aż trzy wielkie pudła. Mela zachorowała. Trzeba było ją zastąpić. Z niej taka gilejza<sup>4</sup>, że i tak dzisiaj przy tym wszystkim by rady nie dała. Chociaż Meli ciotka dużo więcej wybacza. Tak ją po tej główce czasem pogładzi! Ale też tamta to umie się przyłasić. Cwaniara. I do tego ładna.

Czuło się w Poznaniu, że już po świętach. Czuło się też niepokój na ulicach. Można by go dziś szuflą zgarniać jak śnieg, który w tym roku wcale nie napadał.

Aniela z trudem otworzyła bramę. Musiała postawić pudła na ziemi. Trudno. Trzecie piętro. Trzeba iść. Czuła, jak podkład przypięty agrafką do majtek robi się coraz grubszy i nieprzyjemnie mokry. A od wchodzenia na schody jeszcze bardziej napęczniał. Brzuch poboлеwał ją od wczoraj. Już miała się położyć, kiedy ciotka zagoniła dziewczynę do mycia podłogi. Drugi dzień świąt, to się nabrudziło. Prawie policzkiem po tej podłodze sunęła, aż zapach zapastowanego drewna uderzył jej do głowy. Tak ją oszołomił, że jakoś skończyła.

No i dodrapała się wreszcie po wysokich schodach. Ledwo sięgnęła do dzwonka, a drzwi otworzyły się natychmiast.

— Kapelusze. Od modystki przyniosłam — wysapała z trudem.

Błada, wymoczona jak w ługu służąca odebrała pudła bez jednego słowa i zamknęła drzwi przed samym nosem Anieli. Choćby się pół kubka wody napić dali. Nie było szansy poprosić.

A ta sra wyżej niż dupę nosi, pomyślała dziewczyna o służącej. Coraz wyżej ten fartuch wiąże, a widać jak pod nim bęben rośnie. Zaraz ją i tak pewno wyrzucą. Może jej dozorca w końcu dogodził. Od własnych zgryźliwości i czyjegoś nędznego losu jej samej się poprawiło. Chociaż jednak nie, nie bardzo. Musiała przysiąść na chwilę na schodach.

---

<sup>4</sup> W gwarze poznańskiej: ślamazara, niezdara.

Na górze ktoś grał na fortepianie. Mocno, temperamentnie, głośno. Pięknie grał. A z pięknem Aniela nie miała zbyt dużo do czynienia. Zazwyczaj niewiele. Tyle, ile sobie uszczknęła podczas tego roznoszenia. Wtedy specjalnie przystawała na klatkach schodowych, na podestach. Słuchała, zamykała oczy. Mogłaby tak siedzieć i siedzieć, ale zwykle musiała biec. Miała swoją ulubioną kamienicę i klatkę schodową. Tam zawsze ktoś grał w mieszkaniu na ostatnim piętrze. Schody na strych były jej lożą koncertową. Wyciągała ręce przed siebie i przeciągała przez palce wyimaginowane wstążki, gładziła niewidzialną miękkość i odpychała nieistniejącą twardość. Jakby muzyka wchodziła do głowy i wychodziła rękami. Aniela skradała się na te schodki po cichu, ale zdarzało się, że ją nakryli. Zawsze znalazła się jakaś wymówka: że źle się poczuła, że głodna, że nie chciała tak wychodzić, żeby się ludziom pod nogi nie zwalić. I zawsze znajdował się dla niej kawałek chleba, a czasem nawet kubek mleka do tego.

Dziś nie miała czasu na słuchanie muzyki. Schodziła wolniutko po schodach, bo serce jej kołatało. Czuła, że z kluki<sup>5</sup> leci jej katar, a nawet chustki nie wzięła ze sobą. Poradziła sobie jakoś rękawem. Brało ją przeziębienie. Głód skręcał. Chyba już trzynasta. Mówią, taki już twój los, a ona się na ten los wścieka i chyba się będzie tak do końca życia wściekać.

Jeszcze to! Kiedy wyszła z bramy, wpadł jej pod nogi kejter<sup>6</sup>. Zmora domokrążców. Szczekliwy i napastliwy, nie chciał za nic odstąpić. Już się nawet przymierzał do chapnięcia.

— Spokój! Do nogi! — zawołał go ten sam szczun, co się naraszczal<sup>7</sup> z pomocą, a pies od razu posłuchał.

---

<sup>5</sup> W gwarze poznańskiej: nos.

<sup>6</sup> W gwarze poznańskiej: pies, kundel.

<sup>7</sup> W gwarze poznańskiej: napraszać, przygotowywać, zamierzać.

Wreszcie. Byle teraz dojechać do placu Wilhelmowskiego. Resztę przejdzie pieszo. Gdy z tramwaju dochodziła do Bazaru, zobaczyła tłum ludzi. Nawet dzieci. Z chorągiewkami. Przyszli pod okno, z którego poprzedniego dnia przemawiał Paderewski. Dla Anieli przyjazd mistrza oznaczał, że ma dwa razy szybciej przebierać nogami, dostarczając poznaniankom pilne zamówienia, i że pewnie będzie wkrótce musiała najeść się wstydu, gdy jej podkład przecieknie i jeszcze za nią pokapie. Jedyne dobre w tym dniu było to, że Poznań trwał jeszcze w świątecznych emocjach. Przede wszystkim tych związanych z przyjazdem mistrza. Może napiwki będą hojniejsze. Poznańskiej oszczędności doświadczyła Aniela aż nadto. Ile trzeba się jeszcze nabiegać, ile kroków zrobić? Każdy z nich to zawsze bliżej do tej Ameryki. No, ta Ameryka. Ta Ameryka. Daleko do niej jak do samego raj. Pierwszy raz usłyszała o niej od ciotczynych modystek. Mówiły cicho, aby tyranka chlebobawczyni ich nie usłyszała. Aniela tylko nadstawiała uszu i łowiła uważnie każde słowo. Mówiły, że mają dobry fach. Akurat, aby wyjechać. Że jest tam zupełnie inne życie, że można szybko na swoje pójść. Byle tylko na ten bilet odłożyć. Długo, bardzo długo płynie się statkiem, a potem jest wielka niewiadoma, bo zawsze mogą do Ameryki nie wpuścić. Zupełnie jak do raj.

Ciekawe, czy mnie by wpuścili, myślała po drodze dla przyjemności. Inaczej co to wszystko byłoby warte? Ta codzienna udręka i roznoszenie pudeł... Miała jeszcze dziesięć minut drogi do pracowni. Ruszyła na szagę<sup>8</sup> przez rynek. Chociaż u ciotki tam pewnie też młyn nie z tej ziemi. Nie wiadomo, co lepsze: czy się jeszcze włóczyć po podwórkach, czas przemarnować, czy wracać. No nie, podkład przecież... I na zimnie już jej trudno było dłużej wytrzymać.

Jeszcze wczoraj ciotce wpadł do głowy pomysł na przyjazd mistrza. Nie zważając na to, żeby dni święte święcić, posłała po dwie

---

<sup>8</sup> W gwarze poznańskiej: na skos.

uczennice. Posadziła w zimnej, wystygłej przez święta pracowni i kazała im kręcić róże z bibulek oraz tiulu. Białe i czerwone. Zastosowanie tego było oczywiste. Można je w oknach wystawić zamiast chorągiewek. Z tiulu dla lepszych klientek, z bibułki dla mniej znamienitych. Cały Poznań stroił się przecież na przyjazd Paderewskiego.

Ciotka chciała pokazać się jako gorąca patriotka. To dobry czas, aby szanowne panie zaczęły do niej przychodzić nie tylko jak do wziętej modystki. Gdyby wiedziała, co te szanowne panie o niej myślały, może by i dała spokój. Tymczasem roiła sobie słodko i dokładała klientkom róże w gratisie do roznoszonych pudeł. Handlową intuicję zawsze miała. I zawsze dzięki niej wychodziła na swoje. Aniela jeszcze kilka razy będzie musiała obrócić. Nie ma co.

Bibułkowe i tiulowe kwiaty okazały się strzałem w dziesiątkę. Przy otwieraniu pakunków wybuchało skumulowane wzruszenie, już i tak mocno podkrecone przyjazdem mistrza. Ochy i achy.

W rojeniach przeszkodził ciotce zbyt głośny dzwonek. No, wreszcie przyszła. Cóż za niewydarzone dziewczynisko! Aniela wpadła do pracowni zziązana i spocona, ale nie dane jej było nawet chwilę odpocząć, bo już dostała do rozniesienia następne pilne zamówienia. Ciotka była dziś poruszona.

— Tylko parę minut, kochana ciociu, parę minutek, naprawdę. Aby się jako tako obrobić — błagała Aniela.

Ten podkład musiała wpierw wymienić, a potem zaprać. Po czasie to już plama nie puści. Na to poszedł czas. Zaraz już biegła na Jeżyce. Może nie było jeszcze piętnastej. Ta sama droga co wcześniej. Na placu Wilhelmowskim udało jej się wsiąść w tramwaj.

Jeżyce. Tu się mieszkało! Dobrze się mieszkało. Kamienice wyglądały jak bombonierki, a eleganckie poznanianki miały się jak czekoladki w tej bombonierce. Wymoszczone ślicznością. Tak Anieli wyszło z połączenia śliczności i miłości, bo nie znała niczego, co by na tym świecie przebijało te dwie rzeczy. Tyle do szczęścia dziewczy-

nie w zupełności by wystarczyło. A nawet do śmierci. No bo co ona miała? Ta Aniela. Szesnaście lat, ledwo kilka klas i pracę u ciotki, za którą tamta jej nie płaciła, jedynie wikt i opierunek gwarantowała. Bywało, że napiwków nie odbierała. Dziewczyna miała urodę pasującą do sytuacji życiowej. Chuda, klatka piersiowa wręcz wklęsła, choćby nie wiem jak wypinała, małe dłonie jak u dzieciaka i duże stopy prawie jak u mężczyzny. Myszowate włosy, usta zaciśnięte — uparte, krnąbrne. No i te oczy. Oczy miała piękne, jakby diabeł w nich cały czas ogień palił i do pieca podkładał. Te oczy miały swoje życie. Była w nich niemal namiętność. Najwięcej, czego miała, to marzeń. Marzyła sobie na przykład, że rodzi się jeszcze raz. W takiej jeżyckiej zasobnej rodzinie, która w niedzielę ubrana jak spod igły zawsze prosto z kościoła maszeruje po słodkie. Och, słodkie... Lepiej jednak o tym nie myśleć. Jaka ona głodna była! Mogła sobie jakąś sznytkę<sup>9</sup> z kuchni zabrać. Zjadłaby teraz w drodze. Marzyła tak bardzo, że prawie wleciała na latarnię.

— Tu trzeba skręcić w bok przecież, gilejzo — skarciła się sama.

Pod tym adresem mieszkała znajoma poznańska rodzina. Stała klientela. Prosta sprawa, nic więcej niż oczami przewrócić, powzdychać, że tak ładnie tu mają z tą choiną wielką na podwórzu od oficyny, że ona w święta w domu nie była (chlip), tylko jak zwykle za kuchnią (chlip, chlip), co zresztą wszystko było prawdą. I jeszcze łąza tak jej ładnie po policzku pocięła. W tym była dobra. Tak dobra, że dostała napiwek i jeszcze kawał świętecznego makowca zapakowany porządnie. Prawdziwy kawał do zabrania.

Najmilsze do dawania były jednak kokotki. Chodziła do nich czasem na klejdry<sup>10</sup>. No, z kapeluszymi przede wszystkim. Kokotki chętnie słuchały, jak się wiedzie paniom z towarzystwa. Nie były to,

---

<sup>9</sup> W gwarze poznańskiej: kromka.

<sup>10</sup> W gwarze poznańskiej: plotki.

broń Boże, jakieś tam byle ulicznice, ale te utrzymane na bogato jak unurzany po całości w glancu pączek z cukierni od Nowaka. Znaczący porzundnie.

A bo też, jeżeli chodzi o słodkie, to same lubiły i jadły aż do przesytu. Od tych słodczy rosły im miłe i ciepłe krągłości, przez co miały pieniądze i na kapelusze, i na stroje, i na słodczyce, i nawet na gramofon. Były też aktorki, śpiewaczki. Dobre klientki. Eleganckie, śliczne. Szczupłe. Te z pieniędzmi stały różnie. Chociaż od nich też skapywało Anieli całkiem przyzwoicie. Jedna z nich kiedyś pogłaskała ją po policzku i dała banknot.

— Masz. Też byłam biedna — powiedziała.

Ale za to jaka ładna, myślała dziewczyna z goryczą.

Potem to już specjalnie kulila się w sobie w taką bidulkę. Wiedziała, że wtedy więcej dadzą. Jednak głupio jej z tym było. Wolałaby tak bez łaski, żeby ją ciotka wdroyła do swojego zawodu i płaciła jak innym. Nie zapowiadało się. Aniela talentu do rzemiosła nie miała, ale do dramatu owszem. I to całkiem spory. No i trochę spryciara z niej była. To prawda.

Z myśli o czyjejś hojności wyrwał ją niespodziewany widok. Nagle tuż przed nią objawił się tłum. Widziałaby go wcześniej może, gdyby nie gapiła się tak intensywnie w lewy but. Niedbale, na szybko naprawiony, właśnie zaczął się rozklejać. Tłum szedł środkiem ulicy. Właściwie był to pochód, bo równy i zorganizowany. Niemcy — twarze czerwone, wściekłe. Pięty waliły, aż się po bruku wściekłość rozkładała i szła dalej na pobliskie ulice. Pruska wścieklica. Niemcy się wkurzyli. Na Polaków. I teraz szli, aby im pokazać. Szli na tych głupich, bezczelnych Polaczków, którym się we łbach wczoraj porzwyrało. I to wszystko od jednego przemówienia? Ten Paderewski... Kto to jest? Muzyk? Polski muzyk? Przecież to sprzeczność! Muzyka to doskonałość, Niemcy to doskonałość. Niemiecka muzyka to doskonałość. Z czym Polacy chcą się równać? Tak mówili Niemcy



i myśleli do taktu. Bismarck miał rację. Co to za naród bez swojego państwa? Zresztą dać im państwo... Co oni z nim zrobią? Zmarnują. No, jak się mogli ośmielić? Skąd się ta śmiałość wzięła? Tak Niemcy myśleli, tak między sobą mówili. Takie myśli w każdej głowie i tupot nóg. Nóg bardzo porządnie obutych.

Aniela struchlała i wpadła do najbliższej bramy. Całe szczęście, że była jeszcze otwarta. Jak teraz wróci? Ściemniło się. Latarni nie zapalono. Zupełnie jak wczoraj. W poznańskich domach było światło we wszystkich pokojach, ale nie dało się tym rozproszyć mroku ulicy<sup>11</sup>.

Tymczasem gdy Aniela biegła po Jeźycach, jej ciotkę niespodziewanie porwał przedpowstańczy wir. Być może sprawiły to tiulowe róże, być może raczej nieszczęśliwy fakt, że młoda żona jednego z poruczników właśnie dziś dostała silnej gorączki. No i wszystko się pokomplikowało. Czas zaczął zbyt szybko uciekać. Ktoś musiał coś zrobić, szybko, niezwłocznie... Kto?

Ciotka stała się fartownie powierniczką powstańczego sekretu. Stała się współniczką powstańczej misji, która... No kto to wie? Być może da jej niezwykłą szansę towarzyską. Możliwe, że w efekcie powodzenia wyniesie ją na same szczyty. Nie zamierzała jednak sama podejmować ryzyka, które ukróci tę świetlaną przyszłość. Aniela. To byłoby najlepsze rozwiązanie. Ona pójdzie.

Trzymała dziewczynę w garści. O lubieżności szwagra wiedziała od dawna. Po cichu rachowała, że prędzej czy później Aniela ucieknie z Murowanej Gośliny i sama do niej przyjdzie. Małomiasteczkowa uległość i pokora to były atuty, tyle że trzeba ją w tej pokorze utrzymywać. Nie chwalić, a ganić. I tak nie ma gdzie iść. Nie wróci do domu. A tu co? Może jedynie na ulicy wylądować. Na swoje uspra-

---

<sup>11</sup> Prusacy zemścili się na Polakach za wolnościowe nastroje w ten sposób, że nie zapalili ulicznych latarni. Poznaniacy w odwecie zrobili, co mogli, oświetlając maksymalnie własne mieszkania.

wiedliwienie ciotka miała, że los Anieli w rodzinnym domu mógłby być znacznie gorszy. Gdyby, nie daj Boże, zaciążyła przez ojca, pozostałoby jej tylko szukać pomocy u szemranej akuszerki. Tyle że mało która dobrze na tym wychodziła. Mogłaby równie dobrze pełnoletności nie dożyć. A tu proszę, dobrodziejka o wielkim sercu wyciągnęła do niej rękę. Nie wiedziała, że Anielę wypędziły z domu rodzinnego też inne rzeczy. Dorastająca dziewczyna nie mogła już znieść lamentów matki. Tego wiecznego powtarzania:

— Pranie, sranie na okrągło. Pranie, sranie na okrągło.

I ona doczeka podobnego losu. I sama będzie powtarzać o tym sraniu, praniu... Tylko w łeb sobie palnąć. Gdyby wiedziała, jak u ciotki będzie, być może nigdy nie uciekłyby z rodzinnego domu. Albo uciekłyby gdzie indziej. Kto wie?

Tymczasem jakoś wróciła z tych Jeżyc. Zmęczona niemiłosiernie, umordowana, przerażona. Jeszcze jej się trzęsły kolana na myśl o pruskiej wścieklicy, a chlebobawczynie już złapała ją twardo za rękę i pociągnęła do mieszkania. Uścisk miała mocny. Zamachnęła się krucyfiksem niemal teatralnym gestem. Nie, aby uderzyć. Zamaszystość miała dodać grozy, powagi i w razie czego obietnicy kary. Widocznie również kochała się w dramacie. A jakże, bo w rzeczywistości miała pospolitą duszę handlarki. Krucyfixs objawił się tuż przed samą twarzą dziewczyny. Prawie nim w nos dostała.

— A teraz połóż rękę na krzyżu. Obiecuj, że nikomu nie powiesz i zrobisz, co każę. Zaraz będzie się tu działo! Jezus Maryja, strach myśleć, co będzie. Wszyscy szykują się do powstania. W całym Poznaniu wrze jak w ulu. Zanim się to wszystko na zicher<sup>12</sup> zacznie, musisz szybko oblecieć domy. Zbieramy biżuterię. Na wspomnienie powstania! — Wpadła w egzaltowany ton, chociaż sama tak naprawdę nie planowała niczego dawać.

---

<sup>12</sup> W gwarze poznańskiej: na pewno, na dobre.

— Ciociu, błagam, nie każ mi iść. Proszę, nie pójdę... — Aniela wrywała się, wykręcała rękę, ale ta trzymała ją mocno.

— Tu masz wypisane adresy. Weźmiesz dla niepoznaki dwa największe pudła i pójdziesz do każdej z tych pań. Jak cię ktoś zatrzyma, łatwo się wytłumaczysz. A tego, co ci dadzą, masz strzec bardziej niż samej siebie. Jeśli zgubisz, to się od kary boskiej nie wywiniesz! — Nie odmówiła sobie pokazania władzy nad siostrzenicą. — A teraz zakładaj halkę. Patrz dobrze: na dole jest zakład pozaszywany w woreczki. Jak się jeden zapełni, od razu ściągasz tasiemką.

Aniela nie wiedziała, że uszyto dwadzieścia takich halek na tyleż rejonów Poznania podzielonych skrupulatnie, z przyporządkowanymi adresami i nazwiskami. Cały plan wymyśliła jej imienniczka, inna Aniela. Nawet te zmyślne halki z sekretnymi woreczkami. A ta nasza jeszcze trochę poprotestowała, ale tylko dla niepoznaki. W głowie urosła jej pewna myśl: przecież to jak wygrana na loterii! Niespodziewany uśmiech losu!

Trzeba działać z rozmysłem...

— Weź ten list — ciągnęła ciotka. — Spójrz, kto go napisał. Jak nie wiesz, trudno, tu... — Ugryzła się w język, albowiem nie była to dobra chwila, by wyzywać Anielę od tumanów. Chociaż chętnie by sobie ulżyła. — A ten list włóż na piersi pod halkę. Tylko gdy będziesz wyjmować, to na osobności, żeby nikt nie widział, w jakich to się łachach nosisz. — Niecierpliwie złożyła list w mały kwadracik i siłą wcisnęła dziewczynie do ręki.

Mam takie, jakie mi sama dajesz, pomyślała Aniela, ale nic nie powiedziała, albowiem nie była to dobra chwila, by się ciotce sprzeciwić i wypuścić z rąk taką okazję.

— Jak już wszystkie odwiedzisz, pójdz do hotelu Royal i poszukaj tego człowieka. Jemu oddasz to, co zbierzesz. Tu masz nazwisko. Zapamiętaj. Wracaj szybko. — Te słowa miały wystarczyć za „uwagaż na siebie”, „z Bogiem” lub choćby „powodzenia”.

Aniela była sprytna. Od dwóch lat biegała z kapeluszami po mieście. Zawsze na szagę. Rzecz jasna z braku czasu. Ale była też z niej prawdziwa miejska powsinoga. Wiedziała, gdzie i przez jakie podwórka przejść, by ominąć kwartał ulic. Czasami trzeba było wspiąć się na mурowany płot, ale ona była szczupła i gibka. Szybko ułożyła sobie w głowie plan, gdzie pójdzie najpierw, a gdzie potem. Jak przemknie, aby jak najmniej poruszać się głównymi ulicami miasta.

W Poznaniu były już regularne oddziały powstańcze. Na Garbarach przed kamienicą stała grupa skautów. Co rusz dochodzili do nich następni. Same przystojne chłopaki, tyle że Anieli nie było w głowie na nich teraz patrzeć. Szła ostrożnie. Trzymała się blisko kamienic. Postanowiła, że w razie czego schowa się do bramy. Już świstało kulami. Już leciały szyby. Dawno porzuciła pudła z kapeluszami niesione dla zmyłki. Trudno, ciotka jej przecież za to głowy nie urwie. Zresztą jeśli się wszystko powiedzie, być może już jej nigdy nie zobaczy.

Aniela postanowiła, że nie pójdzie tym razem przez plac Wilhelmski. Pobiegnie przez Garbary aż do Wildy, a z Wildy na Łazarz już będzie blisko, tyle że kawał przejdzie w zupełnej ciemnicy. Po drodze nie będzie oświetlonych domów. Potem powinno być łatwiej, planowała. Wszystkie adresy były blisko siebie. Byle tylko bogaczki dawać chciały. Wydawało się to mało prawdopodobne.

Jednak list, który miała przy sobie, otwierał szkatułki z biżuterią. „Od dziś, moje panie, stroimy się w wolność” — tak było w liście. Cóż zrobić wobec takich słów? Wezwanie otwierało sekretarzyki i tajne szufladki z frymuśnym zamknięciem. Sam kluczyczek czasami wyglądał jak biżuteria. Poznanianki, jakby ktoś je omamił, dawały obrączki, bransoletki i naszyjniki. Wszystkie ze złota. Wszystkie cenne. Bogactwo w takim naszyjniku pewnie jest ogromne, gorączkowała się Aniela, napełniając sekretne sakiewki przy halce. W dziewczynie tliła się radość. Sprytnie nie dała niczego po sobie poznać. Na

zewnątrz powaga wyuczona na szybko. Jak zawsze uległość. Nieważne czy oni mądrzy, czy głupi. Istotne, że i do niej wreszcie uśmiechnął się los. Wreszcie jest rekompensata za to, że nie ona w niedzielę na słodkie chodzi, nie dla niej eleganckie stroje, miłe słówka i życie, jakie inni mają.

Poznań pachniał wolnością, ale dla Anieli pachniała ona jednak inaczej. W pierwszej nucie — głowy: miło, słodko, przyjemnie, bo dostatnio. W drugiej nucie — serca: mocniej i głębiej. Była to wolność od upokorzeń i służalczości, od cichej zawiści i gniewu, które miała w sobie. Wolność od bycia biedakiem.

Nie rozumiała, dlaczego tak łatwo rozsądne poznaniarki oddawały własne klejnoty zapyziałej chudzinie o zapadłych policzkach. Przecież jeszcze niedawno zamknęłyby jej drzwi przed nosem. Ale tego dnia wszystko stawało się inne. Poznań tracił poznański rozsądek. Być może są takie uczucia, tak mocne, tak wspólne, tak równe w swoim natężeniu, że pozwalają na to, co niemożliwe, odważne, wręcz brawurowe.

W wielu domach kobiety płakały. Różnie. Albo po cichu, albo głośno. Rozpaczały ze strachu o mężów, synów, ojców, którzy tak niedawno wyszli z domu i nikt nie wiedział, czy jeszcze do niego wrócą. W tej zbiorowej hysterii zdejmowały z siebie ulubione kolczyki i ślubne obrączki. Kiedy się poszło do powstania męża, dzieci i wnuki... Jednym słowem, jak się postawiło na szali taką stawkę, każda następna wydaje się już bagatelna. Aniela tego nie rozumiała, bo oprócz siebie, życie nie dało jej nikogo do pokochania.

A podłożenie przy halce robiło się coraz bardziej błyszczące, ciężkie i grube.

Oprócz tego, że kobiety płakały i zdejmowały do oddania biżuterię, to szykowały sznytki. Góry sznytek. Zwłaszcza u Kaczmaraków, tuż przy samym Rynku Łazarskim szykowanie szło pełną parą. W kuchni nie było już tyle miejsca, więc praca przeniosła się do salo-

nu. Na angielsce ustawiono wielkie gary, w których topił się smalec. Obok smażyła się cebula z wędzonką krotoszyńską. Jakby tego było mało, bulgotał ogromny gar bigosu. Niemiłosierny smród roznosił się po amfiladowym mieszkaniu, tyle że jakoś nikt nie zwracał na to uwagi. Wszystko szykowano do powstania. Sznytka powstańcza wielkopolska. Ze smalcem, cienko pokrojonym kiszonym ogórkiem i cebulą w środku. No i jak łyzy, to jeszcze posolona. Wszystko szło na punkt niedaleko dworca. Poznanianki rozumnie podzieliły się karmieniem powstańców. Rozumnie, bo dla świeżości jedzenia im krótszy transport, tym lepszy. Nic dziwnego, że Łazarz obsługiwał okolice dworca, a za parkiem — aż do Jeżyc — szła aprowizacja na Ławicę.

— Dziecko, ale się trzęsiesz! — Kaczmarkowa była zącną kobietą. Jak wzór z Sèvres nadawała Łazarzowi ton. — Wejdz do kuchni i ogrzej się. Zostało nam trochę sosu spod pieczeni. Wytrzesz sobie kromkę. Nie przyjmuję odmowy!

Był to już przedostatni dom na liście. Aniela pomyślała, że czemu nie, skoro zapraszają. Czowała się źle. Zmarzła. Halka ją wprawdzie parzyła i gnała jak najdalej, ale cóż... Zje, przysiądzie i może się zastanowi. Bo wcale pewna nie była, co ma dalej robić.

Kaczmarkowa rozejrzała się po kuchni. Bezwiednie dotknęła kołnierza z koronki, z którego przed chwilą odpięła śliczną kameę. Być może też chwilę pomyślała o swoim cacku, bo nosiła je jeszcze jej matka, i zaordynowała:

— Przyniesie Zofia prześcieradła lniane. Potniemy każde na cztery części. W to popakujemy posiłki. Zjedzą, odeślą, to wykorzystamy na nowo.

— Do każdego tłumoczka dołoży się papier i ołówki. Listy napiszą, to się po domach poroznosi — planowała zadowolona, że jest tyle do zrobienia, a przez to mniej do rozmyślenia.

Na odchodnym pogładziła dziewczynę po włosach niemal z tą samą czułością jak ciotka kasztanowe loki Meli.

— Bóg z tobą, ale swoją drogą i tak uważaj na siebie. Gdyby tak lata ostatnio na mnie nie weszły, sama bym zaniósła.

— Może by i sznytki wzięła? — Kucharka się odważyła.

— Wanda zanieś. To ustalone.

— Boże, tylko nie panienka Wanda, proszę, ja sama... — Kobieta wpadła w płaczliwy ton.

— Zosiu, postanowione. — Kaczmarkowa odwróciła się i wyszła z kuchni. Nie wchodziła z nikim w dyskusję. Nigdy. Tym bardziej ze służbą.

Kucharka widać była przyzwyczajona, bo zaraz zabrała się do pilnej roboty. Bez rozprawiania.

Ale przedtem postawiono przed Anielą talerz pełen sosu, sznytek i nawet niedorobionego jeszcze bigosu. Już prawie był zdatny.

— No jedz. Na głodnego to trudno po ulicy iść, a co dopiero do powstania.

Aniela przez tych kilkanaście minut, kiedy łapczywie pochłaniała w solidnej kuchni jedzenie, czuła jakąś nierealność tego wszystkiego. Jakby rzeczywiście szła do powstania i jeszcze miała je za wszystkich wygrać. A ona po prostu chciała dać nogę. Zwyczajnie uciec. Od wszystkiego. No i co zrobić?

Wychodząc od Kaczmarków, przystanęła na klatce schodowej. Odetchnęła głęboko i przyłgnęła do ściany. Mur był piękny, wymalowany w pejzaż. Drewniana poręcz zawijała się wymyślnie. Tak można mieszkać. Codziennie chodzić po takich schodach. Serce Anieli wyrywało się do lepszego życia. Wyrywało się do nikczemności. Przez głowę przelatywały myśli. Jedna goniła drugą. Jak takie myśli rodzą się w głowie? Oto została wystawiona na pokuszenie. W zwykłej, płóciennej halce miała bogactwo, które mogłoby jej zapewnić zupełnie nowe życie.

Z Łazarza do rogatek Poznania było już niedaleko. Byle się stąd jak najszybciej wydostać. Uwolnić od tego niespokojnego miasta.

Niewiele trzeba, aby zdobyć upragnioną wolność. A właściwie ją ukraść. Zaledwie jedna decyzja. Plany powoli zaczęły się same układać. Sprzeda to jakoś. Powolutku, po cichu, po jednej sztuce. Kupi bilet do Ameryki i będzie już hen, daleko. Zostawi sobie na pamiątkę kolczyki z niebieskim kamieniem, które tak ładnie zdejmowała tamta kobieta. To zdejmowanie poruszyło w Anieli szczególną tęsknotę. Widać było, że dla właścicielki nie są to zwyczajne błyskotki. Może podarował je mąż lub narzeczony. Może były prezentem z miłości. Aniela schowała sobie w głowie ten obrazek. Eleganckie pochylenie głowy, zgrabne, miękkie wygięcie ramienia. Niby nic niezwykłego, ale może sama kiedyś taka będzie. Z tymi myślami wychodziła z bramy.

— No tej, uważaj!

Rozsypały się w mig pragnienia i tęsknoty. Jak rubinowy naszyjnik. Nic dziwnego, skoro rozerwało sam środek pragnień. Serce? Skąd, gdzie tam serce! W sam środek głowy trafiło. Wszystko przez tego nieszczęsnego szczuna, zwykłego ejbra<sup>13</sup>, który — no taka okazja, no wyjątkowo — wyprosił od brata broń. Tak bardzo chciał chociaż raz potrzymać...

Chwila w tę lub w tamtą. Co by było?

Gdyby na przykład już wcześniej zabrała sobie to bogactwo. Może, jak przepowiedziała ciotka, czekałoby ją potępienie wieczne. Kto wie, jak to jest naprawdę z wiecznością i potępieniem? Zanim zostałaby potępiona, byłaby też niewątpliwie żywa i według swojego wyobrażenia: bogata. Prawda i to, że co wydaje się grzechem, może być nawet śmiałością, brawurą. Część pragnień była w zasięgu ręki. Pragnienie o Ameryce, o dostatku i elegancji. Ale też pragnienie, aby ktoś zobaczył Anielę taką, jaką siebie miała w głowie. Nikt nie wie, jaka była spragniona.

---

<sup>13</sup> W gwarze poznańskiej: łobuz.



Nie wiadomo dokładnie, co się stało z cennym darem ukrytym w halce. Czy przetopiono daty, inicjały wygrawerowane w kruszcu? Gdzie trafiły śliczne kolczyki z szafirami? Te, które chciała zostawić sobie Aniela.

W każdym razie po cichu poznanianki puchły z dumy, że dzięki nim powstanie się udało. Chociaż jak to kobiety, były na drugim planie. Tak naprawdę zatem wstyd mówić, a tym bardziej się chwalić. Ani tu wielkiego bohaterstwa, ani wielkiej odwagi, więc się głośno nie chwaliły i zapomniały. Najważniejsze, że się udało. Nad Poznaniem jakby ktoś przekłuł balon wypełniony helem. Przez jedną chwilę i śmierdzący przetrawionym podłym napitkiem stróż, i elegancki radca byli zjednoczeni w euforii. A potem wszystko zaczęło wracać do normy.

\* \* \*

Wszystko przeszło. Potem była jeszcze jedna wojna. Świat spał. Chciał się niby polepszyć, a spał do końca. Wszystko, co się dobrze wspomina, przeminęło. Wszystko oprócz pragnień. Jeśli pójdziecie na Łazarz, tam, gdzie się pragnienia Anieli ostatecznie rozsypały, jeśli staniecie przy kamienicy zaraz na końcu lewej pierzei rynku, dwa kroki od bramy, jeśli zamkniecie oczy, to może je poczujecie. Jakie to będą pragnienia? Tego nie wiem, ale mówią, że wychodzą z człowieka jak z otwartej szafy. Choćby stare i zapomniane. A jak wychodzą, to tak mocno, jakby szły prawdziwe poty. Z prawdziwą gorączką. I uwaga: można się nigdy z tej gorączki nie wyleczyć.



Jagoda Jabłońska

**Poczytaj mi, dziadku**

➤ Sklep obuwniczy w Zbąszyniu po przyłączeniu miasta do Polski (symbole narodowe w oknie wystawowym: flaga, godło). Rok 1920.

**S**tyczeń, rok 1960. Księżyc w pełni, zabawiając gwiazdy, dumnie rozsiadł się na niebie. Chodzież — jedno z miast, nad którym czuwał — wydawała się cicha i spokojna. Nagle do dużego ciemnego pokoju pewnej kamienicy wpadła smuga światła. Mała gwałtownie uniosła powieki. Rozejrzała się podejrzliwie. Upewniwszy się, że reszta rodziny jeszcze śpi, rozbudziła się i nabrała ochoty na nocne zwiedzanie.

W zakurzonej pomieszczeniu znajdowało się dużo staroci: wysokie meble, zużyte zabawki, wyblakłe dywany oraz inne porzucone przedmioty, które ją fascynowały. Uważała, że każdą rzecz otacza wiele ciekawych opowieści wartych odkrycia. W pewnym momencie oparła się o czarny guzik starej maszyny do pisania. Zamarła, słysząc wydany przez nią dźwięk. Stuknięcie mogło obudzić mamę, a to nie miało prawa się wydarzyć. Na pewno zabroniłaby jej dalszej zabawy.

Mała przeczekała kilka sekund w bezruchu, analizując sytuację. Na szczęście mama nie opuściła objęć Morfeusza, więc córka wróciła do wcześniejszych zajęć. Skacząc po podłodze, natknęła się na coś, co szczególnie przykuło jej uwagę. Spojrzała przepęlniona ciekawością na czerwoną książeczkę. Bez zastanowienia podfrunęła do swojego brata, szepcząc:

— Jacek, obudź się! Musisz to zobaczyć!

— Co znowu? Wiesz, która jest godzina? — zapytał zaspany i powoli otworzył brązowe oczy.

— Jest noc. A ja znalazłam książkę.

— Nie zachowuj się, jakbyś nigdy nie widziała... — Zawiesił głos. — Zaraz, zaraz. Znowu buszowałaś po strychu?

— Ty nic nie rozumiesz. To książka dla nietoperzy! — Postanowiła nie odpowiadać na zadane przez brata pytanie. Zamiast tego wyciągnęła do niego czarne skrzydło w geście zachęty. — Chodź, pokażę ci.

Jacek niechętnie rozciągnął rude ramiona i postanowił zobaczyć intrygujący przedmiot.

Znaleźli się na krótko strzyżonym, szarym dywanie. Leżący przed nimi czerwony przedmiocik rzeczywiście różnił się od tych, które widzieli wcześniej. Zazwyczaj książki były większe od nich. Miały też dużo ciężkich stron. Do ich przełożenia potrzeba było minimum dwóch dorosłych nietoperzy. Ta miała zaledwie dwie i niewiele treści. W dodatku Jacek nie miał problemu ze swobodnym otwarciem okładki.

— Interesujące! — Nie krył zdziwienia. — To chyba naprawdę książka. Ciekawe, o czym w niej napisali.

— Myślisz, że po co cię obudziłam? Jesteś ode mnie starszy. Ja jeszcze nie umiem czytać.

Brat dumny ze swojej umiejętności zaczął rozszyfrowywać znaleziony tekst:

— Legity... Legitymac... Legitymizacja! — wykrzyknął zadowolony z efektu podjętej próby.

— Legitymacja, jeżeli już. — Usłyszeli niski, ochryply głos, którego właściciel powoli wynurzył się z cienia.

— Co tu robicie, dzieciaki? — zapytał stary brunatny nietoperz. Jego głowę zdobiły liczne siwe włoski.

Dzieci podskoczyły przestraszone.

— Ja... To znaczy my... — Zaskoczony młody zaczął się miotać.

— Znalazłam coś nietypowego i poprosiłam Jacka o przeczytanie tekstu. Może mógłbyś nam pomóc, dziadku? — Mała dzielnie przejęła próbę wytłumaczenia.

Dziadek spojrział podejrzliwie, najpierw na wnuki, następnie na intrygujący ich czerwony przedmiot, po czym powiedział:

— Wasza matka nie może się dowiedzieć, że biorę w tym udział.

Mała zgodziła się na ten warunek i mocno przytuliła krewnego.

Nietoperz w podeszłym wieku dokładnie i w wielkim skupieniu przejrzał znalezisko. Szybko zorientował się, że wie, co to jest i do kogo ten tajemniczy przedmiot należał.

— Józef Kozak. Kojarzycie to nazwisko?

Dzieci przecząco pokręciły głowami.

— To źle, bardzo źle. Najwyższy czas, żebyście poznali właściciela domu, w którym się urodziliście.

— Przecież ludzi jest na świecie dużo więcej niż nietoperzy. Dlaczego mamy ich wszystkich zapamiętywać? — Jacek nie rozumiał dziadkowego strapienia.

— Nie denerwuj mnie, chłopcze. Nie każę ci zapamiętywać wszystkich — rzucił zbulwersowany nietoperz. — Tak się składa, że jesteśmy ogromnymi szczęściarzami. Pan Kozak był bardzo znaną i cenioną postacią nie tylko w naszym mieście. Dyrygent, dziennikarz, wydawca, patriota, a nawet — wziął głęboki oddech — powstaniec!

Zapadła cisza. Słowo wypowiedziane przez dziadka z powagą i dumą ciężko zawisło w powietrzu. Rodzeństwo wpatrywało się w siebie nawzajem ze zdziwionym wyrazem twarzy, aż w końcu Mała zadała nieśmiałe pytanie:

— Mógłbyś nam o nim opowiedzieć?

— Oczywiście! Z przyjemnością! — Na jego twarzy malował się troskliwy uśmiech. — Początkiem tej historii podzielił się ze mną

ojciec — wyjął i wziął głęboki oddech. — Józef Kozak urodził się w Morzewie, blisko Chodzieży. Kiedy miał siedemnaście lat, wyjechał do Bonn i Düsseldorfu. Gdy przebywał w Niemczech, żywo zainteresował się „sprawą polską”. Po kilku latach został nawet dyrygentem polskiego chóru w owym Düsseldorfie. Kochał ojczyznę i chciał pomóc jej się usamodzielnąć. Czuł, że kończy się wielka wojna, i zarazem spodziewał się okazji do zmiany sytuacji, w jakiej znaleźli się Polacy. Słyszałem, że potem było powstanie.

— Co to? Co to jest? — zacięła się wnuczka.

— To zbrojne wystąpienie jakiejś grupy w celu obrony tego, na czym jej zależy. W tym przypadku Polacy pragnęli wolności — wytłumaczył dziadek. — Powstanie wielkopolskie, bo dotyczyło terenów Prowincji Poznańskiej w Wielkopolsce, wybuchło dwudziestego siódmego grudnia 1918, a trwało aż do szesnastego lutego kolejnego roku. Pan Kozak wziął w nim udział. To jedno z niewielu wygranych powstań w dziejach Polski.

— Bohater! — Poderwała się zachwycona Mała.

— Zgadza się! A to niejedyna z jego zasług dla narodu. Przez wiele lat był wydawcą i redaktorem naczelnym dwóch lokalnych dzienników: „Kresów Zachodnich” i „Naszej Chodzieży”. Celem pierwszego z nich było szerzenie polskiej mowy, pisma i samej idei polskości. Dziennik ten powstał po włączeniu regionu nadnoteckiego w granice odradzającego się państwa polskiego. W trakcie aktywnej germanizacji, czyli narzucania języka i kultury niemieckiej, takie przejawy walki były niezwykle potrzebne. W 1930 roku nasz bohater zaczął wydawać drugi tytuł, o którym wspominałem. Ta gazeta była skierowana głównie do mieszkańców Chodzieży. Musicie wiedzieć, że czasy dwudziestolecia międzywojennego odznaczały się ogromnym zapotrzebowaniem na wszystko, co polskie, dlatego patriotyczne treści motywowały czytelników i dawały nadzieję na lepsze jutro.

— Niesamowite. On mieszkał w naszej kamienicy — wyszeptał Jacek, łapiąc się za rudą głowę.

— A to już zdecydowanie smutniejsza historia. — Dziadek spuścił wzrok. — Na początku w domu przy ulicy Krótkiej, w którym teraz jesteśmy, znajdował się budynek Banku Nadnoteckiego. Jego dyrektorem był ksiądz Ignacy Czechowski. Dopiero po jakimś czasie pan Kozak wykupił dom, przebudował go i dostosował na potrzeby drukarni. Tutaj wydawał swoje gazety aż do 1939 roku. Przed wybuchem drugiej wojny światowej zdążył przygotować matryce gazet na pierwszego września. Niestety, niemiecki atak zmusił go do ucieczki do Poznania i nie udało mu się wydać tego numeru. Wrócił po wojnie w celu wznowienia działalności. Wtedy jego dobytek został upaństwowiony. Skonfiskowano wszystkie specjalistyczne maszyny, na których pracował.

— To musiało być dla niego bolesne — podsumowała Mała.

— Otóż to. — Dziadek westchnął głęboko. — Po latach prowadził jeszcze w tym miejscu sklep z gazetami. Jednak nic nie było w stanie wynagrodzić mu utraconych dóbr i pracy.

— Zaraz, zaraz — zastanawiał się młodszy nietoperz. — Skąd ty to wszystko wiesz, dziadku?

— Fakt, iż posługujemy się echolokacją, nie oznacza, że nie rozumiemy tego, co mówią ludzie, wnusiu.

— To wiem — powiedział podirytowany Jacek. Poczul się tak, jakby starszy członek rodziny zaczynał traktować go jak głupca. Bardzo mu się to nie podobało. — Pytam o źródła twojej wiedzy... O tym panu Kozaku.

— Kamienica przy ulicy Krótkiej jest moim domem już długi czas. Wiele widziałem, jeszcze więcej słyszałem raz tu, raz tam. Czasami też, wylatując ze strychu letnimi wieczorami, podслуchało się to i owo, o czym rozmawiają przechodnie.

— Piękna opowieść, tato!



Nagle wszystkie trzy nietoperze gwałtownie odwróciły głowy w stronę nowego rozmówcy. Mama najmłodszego pokolenia stała przed nimi, krzyżując brązowe skrzydła na wysokości piersi. Wykrzywiła twarz w nieprzyjemny grymas.

— Cześć, mamusiu! Też chcesz posłuchać? — zapytała zmieszana córka.

— Kochanie, dobrze wiesz, że razem z bratem powinniście jeszcze spać. Musicie mieć dużo sił. Dziwi mnie, że dziadek tego nie rozumie. — Spojrzała wymownie na ojca.

— To my go poprosiliśmy — włączył się Jacek. — To są przecież ważne sprawy.

— Dzieci powinny znać tę historię nie tylko dlatego, że są lokatorami starej drukarni. To ważny relikwyt przeszłości, którym będą mogły dzielić się ze swoim potomstwem — skomentował nestor rodu. — Poza tym już kończymy.

— No dobrze, macie jeszcze chwilę. — Matka nawołującym gestem zachęciła ojca do dalszego opowiadania.

— Historię już znamy. Nie powiedziałaś nam, o czym jest ta książka — zauważyła wnuczka.

— Och, racja. Ale to nie jest książka.

Rodzeństwo po raz kolejny nie kryło zdziwienia.

— To legitymacja powstańcza. Jest to wyjątkowy dokument, który po drugiej wojnie otrzymał każdy uczestnik powstania. — Dziadek ciągnął opowieść. — Jest niepodważalnym dowodem, że to, czego wysłuchaliście, działo się naprawdę. — Zrobił pauzę na oddech i kontynuował: — Jedyne zastanawia mnie, kto zostawił tę legitymację na strychu. Pan Kozak odszedł na początku 1959 roku. Możliwe, że chciał zostawić to, co dla niego ważne, w miejscu najbardziej znaczącym dla serca.

Mama z niecierpliwością patrzyła na swojego ojca, który szybko podchwycił aluzję.

— Chciałbym jeszcze dodać, że możemy być naprawdę dumni z naszego domownika. Wspierał wolną Polskę całym sercem. Przed wybuchem powstania propagował polskość, po nim także krzepił serca tysięcy rodaków. Jego przykład pokazuje, że powstaniec nie jest jedynie wojownikiem, pionkiem na polu bitwy. Uczestniczenie w powstaniu wymaga odwagi manifestowania swoich przekonań, świadomości konsekwencji wyborów i odpowiedzialności w podejmowaniu decyzji. Powstańcem trzeba być z głębi serca, całym sobą.

Dzieci serdecznie uściskały dziadka i przygotowały się do lotu na miejsce snu. Mama z Jackiem pofrunęli już pod dach. Przed startem Małej dziadek delikatnie szturchnął jej skrzydło.

— Teraz mi się przypomniało — wyszeptał. — Jesteś już coraz większa, a niedługo podrośniesz na tyle, że wylecisz z domu. Zwróć uwagę na tablicę umieszczoną na naszym budynku. Przed laty widniał na niej napis „Drukarnia Józefa Kozaka”. Po przejściu warsztatu wielu ludzi próbowało zamalować tekst różnymi sposobami. Co ciekawe, nikomu nie udało się tego dokonać. Kształty liter zawsze wybijały się spod nałożonej farby, nie pozwalały o sobie zapomnieć.

— Ja też nie zapomnę, dziadku. Obiecuję — wtrąciła Mała. Pochyliła się, przygotowała do lotu i poszybowała pod sufit<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Korzystano z książek: *Gloria Victoribus, powstańcy wielkopolscy powiązani z Ziemią Chodzieską*, red. D. Marciniak, Towarzystwo Miłośników Ziemi Chodzieskiej, Wydawnictwo „Media” Edmund Wolski, Piła 2017 oraz: *Zasłużeni dla Ziemi Chodzieskiej*, oprac. H. Zydorczak, Miejska Biblioteka Publiczna im. Stefana Michałskiego w Chodzieży, Chodzież 2003.





Dorota Kotas  
**Biało-czerwone**

➤ Grupa chłopców w mundurach niemieckich z instrumentami, flagą oraz z bronią. W tle zdjęcia zabudowania gospodarcze. Nieznana lokalizacja. Nieznany czas powstania zdjęcia.

**W** każdą niedzielę do kawiarni na Fredry przychodzi ten sam chłopiec. Ma kilkanaście lat i T-shirt z napisem „Polska”, na który przed wejściem zakłada koszulę. Guziki zapina pod samą szyję. Zamawia senchę albo pai mu tan w dzbanku o pojemności sześciuset mililitrów i prosi o dwie filiżanki z łyżeczką. Jest przynajmniej pół godziny przed otwarciem. Zajmuje największy stół w kącie pod ścianą, gdzie bez względu na porę dnia prawie nie wpada światło. Potem siedzi dwie godziny przy potężnym niemieckim meblu z komisu. Chłopiec nazywa się Ignasz. Rodzice dali mu polskie, patriotyczne imię — wiadomo na czyją cześć. Ignasz chodzi do gimnazjum. Najbardziej lubi uczyć się niemieckich czasowników. Chciałby kiedyś studiować germanistykę, ale trochę się wstydzi tych planów, dlatego opowiada kolegom o filologii polskiej i o swojej drużynie harcerzy ZHR, a jeśli zamawia kebab, to tylko od Prawdziwego Polaka, na grubym cieście i z ostrym sosem.

Ignasz ma zeszyt A4 z twardą oprawą i okładką z orłem. Powtarza słówka zapisane w imponujących kolumnadach na każdej stronie dużego formatu. Siedzi na wysokim tronie zrobionym ze skrzynek po coca-coli ułożonych w strzelistą wieżę. Ta scenografia ma gotycki rys, a on odmawia litanie czasowników nieregularnych, które są słodką

obietnicą certyfikatu B2 i kariery w biznesie. Pali się już lampa nad półką z książkami: z przewodnikami po Poznaniu szlakiem kawy *speciality* z ekspresu i z drogimi albumami o architekturze modernizmu, którą ostatnio najmodniej jest znać. Ale chłopca to nie rozprasza, bo jego podejście do życia jest zadaniowe — wypracował je już dawno temu, kiedy był mały i postanowił, że gdy dorośnie, zostanie *power rangers*, ale koniecznie biało-czerwonym. Teraz jest dorosły i już prawie nie wierzy w bajki. Poza jedną o narodowej, białej, katolickiej Polsce. Dziadek opowiadał mu ją do snu w zestawie z legendami o husarii i o dzielnej Wandzie. Zabierał na spacerów pod tablice pamiątkowe i krzyże od Sołacza po Żegrze. To były dobre historie, dlatego Ignas nimi przesiąkł i ma teraz słabość do superbohaterów. Jego ulubiony to ten od ryb, przed którym rozstępowało się morze i którego trzeba naśladować, chociaż się nie da.

Teraz Ignas jest w Zemście i czuje się trochę nieswojo. Wie, że Jezus nigdy nie przyszedłby tutaj na cappuccino. Ale młody narodowiec wie też, że przynajmniej nie spotka w takim miejscu swoich kolegów. To go trochę pociesza. A żeby nikt nie zauważył, jak mu jest nieswojo, trzyma dłonie pod stołem odruchowo zaciśnięte w pięści. Nieco mu drżą z emocji. Nie wszędzie czuje się mile widziany. Mimo to nigdy nie rezygnuje ze swojego dress code'u, z naszywek na kurtce wojskowej, cienkich wąsów i zdjęcia z generałem w portfelu w odcieniach khaki, z którego co tydzień wyjmuje kartę płatniczą w lewackiej, anarchistycznej kawiarni, płacąc za pai mu tan. Ignas wierzy, że na tym polega niezłomność. Lubi mówić o Honorze i Dumie. To jego ulubione słowa, które najchętniej krzyczy na placach miejskich i w pochodach z racami pod znakiem Młodzieży Wszechpolskiej.

Minutę po dziewiątej z niemiecką precyzją szybkim krokiem wchodzi kobieta, która jest najtańszą native speakerką w Poznaniu. Nazywa się Ortrun i ma starą twarz. Uczy Ignasia, ponieważ go nie lubi, ale wierzy, że to dobrze na niego działa. Poza tym Ortrun w ogó-

le nie lubi ludzi i nie ma o nich dobrego zdania. To działa w dwie strony i już nie wiadomo, jak się zaczęło. W każdym razie dorośli straszą nią dzieci. Mówią, że jeśli będą niegrzeczne, to Niemka je złapie i ugotuje z nich *Eintopf*<sup>1</sup>. Kiedyś jeszcze próbowała korygować te informacje, tłumacząc, że jest weganką, ale ludzie twierdzili, że to jeszcze gorzej. Niektórzy dodawali, że powinna się wstydzić powtarzać takie rzeczy przy dzieciach, i odwracali się z obrzydzeniem. Nikt już nie pamięta, kiedy i dlaczego to się zaczęło. Pewnie bez powodu. Teraz to rutynowa niechęć. Jest coraz gorzej. Najwięcej wzdargy wychodzi z ludzi w dni święte. Wtedy Ignas przynosi swojej nauczycielce zakupy w czarnych nieprzezroczystych torebkach i szybko znika, a ona zasłania okna i nie wynurza się z mieszkania, dopóki ludzie na ulicach nie skończą świętować i nie zasną z poczuciem dobrze spełnionego najświętszego obowiązku epatowania narodową dumą.

Ortrun nie lubi Polski, ale kocha polską wódkę. To wywołuje konflikt moralny, dlatego Niemka z konieczności pije jej dużo, żeby o tym konflikcie mniej myśleć. To nie pomaga. Czuje do siebie pogardę z pewną domieszką wstydu, więc znów pije, bo nie widzi innego wyjścia. To wszystko jest bardzo wyniszczające. Ona uważa się w pewnym stopniu za bohaterkę narodową. Kiedyś w Poznaniu mieszkała jej babka. Kiedy sto lat temu zaczęło się powstanie, babka zostawiła wszystko, łącznie z polskim chłopcem, i wyjechała do Niemiec. Później mówiła, że jest już za stara, żeby wrócić. Powtarzała tak codziennie przez prawie sześćdziesiąt lat. Jednak zanim umarła, sprzedała niemiecki dom, kupiła w ciemno poznańską kamienicę i kazała skonsternowanej wnuczce wracać tam, gdzie jej miejsce. Ortrun nie miała innego pomysłu na życie. Zresztą już samo imię pochodzące od niemieckiego *das Ort*, które znaczy „miejsce”, było jej kłątwą i przeznaczeniem nadanym w dniu urodzin. Dlatego Ortrun

---

<sup>1</sup> Danie jednogarnkowe, często zupa jarzynowa z mięsem (niem.).



przyjechała do Poznania tak, jak jej nakazano. Potem codziennie mówiła, że jest już zbyt stara, żeby zamieszkać gdzie indziej. W końcu naprawdę zrobiła się za stara, żeby w ogóle się nad tym zastanawiać. Dlatego została tu, gdzie jest, chociaż nie lubi Polski.

W kawiarni siedzą przy jednym stole. Niemka i polski narodo-wiec. Ona niczego nie zamawia. Wsypuje do jednej filiżanki z herbatą bardzo dużo cukru, który zjada na śniadanie tak, jak inni jedzą owsiankę, tosty albo jajka. Podobno cukier krzepi, poza tym tu jest za darmo. A to ważne, kiedy ma się inne wydatki, na przykład kiedy trzeba co wieczór kupić lekarstwa na smutek, takie bez recepty w przezroczystych butelkach z patriotycznymi imionami Soplicy, Chopina lub polskiego legendarnego żubra. A Ignasz jest zbyt pilny, żeby zwracać na to uwagę. Chociaż brzydzi się pijaństwem, to zdążył się przyzwyczaić do zapachu rozkładającego się alkoholu. Wyznaje radykalne poglądy, ale potrafi robić wyjątki. Ma w głowie imaginarium i marzy o tym, że po studiach wyjedzie z Polski. Będzie robił w Niemczech interesy. Przynajmniej przez jakiś czas, dopóki się nie ustabilizuje i nie zarobi w euro na drzewo, syna i dom. Wierzy, że na filologii znajdzie żonę. Zabierze ją na emigrację, której razem będą nienawidzić. Ta żona urodzi mu górę dzieci. Chciałby wrócić do kraju wtedy, kiedy trzeba będzie posłać je do szkoły, by mogły nauczyć się Mickiewicza i Słowackiego, nie wyrosły na szwabów i nie zapomniały, skąd są.

Lekcja niemieckiego trwa dwie godziny. Główny temat konwersacji to wymarzone wakacje z dala od Polski. Potem Ignasz idzie do kościoła, a Ortrun do delikatesów, żeby kupić sobie coś w nagrodę oraz nabyć parówki dla suki Rzeni. Pies dostał imię na cześć Rzeszy Niemieckiej, chociaż jest z polskiego schroniska i kiedyś pewnie w ewidencji nazywał się Perełka albo Kropka. Teraz udaje niemieckiego psa, chociaż nie ma zbyt wiele z owczarka. Ortrun wierzy, że Rzenia ma niemiecką duszę i niemiecki wyraz pyska. Podobno nawet

szczeka tak jak niemieckie psy, czyli *wuff, wuff*. Ledwo powłóczy nogami, bo choruje ze starości. Jest częściowo ślepa. Boi się innych psów, które ludzie zabierają do parku i pozwalają im biegać swobodnie. Dlatego co niedzielę Ortrun ubiera Rzeni szelki i prowadzi ją na Szamarzewskiego pod kościół garnizonowy, przed którym pies robi na placu kupę w takt dzwonów bijących na Anioł Pański. To ich ulubione miejsce na spacer: jest tam spory ogrodzony trawnik świetnie nadający się na wybieg. Kiedy tam przychodzą, zaczyna się msza.

Ignas idzie do kościoła elegancko wypastowany i wyprostowany. Staje przy figurze z Jezusem, która ma gładkie, wyszlizgane od całusów stopy. Chłopiec stoi niedaleko poidełek ze święconą wodą, która jest zimna i słona. To trochę tak, jakby kamienna niecka w ścianie była zbiornikiem na lzy. Ignas czasami wkłada tam dłoń. Później, kiedy zaczyna kreślić znak krzyża od „w imię Ojca” i kiedy przenosi rękę na mostek, czyli „i Syna”, po kryjomu oblizuje palce. Stara się zbyt mocno nie rozglądać. Nie chce, żeby ktoś pomyślał, że się rozprasza, że zadaje się ze starą dziwaczką, albo że ona go obchodzi i że ma z nią coś wspólnego.

Ortrun mija ulicę Wawrzyniaka i wraca do domu. Prawie nikt na nią nie patrzy. Jest niewidzialną osobą z przezroczystym psem, który jest widoczny tylko przez chwilę, kiedy szczeka na wrony. Na dziwaków nie wolno patrzeć i ludzie o tym wiedzą. A ona jest szczególnie niebezpieczna, bo jest niemiecką dziwaczką. Ma takie spojrzenie, że można zatonać w jej oczach. Jednocześnie jest zamyślona i uważna, uśmiechająca się życzliwie i kpiąca, wesoła i nieskończenie smutna. Nosi podrabiane gumowe crocсы i sygnety na palcach. Ma na włosach plastikowe okulary przeciwsłoneczne, którymi bawi się, kiedy chodzi po Jezycach. W nieskończoność zdejmuje je i zakłada, ale nigdy nie na oczy. Wygląda trochę jak uczestniczka Top Model, ale taka pięćdziesiąt lat po finale. Albo jak dziewczyna z lakierowanej okładki, tylko że w czasopiśmie, które od lat się nie ukazuje, a jego

archiwalne numery są dzisiaj aromatyzowane zapachem piwnicy. Porusza się krokiem królowej. Czasami macha smyczą z kluczami od dużego ciemnego mieszkania w kamienicy niedaleko, w której prawie wszyscy mieszkańcy umarli na raka. Po chodniku za Ortrun wolno ciągnie się jej suka — jeden z tych psów, który wydaje się stary przez całe życie. Właścicielka wygląda tak, jakby już umarła. Ale to nic nie szkodzi, bo i tak nadal jest najpiękniejszą dziewczyną w mieście. Przynajmniej taka otacza ją aura.

Ignas myśli, że ona jest od niego starsza o minimum trzydzieści lat. Nie wiadomo, czy to prawda, bo trudno policzyć dokładnie. Oszacowana różnica wydaje mu się niewiarygodna. Stare kobiety przejmują go obrzydzeniem, chyba że nie wychodzą z kuchni i gotują rosół, stojąc w fartuchu nad garem. Nie lubi, kiedy kobiety chodzą same po mieście i kiedy się same starzeją albo prowadzą się za rękę z innymi kobietami i marnują potencjał rozplodowy tak jak Ortrun, kiedy była trochę mniej stara niż teraz. Ignas myśli, że to nienaturalne. Nienawidzi pedałów, którzy się promują i afiszują swoim homoseksualizmem na ulicy. Kiedy teraz patrzy na pomarszczoną skórę nauczycielki i na jej obwisłe piersi, które wydają mu się bezużyteczne i zużyte, czuje do niej wstręt za to, że nie urodziła Polsce nawet jednego małego powstańca, nawet jednej sanitariuszki, zero Marii Skłodowskich-Curie. Myśli, że on i ona nie mają ze sobą nic wspólnego i że ona nic nie dała Polsce. Pewnie nawet nie chciałyby umrzeć w powstaniu, a on by mógł. Mógłby umrzeć na zawołanie. Jego poczucie wyższości jest wprost proporcjonalne do tego przekonania. Z tego powodu czuje dumę. Jak prawdziwy mężczyzna. Dzięki tej myśli świat jest lepszym miejscem i życie mężczyzny ma sens. Ale Ignasia wypełnia też niezrozumiałe zainteresowanie. Bo ta kobieta jest tak bardzo inna niż on. Jest też inna niż wszystkie jego jednakowe koleżanki, nauczycielki, harcerki, otaczające go w domu i w szkole kobiety. Inna niż wszystko, co Ignas zna. Jest tym tro-

chę zażenowany, ale ogląda się za nią, kiedy ona robi odwrót do mieszkania na Jeźycach. Intensywnie o niej myśli i dlatego na wszelki wypadek stara się gromadzić powody, żeby ją nienawidzić. Zrobił sobie listę na własny użytek. Po pierwsze: nie jest Polką. Po drugie: jest Niemką. Po trzecie: jest dziwną, śmierdzącą, lesbijską, wegańską, lewacką Niemką.

Niedawno na kamienicy Ortrun ktoś namalował napis: „Zajebimy was, kurwy”. Bardzo minimalistycznie, swobodnym fontem i wyrazistą gamą kolorystyczną w tonach czerwieni. Obok napisy: „1918, Poznań pamięta”, „HWDP”. Jest w tym przekazie element prawidłowej, biało-czerwonej kotwicy i kolorystyka wywołująca stosowne skojarzenia, czyli rozbryzgiwanie krwi i biel skrzydeł polskiej husarii — kluczowe symbole neopatrioty. To lekcja historii od średnio zaawansowanych dla wszystkich. Niedaleko jest też celtycki krzyż i swastyka z szubienicą i z niezrozumiałym skrótem. Trzeba być mocno wtajemniczonym, żeby wiedzieć, co znaczy. Jest też rysunek z czaszką, pod którą krzyżują się kości, i kilka maźnięć od kibiców — to pozycja obowiązkowa na każdym gładkim murze w wyeksponowanym miejscu. Dosadne komunikaty, pełne ekspresji i prostej kreski, wypełniają już całą ścianę domu. Ale Ortrun nie lubi sztuki współczesnej. Nie uważa street artu i expressionist artu ani outdoorowej sztuki krytycznej. Wolała stary, zamazany mural z uściskiem dłoni czarnej i białej. Lubi graffiti „małe przyjemności”, które nie ma ilustracji, ale jest napisane miłą czcionką jak z elementarza. Kolejne ulubione to zdanie: „Słowa przepowiedni napisane są na przystankach tramwajowych i ścianach kamienic” oraz piesek odbity z szablonu na skrzynce z elektryką, który znajduje się na rogu skrzyżowania i szczyrzy zęby. Piesek wygląda tak, jakby chciał zjeść kłódkę. Ortrun go trochę rozumie. Próby kończące się niczym, działania niewspółmierne do rezultatów i realizacja beznadziejnych, ale niegroźnych zamiarów budzą w niej wiele szacunku.

Tego dnia Ignas nie przychodzi na lekcję, a kawiarnia jest zamknięta. Niemka myśli, że pomyliła godziny. Chce zapytać kogoś o czas, ale wstydzi się odezwać, bo nie robiła tego przez wiele dni. Wydaje jej się, że nie umie już mówić. Odzywa się na próbę do suki Rzeni, ale wie, że to co innego i że z psami jest dużo łatwiej rozmawiać, dlatego nie uznaje eksperymentu za miarodajny. Później przypomina sobie, że są święta. Wigilia minęła tak szybko, że nawet nie zdążyła jej zauważyć ani przeżyć świadomie. Siedziała w chłodnym domu, omotana w swetry, koce i szlafroki, z termoforem opitym wrzątkiem. W tym czasie znowu rodził się Jezus, a bezużyteczna krew menstruacyjna Ortrun wsiąkała jej w majtki. Nie pamięta, co robiła poza łykaniem tabletek przeciwbólowych i troszczeniem się o nawodnienie organizmu ulubionym płynem, niewinnym i czystym. Najprawdopodobniej po prostu zajmowała się tym, że była smutna. Bo to jest jej główne zajęcie, które skutecznie wypełnia czas od wielu lat. Teraz wraca do mieszkania i czuje, jak przesiąkają jej buty. Złości się na siebie, że zapomniała o świętach. Wychodzenie z domu nie jest jej ulubionym zajęciem, a prawdę mówiąc, w ogóle preferuje życie bez wychodzenia z łóżka. Coraz częściej towarzyszy jej wielka obojętność — główne uczucie, które w sobie ma. Chciałaby być znowu wnuczką swojej babci: zasypiać, słuchając, jak ktoś opowiada o skarbach króla Zygryda i śpiącym cesarzu Barbarossie otoczonym krukami, który czeka przy stole na lepsze czasy, podczas gdy rośnie mu ruda broda.

W święta Ignas je rosół. Postny barszcz nie jest odpowiednią zupą dla mężczyzny. Jego babcia na szczęście wie o tym, że mężczyźni potrzebują mięsa, dlatego na największym palniku odgrzewa sagan z tłustym, żółtawym płynem pełnym oczu. Ignas patrzy w telewizor i słucha wiadomości o skandalach w modzie i narodzie. W telewizorze ładni ludzie opowiadają o przygotowaniach do setnej rocznicy pewnego bardzo ważnego dnia i pokazują panoramę miasta wystro-

jonego w patriotyzm, ubranego najmodniej w tym sezonie. Na rynku stoi gigantyczna choinka w biało-czerwonych bombkach z dużymi logotypami sponsorujących ją firm, głównie banków i ubezpieczycieli. Ulicami przechodzą parady mundurowych, z których wszyscy mają jednakowo beznamiętny wyraz twarzy. Ludzie noszą eleganckie stroje i kotylicy do kompletu rozdawane przez rumiane harcerki, trochę przemarznęte i zasmarkane, ale nadal seksowne w spódniczkach do kolan i kolorowych getrach. W radiu słychać, jak gra Paderewski. Babcia chłopca, siedząc na wersalce, reguluje dźwięk odbornika. Robi głośniej do oporu, tak że aż nie da się słuchać. Mieszkanie wypełnia się patriotyzmem. Głośnym i tłustym. Ignas niedługo będzie stał na mrozie ze sztandarem, dlatego musi mieć pełny brzuch.

Babcia Ortrun mówiła, że jest Polką. Ale to nieprawda. Miała w dokumentach imię Erika, a przedstawiała się jako Fryderyka. Kazała mówić „Fredzia”. Nie lubiła Niemców, ale w sposób zrównoważony. Kiedy wróciła do Niemiec, była w ciąży. Jej chłopiec zapewniał, że wyjazd to najbezpieczniejsze rozwiązanie, kiedy zmieniają się nastroje i nie wiadomo, jak to się ułoży. Mówił, że powstania nie są dla dziewczyn, że nie chce, żeby stało się jej coś złego. Obiecywał, że na pewno spotkają się po wszystkim. A Erika mu wierzyła i czekała, aż zabierze ją do domu. Pisała do niego listy. W ogóle nie zniechęcał jej brak odpowiedzi. Wysyłała kartki z życzeniami: „Życzę sobie ciebie” i zdjęcia dziecka, które wychowywała najlepiej, jak umiała. Potem zajmowała się wnuczką. To był dom kobiet. Erika szybko została z Ortrun sama. Piekła dla niej strudel z jabłkami i bawiła się lalkami Barbie. Zawsze miała ciepłe ręce, które były trochę niebieskie. Nosila duży sygnet na przedostatnim palcu. Trzymała na stole porcelanowe figurki: panią z parasolką i zwiniętego w kłębek kota. Miała duże zapasy miłości. Kiedy słuchała w radiu wiadomości, mówiła, że to banialuki. Długo wierzyła, że powstanie się jeszcze nie skończyło. Ale kiedyś zobaczyła Poznań w telewizji. Możliwe, że wtedy pękło

jej serce. Nie chciała już więcej wychodzić z domu. Z literatury maniakalnie czytała dowolny teletydzień — różne losowe numery, bez zachowywania porządku chronologicznego. Lubiła pytać, która jest godzina, a później sprawdzać, jaki program był nadawany miesiąc temu o tej samej porze. To ją relaksowało, a jej świat w końcu stał się przewidywalny. Mówiła, że dla ludzi starych czas się już nie liczy. Ale kiedy telewizor się do niej wprowadził i kiedy odkryła, że świat w Wielkopolsce nadal istnieje, bardzo szybko umarła z niedowierzania. Zostawiła wnuczce kamienicę, której nikt nie chciał.

O drugiej w nocy Ortrun się budzi. Ma ochotę otworzyć okno, usiąść na parapecie w nocnej koszuli i spróbować coś poczuć. Brakuje jej odwagi. Mieszkanie jest tak puste, że przychodzi w nim do głowy myśli, których nie ma czym zastąpić. Jedyna żywa istota w całym domu poza Ortrun i suką to przerośnięty rododendron. Niemka ze starą twarzą wymyśla mu imiona. Opowiada historie na zaśnięcie. O prababce, która zaszła kiedyś w ciążę ze Świętym Marcinem. O tym, jak prababka wyjmowała sobie z ust przyszłych ludzi i robiła im w sercu dwie komory nożem do chleba. O piesku, który tak bardzo wszystkiego się bał, że w końcu ze strachu sam siebie zjadł. Albo o tym, że ona i rododendron są teraz jedynymi osobami na świecie, bo wszyscy inni zginęli w rekonstrukcji wojny. O listach, które ktoś zostawia zmarłym pod drzwiami, i o tym, że idąc po schodach, można zobaczyć, jak listy są wciągane do środka pod drzwiami, jakby ktoś pochylał się nad szczeliną i wsysał je ustami, a później połykał.

Jej myśli są nieskładne. Służą do tego, żeby odsunąć rzeczywistość i żeby ją podważyć. Ortrun nie chce być w kontakcie z rzeczywistością. Nie lubi tego. Rzeczywistość wydaje się jej już i tak zbyt wyeksploatowana, żeby w niej żyć. Myśli, że zbyt wiele osób się na to porywa, traktuje ją zbyt poważnie. Stąd się biorą wszystkie kłopoty. A najbardziej one biorą się z rzeczywistości minionej. Tej, o której zostały tylko domysły i kroniki, ale niewiele wiadomo na

pewno, i którą wszyscy jesteśmy tak bardzo przesiąknięci, że aż robi się słabo. Z historii, którą piszą zwycięzcy, władcy i mężczyźni, która dominuje w wyobrazeniach o rzeczywistości, zagarniając chwilę. Odbiera rozsądek i przyzwoitość. Daje nieprawdziwe przekonania, że wolność jest raz na zawsze, że można ją niezobowiązująco celebrować, zawłaszczać, mieć. Ortrun wierzy, że kłopoty wynikają też z uczenia się historii na pamięć i z dystansu. Z robienia z historii wymówek. Z tego, że traktuje się ją, jakby już się skończyła, i z zapominania, ile jeszcze jest do zrobienia oraz jak dzieje się źle. Dlatego wymyśla swoje historie i uważa, że one wcale nie są gorsze od narodowych mitologii. Brak prawdopodobieństwa jej zdaniem jest tylko zaletą. Prawdziwej historii ma już dość. Nie chce z nią mieć nic wspólnego, tym bardziej że i tak ma niewiele, bo w historii jest niezbyt dużo osób takich jak ona. Zostają jej marginesy. Wymyślanie wątków na pograniczach.

Rano jest święto. To główny dzień obchodów rocznicy. Dlatego jest dużo dumy i jeszcze więcej polskich flag na balkonach między wyjętym praniem, ludźmi w podkoszulkach kopiącymi poranne papierosy do kawy, podsuszonymi kwiatkami, zbiorami nieczynnego sprzętu AGD zostawionymi na wszelki wypadek pod ręką i między pozłaczanymi przez rdzę rowerami, które strach zostawiać na dole, bo kradną. Polska zjada w punktach gastronomicznych drożdżowe rogaliki z makiem na wyprzedazy. Chodzi po kościołach w świątecznych ciuchach i piecze udka kurczaka do białych, polskich, heteroseksualnych kartofli. Ortrun idzie kupić patriotyczną wódkę w ulubionym sklepie 24h. Postanawia się przemóc i wyjść, bo wie, że im dalej w święto, tym gorzej. Tego dnia ekspedientka patrzy jednak z dezaprobatą. Ma biały, świąteczny fartuch i włosy po nocnym kręceniu na wałkach. Ortrun się jej przygląda. A później usprawiedliwia się szybko: „Proszę się nie przejmować. Ja nie muszę obchodzić świąt, nie muszę niczego świętować. Nie jestem stąd. Jestem z Księżycy”.



Wolno kieruje się w stronę drzwi, gwizdże na Rzenię i idzie zamknąć się z nią w domu, w którym może się bać trochę mniej, ponieważ mieszkają w nim tylko duchy. Nie ma tam żadnych patriotów. I to jest super.

Ignas jeszcze mocniej czuje dziś Dumę i Honor. Te uczucia pasują mu do ubrania i do tego dnia. Jest dumny ze swojej Polski. To romantyczna postawa, która trochę mu ciąży, ale stanowi nieocenione źródło uniesień. Dawno temu, zanim dorośli kazali mu iść do szkoły, w której uczy się o powstaniach, chronologii i geografii, był trochę bardziej beztroski. Jeszcze nie wiedział, że gdy dorośnie, będzie musiał bronić Ojczyzny, rzucając kamieniami w okna. Kiedyś myślał, że zachód jest w miejscu, w którym topi się słońce wpadające do morza, a wtedy woda zaczyna gotować się jak w czajniku i staje się od ciepła czerwona, więc słońce robi się ciężkie jak jajko na twardo i coraz szybciej spada na dno, na drugą stronę planety. Niedaleko mieszkają kowboje z Dzikiego Zachodu. Jeżdżą na koniach i ciągle do siebie strzelają, a gdy na nich nie jeżdżą, to przechodzą przez wahadłowe drzwi, takie od pasa w górę, i nie dzieje się już nic więcej zgodnie z powiedzeniem, które kiedyś usłyszał, że na Zachodzie bez zmian. I dopiero później, kiedy Ignas dostał plan lekcji i książki w chłopięcych, niebieskich okładkach żelowych o zapachu gumy balonowej i coca-coli, wszystko bardzo mu się skomplikowało. Świat stanął na nogach. Chłopiec dowiedział się, że ma wrogów i że musi ich nienawidzić. Miłość polega na ofiarach. Polska jest dla Polaków, a uchodźcy dla Syrii. Pieniądze są dla kościoła. Kobiety są dla mężczyzn. Macice dla dzieci. A później uwierzył, że trzeba walczyć o wielką, nie tylko zimną białą Polskę, i zaczął nosić przy sobie białą broń, czyli bagnet po dziadku powstańcu. Z karabinem po mieście chodziłoby się niewygodnie, dlatego chłopak z niego zrezygnował i teraz trzyma go w pawlaczu na wszelki wypadek.

Ignaś spotyka Ortrun pod sklepem. Patrzy na nią i mówi: „Powstanie wielkopolskie to ty, kurwa, szanuj”. Później odprowadza ją do domu, bo nie chce, żeby chodziła sama po obcym mieście — bo nawet jeśli mieszka w nim od trzydziestu lat, to i tak nie jest stąd. To po prostu nie jest jej miasto ani jej miejsce. Lepiej, żeby nie wchodziła ludziom na oczy.

\* \* \*

Ta rocznica była radosna — ewenement wśród polskich świąt. Patrioci czuli się trochę nieswojo. Ćwiczyli okazywanie zadowolenia w domu, ale było widać, że radość to nie ich styl, nie do końca czaili bazę. Było im trudno się odnaleźć, zwłaszcza gdy z wymuszonym uśmiechem odpalali biało-czerwone znicze. Niektórzy z rozpędu uronili łzy na cześć poległych bohaterów, ale na szczęście szybko się opamiętali i próbowali się później głośno śmiać. W teatrze telewizji nadawano *Dziady* na TVP. Oglądały je całe rodziny, zagryzając wielką improwizację czipsami o smaku chili i prażynkami z solą. Niestety, nie wiedzieli, że sól jest niezdrowa i powoduje nowotwory. Dlatego następnego dnia prawie wszyscy dostali raka, a na pewno większość z nich, nawet jeśli nie dowiedzieli się o tym od razu. Inni cierpieli na zatrucia żołądkowe albo ból bycia. Starzy ludzie wspominali, jaka piękna była wojna i jak by nam się przydała. Młodzi żalowali, że nie mogą umrzeć za Ojczyznę, i było im trochę żal samych siebie. A wieczorem całe miasto bawiło się na patriotycznej imprezie przebieranej. To było silent disco ze srogim niemieckim techno z motywem przewodnim „powstanie”. Chłopcy przebrali się za sanitariuszki, a dziewczęta za żołnierzy. Prawie nikt nie słyszał muzyki, bo zainteresowanie eventem przerosło najśmielsze oczekiwania organizatorów i szybko zabrakło słuchawek. Rano wszyscy mieli kaca, jedli w knajpach smażone kurze odpady poaborcyjne, pili sok ze świeżych polskich cytrusów i zagryzali go bezglutenowym —

ale polskim — chlebem powszednim. Pizza nie dojechała. Niestety, nie było wielu ofiar, więc nie ma się czym chwalić. Na szczęście dla naszych wnuków zostaną zdjęcia na Instagramie, a jeśli wszystko dobrze pójdzie, to może nawet kilka kawałków Polski.




Damian Kruczkowski  
**Cieniutka teczka życia<sup>1</sup>**

---

<sup>1</sup> Imiona, nazwiska, miejsca urodzenia i zamieszkania, pamiątnik Natalii, jak i zawarcie związku małżeńskiego przez bohaterów, to fakty, reszta to *licentia poetica*.

➤ Fotografia ślubna. Kobieta ubrana w białą suknię z welonem, mężczyzna w mundurze polskim. Nieznana lokalizacja. Nieznany czas powstania zdjęcia.

 bojętnie, jak wiele człowiek w życiu zgromadzi, donikąd tego nie zabierze. Może oprócz okularów, ulubionej fajki, fotografii, książeczki do nabożeństwa, laski bądź różańca, które włożą mu do trumny. Zbierane przez całe życie przedmioty tak naprawdę nigdy do nas nie należą. Jesteśmy wyłącznie ich chwilowymi administratorami. Tak, administratorami — określenie „właściciel” jest sporym nadużyciem. Po krótkiej chwili, którą jest życie, oddajemy je na łaskę i niełaskę tych, którzy uprzątają po nas mieszkania, półki, biurka, szafy, szafeczki, komody... Przedmioty zmieniają administratorów, a pamięć o nas zależna jest od czyjejś sklerozy, dobrej woli, a najbardziej od naszych czynów za życia. Jeśli warte były zapamiętania, jeśli my byliśmy warci zapamiętania, a alzheimer nie zeżre pamięci o nas, to poistniejemy jeszcze trochę. W przeciwnym wypadku całkiem znikniemy. Znikną też nasze przedmioty, które w większości zostaną zniszczone czy wyrzucone, rozdane bądź, co w przypadku książek bardziej prawdopodobne, sprzedane w antykwaracie lub na portalach internetowych. Obcy nabywcy, o ile nie pozostawimy w książkach exlibrisu, nie będą nawet wiedzieli, do kogo wcześniej należały. Nowi administratorzy prócz bezmiennej krótkiej myśli nie poświęcą naszemu nieistnieniu zbyt wielkiej uwagi.

W ten sposób, ogołoczone z balastu życia, nikną pojedyncze osoby, grupy, społeczności i narody.

Jest we mnie głębsza niezgoda na nieistnienie, dlatego od lat tropię losy pojedynczych ludzi i całych grup, starając się, aby imiona i historie wróciły do zbiorowej pamięci, wybrzmiewając głośno. Pozwala mi to myśleć, że oni wszyscy wracają choćby na chwilę do istnienia. Daję im jeszcze kilka chwil trwania pośród tego, co znali za życia. Jakiś czas temu zacząłem interesować się grupą osadników niemieckich, którzy przywędrowali na tereny położone w dolinie Warty blisko trzysta lat temu. Tutaj znaleźli nowe życie, ziemię, którą mogli uprawiać, pobudowali domy, w których żyli, rodzili się i umierali, a wszystko to okupili ogromnym wysiłkiem ciężkiej i mozolnej pracy. Po drugiej wojnie światowej odeszli — w najlepszym razie wypędzeni, wyjeżdżali sami, w najgorszym byli mordowani. Chciałbym, aby te wszystkie Augusty, Gertrudy, Edyty, Idy, Wilhelminy, ci Gottliebowie, Traugottowie, Friedhelmowie, Martinowie, Erichowie wrócili choćby w opowieściach. Stąd też moje dążenie do poznania ich losów, do dotarcia do pozostawionych i rozrzuconych przedmiotów, których znaleźć można coraz mniej.

Otworzyłem starą teczkę z dokumentami, którą wypożyczył mi znajomy emerytowany pastor. Wewnątrz znalazłem kilka równie wiekowych, pożółkłych i poplamionych dokumentów. Cieniutka ta teczka, pomyślałem. Jak na dwa długie i bogate w doświadczenia życia, to nawet bardzo cieniutka. W środku dwa życia, jej i jego. Tyle, ile po tych życiach zostało. Tyle, ile ocalili inni. Standardowo: jego o wiele więcej, bo kilka stron, jej zdecydowanie mniej, bo strony tylko dwie na jednej kartce. Co ich łączyło? Chociażby wspomniany pastor. To byli jego ciotka i wuj. Małżeństwo. Żyli razem, wspólnie stawiali czoła przeciwnościom, wspólnie dzielili też tęsknotę za dziećmi, bo ich nie mieli. Późno się poznali. Opiekowali się sobą wzajemnie. Łączyła ich jeszcze jego choroba, ale w końcu na moment we

wszechświecie rozdzieliła ich jego śmierć. Sześć lat później, paradoksalnie, połączyła ich również śmierć — o ile w to wierzymy — tym razem jej. Łączyły ich wspólnie spędzone lata. Kostucha rozdzieliła tych ludzi tylko na chwilę. Właściwie to rozdzielili ich ci, dla których ważne było to, w jakim obrządku ona i on zostali ochrzczeni. A może dla nich też to było ważne i godzili się na taką rozłąkę po cichu. Kto wie? Jego pochowano na cmentarzu katolickim, ją — dwieście metrów dalej na ewangelickim.

Co ich różniło? On urodził się w 1894 roku w Cesarstwie Niemieckim, ona cztery lata później w Imperium Rosyjskim. Ona w Koinie, on w Wągrowcu. On był Polakiem i poddanym niemieckim, katolikiem, a ona Niemką, choć czuła się Polką, ewangeliczką, poddaną rosyjską. Jej przodkowie przywędrowali w dolinę Warty ponad sto lat wcześniej, jego żyli na ziemiach dawniej polskich od pokoleń. Ona nie walczyła ani na wojnie, ani w powstaniu, on walczył. Ona polskiego uczyła się od sąsiadów, bo chciała, on w domu od rodziców, dziadków i z książek. Ona niemieckiego uczyła się od rodziców, dziadków i z książek, on w szkole, bo musiał. Ona obserwowała, on działał. Ona opisała początek wojny, on opisał koniec. Ona początek końca zniewolenia Polski, on początki odzyskiwania niepodległości.

Szesnastoletnia Natalia Schlender, bo pod takim imieniem i nazwiskiem urodziła się ona, ładnym, wprawionym pismem, za to kalcząc język, na żółtej już dziś ze starości i bardzo delikatnej kartce latem 1914 roku pisała po polsku tak:

*31 lipiec Mobilizacja*

*1, 2 sierpień Wyjazd urzennikuu*

*3 sierpień Pierwszy patrol pruski*

*11 września Przyjazd kozakuu*

*18 września Spalenie mostu*

*19 września...*



*22 września Wkroczenie prusaków i ucieczka mieszkańców, Potycka na Górze Popielni*

*27 września Przejazd pruskiej artylerii*

Nie знаła innej ojczyzny niż Konin w guberni kaliskiej Imperium Rosyjskiego. Konin, w większości polskojęzyczny, wymuszał niemal na obywatelach innych narodowości polonizację. Dlatego Natalia pisała w języku polskim, którego jako uczennica ewangelickiej niemieckiej szkoły funkcjonującej w tym mieście nie uczyła się inaczej jak od sąsiadów, od koleżanek i kolegów z podwórka. Natalia, jak chce rodzinna legenda, była potomkinią flisaków z Brandenburgii, którzy na szerokich rozlewiskach Warty upatrywali lepszej przyszłości. Przybyli na te ziemie ponad dwieście lat temu i musieli budować swoje życie od nowa. W drodze wielu zmarło, tracili sporo ze swojego majątku, ale niestrudzenie parli do przodu. Wiedzieli, że w starej ojczyźnie czeka ich głód i nędza. Chociaż nowa nie obiecywała nic prócz kawałka ziemi wśród lasów, bagnisk i torfowisk na terenach zalewowych, zdecydowani byli zaryzykować.

Wielu po dotarciu na miejsce z rozpaczą załamywało ręce i przeklinało siebie za to, że zdecydowali się na wyjazd. Jeśli trafili nad Wartę wiosną albo w środku lata, witała ich gęsta i nieprzebyta zieleń w różnych odcieniach, wielkie i żarłoczne cielsko szarej rzeki wijące się po dolinie niczym lśniący węgorz, ale przede wszystkim chmury komarów i meszek. Tłusta i mokra ziemia, w której grzęzli po kolana, oblepiała nogi, zwierzęce kopyta i koła wozów, a gąbczasty torf siorbał jak bezzębny starzec, kiedy próbowali wyciągać z niego nogi, i mógł stać się cichym, spokojnym, choć wilgotnym grobem, jeśli tylko ktoś nieuważnie by stąpnął i się zapadł.

Z tych niezłomnych i pracowitych ludzi urodziła się Natalia, która w 1914 roku była smukłą blondynką średniego wzrostu o pięknych niebieskich oczach zachwycających młodzieńców.

W jej żrenicach odbijała się mądrość i doświadczenie wielu pokoleń przodków. Patrzący z miłością na ten kawałek ziemi, na którym przyszło żyć Natalii. Na Konin. Miasto wówczas rozdzielane było konfliktem pierwszej wojny światowej. Dziewczyna prowadziła dziennik, odkąd tylko nauczyła się sprawnie posługiwać piórem i ołówkiem. Początkowo pisała po niemiecku, bo język, którym mówiono w domu, był zdominowany przez niemiecki, choć po wielu pokoleniach współżycia z polskimi mieszkańcami doliny i miasta stanowił swoistą mieszanekę niemieckiego i polskiego. Z czasem, jak można przeczytać z jedynej zachowanej po Natalii żółtej kartki, młoda panna mimo niemieckich korzeni pisała już tylko po polsku, po polsku myślała i czuła się Polką. Pochodzenie czasami było ciężarem. Miewała żal do losu, że urodziła się w niemieckiej rodzinie, że czasami polscy sąsiedzi krzywo na nią spoglądają, wypominają pruskie epizody okupacji miasta, a co złośliwsi rzucają przez ramię srogie spojrzenia, w których zawarte jest niewybrzmiałe a pogardliwe słowo „Niemra”. Na ogół jednak młoda koninianka była pełną życia, radosną dziewczyną, która z uwagą obserwowała otaczającą ją świat i notowała. Często ze strachem, z niepewnością, zastanawiając się, co przyniesie jutro, jakie wojska zajmą Konin i jakie się w nim utrzymają.

W tym samym czasie dwudziestodwuletni Tadeusz Nalewalski — bo pod takim imieniem i nazwiskiem urodził się z kolei on, syn murarza z Wągrowca, uczestnik strajku szkolnego w 1907 roku, jak pisze w swoim życiorysie — doświadczał wojny i choć również bezpośrednio, to jednak zgoła inaczej niż Natalia:

*W miesiącu listopadzie 1914 roku powołany zostałem do służby w wojsku niemieckim. W tymże przebywałem do wybuchu rewolucji niemieckiej, to jest do roku 1918 miesiąca grudnia.*

Chłopak wychował się w tradycyjnej katolickiej rodzinie. Teren, na którym mieszkał, należał od ponad stu lat do Cesarstwa Niemieckiego, choć niegdyś stanowił zachodnie rubieże wielkiej i potężnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, którą władali polscy królowie, a jednocześnie wielcy książęta litewscy. Polska wówczas była jednym z mocarstw Europy, a jej obywatele stanowili istną mozaikę etniczną i wyznaniową, gdzie poziom swobód, choć lekko nie było, w porównaniu z innymi krajami w Europie wypadł najkorzystniej.

Echo tych dawnych czasów rozbrzmiewało w opowieściach dziadka, których wieczorami przed zaśnięciem czy w letnie upalne południa słuchał mały Tadeusz, siedząc obok krewnego, z rozwartymi szeroko oczami, chłonąc każde wypowiedane przez dziadka słowo. Starzec tych czasów nie pamiętał, ale i jemu opowiadał o nich dziadek, a temu jego dziadek, a inny dziadek żył w tamtych czasach i widział to na własne oczy. Tadeuszowi marzyło się potem, aby wziąć udział w wielkich wydarzeniach tego świata i odbudować Polskę. Marzył, by stała się na powrót wielka i silna, a swoje jestestwo zawdzięczała jemu. Postawa bliskich podsycala w Tadeuszu te marzenia. Nalewalscy byli rodziną głęboko wierzącą, na wskroś polską i katolicką. Formalnie nieistniejąca Polska, poszanowanie rodziny, Kościoła i święta wiara przodków to wartości, wśród których rodzice wychowywali Tadeusza i jego rodzeństwo. Ojciec walczył w pruskiej armii. Nie mógł się buntować, bo groziła za to konfiskata majątku i wysiedlenie. Chłopak, jak cała familia, nienawdził pruskiej armii, a jednocześnie imponowało mu, kiedy widział ojca w mundurze i pod bronią. Opowieści dziadka, służba wojskowa rodzica, tradycje i wartości, którym hołdowali bliscy, wywarły ogromny wpływ na Tadeusza. Ten na wskroś polski chłopiec nie marzył o niczym innym, jak o wdzianiu munduru, kiedy już będzie mógł unieść w dłoniach karabin i osiągnie stosowne lata. W końcu wyrósł na zgrabnego, smukłego młodzieńca o płowych włosach i stalowych

oczach. W przyszłości będzie nosił okulary, które dodadzą mu powagi, co sprawi, że będzie się spotykał z tym większym poważaniem.

Kiedy Tadeusz rozpoczął przymusową, a zarazem wyczekiwaną przecież służbę i walkę w wojsku niemieckim o to, aby utrzymać dotychczasowy stan posiadania Cesarstwa Niemieckiego, co — jeśli by się udało — nie zaowocowałoby niepodległością Polski, Natalia z trwogą obserwowała ruchy wojsk w rodzinnym mieście i notowała:

*6 listopada Wkroczenie kozaków*

*7 i 8 listopada Przejazd wojsk rosyjskich*

*9 listopada Bitwa trawajonca 5 godz. zdobycie miasta przez prusaków zabranie piechoty rosyjskiej do niewoli*

*Przes reszta dni listopada do 21 grudnia przechód rosyjskich jeńców*

Chłopak z Wągrowca posuwał się na wschód wraz z jak dotąd zwycięską armią niemieckiego cesarza. Różne myśli rodziły się w jego głowie. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Niemcy wygrają, to nadzieje Polaków na odzyskanie niepodległości legną w gruzach. Zaczynały w nim kiełkować myśli o buncie. To, czego nie mógł dokonać jego ojciec, w nim odżyło. Rodziło się stopniowo z każdym kilometrem przebytym w pruskim mundurze. Możliwe, że w czasie walk przemierzał tereny niedaleko od Konina, a może jako opisywany przez Natalię Prusak wkraczał do miasta. Przyglądała się ona wtedy młodemu, przystojnemu żołnierzowi, który przeganiał zniechęconych przez Polaków Rosjan. Natalia o tym nie napisała. Nie wspomniał o działaniach w niemieckiej armii również Tadeusz, ale na obu doświadczenia wojenne odcisnęły piętno. Na zaginionych i niezachowanych kartkach dziennika Natalii można by znaleźć na przykład pod datą siódmego listopada taki oto wpis:

*Z żołnierzy pruskich jednego zwłaszcza zapamiętałam. Był wysoki przystojny i muł się podobać dziewczynom a do tego muwił po polsku.*

Przystojny pruski żołnierz zrobił na Natalii ogromne wrażenie. Ich spojrzenia się spotkały, najpierw przelotnie, potem oboje spoglądali na siebie już przez dłuższą chwilę — akurat tyle, ile trwał przemarsz kompanii Tadeusza przed domem Natalii. Chłopak, kiedy już wieczorem siedział z kolegami w konińskich koszarach, opowiadał:

*Kiedy dzisiejszego popołudnia wkroczyliśmy do tego niewielkiego miasteczka — Konin — moją uwagę przykuła dziewczyna przyglądająca się nam z zaciekawieniem. Nie bała się nas. Zdaje się, że mówiła trochę po niemiecku. Kiedy po raz pierwszy nasze spojrzenia się spotkały, ona spuściła wzrok zawstydzona, ale już po chwili podniosła go.*

Chłopak długo w Koninie nie zabawił. Wyszedł ze swoją kompanią z miasta i dalej walczył za cesarza, kiedy Natalia, poddana cara, pisała już w roku 1915:

*7 stycznia Katastrofa z stajniami 1 człowiek zabity i 8 koni  
Przechud jeńcuw  
3 lutego Przechud jeńcuw  
4 lutego Przeprowadzono jeńcuw 1100  
6 lutego 2100  
7 lutego Przeprowadzono jeńcuw Roszczelanie chycla z Kramaska  
Ludwika Brzezińskiego  
8 lutego Przyprowadzono 700 jeńcuw  
9 lutego Przyprowadzono 900 jeńcuw dużo rannych  
11 lutego Przyprowadzono 400 jeńcuw Przyjście legionów polskich*

Tutaj zapiski Natalii się urywają, co nie oznacza, że dziewczyna przestała właśnie wtedy notować. Strony z dziennika zwyczajnie się nie zachowały, podobnie jak kartki z kolejnych lat wojny. Natalia część z nich wykorzystała do innych celów już w dorosłym życiu, część zginęła, a pozostałe najprawdopodobniej po jej śmierci przepadły podczas porządkowania przedmiotów, które do niej należały. Fakt niezaprzeczalny — w cieniutkiej teczce zawierającej okruchy życia obojga nie ma więcej jej notatek, jak tylko ta jedyna karteczka. Od jesieni 1914 roku Koninem rządzą Niemcy. Potomkini osadników niemieckich prawdopodobnie była dobrze traktowana. Wielu tak zwanych polskich Niemców cieszyło się z takiego obrotu spraw, jednak nie rodzina dziewczyny, która mimo wszystko korzystała na tym panowaniu. Nie sprzeciwiali się otwarciu, jednak już nie czuli się Niemcami.

Co wyniknęło z tych rządów? To, iż pierwszy raz Natalię i Tadeusza połączył rok 1914 i pruska armia. Konin pozostał pod okupacją niemiecką do 1918, Tadeusz walczył w niemieckiej armii do grudnia tego roku. Jakie wówczas myśli zrodziły się w głowie Natalii? Jeśli wziąć pod uwagę, że o tak ważnych wydarzeniach z miasta rodzinnego pisze po polsku, niemiecką armię nazwała pogardliwie prusakami, jak zwykło się robić w środowisku polskim, widać od razu, że panna Schlender dopingowała po cichu wspomnianym przez siebie polskim legionom. Na pewno było jej żal rosyjskich dragonów i urzędników, którzy zostali wypędzeni z miasta, bo przecież przez lata dodawali kolorytu temu zapomnianemu przez Boga i ludzi miasteczku. Dzięki nim życie dziewczyny było ciekawsze. Oni też dawali jej pożywkę do zapisków, które starannie prowadziła w dzienniku — tym samym, który zaginął w trakcie życia, a reszta przepadła po śmierci, bo nie była już nikomu potrzebna.

Natalia wspominała spotkanie z pruskim żołnierzem. Starła się przypomnieć sobie jego wygląd, rysy, spojrzenie. Ze spojrzeniem nie

ma problemu, bo czuła, jak magnetyzuje, jak przyciąga. Wiedziała już, że tego chłopaka nigdy nie zapomni. Miała tych swoich naście lat, jednak potrafiła odróżnić rodzące się w niej uczucia i nazwać je.

Minęły kolejne trudne wojenne lata. Car Rosji Mikołaj II w 1917 roku stracił władzę, a rok później życie. Cesarz Niemiec Wilhelm II abdykował, cesarz Austrii Karol I nie zrobił tego oficjalnie, ale zrzekł się władzy. W Austrii i w Niemczech wybuchły rewolucyjne ruchy. Tadeusz zrzucił znieawidzony pruski mundur i 30 grudnia 1918 roku wstąpił do wojska polskiego. W końcu mógł spełnić marzenie o walce na rzecz odzyskania niepodległości przez Polskę. Rzucił się w wir działań wojennych z jeszcze większym zapalem, z pasją w swoich stalowych oczach. Już wtedy wiedział, że tym razem się uda, tym razem Polska powstanie wolna. Kiedy z Poznania wyszedł sygnał rozpoczęcia walk powstańczych z okupantem niemieckim na terenie całej Wielkopolski, Tadeusz nie wahał się ani chwili — w końcu o tym marzył od dziecka — wziął udział w zajęciu gimnazjum w rodzinnym Wągrowcu i rozbrojeniu Heimschutzu. Polacy wypędzili znieawidzonych Niemców. Tadeusz nie spoczął na laurach. Przenosił się z miejsca na miejsce, starał się być pomocny, wykazywał się męstwem. W głowie słyszał głos dziadka opowiadającego historie o wielkości dawnej Rzeczypospolitej, które zagrzewały go do walki. Cały czas jednak gdzieś za tymi legendami z coraz większą siłą stuknęła, a potem już dudniła myśl o pewnej dziewczynie, którą spotkał blisko trzy lata wcześniej. Myślał o niej czasami, wspominał, zastanawiał się, jak miała na imię. Zdaje się, że była Niemką, choć nie mógł być pewien. Marzył, że kiedyś ją spotka.

W 1919 roku pod dowództwem porucznika Żmudy-Trzebiatowskiego i porucznika Kowalskiego wziął udział w bitwie pod Margoninem. Był to również rok zaciętych walk o Budzynie i Chodzież, gdzie także walczył Tadeusz Nalewski. Kiedy Wielkopolska zdawała się już wyzwolona, a władza polska ugruntowana w tym regionie, wyje-

chał z 14. Dywizją Wielkopolską, jak odnotował, na front litewsko-białoruski i pozostał tam do zawieszenia broni 20 listopada 1920 roku.

W tym czasie Natalia stała się już dorosłą panną. Otaczali ją ci sami ludzie, te same budynki, ale nieco zmieniona rzeczywistość. W roku 1920 miała tyle lat, co Tadeusz, kiedy rozpoczął służbę w armii pruskiej. Rodzina Schlenderów cieszyła się dobrą reputacją, nigdy nie skalala się kolaboracją z żadnym okupantem. Mimo różniącego ją od większości sąsiadów wyznania — byli ewangelikami — czuła się bardziej polska niż niemiecka. Ojciec Natalii nadal prowadził niewielki sklep, matka pomagała mężowi i zajmowała się domem.

Natalia ze swoją pasją do pisania często zapominała o świecie. Poświęciła się nauce i literaturze. Opisywała wszystko, co widziała i o czym słyszała. Pisała namiętnie, jakby czas ją gonił, jakby się bała, że w pewnym momencie przestanie, że nie zdąży opisać wszystkiego. W młodości, a później w dorosłym życiu zapisała kilka grubych brulionów, które mogłyby złożyć się na bestsellerową powieść, gdyby tylko starczyło jej odwagi, aby pochwalić się zapiskami szerszemu gronu i je wydać. Bruliony i historia Natalii odeszły w niepamięć razem z nią. Dziś o kobiecie i jej notatkach pamięta jedynie emerytowany pastor, a dzięki niemu teraz ja. Podobnie rzecz ma się z Tadeuszem. Natalia żyjąca w świecie literatury i własnych uczuć, podejmująca samodzielnie decyzje, długo nie wychodziła za mąż. Chichotem historii okazała się niepodległość, o którą tak walczył i którą w końcu zdobył Tadeusz, bo to ona nie pozwoliła ojcu Natalii na znalezienie odpowiedniego kandydata na męża dla córki. Inna sprawa, że sama dziewczyna zamążpójściem nie była zainteresowana. Ale też faktem jest, że po pierwszej wojnie światowej sporo Niemców opuściło Konin. Kawalerów do wzięcia było niewielu. W początkowym okresie wśród Polaków również nie znalazł się młodzieniec starający się o rękę dziewczyny z niemieckimi korzeniami.



Bo niemieckie pochodzenie oznaczało wtedy obywateli gorszej kategorii. Padały podejrzenia o szpiegostwo. Teczka życia milczy, bo to, co mogłaby opowiedzieć o owym czasie, zaginęło, przypadło, kiedy zabrakło Natalii chroniącej swoją historię.

Cieniutka teczka rzuca natomiast nieco światła na okres powojenny w życiu Tadeusza:

*Po zwolnieniu z Wojska Polskiego byłem bezrobotnym do roku 1921. Wtedy otrzymałem posadę pomocnika kancelaryjnego w Rejonowym Zakładzie Żywnościowym w Poznaniu, gdzie jednocześnie uczęszczałem na kursa wieczorowe i do szkoły handlowej, by tam nabyć wiedzy w języku ojczystym, gdyż dotąd wiadomości w tym kierunku nie miałem. W roku 1932 przeniesiony zostałem jako pomocnik kancelaryjny do Rejonowej Komisji Uzuppełnień w Koninie.*

Tadeusz przyjechał do Konina. Zostawił dotychczasowe życie, pożegnał się z rodziną, znajomymi, z wieloma ulubionymi przedmiotami, które odtąd miały należeć do kogoś innego, albo nie będą należały do nikogo, wsiadł do pociągu i dotarł do miasta z białym koniem w herbie. W drodze przypomniał sobie dziewczynę, którą spotkał tu w czasie wojny. Zastanawiał się, czy ona jeszcze tutaj mieszka, czy w ogóle żyje, czy jej rodzina nie wyjechała, jak wiele innych, do Niemiec — o ile byli Niemcami. Ale Schlenderowie byli na miejscu. Z nimi zaś skromna niebieskooka Natalia. To wtedy ją poznał. Zupełnie przypadkiem, bez większej nadziei zajrzał do sklepu jej ojca, przed którym przed laty ją zobaczył. Chwilę mierzyli się wzrokiem, początkowo niepewni, a w końcu już przekonani, że to oni. Spotkali się w czasach pokoju, choć dość niepewnych: ona trzydziestoczworoletnia, on trzydziestoosmioletni. Dojrzały ludzie. Początki nie były łatwe. Musieli się poznać. Tadeusz upewnił się w podejrzeniach co do jej pochodzenia. Walczył z Niemcami w czasie powstania, ale dawno

już zatarł w sobie do nich żal. Tym łatwiej mu przyszło zmazać jego resztki, kiedy Natalia delikatnie się uśmiechała. Jej inteligentne oczy skrzyły się wtedy czystą miłością do niego.

Postanowili, że spróbują życia we dwoje. Wspólnie stworzyli spokojny dom, w pamięci mając doświadczenia, które były ich udziałem w czasie pierwszej wojny światowej. Chociaż w rodzinnym gnieździe nigdy nie rozbrzmiało kwilenie dziecięcia, stanowili szczęśliwą parę. Chwilowy kres ich odnalezionemu po latach szczęściu i małżeńskiej sielance położył wybuch drugiej wojny światowej. Wspierali się i próbowali odnaleźć w nowej rzeczywistości. Takich trudnych okresów przetrwali kilka w swoim życiu. Ale nie ma o tym nic w cieniutkiej teczce.

Natalia chroniła Tadeusza. W czasach hitlerowskiej okupacji pomogło im jej niemieckie pochodzenie. Po wojnie on chronił żonę, kiedy wielu jej krewnych zginęło, wyjechało bądź umierało w skrajnej nędzy jako wrogowie, obywatele niechciani. Im się udało. Ona — polska Niemka, ewangeliczka, on — Polak, powstaniec. Dwoje świadków pamiętnego roku 1918 żyjących w zgodzie, harmonii i miłości, budujących wspólny dom. Doczekali spokojnej starości, a po śmierci zostali rozdzieleni murem cmentarnym, niemal zapomniani, pozostawiając po sobie tylko cieniutką teczkę życia.

Kiedy umierali, wszystko co zgromadzili, powoli ulegało rozproszeniu. Najpierw zmarł Tadeusz. Natalia przedłużała jego istnienie, skrzętnie chroniąc pamiątki po mężu, chociaż nie wszystkie udało się jej ocalić — nie była w stanie: starsza, sama i schorowana. Kiedy odeszła, dwa życia pękły jak bańka mydlana, a przedmioty przepadły, zmieniając administratorów bądź przestając istnieć. Ocalała jedynie ta cieniutka teczka, w której zachowały się szczątki dwóch ludzkich żywotów. Przez tę krótką chwilę ktoś o nich pamięta. Mogliby powiedzieć: „Nie wszystek i nie wszystka umrę”.





## AleXander Mielczyński **1918. Śmiały. Początek<sup>1</sup>**

---

<sup>1</sup> W opowiadaniu występują postaci historyczne oraz maszyny zmyślone. Faustyn Cegielski istniał naprawdę. Na potrzeby opowiadania musiałem go lekko odmłodzić. Klementyna Siwińska to także postać historyczna. Była pierwszą w Wielkopolsce kobietą z prawem jazdy automobilem. Z kolei przywołany tylko epizodycznie harcmistrz Śniegocki jest postacią na wskroś autentyczną — organizatorem skautowego ruchu oporu w czasie powstania wielkopolskiego. Sam „Śmiały” — fantastyczna maszyna bojowa — jest pomysłem genialnego plastyka, pana Jakuba Różalskiego, którego grafika stanowiła pierwszą inspirację do stworzenia tej opowieści. A prezydium policji — jak wiadomo — poddało się na skutek osaczenia przez powstańców. Legendarny szturm na gmach policji okazał się tylko ubarwioną historią. Ale czym byłoby nasze życie bez takich pięknych opowieści?

➤ Grupa niezbrojonych żołnierzy w mundurach niemieckich podkuwających końskie kopyta. Nieznana lokalizacja. Nieznany czas powstania zdjęcia.

**F**austyn potknął się o jakieś rozrzucone pośrodku warsztatu narzędzia. Skautowa pałatka zaplątała mu się między nogami i jego korpulentne ciało z miękkim płaskiem i soczystym przekleństwem wylądowało pod lewą nogą Śmiałego.

Mimo że od kilku miesięcy pracował wytrwale nad ostatnimi poprawkami konstrukcji, nad wstępnymi testami, to wciąż był mocno zaskoczony i chyba przerażony perspektywą uruchomienia swojego dzieła po raz pierwszy na serio. Uruchomienia! Dobrze sobie! Użycia w walce, w naszej sprawie! W polskiej sprawie!

Dzięki kontaktom w swoim skautowym środowisku wiedział, że powstanie było przygotowywane już od dawna, kadry wyszkolone, kanały łączności alarmowej po wielokroć sprawdzone i gotowe do działania. Ale sprawy, w sumie w nieoczekiwany sposób, potoczyły się dziś własnym rytmem i własną prędkością. Przyjazd Paderewskiego został potwierdzony raptem trzy dni temu. Do końca nie było wiadomo, czy szwabcy przepuszczą pociąg i pozwolą mistrzowi w ogóle wsiąść w Poznaniu!

A teraz ta awantura pod Bazarem! W mieście zawrzało! Kompanie polskich żołnierzy wcielonych do Sicherheitsdienst z Fortu Raucha ruszyły na wcześniej ustalone pozycje. Niemcy obsadzili przy-

dium policji. Wojskowi rozpoczęli regularne działania, skauci mieli zapewnić łączność, zwiad terenowy, służby pomocnicze. Faustyn był przydzielony do zastępu porządkowego przy okazji powitania mistrza w hotelu Bazar przy Wilhelmsplatz. Mieli z pochodniami stać wzdłuż trotuaru, oświetlać ulice, być w gotowości, podobnie jak wczoraj przy powitaniu Paderewskiego na dworcu. Kiedy padły pierwsze strzały, wśród hotelowych gości wybuchła panika, ktoś wbiegał na górę, inni wybiegali z hotelu na ulicę. A on stał z tą pochodnią jak jakiś słup i próbował ułożyć z biegnącego przez czaszkę potoku myśli racjonalny plan działania.

Jak najszybciej dostać się teraz na Wildę? — myślał gorączkowo. — Może Klementyna? Przecież ona przywozła Paderewskiego do Bazaru swoją piękną pręgą grand! Auto stało wciąż przed hotelem, więc panna Klementyna musiała być jeszcze w środku!

Jakby zwabiona tymi myślami, w szklanych drzwiach hotelu pojawiła się mocno zbudowana młoda dama w długim wełnianym płaszczu i skórzanej pilotce w miejsce wytwornego kapelusza na głowie.

— Panno Klementyno! Panno Klementyno! — krzyknął i jednocześnie zawstydził się swoim młodzieńczym dyszkantem.

— Pan Faustyn! Tutaj? — odpowiedziała z ironicznym uśmiechem ledwo zarysowanym na wąskich, chłপিących ustach.

— Tutaj, tutaj! A gdzie mam być?! Cała drużyna tu służy! Teraz trzeba pomóc, to jesteśmy gotowi, ale ja w tej chwili potrzebuję innej pomocy od panienki!

— Jak mogę druhowi pomóc?

— Trzeba jechać! Proszę mnie wieźć! Jak najszybciej! Na Wildę! Do fabryki taty!

— Ale mój papa nie będzie zadowolony. Muszę wracać do domu. Papa bardzo dba o nasze automobile!

— Panna Klementyna przecież wspaniale powozi! Panna jeździ

jak sam szatan! Ojciec panienki nawet się nie zorientuje! To sprawa wolności! Musimy działać naprawdę szybko!

Wydaje się, że to właśnie ten ostatni argument, to rzucone rozpaczliwie ponaglenie prawdziwie podziałało na pannę Klementynę Siwińską, pierwszą wielkopolską licencjonowaną automobilistkę.

— No, chyba że szybko, ale to naprawdę szybko, panie Fausty-  
nie! Może papa nie zauważy mojego spóźnienia — odpowiedziała  
z błyskiem w oku.

— Tak, tak! Ale proszę nie pędzić jednak zbyt prędko! Wie pani,  
że to dla mojego żołądka niezdrowe! — rzucił jeszcze ponad długą  
maską pragi grand, gdy panna Klementyna zajmowała miejsce za  
kierownicą.

— Druhu Faustyńie! Proszę pomóc mi uruchomić motor! Trzeba  
zakręcić korbą i wsiadać, druhu, wsiadać!

Piękna, smukła i błyszcząca chromami wokół chłodnicy maszyna  
zatrzęsa się od wibracji potężnego silnika. Klementyna uśmiechnęła  
się lubieżnie, prawą dłoń obleczoną w stylową rękawiczkę z koźlęcej  
skórki mocnej zacisnęła na kierownicy, a lewą zdecydowanie prze-  
rzuciła wajchę zmiany biegów. Faustyn szybkimi, krótkimi kroczkami  
obiegł pojazd, złapał za klamkę i zajął miejsce pasażera od strony  
ulicy. Automobil ten miał bowiem kierownicę po prawej stronie.  
Faustyn musiał się schylić, mijając lewy przedni słupek kabiny, gdyż  
sterczał tam śmieszny okrągły kierunkowskaz: obramowana w chro-  
mowaną stal jasnożółta strzała, która przekręcała się w odpowied-  
nim kierunku, o ile tylko kierowca raczył przesunąć małą dźwigenkę  
przy wolandzie.

Ledwie zdążył opatulić nagie skautowe kolana połą płaszczka  
i złapać się mocniej rączki przy drzwiach, bo Klementyna z dziką  
rozkoszą wcisnęła pedał gazu. Piękne biało-czarne opony na stalowej  
krwistoczerwonej feldze zabuksowały na śliskim bruku. Automobil  
ruszył przy akompaniamencie wszystkich ośmiu cylindrów żarłocz-



nego silnika. Po sekundzie byli już przy Schulstrasse. Auto lekko zarzuciło, gdy panna Klementyna sprawnie zredukowała bieg przed zakrętem. Błoto śniegowe spod tylnych kół prowadzonych delikatną stopą w subtelnym poślizgu bryznęło na kilku żołnierzy z białoczerwonymi opaskami na ramionach. Soczyste przekleństwa rzucone na wiatr nie doszły do delikatnego uszka panny Klementyny, która właśnie po wyjściu z wirażu wrzucała trzeci bieg, wypychając zgrabną stópką zdobną w aksamitny pantofelek pedał gazu do oporu.

Faustyn próbował maskować przerażenie nerwowym pochrząkiwaniem i przytrzymywaniem skautowego kapelusza, ale mimo jego rozpaczliwych wysiłków luksusowa praga grand pełną mocą silnika gnała coraz szybciej wzdłuż torów tramwajowych na Halldorfstrasse. Mijając po prawej stronie cmentarz ewangelicki, prawie rozjechali jakiegoś bezdomnego kejtra<sup>2</sup>. Na pełnej prędkości i z rykiem klaksonu wpadli na Kronprinzenstrasse. Faustyn nerwowo spoglądał to przez frontową szybę, to na Klementynę, której oczy rozpałały się iskrami z każdym kolejnym wirażem, z każdym metrem bruku, który zniknął połykany przez masywną maskę automobilu.

— Boże Ojcie... — zdążył szepnąć, gdy delikatne rączki Klementyny sprawnie poprowadziły pragę w kontrolowanym poślizgu po łuku ulicy przed kościołem przy Bismarckplatz. — Zginę niechybnie przez tę wariatkę! Jeszcze tylko Bachstrasse i jesteśmy na miejscu! Boże, chroń! Święty Krzysztofie, patronie podróżnych, wypędź z niej tego demona!

\* \* \*

Feliks Celichowski, nocny stróż fabryki Cegielskiego, zdjął ciężkie, robocze buciory i rozcierał zmarznięte stopy równie zmarzniętymi rękami. Mała, przerdzewiała koza dawała budce strażniczej

---

<sup>2</sup> W gwarze poznańskiej: pies, kundel.

akurat tyle ciepła, aby nie zamarzło wyniesione z domu jedzenie. W kamionkowych dwojakach przykrytych przez czułą i kochającą żonę pana Feliksa czystą szmatką czekały na niego ugotowane w mundurkach pyry i śledź w śmietanie. Pan Feliks wychylił się przez uchylone drzwi jego strażniczej budki, sięgając po chłodzący się w śniegu czysty ziemniaczany samogon. Dokładnie w tym momencie na łuku Maybachstrasse błysnęły niczym ślepiea reflektory i zaryczał silnik potwora panny Siwińskiej.

— Ki diabeł po nocy?! — Feliks splunął na śnieg, gdy praga z poślizgiem zatrzymała się przed bramą. — Młody Cegielski? O tej porze?

— Panie Celichowski! Otwieraj pan, na miłość boską! Otwieraj tę bramę!

— Już się robi, panie kochany! Trochę kultury, trochę oglądy by się należało starszemu człowiekowi okazać.

— Dziękuję, dziękuję, panno Klementyno! Dziękuję Bogu, że mnie panna tu całego dowiozła. Ojczyzna panience tego nie zapomni — powiedział Faustyn chyba zanadto pompatycznie, bo jakoś tak głupio wyszło...

— Muszę już do domu. Papa się najpewniej niepokoi. — Klementyna skinęła lekko główką, spojrzała do tyłu, wychylając się przez boczną szybę, i lekko cofnęła, by ustawić automobil w osi jezdni.

— Jestem przekonany, że szanowny papa nie zdążył jeszcze zauważyć, że panienki nie ma w domu. Ale życzę najlepszego i jeszcze raz dziękuję! — krzyknął w stronę tańczącego na śliskim bruku, powabnego kufra przepięknej pragi.

\* \* \*

Właściwie nie wiedział, od czego zacząć. Przecież Śmiały nie był jeszcze gotowy! Jeszcze nieprzetestowany! Żyroskop zamontował pod siedziskiem dopiero w zeszłym tygodniu, a kalibracja wciąż

jeszcze nie działała, jak powinna. Śmiały zrobił pod jego komendą ledwie kilka niezdatnych kroków po hali, wciąż podtrzymywany na łańcuchach zwisających z wielobloku pod suwnicą.

Jak roczne dziecko, które właśnie oderwało się od matczynej spódnicy. A teraz ma uruchomić tę puszkę na kaczyczych łapach i wyjść do walki... Dobrze sobie! A jeśli się przewróci? Wywali na ryj? To koniec przecież! — rozpoczął paniczną gonitwę myśli. — Nikt go poza halą nie podniesie! Nie powinien co prawda... Teoretycznie nie ma prawa się wyrzucić, bo jest jak ta rosyjska wańka-wstańka, co środek ciężkości ma tak wyważony, że zawsze samodzielnie wraca do pionu, nawet przy spadku ciśnienia w hydraulice. A właśnie! Ciśnienie! Trzeba zrobić ciśnienie: napalić w kotle, nawrzucać węgla do magazynku, ile się da. Boże! Żeby tylko starczyło pary na doczłapanie się na plac Wilhelma i na powrót! To absurd! To się nie może udać! Przecież ja nawet nie wiem, jaki on, do cholery, ma zasięg!

Postanowił ochłonąć trochę przy rozpalaniu kotła, co samo w sobie wydało mu się groteskowym pomysłem. Wygramolił się ze sterówki i sapnął cicho, zeskakując ze stopni. Podeszedł do Śmiałego od tyłu, otworzył drzwiczki rewizyjne, wymiół stary popiół, nawrzucał porąbane wcześniej brzozowe szczapy i podpalił. Ogień szybko zajął całą komorę, rozprzestrzeniając się od kilku zwitków białej kory.

— Stara skautowa szkoła Śniegockiego — mruknął do siebie zadowolony. — Kora brzozowa jeszcze nigdy nie zawiodła.

Śmiały obudził się ze snu. Woda zaczęła krążyć w rozgrzanym wymienniku na jego plecach. Wydając cichutki syk, odrywały się od miedzianych rurek pierwsze bąbelki powietrza. Ogień już głucho szumiał, parowe sprzęgło zaczęło wyrzucać pierwsze białe obłoczki, pufając przy tym coraz radośniej, jak imbryk na rozgrzanej kuchni. Faustyn dorzucił grubsze polana, zamknął drzwiczki, stanął niepewnie w odległości trzech kroków od cylindrycznego kadłuba maszyny i chwilę mierzył wzrokiem jego niezgrabne cielsko. Dwa dziwne, jak-

by pajęcze odnóża uzbrojone w parowe siłowniki i przewody sterownicze do zwalniania cięgien oplatały żelazny, niepomalowany jeszcze beczkowy kadłub. Pod piecykiem przymocowanym niby plecak na cylindrze kabiny, pomiędzy nogami, zwiślała przeciwwaga: nanizane na poprzeczny pręt żeliwne odlewy miały zagwarantować pewny powrót do pionu w każdej sytuacji. Z piecyka po bokach wystawały dwa kominki, dwie rury wydechowe.

Fajnie! Niczym rogi jakiejś piekielnej bestii. He, he, rogi mi wyszły! Nie ma co! — pomyślał zadowolony z siebie. — A najlepiej, jak się tak do pieca dorzuci, że ogień z tych rur pluje. No to jest klawo dopiero!

Ciepło promieniowało już na halę. Górna kłapa wjazdu była całkiem otwarta, zapraszając do środka. Faustyn zatarł ręce, zwinął skautowy kapelusz w rurkę i ruszył zająć stanowisko... No właśnie... Kogo? Kierowcy? Dowódcy? A niby kim miał dowodzić? Pilota? Tak! Stanowisko pilota!

Dwoma susami znalazł się na stopniach przy zewnętrznej ścianie puszek wykonanej z odrzuconego z odlewni cylindra maszyny parowej, który wyblagał u ojca.

Próbował zgrabnie przerzucić nogi nad krawędzią i wskoczyć na siedzisko niczym pilot dwupłatowca myśliwskiego, którego oglądał w trakcie pokazów garnizonu na Ławicy. Niestety, gołym skautowym kolanem wyrznął w ocembrowanie i już drugi raz tego wieczoru runął głową w dół. Nie upadł jednak na twardą podłogę hali, ale zawisł we wnętrzu beczki sterowniczej Śmiałego. Próbując wykaraskać się jakoś z tej sytuacji, szarpiąc wściekle i machając członkami, musiał przypadkowo zwolnić sprzęgło! Z cichym sykiem napełniły się siłowniki w obu nogach. Śmiały stanął w pozycji startowej.

Boże jedyny! Zaczęło się! — pomyślał dokładnie w chwili, gdy pęknięta szelka świsnęła go w lewe ucho, a podłoga kabiny sterowniczej plasnęła w twarz. — Dobrze, że Klementyna tego nie widzi...

Sapiąc, rozsiadł się na siedzisku pilota, jedną ręką złapał wajchę sterowniczą, a drugą zaczął odkręcać przepustnicę pary. Tłoki ruszyły, koło zamachowe nabierało rozpędu, za chwilę, kiedy silnik wejdzie na wyższe obroty, sprzęgło ślizgowe złapie tarcie i przekaże siłę na mechanizm korbowy do goleni.

Działało to odwrotnie niż w lokomotywach, które budował jego tata. Silnik parowy napędzał koło zamachowe, które przez poprzeczny korbówód uruchamiało popychacze na goleniach. Stabilność zapewniać miał automatyczny żyroskop wirowy i system sprytnie podwieszonych przeciwwag.

Sprzęgło zaskrzeczało przeciągle i Śmiały płynnie, z lekkim zgrzytem i świstem zaczął poruszać naprzemiennie łapami. Najpierw powoli, jak żółw ociężale, łapa za łapą szurał o bruk. Potem coraz śmieiej, płynnie bujając się na boki, stalowe monstrum przeszło do żwawego marszu. Rolą pilota było tylko nadawanie kierunku i prędkości. Praca goleni odbywała się automatycznie. Należało dokładać do pieca i utrzymywać ciśnienie pary w układzie. Faustyn delikatnymi poprawkami korygował kurs Śmiałego i kroczył przez wrota hali w kierunku bramy zakładu.

Kroczył! Maszerował! Maaaaszeeeeeroooował!!!

— Święta panienko, ale saaadzi! — Radość i duma rozrywały młodemu inżynierowi piersi.

Ni cholery nie widać na boki. Trzeba poszerzyć ten otwór albo dorobić wzierniki po bokach, bo zaraz rozwałę się o coś jak nic! — pomyślał Faustyn. Szarpnął lewą ręką zamek zabezpieczający Obenklappe i odrzucił ją do tyłu. Uniósł się trochę na wyższe siedzisko i wystawił głowę przez otwór. Śmiały nabierał prędkości. Zbliżał się do bramy zakładu, którą już oświetlił mocnymi reflektorami. Świeże, mroźne powietrze podziałało jak katalizator i spowodowało dziki wybuch nieokiełznanej radości. Chciał krzyżeć, chciał się drzeć na całe gardło, coraz głośniej z każdym kolejnym człapnięciem stalowych łap!

— Celichooooowski!!! Otwieraj!!! Do cholery, człowieku! Otwieraj tę bramę! — Faustyn darł się z całych sił w kierunku budki strażnika.

\* \* \*

Feliks Celichowski chwalił Boga śledziem w śmietanie. Małej, okrągłej pyrki użył do wyczyszczenia z resztek sosu ścianek miseczki. Do ziemniaczka przylepił się jeszcze kawałek chrupiącej cebulki. Smakosz końcem widelca wygrzebał spod białej pierzynki ostatni kęs solonego śledzia i chlapanął piątą kielonek samogonu. Zmrożony, gęsty płyn rozpalil mu przełyk. Mężczyzna szybko zakąsił przygotowaną wcześniej zagrychę i osunął się na oparcie krzesła. Z rozkoszą przyjął miękkie bujanie i szum alkoholu. Przymknął oczy, językiem rozsmarował po podniebieniu gęstą śmietanę i przegryzł soczystego, słonego śledzia.

— Perfekcyjnie! Boże, dzięki ci za te dary, dzięki ci za moją starą i za jej matkę, która ją tego nauczyła — mruknął pod wąsem i postanowił się całkiem zrelaksować. Do końca roboty zostało jeszcze kilka godzin, które miał zamiar spędzić, drzemiąc na krzeselku, przerywając sen tylko na krótkie chwile uzupełnienia opału w kozie.

Błogosławioną ciszę śpiącego zakładu przerwał jakiś dziwny, nieznanym Celichowskiemu dźwięk. Coś pomiędzy hałasem suwnicy a odgłosem ruszającej z remontu lokomotywy parowej. Ciemny, cylindryczny kształt sunął w stronę bramy, dziwnie kolebiąc się na boki.

— Ki diabeł?! — Pan Celichowski przybliżył się do okna i chuchnął srodze alkoholowym wyziewem. Poskutkowało. Mroźne kwiaty roztopiły się na tyle, że mógł przetrzeć szybę i przyjrzeć się temu czemuś, co z metalicznym chrzęstem kroczyło w jego stronę. Kroczyło? Jak, kurwa, kroczyło? — Chuj na kaczych łapach? — Przetarł oczy, potrząsnął głową i pomyślał, że tym razem samogon trzepie chyba za mocno i za wcześniej.

Ledwom chlapnął piąty chyba kieliszeczek, a tu już takie zwidy!  
— Otwieeeraaaajj! Otwieraj pan tę bramę! — darł się ktoś ze szczytu tej chodzącej puszki, ni cholery nie widać kto.

Celichowski wyskoczył ze swojej budki, poślizgnął się na śniegu, przeklął siarczyście, przetarł oczy i przyłożył dłoń do czoła, żeby osłonić się przed ostrym światłem reflektora.

— Otwieeeraaaaj paaaaan! Nie wiem, czy uda mi się zatrzymać!

— Pan Cegielski? Młody pan Cegielskiiii?! Coś pan tu przytar-  
gał?!

— Panie Feliksie, czasu nie ma! — Pilot zdążył jeszcze krzyknąć, kiedy stary stróż, wciąż do końca nie rozumiejąc, o co chodzi, chwiejnym krokiem pchnął jedno skrzydło stalowej bramy, a lecąc za nim do przodu i zwalając się na ulicę, w ostatniej chwili zrobił miejsce dla rozpędzonego już Śmiałego.

Trafiłem w wyjście! Dobra jest! — pomyślał Faustyn i sprawnie skierował maszynę w lewo, w Maybachstrasse, pozostawiając starego stróża z palącym pragnieniem wypicia na raz pozostałej we flaszcze wódki. Machiną lekko zarzuciło, czknęła jakby, zablokowała lewy goleń, grzebiąc prawym po bruku jak jakaś monstrialna kura. Ruszyła na wprost, dopiero gdy Faustyn pchnął do przodu wajchę kierunku. Zakołysało beczką przy nabieraniu prędkości. Po kilkunastu krokach wpadła w równomierny rytm sprawnego marszu. Chciał minąć centrum miasta, żeby w miarę możliwości nie rzucać się w oczy. Postanowił przemknąć wzdłuż wolnych torów do Kreuzburgerstrasse, skręcić w lewo na ścieżkę prowadzącą przez tory na Łazarz, z niej w prawo i poprowadzić maszynę po zaciemnionym torowisku pomiędzy składami wagonów za dworcem towarowym. Potem planował jakoś przemknąć przez Colombstrasse do Parku Schillera. Tam się przycząić, rozpoznać sytuację i zdecydować, co dalej.

Poszło nadspodziewanie łatwo, zgodnie z planem. Na Maybachstrasse o tej porze nie było żywego ducha. Spod nóg Śmiałego umknę-

ło tylko kilka wychudłych szczurów. Kolejny zwrot w lewo wyszedł już całkiem płynnie. Faustyn wystawił głowę przez górną klapę, spojrzął do tyłu w kierunku gmachu Szkoły Budowy Maszyn, do której przez rok uczęszczał jako student. Ciekawe, co na jego wynalazek powiedziałby profesor Baum...

Nieważne, co by powiedział. I tak pewnie stary pierdziel nie uwierzyłby, że coś takiego może działać!

W poprzek kursu Śmiałego w świetle reflektora nagle pojawiły się tory — kolejny punkt orientacyjny. Teraz należało skrócić w prawo i ruszyć na północ. Śmiały, cicho pofukując i poświstując, kroczył sprawnie wzdłuż szyn. Pilot poczuł się już na tyle pewnie, aby bez większych nerwów wprowadzić monstrum pomiędzy dwa składy pociągów. Wrażenia miał takie, jakby dosiadał starej leniwej kobyły: kolebał się bardziej na boki niż w przód i w tył. W środku zrobiło się przyjemnie ciepło od pracującej pod pełną parą maszyny. Niezauważony przez nikogo, kryjąc się pomiędzy wagonami, minął od wschodu dworzec towarowy i doczłapał się do końca torowiska. Zatrzymał Śmiałego przy ostatnim wagonie, wychylił się przez górną klapę i zaczął lustrować teren.

Jakieś sto, może sto dwadzieścia metrów na północny wschód od niego przebiegała Colombstrasse, za którą czerniały sylwetki pozabawionych liści drzew w Parku Schillera. Ulica wydawała się cicha. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Z centrum miasta dochodziły jakieś hałasy, błyski, może strzały.

— No cóż. Kto się waha, ten się stracha! — Przypomnił sobie stare skautowe hasło. — Właściwie to jak podchodzenie obozu... Tylko skała trochę inna, drzew jakby mniej i w porównaniu do zastępu skautów ta puszka robi jednak diablo dużo hałasu.

Przed wykonaniem skoku przez ulicę sprawdził jeszcze ciśnienie na manometrach. Trochę spadło, ale trzymało się w normie. Nabral głośno powietrza i odkręcił przepustnicę. Gdy ślizgowe sprzę-



gło gwizdnęło przeciągle, pchnął wajchę kierunku śmiało do przodu. Korpus pochylił się nieznacznie i Śmiały ruszył z kopyta! Właściwie ze stopy, a jeszcze ściślej: dał drapaka, ryjąc stalowymi pazurami zmarznięte błoto. Kroki wydłużyły się, korpusem zaczęło mocno szarpać podczas tego dziwnego kaczko-kurzego biegu.

Psiakość! Strzelanie w takim ruchu jest niemożliwe. Niedobrze! — zdążył pomyśleć, wkraczając do parku.

Zza drzew wyglądał jak niezdarnie wykonana lalka koguta, któremu obcięto głowę, a jego ciało biega jeszcze przez chwilę, tryskając z szyi ciemnym, tłustym dymem zamiast świeżą krwią. Czegoś takiego skauci Sokoła kryjący się w krzakach jeszcze nigdy w życiu nie widzieli. Nawet nie byli w stanie sobie wyobrazić. Ujrzeni coś jakby pół lokomotywy postawionej do pionu biegnące na dwóch nogach sporymi susami w poprzek Colombstrasse! Zwyczajem chłopców po prostu stali i gapili się na to zjawisko z opuszczonymi szczękami, poszturchując się lekkimi kuksańcami.

Mechaniczny kurczak bez głowy przekroczył właśnie trotuar i zaczęła włączyć pomiędzy drzewa, zakolebał się lekko na stoku, dmuchnął ogniem z dwóch rur flankujących cielsko i... zaczął podejrzenie zwalniać. Zrobił jeszcze kilkanaście coraz wolniejszych kroków, po czym stanął mniej więcej pośrodku parku, z ciężkim sapnięciem przysiadł na łapach, kucnął jakby i zamarł.

— Jajko znieś? — szepnął jeden ze skautów.

— Cholera go wie. Nie ruszać się! Czekać na rozkazy!

Od strony monstrum dał się słyszeć szcęk przekręcanego zamka i po chwili z rumorem otworzyła się górna kłapa. Kiedy posapując i stękając korpulentna postać zlazła na ziemię, skauci ruszyli do ataku.

\* \* \*

— Co do jasnej... — powiedział Faustyn do siebie, gdy Śmiały mimo otwartej przepustnicy i wychylonego drążka sterowniczego

zaczął tracić siły. Zwolnił kroku, powłóczył stopami, aż w końcu odmówił współpracy i stanął z ciężkim sapnięciem pośrodku parku, przysiadając trochę na piętach. — Ciśnienie! Spadło ciśnienie! Nie-szczelność? Zawór bezpieczeństwa? Co jest?! — Przebiegał nerwowo wzrokiem po wskaźnikach i manometrach. — No tak! Temperatura pary! Zgasło pod piecem! Jasna cholera!

Schylił się do podręcznego magazynu paliwa, stalowej beczki na węgiel umieszczonej pod siedziskiem, która wypełniona wspomagała przeciwwagę, odchylił wewnętrzne drzwiczki pieca i zobaczył to, czego się obawiał. Nie było już do czego dorzucać. Na dnie pieca, na ruszcie popielnika zostało tylko kilka ledwo żarzących się węgielków. Jak mógł zapomnieć?! Teraz trzeba będzie na nowo rozniecić!

— Skąd ja wezmę rozpalkę? Źródło ognia! Jasna cholera, a tak pięknie szło!

Zaklął siarczyście, sięgnął do górnej klapy, odbezpieczył zamek, szybkim ruchem odrzucił właz i sapiąc, zaczął gramolić się na zewnątrz. Stęknął, lądując na śniegu. Zmęczył się przy tych operacjach tak strasznie, że padł na kolana. Z trudem łapał oddech.

W tym momencie coś spadło na jego plecy i przygniotło go do ziemi. Ktoś wykręcił mu ręce, ktoś usiadł na ramionach, ktoś szarpnął silnie, pociągnął do pionu, ustawił pod drzewem i kopnął w kostki, rozstawiając mu nogi szeroko.

To koniec — pomyślał. — Złapali mnie.

\* \* \*

— Gadasz po polsku?!

— Po polsku? Tak!

— Co tu robisz? Co to za maszyna? Dokąd idziesz?

— Cegielski. Faustyn Cegielski. Drużyna Sępów Śniegockiego.

— Nadziałeś się, braszku, na skautów z Sokoła! Coś ty, chowie, przytargał? Co to jest? Gdzie tym bieżysz?

— Lekko opancerzony, indywidualny transporter bojowy. Śmiały. Tak go nazwałem. Na razie to tylko chodzi, ale może dać jakąś ochronę, może się przyda, może da się go jakoś uzbroić, Bóg jeden wie! Co się dzieje na mieście? Coś wiecie?

— A pewnie, że się przyda! Jak chodzi, to się przyda! Schować się za nim można. Dobra rzecz! Na mieście jest już gorąco. Pod prezydium policji strzelanina. Szkopy zabarykadowały się w budynku i prują z dwóch rkm-ów. Naszym trudno podejść, bo mają tylko strzelby. Wysłali nas na zwiad. Mamy meldować w pełnej godzinie o sytuacji, więc nie ma wyjścia, druhu! Chcesz czy nie, idziesz z nami!

— Nigdzie nie idę!

— Idziesz, bratku, idziesz. Takiego ptaszka już nie zostawimy. Zdobyliśmy cię w walce. Maszyna jest aresztowana i też idzie z nami!

— Nigdzie nie pójdzie, bo...

— Albo po dobroci, albo weźmiemy go siłą!

— Ciśnienia nie ma! W piecu zgasło, do jasnej cholery! Wiara<sup>3</sup>!

Co z wami?!

— Jak zgasło?

— No w piecu! Węgiel się skończył, wypalił, zgasło, no!

— I co teraz?

— Co „co teraz”? Rozpalić trzeba!

— W piecu?

— No w piecu! A w czym?!

— A masz czym?

— A skąd mam mieć?! Człowieku! Skąd ja mam w środku zimy, w środku parku mieć czym rozpalić w kotle węglowym!

— Dobra, nie bręcz<sup>4</sup>, druhu! Panowie! Mamy czym? — Zastępowy zwrócił się do swoich skautów, którzy zaczęli nerwowo macać kie-

---

<sup>3</sup> W gwarze poznańskiej: ludzie, grupa ludzi.

<sup>4</sup> W gwarze poznańskiej: nie marudź.

szenie mundurów. — Puszki skautowe, rozpałka, raz, raz, do mnie! Musimy ruszyć tego klunkra<sup>5</sup>. Na pewno przyda się w centrum!

Uzbierało się trochę podpałki i kilka zerwanych gałązek trafiło do pieca.

— Mało tego. Na tym śmieciu nie podbijemy ciśnienia.

— Rudy, Młody i Szyszka! Ruszcie się w kierunku dworca, podiwańcie trochę węgla.

Udało im się zebrać okazałą garść różnej maści samorodnych, skautowych podpałek. Ktoś dał zwitki kory brzozonej, ktoś wypaloną w ognisku bawełnę, ktoś nasączone żywicą świerkowe korzenie, ktoś nazrywał trochę uschłych gałązek z drzew w parku. Rzucili to wszystko na ledwo żarzące się na ruszcie węgielki. Zajęło się w sekundę. Nagły płomień wypełnił duszę pieca. Faustyn rzucił na początek kilka bryłek węgla, podmuchał i otworzył nawiew powietrza. Jest! Węgiel zaczął się palić. Gorące serce Śmiałego puściło na nowo w ruch całą maszynę.

— Dobra! Wiara w ruch! Na fort Grolmana, a potem pewnie na plac Wilhelma — zakomenderował zastępowy. — Cegielski! Tylko żadnych numerów! Dla pewności wsadzę ci na kocioł jednego żajka<sup>6</sup>. Będzie kukał, coby ci wajcha z kursu nie zesła! Do składu artylerii się nie zbliżamy. Idziemy w dół, parkiem do Grolmana, a tam już jest wiara z EsDe z Rocha. Mamy czyste przejście parkiem za browarem. Tam cię poprowadzimy, a potem Piekarami i się zobaczy. Może pasażem za Apollo, żeby wyjść na Ritterstrasse i mieć wyjście na prezydium. Obaczym! Druhowie! Szykiem ubezpieczonym z wartą przednią wymarsz! Cegielski, nie oddalasz się! Idziesz tuż za mną! I niech ci do głowy nie przyjdzie świecenie lamp!

Drużyna ruszyła parkiem pod osłoną drzew, krzewów i terenu w kierunku fortu Grolmana. Dwóch skautów z przodu, czterech przy

---

<sup>5</sup> W gwarze poznańskiej: grat.

<sup>6</sup> W gwarze poznańskiej: chłopak.

Śmiałym, jeden siedział w otwartym włazie, jeden szedł jako straż tylna. Faustyn w środku lampił się przez wąski wizjerek, próbując w ciemności nie wprowadzić Śmiałego na jakąś przeszkodę.

Sposób podawania paliwa do pieca stanowczo wymagał udoskonalenia, dostęp do magazynku pod siedzeniem pozostawał mocno utrudniony, więc w czasie marszu ładowanie węgla było praktycznie niemożliwe, do tego ten wizjer... Za mały mu wyszedł.

— Ech... Tyle przeróbek jeszcze mnie czeka, o ile wrócę w ogóle na warsztat — gadał do siebie całą drogę i nawet nie zauważył, kiedy minęli po prawej fort i weszli od strony Półwiejskiej na cmentarz przy kościele ewangelickim.

Zastępowy rozesał wici już wcześniej. Gońce wrócili i przekazali najnowsze wytyczne, zdając relacje z rozwoju wypadków w mieście: awantura pod gmachem prezydium policji rozgorzała na dobre, podobno są jacyś ranni, nasi próbują walić uparcie z kilku kierunków, ale szkopy dobrze się obsadzili, mają dwa rkm-y, więc idziemy na zmęczenie, kiedyś wreszcie skończy im się amunicja, trzeba obstawić przyczółki, zadbać o wstrzymanie ewentualnej odsieczy i dostaw.

Wieść o dziwnej maszynie kroczącej wraz z powstańcami dotarła już do dowództwa i życiem plotki rosła z każdą chwilą. Dobrze, żeby Śmiały pojawił się w centrum. Doda otuchy, ukreści łeb pogłoskom, może się przyda!

Na Piekarach do drużyny Śmiałego dołączyła już spora grupka gawiedzi. Chłopcy próbowali podbiegać, rzucali kamieniami i kulkami śniegu. Skauci musieli przeformować szyk i utworzyć przed monstrum klin, którym rozpędzali coraz bardziej gęstniejący tłum. Wrzawa rosła z każdą chwilą. Pod kościołem Świętego Marcina zebrała się już wuchta<sup>7</sup> wiary, na alejach i placu Wilhelma panował chaos. Małe oddziały i pojedynczy żołnierze biegali we wszystkich

---

<sup>7</sup> W gwarze poznańskiej: wielka ilość.

kierunkach, kryli się w załomach murów, w bramach lub za gmachem Teatru Starego Miasta. Faustyn wprowadził Śmiałego na torowisko tramwajowe i nie bacząc na ogień z gmachu prezydium policji, uparcie brnął do przodu. Skaut, który siedział dotychczas na włazie, trzymając się otwartej klapy, krzyknął coś niezrozumiale i zniknął, zatraskując pokrywę. Faustyn nie kłopotał się zamykaniem na klucz włazu. Skupił się na prowadzeniu maszyny, która stała się teraz wielką tarczą chroniącą w swoim cieniu mały oddział powstańców. Przez chwilę nie musiał dbać o korekty kierunku marszu, bo ustawił Śmiałego na kursie kolizyjnym z gmachem prezydium. Aby nie popełnić błędu z parku, musiał zadbać o kolejną porcję kalorycznego węgla dla żarłocznego pieca. Żeby dostać się do wewnętrznych drzwiczek, trzeba było zablokować wajchę kierunku, podnieść siedzisko zamontowane do ścianki na zawiasach, odwrócić się, schylić i w tej arcy-niewygodnej pozycji nawrzucać ręcznie jak najwięcej bryłek węgla do komory spalania.

Żar bił od pieca ogromny. Faustyn zaczął się obficie pocić, sapał, stękał, krztusił się węglowym pyłem.

— To stanowczo wymaga poprawy — powtórzył sobie dla pewności jeszcze trzy razy, zanim uznał, że piec jest wystarczająco napelniony.

Trzasnął drzwiczkami, opuścił siedzisko i dopiero wtedy miał sposobność wyrzeć przez wizjer. Kule padające ciągłym gradem na korpus przestały już robić na nim wrażenie. Lekko skorygował kurs na widoczne już dobrze główne wejście, rozkręcił przepustnicę do oporu i Śmiały rozpoczął szarżę godną rozdrażnionego buhaja z gospodarstwa rozplodowego w Manieczkach.

Faustyn właściwie nie miał żadnego planu. Parł prosto na wejście. Miał nadzieję, że za nim biegną schowani powstańcy i że utoruje drogę komuś sprawnemu w działaniu, kto dobrze wykorzysta tę okazję. O żadnej komunikacji ze światem zewnętrznym niestety

nie było mowy: syk pary, hałas stalowych stóp, grad kul z rkm-ów skutecznie zagłuszały wszelkie próby przekazania rozkazu. Pilot po prostu miał nadzieję, że działa zgodnie z planem obmyślonym przez kogoś z dowództwa.

Gdy do drzwi gmachu pozostało kilka susów, szarpnął wajchę kierunku do siebie. Śmiały potrzebował jednak co najmniej pięciu kroków, aby wyhamować z tej prędkości. Niestety, po czwartym jego obłe cielsko wyrznęło w masywny klasycystyczny gzyms nad drzwiami. Śmiałym szarpnęło, przechyliło go mocno do tyłu, podczas gdy rozpędzona maszyna zrobiła jeszcze dwa kroki w przód. Efekt musiał być zgodny z prawami fizyki: wielka stalowa beczka przewaliła się na plecy, rzucając Faustyna na tylną ściankę. Niezabezpieczony wąż walnął ostatnim akordem tej brawurowej akcji o bruk, wpuszczając do wnętrza mroźne, pachnące siarką i dymem powietrze.

Chyba było po wszystkim. Okazało się, że za Śmiałym biegła spora powstańcza drużyna, która teraz miała otwartą drogę do wnętrza gmachu prezydium policji. Poszło szybko. Już po kilku minutach strzały ustały, a w oknie na pierwszym piętrze pojawiła się polska flaga. Faustyn stał oparty o kolumnę w podcieniu teatru i przyglądał się, jak rozbrojona niemiecka załoga karnie opuszcza budynek. Powstańcy pozwolili prusakom odejść. Nie brali jeńców. Wszystko się uspokoiło. Faustyn dopiero teraz dostrzegł leżące mniej więcej pośrodku placu, wykrwawiające się ciało chłopaka.

Chyba już po wszystkim. Pierwsze zwycięstwo za nami! Teraz trzeba podnieść Śmiałego i spróbować dотаać<sup>8</sup> go do fabryki ojca. Może coś uda się jeszcze naprawić, udoskonalić.

— Pan Cegielski?! Faustyn Cegielski?

— Tak.

---

<sup>8</sup> W gwarze poznańskiej: donieść, dociągnąć.

— Fiedler. Arkady Fiedler, wydział werbunku POW. — Do Cegielskiego doskoczył wysoki, szczupły mężczyzna z wąsem. — Panie! Aleś nam pan pomógł tym ustrojstwem! Co za szarża! Trzeba to podnieść, uzbroić i włączyć do organizacji, włączyć do akcji!

— Uzbroić? Czym?

— Jeden z tych rkm-ów dasz pan radę przymocować do tej puszki?

— Co nie dam, jak dam!

— Ale tak na jutro by trzeba!

— Zbierz pan wiarę. Podnosimy.







Emilia Teofila Nowak

**Niepokonana Helena Stein**

➤ Mężczyzna w mundurze polskim oraz dwie kobiety w Atelier. Nieznany czas powstania zdjęcia.

**M**oja matka umierała w polu pyrów przykrytym białą pierzyną śniegu. Zapadała się w niej coraz głębiej, szamocząc gwałtownie, jakby jakieś niewidzialne ręce wbijały ją w ziemię. Może to były ręce mojego ojca, który chciał jak najszybciej zabrać ją do siebie?

Krew rozchodziła się żwawo po jej fartuchu czerwoną plamą, jakby nie było zimy, a lato, czas drylowania wiśni, z których sok tryska na wszystkie strony. Napiłabym się soku, pomyślałam, trzymając jej słabnącą rękę. Albo ciepłej kawy, bo kolana już mi cierpły od tego siedzenia z matką na mrozie. Zostało z wigilii jeszcze sporo karpia.

Postanowiłam najeść się do syta po powrocie, ale zjadłam dopiero w nowym domu tuż po tym, gdy matka przekazała mi swoje ostatnie słowa:

— Do końca życia masz nienawidzić Heleny Stein i wszystkich jej krewnych.

W tamtym momencie mogłam jej obiecać dosłownie wszystko, byleby już przestała wierzyć i zamknęła oczy na wieki wieków. Zdążyłam jednak tylko rozchylić wargi, bo silne ręce porwały mnie z klęczek i postawiły na równe nogi. Z gardła wyrwało mi się pełne zaskoczenia „O!”, po czym stanęłam twarzą w twarz z Heleną Stein.

Kiedy wcześniej dochodziło do spotkania, matka uderzała mnie ręką w tył głowy, mówiąc:

— Nie gap się. Ta kobieta to czarownica. Rzuci na ciebie urok, tak jak na ojca. Nie będziesz myśleć o niczym, tylko o tej przeklętej szantrapie.

Ale kiedy widziałam Helenę z daleka, jak jechała przez las na rowerze z suknią zawiązaną z boku w supeł albo jak modliła się gorliwie w kościele, bałam się nie z powodu słów matki. To wygląd czarownicy napawał mnie lękiem, jej wielkie sińce pod oczami oraz wąskie usta. Wyglądały na wiecznie zaciskane w rozgniewaniu. Zawsze też ubierała się tylko i wyłącznie w czerni. Uwielbiała suknie z koronkowymi kołnierzykami. Nawet fartuchy do pracy w polu miała tak samo czarne, jakby co chwila umierał jakiś jej krewny i przechodziła płynnie z jednej żałoby w drugą.

Tak, bałam się Heleny Stein i dlatego najczęściej omijałam ją wzrokiem i uciekałam jak najdalej tylko się dało. Ale teraz znalazłam się pod jej obezwładniającym wpływem. I nawet nie pragnęłam ucieczki. Odwzajemniłam intensywne, lustrujące spojrzenie.

Zazwyczaj nosiła włosy upięte w ciasny kok na czubku głowy, ale dziś jej gęste loki unosiły się w powietrzu w rytmie lodowych podmuchów wiatru i lśniły niczym kruczo-czarna chorągiew. Pod węglami czujnych oczu rysowały się dwa ciemne półksiężyce, a nieco niżej ostre pagórki wystających kości policzkowych. Nos znacząco zakrzywiony ku dołowi bardziej przypominał dziób, zresztą cała Helena Stein wtedy przywodziła mi na myśl raczej ptaka, nie kobietę. Szpaka, bo widywałam je tylko latem, a wtedy moje życie zmieniało się z wiecznej zimy w wiosnę, choć nie mogłam mieć wówczas o tym pojęcia. Czy była piękna? Może przed laty, przed urodzeniem dzieci.

— Masz dobre, mądre oczy, dziecko. — Jej głos był szorstki i zdecydowany. — Pójdiesz z nami.

— Myślisz, że jesteś gotowa? Nie masz wystarczająco dużo na głowie? — Od strony drugiego trupa, leżącego z pięćdziesiąt metrów przed moją matką, szedł Janek. Myślałam wówczas, że to młodszy brat Heleny, ale tak naprawdę był jej szwagrem. W każdej ręce trzymał po pistolecie.

— Jak się ją dobrze wychowa, to i ludzie z niej będą. Zresztą miejsce przy stole akurat się zwolniło.

Janek westchnął ciężko.

— Idź, pokaż ją matce. Niech wreszcie przytuli wnuczkę — powiedział. — A ja tu posprzątam. Tylko uważaj. Nie wiadomo, kiedy się zacznie.

— Przecież właśnie się zaczęło — rzuciła Helena na odchodne.

Pamiętam odgłos śniegu skrzypiącego pod butami, kiedy ciągnęła mnie za sobą za rękę. Słysimy najpierw pośród światła księżyca, a potem w mroku lasu, który dzielił nasze gospodarstwa. Im bliżej domu, tym szybciej szła. Wkrótce niemal biegłyśmy, aż do momentu, kiedy zatrzymała się nagle, a ja z impetem weszłam jej w plecy. Nawet nie drgnęła. Zastanawiałam się, o co może chodzić. Czyżby ta czarownica miała specjalne moce i usłyszała z daleka jakieś dzikie zwierzę? A może widziała duchy?

— *Stoppen Sie sofort!*<sup>1</sup> — rozległo się obok nas i w chwilę później rozbłysła gazowa lampka. Trzymał ją w wyciągniętej ręce kolega wuja Linusa. Stał przy nim inny mężczyzna, też wąsaty i też ubrany w mundur.

Helena westchnęła.

— Chłopcy, no przecież stoję. Co tu robicie?

— Wylegitymuj się!

— Helena Maria Kandulska z domu Stein, chłopcy. Znamy się przecież doskonale.

---

<sup>1</sup> Zatrzymaj się natychmiast! (niem.).

— Pokaż dokument i powiedz, co robisz z tym dzieckiem tak późno w środku lasu! — rozkazał żołnierz.

W migotliwym świetle lampy dostrzegłam, jak Helena przewróciła oczyma, sięgnęła za pazuchę i wyjęła nie dokumenty, a pistolet. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, pozbawiła życia dwóch mundurowych. Ich opadające na ziemię ciała zderzyły się jeszcze z pniami dębów, a lampka zgasła, spotkawszy się ze śniegiem.

Dotarliśmy do gospodarstwa Steinów po piętnastu minutach spokojniejszego już marszu. Pokonałyśmy mostek na Dojce, a dalej czekały na nas kolejne zwłoki. Tym razem czterech mundurowych przy tylnym wejściu pilnowanym przez mężczyznę chyba jeszcze młodszego od Janka. Szybko okazało się, że to Amand Stein. Siedział na schodkach pomiędzy kolumnami i palił jednego papierosa za drugim.

— Ledwo z wojny człowiek wraca, a tu takie coś od razu... — Pokręcił głową z niedowierzaniem. — Słyszałem wystrzały po waszej stronie. Gdzie Janek?

— Będzie zakopywał Niemca, tego wstrętnego Linusa. Zabił Martę.

— No tak, więc to jest to nieszczęśliwe dziecko — powiedział Amand w moją stronę.

Helena bez słowa pociągnęła mnie do domu.

Dopiero wewnątrz zrozumiałam, jak bardzo wcześniej było mi zimno. Kiedy znalazłam się za drzwiami, w twarz uderzyła mnie fala ciepła. Zdjęłam kurtkę, którą narzuciłam na siebie pospiesznie po tym, jak w izbie, zaraz po kłótni wujka Linusa i matki, pojawili się Steinowie i rozejrzawszy się, też od razu wybiegli przez tylne drzwi. Ubrałam się i wypadłam za nimi, bo myślałam, że tak trzeba. Że to jakaś zabawa, a kto zostaje przy stole zastawionym wciąż niewystygłą kolacją, odpada. Ale odpadła moja matka, bo kiedy rzuciła się na Linusa, ten po prostu do niej strzelił. Chwilę później sam nie żył, zabity przez Janka Steina.

— Mamo!

— Agnieszko, proszę, idź do siostry. Przyjdę do was później.

Z jednego z pokojów wyłoniła się dziewczynka o włosach jasnych jak aniołek z obrazka. Była ubrana w śliczny różowy fartuszek, a ja miałam na sobie brudną szarą sukienkę. Kwiatki na niej kiedyś też były różowe, ale mama dawno nie prała, bo nie chciało jej się nosić wody ze studni i podgrzewać, więc teraz były brązowe. Zrozumiałam też, że mogę nieładnie pachnieć. Wtedy po raz pierwszy poczułam lęk i spojrzałam w górę na Helenę Stein.

Uśmiechała się. Byłam pewna, że jako czarownica umie czytać w myślach, więc nie zdziwiłam się, kiedy chwilę później przekazała mnie służącej do kąpieli.

— Jak masz na imię, kwiatuszku? — zapytała pomocnica.

— Ona nie mówi — powiedziała Helena, a potem zniknęła w głębi domu.

To nie była prawda. Mówiłam. I to bardzo dużo. Cały czas ze sobą rozmawiałam, ale nie czułam potrzeby komunikowania się z matką czy wcześniej z ojcem. Nie zasługiwali na to, kiedy mnie bili albo kazali cały czas pracować w polu. Początkowo krzyczałam i płakałam, ale potem mi się odechciało. Miałam inne rzeczy do roboty.

— No to będziesz moim kwiatuszkiem. — Służąca wzruszyła ramionami, godząc się z brakiem odpowiedzi. — Ja jestem Ania.

Kiedy myła mnie ciepłą myjką w wielkiej blaszanej misie z dwoma uchwytnymi, usłyszałam tętent kopyt i rżenie konia. A potem jeszcze głos Heleny, ale zupełnie inny niż wszystkie szorstkie, krótkie zdania, które dzisiaj wypowiedziała:

— Władek! Jesteś? Władek, ojca mi Niemcy zabili!

Ten lament coś we mnie poruszył. Mój ojciec też przecież nie żył i też wszyscy mówili, że go Niemcy zabili. Wszyscy oprócz matki, która twierdziła, że zabiła go Helena Stein. Ta, która dzisiaj na moich oczach z zimną krwią, bez mrugnięcia okiem pozbawiła ducha dwóch ludzi.



Tej nocy nie mogłam zasnąć. Ania uszykowała mi łóżko na poddaszu dworku. Z okrągłego okienka było widać mostek na Dojce. Jeszcze nigdy nie byłam po tej stronie rzeki.

Ostatnie, co zapamiętałam, to gonitwę myśli. Ścięły się całkiem głośno. Głowę wypełniały mi wystrzały oraz słowa matki: „Do końca życia masz nienawidzić Heleny Stein i wszystkich jej krewnych”.

Ale dlaczego? Przecież ja byłam krewną Heleny Stein.

Nazywam się Greta Stein, jestem córką Marty i Pawła Ludwika, najstarszego brata Heleny i Amanda Steinów. Jestem sierotą, która wedle polecenia nieżyjącej matki powinna nienawidzić przybranej mamy oraz siebie samej. Do końca życia.

\* \* \*

Nie wiedziałam, czym było powstanie ani do czego służyło, ale musiałam o nim słuchać z ust braci Heleny Stein oraz jej męża Władysława Kandulskiego. To on wczoraj wrócił konno z Poznania. Nie był wysoki, ale wydawał się największy spośród wszystkich zgromadzonych przy stole. Wielkie kawały chleba nikły w jego ustach pod sążnistym wąsem. Póki mówił, patrzył w talerz. Nikt mu nie przerywał.

— Będzie wszystko dobrze, tylko nie ma co dłużej zwlekać, trzeba wziąć pistolet i przejąć urzędy, tak jak żeśmy to miesiąc temu obmyślili. Jesteśmy Polakami. Widzicie, Niemcy to tchórze zakłamane, zrabować nas chcieli i hajda! Z rodzinami za nasze pieniądze za Odrę do Frankfurtu albo byle dalej...

— Tak jest — odezwała się babcia Augustyna.

— Tak jest — potwierdzili Janek i Amand.

— Jakie: tak jest? — Tylko Helena Stein zanegowała wypowiedź męża. — I teraz co? Przyjdą powstańcy i wszystkich sąsiadów nam we wsi zamordują? O ile ci wcześniej nas nie wyrzną za to, cośmy policji wczoraj zrobili!

— Przecież oni ledwo wczoraj ojca zabili, Heła, na Boga! — krzyknęła Augustyna.

— Ale to wstrętnei przestępcy w tej policji. Niech mama posłucha. Nie wszyscy są tacy. Przecież Erdmannowie, Schweinowie, Wiedermayerowie, co nam ten właśnie chleb pieką...

— Nie! — zawołała twardo matka Heleny, uderzając w stół. — W Albertowsku tylko Steinowie, Tullinowie i Kandulscy porządni. Więcej nie ma! Tylko Polacy z krwi i kości!

— Mama posłucha, przecież mama też jest Stein. Po kim ojciec nazwisko nosił, ja się pytam?

— Dosyć! — zagrział Władysław. — Dlatego właśnie kobiety są od gospodarki, a nie od wojny, bo od tego gadania tylko się wszystkiego człowiekowi odechciewa.

I nagle po tej wymianie zdań, kiedy atmosfera stała się tak gęsta, że trudno byłoby ją nawet toporkiem posiekać, cała rodzina się roześmiała. Pomimo że w izbie obok leżał nieżywy dziadek Józef.

Gdyby moja matka podniosła głos na ojca, od razu dostałaby pięścią w twarz.

Słuchałam tego schowana pod stołem. Zsunęłam się z krzesła pod obrus, bo bałam się zobaczyć, jak wszyscy zaczynają się ze sobą bić. Ale tak się nie stało. Po gromkim wybuchu śmiechu dołączyła do mnie Agnieszka.

— Jesteś Gretka — powiedziała i uśmiechnęła się szeroko. — Tajemnicza kuzynka z sekretnej wyspy za lasem. Gretka rymuje się z kredka. Lubisz rysować?

Pokiwałam głową.

— To pójdziemy, ale na razie trzeba do dziadka, żegnać się z nim i modlić za jego duszę, żeby aniołki go poprowadziły za rękę do Bozi. Umiesz się modlić czy na twojej wyspie się tego nie robi?

Zupełnie nie wiedziałam, o co jej chodzi. Bozia była w kościele, do którego się jeździło wielkim wozem aż osiem kilometrów do Wy-

tomyśla. Tam mieszkała i skazywała ludzi na cierpienie. Jak ojciec uderzył matkę, to była wina Bozi, bo mama potem głośno płakała i leżąc na sienniku, pytała, dlaczego, dlaczego Bozia ją na to skazuje.

Często w kościele widziałam Helenę Stein. Bałam się jej. Od wczoraj wiedziałam, że słusznie, skoro zabija ludzi, a oni później idą do Bozi. Czyli Helena Stein i Bozia razem robią jakieś podłe interesy.

— Bozia jest kochana. Kiedy coś jej mówisz, to potem to się spełnia. Nauczę cię. W przyszłym roku idę do szkoły, chyba że znowu będzie wojna, to nie. A może pójdziesz ze mną? Będziesz miała łatwiej. Nie trzeba ci będzie się uczyć dwóch języków, tylko polskiego, jak dobrze tatusiowi pójdzie.

Tatusiowi, czyli Władysławowi Kandulskiemu, chyba poszło dobrze. Tuż przed pogrzebem dziadka Steina spakowali się z Jankiem i wyjechali konno w środku nocy. Amand, jak się okazało, miał dopiero szesnaście lat, ale po śmierci ojca musiał zarządzać całym majątkiem. Uczyła go pilnie jego matka.

Mnie uczyła Agnieszka. Opowiadała mi różne rzeczy o świecie, czy chciałam słuchać, czy nie. Gadała i gadała bez przerwy. Trajkotała, byle otwierać usta. Jej młodsza siostra Jadzia często ją przedrzeźniała, ale jako trzylatka skupiała się głównie na zabawie lalką oraz wbieganiu do kuchni, by pozaglądać do wszystkich garnków, poprzekadzać kobietom w pracy i przy okazji co i rusz się poparzyć.

Helena Stein unikała zaś kuchni jak mogła. Mało też opiekowała się dziećmi, zrzucając rodzicielskie obowiązki na Anię. Siedziała przy drzwiach w bujanym fotelu ze strzelbą i kołysała się od rana do późnego wieczora, kiedy to na stanowisku zastępował ją Amand.

Wreszcie uradzono, co z pogrzebem. Pewnego ranka, choć było jeszcze ciemno, kazano mi się ubrać w nową czarną sukienkę, która wyglądała jak miniatura sukien noszonych przez Helenę. Ania szybko zaplotła mi warkocz i opatulila w kozuch, a kilka chwil później siedziałam już na wozie z córkami Heleny i z jej matką. Za naszymi

plecami leżały owinięte w płótna ciało mojej matki oraz dziadka Steina. Helena wspięła się na kozła, chwyciła lejce i ruszyliśmy. Dziwna to była droga. Płatki śniegu wirowały w powietrzu, a potem opadały na nasze czarne ubrania. Zastanawiałam się, dlaczego nie pamiętam pogrzebu ojca. Pewnego razu po prostu zniknął. Patrząc, jak Helena i ksiądz zasypują łopatami ciało matki, pomyślałam, że pewnie skończył tak jak ona.

— Ziemia była zamrznięta, więc głębiej się nie dało. Nie mam w tym wprawy, a nie chciałaś pomocy grabarzy — tłumaczył ksiądz Helenie, wyraźnie niezadowolonej z tego, że na świeżo zasypanym dole musi układać ciężkie kamienie. — To jedyny sposób, jeśli nie chcecie jej kłaść do krypty rodzinnej.

— To była biedna dziewczyna — przemówiła wówczas babcia. — Ale nie chcę z nią mieć nic wspólnego.

— Czy przebaczyłaś już synowi, Augustyno? — spytał ksiądz.

— Nie i nigdy tego nie zrobię, choćbym miała smażyć się w piekle po wieki wieków.

Kiedy znaleźliśmy się w wytomyskim kościele, który tak dobrze znałam, zaczęłam się uśmiechać. Przypomniało mi się, że kilka nabożeństw wcześniej marzyłam, by oglądać księdza z pierwszego rzędu, tam gdzie zawsze siedziała dostojna rodzina Steinów. Moje marzenie właśnie się spełniło. Co więcej, Augustyna usadziła mnie sobie na kolanach i wyszeptała do ucha:

— Czy ty wiesz, że jesteś moją wnuczką? — Oparła stary, pomarszczony policzek o moją skroń. — Coś się traci, coś zyskuje — dodała.

Jej mąż był chowany w zupełnie inny sposób niż moja matka. Pojawił się ministrant z kadzidłem, od którego Agnieszka dostała napadu kaszlu. Potem trumnę spuszczone po linach do krypty rodziny Steinów pod ołtarzem. Mszy nie było, co dosyć mnie zdziwiło, bo wydawało mi się, że tylko po to się chodzi do świątyni. Zamiast tego podpreptałyśmy za księdzem i ministrantem na plebanię. Podczas gdy razem

z Agnieszką i Jadzią gryzłam twarde pierniki, a Augustyna rozmawiała z gospodynią, Helena i ksiądz klęczeli na podłodze w bawialni. Czyżby się modlili? Zostawiłam kuzynki i podeszłam bliżej dorosłych.

Nie zganili mnie, kiedy zaczęłam się przyglądać porzucanym przez nich rzeczom wyciągniętym ze skrytki w podłodze. Były to najróżniejsze pistolety.

— Przyszli do nas i jak gdyby nigdy nic, chcieli okraść. Amand dostał kolbą w głowę, mnie skopali, ojciec próbował walczyć... Janek zdążył obronić już tylko mamę. Mieliśmy szczęście, że wrócił wcześniej. Musieli wiedzieć, że Władka nie ma...

— Widzę, że dziewczynkom nic nie dolega — powiedział ksiądz, wysłuchawszy Heleny.

— Ania potrafi je obronić lepiej niż ja. Tam był też Linus, wiesz? Uciekł Jankowi i poleciał przez most do Marty. — Helena oderwała wzrok od jednego z pistoletów, który właśnie trzymała w rękach, i spojrzała na mnie. — I tak Greta wreszcie wróciła do rodziny. Piękna dziewczynka, prawda, Hipolicie?

— Piękna. Już prawie kobieta. Ale nie mówi — rzekł. — Dacie ją z Agnieszką do komunii?

— Jeśli wszyscy dożyjemy i przejdziemy już to piekło.

— Ty swoje masz za sobą, Heleno — powiedział mężczyzna. — A może ten? *Artilleriepistolet* na osiem nabojów.

— Porządna parabelka — skwitowała kobieta, podniosła pistolet z bardzo długą lufą i pomachała mi nim przed oczami. — Podoba ci się?

Pokiwałam głową.

— To weźmiemy dwa.

— Przyjmijcie w prezencie. Tylko uważajcie na łuski. Mogą zranić w twarz.

— Spokojnie, Hipolicie, umiem trzymać broń tak dobrze, jak ty brewiarz.

Wróciłyśmy do domu Steinów, każda do swoich obowiązków.

Augustyna doglądała kuchni oraz ślęczała w księgach rachunkowych razem z synem, Jadwisia i Agnieszka wypełniały dom śmiechem, którego wcześniej nie poznałam, a Helena dalej siedziała od rana do nocy z pistoletem przy drzwiach. Po dniu spędzonym na malowaniach, słuchaniu historii czytanych przez Anię i opowieści Augustyny o jej niedawno pogrzebanym mężu podchodziłam do Heleny i tak jak jej córki, żegnałam się przed pójściem spać.

Kiedy Aga i Jadwiga zasypiały, odkrywałam pierzynę i wracałam do nowej matki, by usiąść jej na kolanach. Łudziłam się, że kiedyś powie mi to, o czym wszyscy dokoła milczeli: Co się stało z moim ojcem? Dlaczego z matką mieszkaliśmy za mostem i trzymałyśmy się z dala od Steinów? Czemu miałam jej nienawidzić? Liczyłam, że powie coś, co pozwoli mi nie być wyrodną córką. Coś, dzięki czemu będę mogła spełnić niewypowiedzianą obietnicę złożoną mojej matce tuż przed śmiercią. Ale Helena trzymała mnie mocno w objęciach i wiedziałam, że my dwie mamy coś, czego jej córki nigdy nie doświadczą. Z tego powodu będą potrafiły być prawdziwie szczęśliwe.

Pewnego razu, może dwa tygodnie po pochowaniu dziadka Steina, nieme oczekiwanie Heleny zmieniło się w krwawe wystrzały. Przyszli pomścić swoich i mieli do tego prawo. Mimo że wcześniej wszyscy byli dla siebie swoi.

Amand wyszedł porozmawiać z Niemcami odważnie i z dumą, jak na Steina przystało. Pamiętam, jak otworzył drzwi i niemal natychmiast padł na komodę rażony pociskiem. Helena w jednej chwili zabarykadowała drzwi, krzyknęła po Ankę, a my, najmłodsze, razem z Augustyną i kobietami z kuchni skryłyśmy się na strychu.

Nie widziałam nic dalej. Nie wiem, ilu ich było i czy na pewno chcieli się mścić. Może po prostu przyszli zabić. Za polskość albo za niemieckość.

— To niesprawiedliwe. — Agnieszka płakała w spódnice roztrzęsionej Anny.

Ja już wiedziałam, że nie ma sprawiedliwości. Że nikt po żadnej stronie barykady nie jest tym lepszym. Że każdy nosi w sobie winę poprzednich pokoleń, choćby nie wiem jak dobrym był człowiekiem.

Krzyki i wystrzały w końcu ucichły, ale ani Helena, ani jej młodszy brat jeszcze długo do nas nie przychodzili. Augustyna pierwsza odważyła się zejść na dół. Po chwili wołała już Ankę i pozostałą pomoc domową.

— Nie ma dla nas już miejsca w Albertowsku. — Usłyszałam pochmurny ton babki, gdy również nieśmiało zeszałam ze strychu, podczas gdy dziewczynki deptały mi po piętach. — Uciekajmy. Ja już wszystkich z Anią dawno spakowałam.

Augustyna stała, lekko zgarbiona, tuż przy krześle syna, głaszcząc go po jasnych włosach. Nie wyglądał zupełnie jak męzny pan domu, tylko jak biedny chłopiec z ręką owiniętą bandażem, smętnie i bezwładnie zwisającą po boku.

— Dasz radę? — spytała Helena brata.

Tak jak w noc śmierci mojej matki, włosy miała znów rozpuszczone, policzki płonące, a czoło rozświetlone wodą, którą musiała co chwila przemywać twarz, by się ostudzić. Jej czarny, nieprzenikniony wzrok padł na mnie, a wtedy szeroki uśmiech przełamał tę straszną godzinę. Kucnęła przy stole i rozpostarła ramiona. Wtedy we trzy z okrzykami ulgi i lamentem wpadliśmy matce w objęcia.

— Dokąd? — spytał Amand.

— Nieważne, byle razem — powiedziała Helena.

— Zabiją nas — rzekł. — Nie przedziemy nawet przez most.

— Nieważne — powtórzyła Augustyna.

Decyzja zapadła.

Po chwili ładowaliśmy się opatuleni z najpotrzebniejszymi rzeczami na wóz, a Helena, moja nowa matka, wpychała mi w ręce otrzymany od księdza pistolet.

— Nie daj go sobie wyrwać i nie celuj w kobiety — powiedziała.

Powiozła nas wszystkich w sam środek nocy. Pamiętam, że gdyby nie zimno, zapewne zasnąłabym błogo pomiędzy Agnieszką a babką. Cieszyłam się, że jeśli jest to moja ostatnia podróż, to wreszcie znalazłam się między właściwymi ludźmi. Było cicho. Rytmiczny tętent kopyt wypełniał ciszę na przemian z ciężkimi westchnieniami rannego Amanda. Co chwila podskakiwaliśmy na jakichś drobnych wybojach albo grudach lodu.

Za nami dom, nad nami gwiazdy, przed nami tylko spokój.

Łudziłam się, że tak już zostanie. Że nigdy nie będę musiała skorzystać z prezentu od Heleny, że nawet jeśli nigdzie nie dotrzemy, to będziemy tak jechać przez całą wieczność. Że ominą nas takie niespodzianki jak mężczyzna wybiegający z lasu prosto pod koła wozu tuż nad ranem.

— *Tote mich nicht*, ludzie, *Hilfe, meine Frau is geboren, Leute!*<sup>2</sup>

— Jak się nazywasz? — spytała Helena, zwalnając.

— Carl von Niedermayer. Prowadzę hotel. Nikt mi nie chce pomóc. W mieście skończyła się walka. Jest dużo rannych. Polacy tu rządzą, a ja Niemiec, pani, ratuj! Wszystkich przyjaciół w jedną noc straciłem, błagam!

— Heleno! — W głosie Amanda czaiło się ostrzeżenie.

— Wskakuj do wozu i prowadź — rzuciła Helena w stronę mężczyzny, a ten ze łzami w oczach wdrapał się na kozła i wskazał właściwy kierunek.

I tak po nocy, której schyłek mógł kryć się daleko w gwiazdach, poza horyzontami ludzkich myśli, dzięki Carlowi von Niedermayerowi dotarliśmy do prawdziwego rajy na ziemi.

---

<sup>2</sup> Nie zabijajcie mnie, [ludzie], pomocy, moja żona rodzi, ludzie! (niem.).



\* \* \*

W Neutomishel, czy też jak pewnie od teraz będzie trzeba mówić: w Nowym Tomyślu, mieszkali prawie sami Niemcy. Polskie rodziny można było policzyć na palcach obu dłoni. Tyle samo było Żydów. Ale wszyscy żyli tak, jak się ustawili. Jak kto nie był *einfallreich*<sup>3</sup>, a dupa, to mu było źle. Ale on, Carl von Niedermayer, nikomu źle nie życzył i wszystkim pomagał. Od Żydów się tego nauczył, że bogaty wspiera biednego na tym świecie, no a biedny bogatego w przyszłym. Polakom broń przechował, bo czemu nie, jeśli jeszcze na tym świecie chcieli pomóc i zapłacić dodatkowo.

— Niemcy wiedzą, więc ci nie pomogą, a nasi obstawiają urzędy i wszystko inne mają gdzieś. — Amand wychylił kolejny kieliszek wódki.

— Musicie uciekać. — Dla Heleny takie rozwiązanie było oczywiste. — Będą cię mieć za zdrajcę, jeśli już nie mają, a jeśli przez ciebie któryś z nich zginął, tobie też nie dadzą żyć.

Niedermayer wrzucił ramionami.

— Dawno już mnie szlag trafił z tym hotelem, z ludźmi tymi wszystkimi. — Mężczyzna potarł zmęczoną twarz dłońmi i westchnął ciężko. — *Est ist Zeit*. Czas najwyższy, żeby to wszystko rzucić, bo tu dodatkowo jeszcze tak niebezpiecznie, odkąd więzienie otworzyli.

— Co?!

Zwinięta na kolanach Heleny, drgnęłam wyrwana z półsnu. Niemal mnie zrzuciła. Zaczęła gorączkowo chodzić po wielkiej restauracyjnej kuchni, w której się znajdowaliśmy. Nie wiem, co było dalej, bo Augustyna zaprowadziła mnie przez długi korytarz do pokoju na piętrze, w którym spały Agnieszka i Jadwisia.

---

<sup>3</sup> Zaradny (niem.).

— Tęsknię za tatą — wymamrotała przez sen Aga, gdy babcia okrywała ją szczelniej pościelą.

— Nawet ja tęsknię za moim tatą — odparła Augustyna, a potem spojrzała w moją stronę.

Jej wzrok przeszył mnie na wylot. Wiedziała, że ja nigdy do swojego ojca nie zatęsknię. Być może to sprawiło, że jej włosy tak wczesnie stały się całkowicie białe, skóra pokryła się brązowymi plamami i poruszała się w rytm nerwowych tików, a oczy przekrzywiły się, jakby niegdyś wyplakała wszystkie łzy i gdyby miała znów zacząć płakać, z jej oczodołów pociekłaby krew.

Umarła, zanim jeszcze Carl, jego żona i nowo narodzony syn wyjechali wozem Steinów prosto do Francji, zostawiwszy pod naszą opieką hotel. Nie zobaczyła zwycięskiego powrotu zięcia i nie dowiedziała się, że Helena jest po raz kolejny w ciąży. Nie zobaczyła, jak Amand wraca do Albertowska i zakłada tam szczęśliwą rodzinę. Nie usłyszała przeprosin od rodziny mordercy swojego męża, które później zostały opublikowane w „Nowinach Tomyskich”, ani moich pierwszych słów, które powiedziałam do Heleny, gdy zrywałyśmy soczyste wiśnie w sadzie za willą Niedermayera.

— Jesteś moją prawdziwą mamą — rzekłam, kiedy stała na drabinie i nachylała się, wkładając mi do kosza garście owoców.

— Tak, kochanie. To prawda — odpowiedziała.

Cisnęłam kosz w długą trawę i pobiegłam przed siebie. Ciężarna Helena nie mogła mnie dogonić. Biegłam i biegłam, ale ogród był tak wielki i tak bardzo nie chciał się skończyć, jak bardzo ja chciałam, by nadszedł koniec świata i by Linus, kochanek nieszczęśliwej kobiety, która się mną zajmowała, zabił też mnie.

Spomiędzy drzew owocowych wpadłam w chaszczę wysokiej trawy. Oset boleśnie kłuł mnie w gołe stopy, a suche badyle zeszłorocznej nawłoci haratały skórę rąk. Kiedy dotarłam do stawu znajdującego się na końcu ziemi Niedermayera otoczonego przez wierzby

płaczące, weszłam do wody. Nawet nie zdjęłam sukienki. Dotarłam tak głęboko, że taflę miałam tuż pod nosem.

Wieczorem miałam wypić z Heleną i siostrami wiśniowy sok, o którym marzyłam bez przerwy od tamtej nocy, gdy wybuchło powstanie. Kiedy nie wiedziałam nic o otaczającym świecie, nie znałam swojej matki, bo ta nie chciała mieć ze mną do czynienia i zostawiła na skazanie potworowi. Wiedziała, jakiego bólu mogę doświadczyć, bo sama przez to przeszła. Mimo to nienawidziła mnie tak bardzo, że mnie na to skazała.

Nie mogłam się dziwić.

— Pływać też nie umiesz, co?

Chciałam odpowiedzieć, że jak to też, ale zapomniałam, że już stoję pod wodą. Otworzyłam usta, nałykałam się wody i straciłam równowagę, poślizgnąwszy się na mule. Wszystko zawirowało, szczyty drzew i bezchmurne niebo znalazło się na chwilę pode mną. A w głowie miałam obrzydliwe sapanie ojca, który rozpinął spodnie i pochylał się brutalnie nad Martą. Musiałam patrzeć, bo mi kazał. Bo gdybym nie patrzyła, mnie zrobiłby to samo.

Kiedy Janek wyciągnął mnie ze stawu, wypłułam z siebie nie tylko wodę, ale i wszystko, co zjadłam od samego rana. Uśmiechał się do mnie łagodnie jednym zielonym okiem, bo drugie poświęcił dla wolności narodu. Poza tym wyglądał dokładnie tak jak tamtej nocy, gdy zabił Linusa. Był tym samym portretem, który przywoływałam pod powiekami co noc przed pójściem spać, kładąc dłoń między udami.

— Wiem już wszystko — wyszeptałam. — I nie umiem sobie z tym poradzić.

— Nigdy nie dowiemy się wszystkiego. Tego, jak to do końca było. Nie znam szczegółów i nie chcę, żebyś drążyła ten temat. Dla waszego dobra. — Urwał jedną z rosnących wokół stokrotek i wsunął mi w drżącą rękę. — Przez wiele lat nie mogła się tobą zająć, ale nigdy nie zostawiła bez opieki. Zawsze o tobie myślała. Kiedy

tylko zebraliśmy dowody, wsadziliśmy go do więzienia, żeby was od niego uwolnić.

— Ale powstańcy go wypuścili.

— Idioci. Wszędzie ich pełno. Jednak to nie znaczy, że wszyscy są źli albo głupi. Masz naprawdę dobry wzór do naśladowania. Zobacz, ile ona przeszła.

— Jest — zastanowiłam się nad właściwym słowem — niepokonana.

— Niepokonana Helena Stein — powiedział. — Od lat tak o niej mówią. Dlatego nazwisko po mężu się nie przyjęło. Staraj się być jak ona, a wszystko się ułoży.

Wróciliśmy późnym wieczorem. Czerwone słońce wisało nisko nad polami. Powietrze było dużo słodsze i cięższe niż wcześniej. Goście hotelu rozkoszowali się latem, kryjąc w cieniu rosnących wokół lip. Rozmawiali wesoło, siedząc przy wielkim stole. Władysław palił fajkę, pogrążony w rozmowie z mężczyzną, który miał jeszcze większe wąsy niż on, a jego głowę zdobiła siwa szopa. Widząc nas, pomachał wesoło. Wstał i ucałował mnie w czoło. Kiedy usiedliśmy razem z nimi, pojawiła się Helena i nalala nam do szklanek czerwonego soku z wiśni.

— Piękną masz tę najstarszą córkę! Cała mama! — zagadnęła wąsacz.

— Jesteśmy bardziej jak siostry. — Helena uśmiechnęła się delikatnie.

\* \* \*

Teofil Kandulski przyszedł na świat we wrześniu, kiedy z sadu zniknęły już wszystkie wiśnie i zastąpiły je ciężkie jabłka. Zbierałyśmy je po szkole z Agnieszką i Jadzią, tak samo jak ogórki, które przez całą wiosnę i lato uprawiała Helena w przerwach między głaskaniem swojego brzucha i sprzątaniami pokoiów po gościach. Potem

Anna uczyła nas robić zaprawy, a późnym wieczorem Janek siadał z nami do zeszytów. Pojawiał się też Władysław, choć z rzadka, bo nowe obowiązki sołtysa wsi Paproć oraz właściciela hotelu pochłaniały go prawie tak samo jak syn.

— Dyrektorka powiedziała, że jak dalej tak dobrze ci pójdzie, to po Bożym Narodzeniu przeskoczysz o dwie klasy — pochwalił mnie pewnego razu.

— A ja? A ja? — Agnieszka była nieporównywalnie bardziej ode mnie wygadana, choć o siedem lat młodsza.

— Ty jesteś od Grety lepsza z polskiego, ale jeśli chodzi o arytmetykę... — Władysław pogroził żartobliwie palcem.

Helena zjawiła się w naszym pokoju nauki późno, trzymając na rękach maleńkiego Teofila, by zagonić nas do łóżek i ucałować. Gdy w domu zgasły wszystkie światła a Agnieszka i Jadwisia zaczęły głośno oddychać, pogrążywszy się w dobrym, łagodnym śnie, zrzuciłam z siebie kołdrę. Starym zwyczajem zbiegłam na dół na paluszkach. W altanie miały czekać na mnie gorące ramiona i wilgotne usta ukochanego.

Na dworze było chłodno. Lato chyba na dobre poddało się kolejnej porze roku. Jesienny wiatr chlasnął mnie mocno w twarz i otrzeźwił ze słodko-pijanych rozmyślań o Janku. Zamrugałam mocno, starając się przejrzeć ciemność na wylot. Zamiast sylwetki nonszalancko opierającej się o zarośniętą bluszczem kolumnę zobaczyłam ciemny kształt leżący na schodach altany. Przyspieszyłam.

Leżał bez życia. Z ust ciekła czarna stróżka krwi, która została mi na palcach, a w źrenicach odbijały się galaktyki gwiazd, pośród których była już dusza Janka.

— Nie martw się. Poszedł do Bozi. Powstańczyk nieudacznym. — Usłyszałam za plecami. — Skurwysyn. On i ta szmata, pierdolona Helena Stein, siostra moja, gnojowa.

Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z diabłem.

Był zgarbiony. Kępy czarnych włosów sterczały mu po bokach głowy. Zło powykrzywiało jego twarz i ciało we wszystkie strony. Kiedy bluzgał, ślina tryskała z jego ust gęściej niż krew kapiąca z ręki, w której trzymał rzeźnicki nóż.

Wiedziałam, że kiedyś nadejdzie czas, tak jak powiedział Niedermayer: *est ist Zeit*, więc nigdy się z nią nie rozstawałam. Podczas tego spotkania musiałyśmy być razem. Wyciągnęłam z kieszeni podomki parabelkę księdza Hipolita i strzeliłam.

Bądź taka, jak on mówił, że masz być. Bądź niepokonana, Greto Stein.

Pierwszy pocisk od razu trafił do celu i przeszył mu rękę na wylot. Zawył jak bestia, ale nie upadł. Drugi trafił go w okolice przyrodzenia, a łuska od niego drasnęła mnie w policzek. Opadłam na klęczki i strzelałam dalej, znęcając się nad martwym już ciałem.

Kiedy wszystko się skończyło, podniosły mnie mocne ręce z dużo większym wysiłkiem niż niespełna rok temu.

— Wiem, że to bardzo dużo. Ale przeżyjesz to. Rozumiesz? Przeżyjesz wszystko. I jeszcze dużo więcej, słyszysz?! Słyszysz, co do ciebie mówię?! — krzychała mi w twarz, ściskając ręce do bólu. — Powiedz coś! — prosiła Helena.

Chociaż bardzo ją kochałam, nie mogłam spełnić tej prośby.

Nie powiedziałam już ani słowa nigdy więcej.





Joanna Nowak  
**Mój grudzień 1918 roku**



➤ Mężczyzna w mundurze polskim oraz kobieta w Atelier C. Sikorskiego na tle imitującym wnętrze pokoju z oknem. Rekwizyt: stolik, wazon z kwiatami, krzesło.

**G**dybym dwudziestego szóstego grudnia 1918 roku nie wsiadła do pociągu jadącego w kierunku Poznania, ta historia nie miałaby miejsca, a ludzie, których poznałam, staliby się głównymi postaciami zupełnie innej opowieści. I według wszelkich prawideł tak powinno się zdarzyć, bo decyzję o wyjeździe podjęłam w ostatniej chwili, nie bacząc na westchnienia matki twierdzącej, że Boże Narodzenie należy spędzać z rodziną, a nie w podróży. Nie przekonała mnie. Wiedziałam, że czym prędzej muszę wrócić do pracy, bo moi państwo zastrzegli, iż zaraz po świętach mam powtarzać z ich synem — siedmioletnim Kazimierzem — tabliczkę mnożenia i żadne spóźnienie nie będzie tolerowane. Ponoć wykształconych guwernantek było bez liku, więc dla kogoś takiego jak moi państwo znalezienie nowej nie nastęrczałoby problemów.

Z niewielką walizką w ręce stanęłam na dworcu w Rogoźnie, niecierpliwie oczekując na pociąg. Wokół kręcili się niemieccy żołnierze i dziwnie popatrywali w moją stronę. Odwróciłam wzrok, ale nadal czułam się nieswojo. Wprawdzie ledwie przed miesiącem Polska odzyskała niepodległość, jednak obecność byłych zaborców wydawała się wielce niestosowna.

Lokomotywa ze świstem wtoczyła się na peron. Odsunęłam się na bezpieczną odległość i poczekałam, aż maszyna się zatrzyma. Po

otwarcu drzwi powoli jęłam wchodzić do środka. I byłabym upadła, popchnięta przez tych samych żołdaków, którzy obserwowali mnie przed kilkoma minutami. Wepchnęli się do środka, a ja omal nie znalazłam się na twardej ziemi.

— Jak widać, nie wszystkich nauczono kultury wobec dam. — Usłyszałam z ust wybawiciela podtrzymującego mnie za ramiona.

W tej niefortunnej chwili nie przypominałam damy. Moja noga znalazła się w bliskiej odległości twarzy, a starannie ułożone w domu włosy przypominały ptasie gniazdo.

— Po takich osobnikach nie sposób się jej spodziewać — odparłam, niezrażona mało dystygowaną pozycją.

Stałam na równe nogi, poprawiałam odzienie i dokładnie przyjrzałam się mężczyźnie przed sobą. Miał sfatygowany płaszcz sięgający kostek, zmechaony kapelusz i buty przykryte warstwą zaschniętego błota. Nie prezentował się szczególnie elegancko, ale w porównaniu do noszących wyglancowane żołnierki Niemców przynajmniej zachowywał się właściwie.

Uśmiechnął się przyjaźnie, a w jego niebieskich oczach pojawiła się iskra, którą tak dobrze pamiętałam z dzieciństwa.

— Tadeusz?! — zawołałam.

— Anna? — odpowiedział.

Na dalsze pytania nie starczyło czasu. Zdenerwowany zamieszaniem konduktor wydał pasażerom polecenie wejścia do wagonu i zamknięcia za sobą drzwi. Kiedy to uczyniliśmy, z głębi dały się słyszeć krzyki.

— Czyżby jakiś kłopot? — Tadeusz nic się nie zmienił. Zawsze musiał być w centrum wydarzeń. Pospieszył więc w kierunku, z którego dobiegało zamieszanie, i nie pytając o zdanie, pociągnął mnie za sobą.

Niemcy stali przed wejściem do przedziału, głośno wyrażając niezadowolenie.

— O co te kmiotki się wyklócają?

Przysłuchiwałam się uważnie.

— Każą pasażerom opuścić pociąg i poczekać na skład jadący bezpośrednio do Warszawy.

— Dlaczegoż to?

Wzruszyłam bezradnie ramionami.

Powinniśmy ruszać w drogę, a maszyna ciągle stała w miejscu. Zdenerwowana opadłam na najbliższe siedzenie i poczęłam wachlować się ręką. Nagle zrobiło mi się duszno.

— Aniu, dobrze się czujesz? — zapytał Tadeusz z troską.

Nie odpowiedziałam. Pamiętam, że przed moimi oczami pojawiła się ciemność, a potem całkowicie opadłam z sił.

\* \* \*

— Dajcie jej wody! — Ocknąwszy się, usłyszałam kobiecy głos. W pierwszej chwili pomyślałam, że gdzieś obok pojawiła się mama i otoczyła mnie subtelną opieką, ale przypomniałam sobie, że to niemożliwe, bo kilka godzin temu zamknęłam za sobą drzwi rodzinnego domu.

Z oporem otworzyłam oczy. Stała nade mną postawna matrona o surowym obliczu, nijak niepasującym do delikatnego tonu, który usłyszałam przed chwilą.

— I na litość boską, wpuśćcie tu trochę świeżego powietrza! — zarządziła.

— Madame Paderewska, nie powinniśmy. — W polu widzenia znalazł się konduktor. — Pociąg jedzie z maksymalną szybkością...

— Obudziła się! — ucieszył się Tadeusz i z wielką ostrożnością dotknął mojej dłoni. Poczułam ciepło jego ciała i niemal natychmiast zrobiło mi się lepiej. — Anno, jak się czujesz?

— Och, mężczyźni! — oburzyła się madame Paderewska. — Zemdlała. Nie będzie szczebiotać radośnie jak skowronek. Co z tą wodą?! — zawołała w kierunku konduktora.

Ten czym prędzej opuścił przedział.

— Nie wstawaj, moja droga. — Kobieta położyła mi dłoń na ramieniu. Oschły ton, którym przemawiała do mężczyzn, przeszedł w serdeczną troskę, gdy zwracała się w moją stronę. — Jesteś mocno osłabiona.

Rozejrzałam się wokół. Znajdowałam się w eleganckim pomieszczeniu, najpewniej przeznaczonym dla pierwszej klasy. Wygodne siedzenia, odosobniona przestrzeń, spokój i cisza. Nie było tu miejsca na gwar zwykle towarzyszący podróżom pociągami.

W przedziale oprócz madame Paderewskiej i Tadeusza znajdował się także on. Oczywiście wiedziałam, kim jest. Od dawna marzyłam o wysłuchaniu koncertu mistrza. Jednak skromna guwernantka nie mogła liczyć na takie wyróżnienie.

Kiedy dotarło do mnie, że zbyt długo wpatruję się w oblicze Ignacego Jana Paderewskiego, zaczerwieniłam się i spuściłam wzrok. Mistrz jedynie się zaśmiał.

— Spokojnie, dziecko. — Złożył ręce jak do modlitwy i usiadł obok mnie. — Nie musisz się wstydzić.

— Ja... Przepraszam — szepnęłam z niejakim przestrawieniem. Odezwanie się w obecności pianisty i kompozytora, którego dziełami zachwycał się cały świat, przychodziło mi z wielkim trudem. Cóż, nigdy nawet nie odważyłam się marzyć o spotkaniu z wielkim rodakiem, a teraz rozmawiałam z nim twarzą w twarz.

— Już dobrze — uspokajał. — Wprawdzie nie sądzę, byś zemdląła na mój widok — zażartował, wywołując uśmiech na mojej twarzy — wołałbym jednak, byś do końca podróży pozostała w naszym przedziale. Prawda, Heleno? — zwrócił się do żony.

— Oczywiście! — Ta zgodziła się bez wahania. — Jeszcze, nie daj Boże, pojawią się kolejne indywidua próbujące przerwać nasze wojaże. I nieszczęście gotowe!

— Nie chciałabym przeszkadzać...

— Towarzystwo młodych ludzi nigdy nie jest uciążliwe — powiedział pan Paderewski. — Dzięki temu sam czuję się młodszy.

W pierwszej chwili zdziwiłam się, skąd u zupełnie obcych ludzi chęć wzięcia pod swoje skrzydła dwójki nieznajomych, ale szybko uznałam, że zwykła serdeczność nakazuje im zaopiekować się omdlałą kobietą i jej towarzyszem.

Zgodziliśmy się zostać w przedziale aż do zatrzymania się maszyny na stacji końcowej w Poznaniu. Państwo Paderewscy usiedli na kanapie naprzeciw i dokładnie się nam przyjrzeni.

— Ładnie razem wyglądacie — pochwaliła kobieta.

— Ale my nie... — zaczęłam.

— Prawda? — odezwał się Tadeusz niespodziewanie. — Aż dziw bierze, że nie widzieliśmy się od ponad dziesięciu lat.

— Jak to? — zdziwił się mistrz. — Wyglądacie, jakbyście podróżowali wspólnie.

Zaskoczona tymi słowami, nie znajdowałam w sobie odwagi, żeby wszystko wyjaśnić. Nie chciałam, żeby nasi gospodarze mieli mylne wyobrażenie na temat naszej historii. Widząc moje zmieszanie, dawny kolega wziął na siebie ciężar tłumaczeń. Opowiadał o beztrockim dzieciństwie spędzonym w małym miasteczku, gdzie nie dochodził zgiełk wydarzeń z całego świata. Jego kojący głos przeniósł mnie do tamtych czasów. Znów widziałam siebie, kilkuletnią dziewczynkę, która za wszelką cenę próbowała przypodobać się grupie łobuzów na czele z blondwłosym Tadeuszem. Chodziłam za nimi wszędzie, nawet gdy nie podobała się im moja obecność. Razem z nimi krałłam jabłką z sadu, zbierałam grzyby w lesie i zapuszczałam się tak głęboko w gęstwinę, aż nie było widać słońca.

Dobrze pamiętałam czas rodzącej się przyjaźni, kiedy jako jedyna zostałam z nim po tym, gdy złamał nogę, uciekając przed starym leśniczym. Od tamtego dnia miałam w chłopaku swojego obrońcę i największego orędownika. Chociaż rodzice krzywili się na znajo-

mość z synem parobka, każdego dnia wymykałam się na spotkanie ze swoją bratnią duszą. Jednak wszystko ma swój koniec. Po zebraniu odpowiednich funduszy ojciec wysłał mnie na nauki do Poznania. Dzień wyjazdu był zatem ostatnim, kiedy Tadeusz i ja się widzieliśmy. Dzisiejsze przypadkowe spotkanie otwierało nowy, nieznany rozdział naszej znajomości.

— Sądziłem, że już nigdy jej nie zobaczę — powiedział mój przyjaciel. — Na szczęście przeznaczenie okazało się łaskawe.

— Owszem — potwierdziła pani Helena, spoglądając ukradkiem na męża. — Nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

Było już po dwudziestej pierwszej, kiedy z ponaddwugodzinnym opóźnieniem pociąg zatrzymał się w Poznaniu na dworcu bocznym. Towarzyszący Paderewskim mężczyźni mówili, że i tym razem niemieccy żołnierze w randze oficerskiej próbowali nie dopuścić do wizyty maestra w mieście. Pan Ignacy był jednak na tyle zdeterminowany, by spędzić w przepięknym wielkopolskim grodzie kilka dni, że nie przejął się prowokacjami. Nawet wyłączeniem światła na dworcu.

— Chodźcie z nami. — Pani Helena wzięła mnie pod rękę, po czym skinęła na Tadeusza. — W mieście panuje bojowa atmosfera — dodała ponuro. — Nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Słowa pani Paderewskiej napawały mnie strachem. Wiedziałam, że nastroje w Poznaniu są dalekie od pokojowych, zwłaszcza po ostatecznym zwycięstwie, jakim okazało się odzyskanie niepodległości. W domu moich państwa wiele mówiło się na temat aktualnej sytuacji politycznej oraz wrogości względem niedawnych zaborców. Nie miałam jednak świadomości, dokąd to wszystko ma nas doprowadzić.

Odwróciłam wzrok.

— Czy to stosowne? — odparłam. — Jestem tylko zwykłą guwernantką.

— Moja droga, to, kim teraz jesteśmy, nie ma wielkiego znacze-

nia. Ważne, żeby być razem — powiedziała tajemniczo. — Zresztą potrzebne mi wsparcie — perorowała. — Jestem już stara...

— Co też pani opowiada! — zachnął się Tadeusz, natychmiast oferując swoje ramię. — Będzie mi miło towarzyszyć dwóm tak pięknym kobietom — dodał i znacząco spojrział w moją stronę.

Udałam, że tego nie widzę, ale czasem nie wszystko da się ukryć.

Po wyjściu z pociągu przywitał nas blask kilkuset pochodni, którymi miejscowi zastępowali światło wygasłych latarni. Z satysfakcją przyglądałam się wypełnionej po brzegi przestrzeni dworca. Znać, że Niemcom nie udało się podły wybieg z zaciemnieniem ulicy, bo wielu mieszkańców miasta i tak przybyło, żeby powitać pana Paderewskiego.

Po przemówieniach odśpiewano patriotyczne pieśni. Unoszący się w powietrzu dźwięk z tysięcy gardeł sprawił, że poczułam na skórze delikatne dreszcze. Siła tłumy, jego organizacja i aktywność zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Może miał na to wpływ fakt, że jeszcze nigdy nie uczestniczyłam w podobnym wydarzeniu i najwyraźniej dałam się ponieść emocjom.

Nagle zapragnęłam znaleźć się bliżej Tadeusza. Nie wiedziałam, czy to tęsknota za przeszłością, czy wiara w lepsze jutro pchała mnie do chłopca, który nie znając słów drugiej zwrotki, na oczekaniu wymyślał kolejne wersy pieśni. Moje pragnienie tłumaczyłam sobie zwykłym ludzkim odruchem odszukania znajomej twarzy w tłumie pełnym nieznanymi ludźmi, zwłaszcza że nie przywykłam do tak wielkich zgromadzeń.

Pan Paderewski podszedł do nas i oznajmił, że zatrzymamy się w hotelu Bazar przy placu Wilhelmowskim. Stanowczo sprzeciwiłam się tym planom.

— Muszę niezwłocznie się udać do moich państwa...

Kompozytor pokręcił głową.



— Nie dzisiaj, Anno. W mieście jest zbyt niebezpiecznie nie tylko dla samotnej, młodej damy. Spędzisz noc w hotelu, a raniem spróbujemy zorganizować ci transport — obiecał.

— Dziękuję — odparłam uspokojona. Rzeczywiście, nastroje w Poznaniu były gwałtowne. Wystarczyła iskra, żeby zapalić lont.

Szybko znaleźliśmy się przed hotelem. W towarzystwie Tadeusza, który w przyływie rycerskich uczuć postanowił trzymać moją dłoń, bym nie zgubiła się wśród rzeszy stojącej przed budynkiem, zajęłam miejsce u boku pani Heleny i pana Ignacego podczas oficjalnego powitania gości przez prezydenta miasta Jarogniewa Drwęskiego. Potem na skutek wydanych przez Paderewskiego dyspozycji zostaliśmy ulokowani w skromnych ponoć pokojach, które mnie, prostej dziewczynie, wydały się luksusowymi apartamentami.

Nie dane nam było jednak udać się na spoczynek. Ktoś z otoczenia pianisty zaprosił nas do wysłuchania mowy, którą mistrz postanowił wygłosić dla zgromadzonych na placu Wilhelmskim poznaniaków. Usiadłam w kącie na maleńkiej sofie, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Tadeusz stanął u mego boku. Nie odzywał się, co wydawało się do niego niepodobne. Nagle skonstatowałam, że od momentu poratowania mnie na dworcu w Rogoźnie nie zdążyliśmy porozmawiać. Działo się zbyt wiele, byśmy mogli znaleźć choć chwilę na snucie wspomnień z dzieciństwa.

Moje rozmyślenia przerwał głos Paderewskiego. Początkowo mówił ze spokojem, jakby zwracał się do słuchaczy zgromadzonych w sali koncertowej i zapraszał na kolejny występ. Potem emocje poczęły wzrastać. Pianista słyszał z płomiennych wystąpień. Mogłam być pewna, że i tym razem da upust oratorskiemu talentowi, zwłaszcza że przemawiał w sprawie, która leżała mu na sercu.

— Rodacy! — zaczął, na co tłum zareagował gromkimi oklaskami. — Dziękuję za wspaniałe powitanie w waszym mieście!

Potem nie słyszałam już nic. Wpatrywałam się w sylwetkę kom-

pozytora, zostawiając gdzieś daleko w tyle wielką politykę, dla której tysiące ludzi zebrały się pod hotelem. Owszem, to, co działo się tu i teraz, miało znaczenie, ale czy aż takie, by bez reszty się temu poświęcić? Przecież tam, na Chwaliszewie, na Starym Mieście czy Zawadach, toczyło się normalne życie. Matki kładły dzieci spać, a potem modliły się o ich bezpieczne jutro. Zmęczeni mężczyźni wracali z pracy do domów, marząc o ciepłej strawie i odpoczynku. Jakiś młodzieniec tęsknie wzdychał do dziewczyny, a ona zastanawiała się, czy wypada spojrzeć na niego łaskawym wzrokiem.

Czy w takich podniosłych chwilach można myśleć o szarej codzienności i dociekać sensu własnych uczuć? Kątem oka spjrzałam na Tadeusza, który nie spuszczał ze mnie wzroku. Najwyraźniej tak. Najwyraźniej on też dostrzegł to, czego ja się obawiałam. Wystarczył moment, bym uświadomiła sobie, że nie warto czekać na odpowiedni czas i miejsce, że należy zacząć brać z życia to, czego najbardziej się pragnie.

Bez względu na okoliczności.

Niezauważenie wyszliśmy na korytarz. Wokół nie było żywej duszy. Pewnie dlatego, nie bacząc na konwenanse i niestosowność zachowania, wspięłam się na palce i delikatnie dotknęłam wargami ust Tadeusza. Bałam się, że mnie odsunie i powie, że nie powinniśmy tego robić, ale on tylko przyciągnął mnie do siebie, wplótł dłoń w moje włosy i odwzajemnił pocałunek, sprawiając, że poczułam się najszczęśliwszą osobą na świecie.

Teraz już wiedziałam, że normalność nie zamiera na czas wielkich wydarzeń, a ja nie muszę wstydzić się swoich emocji. Nie mogłam przecież przewidzieć, co się jutro stanie, dlatego dziś postanowiłam przestać się z nimi ukrywać.

Następnego dnia tuż po śniadaniu poinformowano nas, że w mieście nadal panuje napięta atmosfera i z polecenia Paderewskich do moich państwa udał się posłaniec z wiadomością usprawiedliwiającą naszą nieobecność. Jeszcze wczoraj taka ingerencja sprawiłaby mnie w zakłopotanie i zaniepokojenie. Dziś wywołała uśmiech zadowolenia, ponieważ oznaczała czas spędzony w towarzystwie przyjaciela.

Krygowałam się w obecności pani Heleny i pana Ignacego, za to Tadeusz emanował czystą radością. Podzielałam jego uczucia, ale nie chciałam, żeby dowiedział się o nich cały świat. Wprawdzie odniosłam wrażenie, że madame Paderewska potrafi czytać między wierszami i domyśla się zmiany relacji między nami, mimo to wołałam zachować tajemnicę rodzącej się miłości dla siebie.

Przez całe przedpołudnie wykradaliśmy krótkie chwile sam na sam. Ukradkowe spojrzenia tylko rozbudzały moją wyobraźnię, dlatego gdy Tadeusz zaproponował spacer, zgodziłam się bez wahania. Zatrzymaliśmy się pod hotelem. Dziesiątki chłopców i dziewcząt maszerowało w entuzjastycznym pochodzie, powiewając trzymanymi w drobnych dłoniach chorągiewkami. Zimowa sceneria połączona z widokiem dzieci stanowiących przyszłość naszego narodu, które wkrótce będą decydować o jego losie, podnosiła na duchu w tych niespokojnych czasach.

— Wszystko, co się od wczoraj dzieje, wydaje się takie nierzeczywiste — powiedział Tadeusz, prowadząc mnie wzdłuż placu Wilhelmskiego. Choć sytuacja w mieście wciąż była niespokojna, wielu ludzi postanowiło skorzystać z uroków aury oraz obecności dostojnego gościa i wyjść z domów. — Począwszy od spotkania na dworcu i podróży bez biletu.

Spojrzałam na Tadeusza z zaskoczeniem.

— Nie miałam pojęcia!

— Cóż... — Wzruszył ramionami. — Przechodziłem przez dworzec i zobaczyłem, że czekasz na pociąg. Chciałem się przywitać i pójść w swoją stronę, ale potem wydarzenia zaczęły pędzić jak oszalałe, więc postanowiłem się im poddać.

Ciężko uwierzyć, że naszym spotkaniem rządził przypadek. A jednak wiele szczegółów złożyło się na to, abyśmy znaleźli się w tym miejscu. Przechadzaliśmy się po Poznaniu, rozmawiając o beztraskich latach dzieciństwa, kiedy żadne z nas nie musiało myśleć o czekającej za horyzontem przyszłości. Tak doszliśmy do Świętego Marcina. Dziesiątki spacerowiczów pokazywało sobie palcami zawieszane na budynkach flagi państw ententy. Tak jawne manifestowanie poparcia dla amerykańsko-brytyjsko-francuskiej koalicji musiało wywołać wściekłość Niemców.

Spokój piątkowego popołudnia rozdarł przejmujący krzyk. Instynktownie odwróciliśmy się w kierunku zamku. Nadchodził stamtąd oddział uzbrojonych niemieckich żołnierzy. Ich zamiary były dalekie od pokojowych. Wdzierali się do domów, zrywali z balkonów flagi i niszczyli je z wielką satysfakcją.

Tadeusz mocniej przyciągnął mnie do siebie.

— Tu nie jest bezpiecznie — oświadczył.

Po chwili szybkim krokiem zmierzaliśmy w stronę hotelu Bazar, naszego tymczasowego azylu. Przechodnie też nie stali w miejscu i wkrótce wielka ciżba zaczęła kierować się ku placowi Wilhelmskiemu, żeby wydostać się z pola ataków. Ściśnięci wśród spanikowanego tłumu, staraliśmy się trzymać razem, ale poruszająca się w szybkim tempie masa skutecznie odsunęła nas od siebie.

— Anno! — Usłyszałam pełen trwogi głos, kiedy dłoń Tadeusza oderwała się od mojej.

Z przerażeniem zaczęłam szukać znajomej twarzy. Na próżno. Pchana przez zatrwożonych ludzi, mimo wszystko parłam pod prąd, ale siła tabunu była zbyt wielka. Przewróciłam się. Niesieni lawiną

poznaniacy nie zauważali mnie i pewnie by mnie stratowano, gdyby nie dobra dusza, która pomogła mi wstać. Pewna, że to Tadeusz ratuje mnie z opresji, dałam się wyprowadzić z tłumu. On zaś, w asyście dwóch innych działających niczym taran mężczyzn, zdołał dotrzeć do hotelu. Dopiero tam zorientowałam się, że zostałam uratowana przez miejscowego policjanta.

— Anno! — Na twarzy madame Paderewskiej widoczna była ulga. — Okrutnie się o ciebie martwiliśmy! — Podeszła do mnie i mocno przytuliła.

Kilka metrów za nią stał mąż wyglądający na równie niespokojnego co pani Helena.

— Co z Tadeuszem? — spytałam, patrząc w oczy mistrza. — Przyszędł? Znaleźliście go?

Nic nie powiedzieli. To wystarczyło, bym doszła do przerażających wniosków.

— Muszę tam wracać — powiedziałam z mocą, kierując się w stronę wyjścia. — Może coś mu się stało. Albo wciąż mnie szuka...

— Przykro mi, Anno. Sytuacja jest zbyt niebezpieczna. Nikomu nie wolno opuszczać budynku.

— Nie, ja go nie zostawię... — łkałam. — Proszę, pozwólcie mi...

— Wykluczone. Nikt nie może się narażać.

Nie pamiętam, jak udało mi się przetrwać kolejne dni. Aż do wyjazdu państwa Paderewskich z miasta siedziałam w swoim pokoju, ledwie odróżniając noc od dnia. Czekałam na informacje o Tadeuszu, ale nikt nie wiedział, co się z nim stało. Dopiero po czasie dotarło do mnie, że Poznań walczy i na ulicach giną ludzie.

Może byłam egoistką, ale niewiele się tym przejmowałam. Wydarzenia działy się gdzieś obok. Podczas gdy wszyscy naokoło pilnie przysłuchiwali się dochodzącym z frontu wiadomościom, zastanawiałam się, co się stało z moim ukochanym. Z jednej strony brak wieści sprawiał, że umierałam od środka, z drugiej zaś domyślałam

się, że wymiana informacji w mieście ogarniętym chaosem jest niezwykle trudna. Dopiero ostatniego dnia roku udało się odeskortować mnie do pracodawców, którzy — przejęci wybuchem powstania — nie powiedzieli nic na temat tak późnego powrotu. Razem z nimi drżałam, kiedy w Trzech Króli udało się Polakom zdobyć lotnisko na Ławicy. Cieszyłam się wraz z całym miastem, gdy szesnastego lutego w Trewirze doszło do podpisania rozejmu. Zwycięstwo wywołało wielki entuzjazm. Nikt nie ukrywał radości.

Byłam dumna, ale cierpienie z powodu utraty Tadeusza nie pozwalało patrzeć na wygraną we właściwych barwach. Bywały noce, kiedy śniłam o pocałunkach, a po przebudzeniu łkałam w poduszkę z żalu za utraconym szczęściem. Przestałam jeść, nie śmiałam się tak często jak wcześniej. Zmizerniałam na tyle, że moi państwo poczęli martwić się moim stanem zdrowia. Wysłali mnie do lekarza, który nakazał pobyt w sanatorium dla poratowania słabnącego organizmu.

Nie broniłam się przed zaleceniami. Pojechałam do górskiego uzdrowiska, gdzie fizycznie szybko doszłam do siebie. Mój umysł bronił się jednak przed zaakceptowaniem faktu, że życie toczy się dalej. Dlatego każdego roku dwudziestego siódmego grudnia nogi same niosły mnie pod hotel Bazar. W mrozie i śniegu stałam przed wejściem do budynku, modląc się o cud. Kolejne rocznice osłabiały moją wiarę w ocalenie Tadeusza. Nie chciałam pogodzić się z myślą o zakończeniu ledwie rozpoczętej historii, ale rzeczywistość niezbitcie udowadniała mi, że powinnam przestać oglądać się za siebie i zacząć myśleć o terażniejszości.

\* \* \*

Czasem jesteśmy uczestnikami tak wielkich zdarzeń, że wszystkie inne schodzą na dalszy plan. Bywają jednak chwile, kiedy to właśnie te zdarzenia zostają zepchnięte na boczny tor, bo do głosu dochodzi zwykłe życie. Powstanie wielkopolskie przez kilka długich tygodni

nie schodziło z ust mieszkańców Poznania i całego regionu. Dla mnie działo się gdzieś obok, odkąd znów straciłam Tadeusza.

Mój grudzień 1918 roku nie miał smaku powstania, nie pachniał upajającym zapachem wolności, nie niósł sztandaru zmian i nadziei dla odradzającej się ojczyzny. Mój grudzień 1918 roku smakował pocałunkami skradzionymi w cieniu murów starych poznańskich kamienic. Pachniał wspomnieniami szczenięcych lat i budzącej się w sercu miłości do chłopca, o którym zapomniałam na długi czas. Był zarazem najszcześniejszym i najsmutniejszym okresem w moim życiu.

W 1925 roku z racji obowiązków służbowych nie mogłam przybyć pod hotel tego samego dnia co zawsze, ale przyzwyczajenie nie pozwalało mi zignorować rocznicy. W drugi dzień Bożego Narodzenia, siedem lat po pamiętnej podróży pociągiem, stanęłam pod budynkiem, w którym zmieniło się moje życie. Patrzyłam na wejście i zastanawiałam się, czy wspomnianie najszcześniejszych chwil ma jakiegokolwiek znaczenie, skoro te nigdy się już nie powtórzą. Uznałam, że nadszedł czas, żeby pożegnać tamtą Annę i ruszyć przed siebie.

Odwrociłam się i nieomal wpadłam na dystyngowanego mężczyznę w eleganckim płaszczu, w czystych butach i modnym kapeluszu. Nieco spłoszona zerknęłam mu w twarz. Uśmiechał się przyjaźnie, a w jego niebieskich oczach pojawiła się iskra, którą tak dobrze pamiętałam z dzieciństwa.

Pomyślałam, że to sen. Tyle razy miałam przed oczami ten obraz, że teraz umysł musiał splątać mi figła i podsunąć halucynację. Musiałam go dotknąć, sprawdzić czy istnieje, czy żyje.

Był. Wydawał się poruszony tym spotkaniem.

Trwaliśmy w ciszy, jakby słowa mogły zniszczyć ten moment. Bałam się odezwać, żeby nie rozwiać tej sennej mary, za jaką miałam nasze ponowne spotkanie.

Świat trwał gdzieś dookoła, toczył się własnym rytmem. Dla nas zatrzymał się czas, jakby tych straconych lat nigdy nie było.

— Nie płacz. — Tadeusz wytarł łzę spływającą z mojego policzka.

— To niemożliwe — jęknęłam cicho. Wciąż nie wierzyłam w ten dzień i w to miejsce. Bałam się, że wystarczy mrugnięcie oka, by okazało się, że śnię. A nie chciałam się budzić.

— Przychodziłem tu co rok, zawsze dwudziestego szóstego grudnia.

— Ja pojawiałam się dwudziestego siódmego...

— Nigdy nie straciłem nadziei.

— Miałam jej coraz mniej...

Nie mogłam powstrzymać płaczu. Drżałam na całym ciele, mimo że dzień okazał się wyjątkowo ciepły.

— Powiedz, co się z tobą działo! Odchodziłam od zmysłów.

— Nie teraz. Na wszystko przyjdzie czas.

Nie marzyłam o niczym więcej. Od teraz pragnęłam jedynie monotonii towarzyszącej zwykłemu życiu. Zawierowania i kłopoty chciałam zostawić w tyle, bo zbyt wiele przez nie wycierpiałam. Tadeusz cichym głosem zapewniał mnie, że nasz czas dopiero nadchodzi, a to, co się zdarzyło, tylko wzmocniło naszą więź.

Miał rację. Na wszystko przychodzi czas. Teraz już nic nie wydawało się niemożliwe. Może to powstanie, a może codzienność spychana gdzieś na margines życia sprawiła, że Wielkopolska przestała się bać. Wróciła do szarej rzeczywistości, której niegdyś nie doceniałam, a dziś nie mogłam się jej doczekać.







Anna Pacyna  
**Zapomniana historia**

➤ Mężczyzna w mundurze polskim oraz kobieta w Atelier C. Sikorskiego na tle imitującym wnętrze pokoju z oknem. Nieznany czas powstania zdjęcia.

— Chcesz papierosa? — Patrzę na chłopaka w niemieckim wojskowym płaszczu.

— Nie. — Spuszcza wzrok. — Nie palę.

— Teraz wszyscy palą.

W końcu zbiera się na odwagę, by podejść. Podaję mu zapalki. Bierze je na chwilę do ręki i zaraz oddaje. Mruczy coś niezrozumiale. Nie komentuję i staram się być miła.

— Skąd jesteś?

— Z Poznania — odpowiada, ociągając się.

— Ja z Rakoniewic — mówię łagodnie, zachęcając go do rozmowy. Czekam, aż coś powie. Na próżno. — Nie jesteś zbyt rozmowny.

— Nie lubię dużo gadać. — Wzrusza ramionami.

— A ja lubię. — Uśmiecham się i chowam papierośnicę do kieszeni. — Lepsze to niż palenie.

— Podobno wszyscy palą.

— Ja nie. Ale ktoś musi się poświęcić, żeby dla was starczyło.

— Dla nas? — Unosi brwi ze zdziwieniem.

— Nie jesteś jedynym żołnierzem w tym powstaniu. — Wskazuję głową w stronę palących mężczyzn. — Myślisz, że skąd mają papierosy?

Milczy. Przyglądam mu się. Wysoki blondyn o jasnych oczach. Przyciąga. Może dlatego, że jest do mnie podobny, tyle że ja mam ciemne tęczyówki? Zauważam pod jasną grzywką bliznę zaczynającą się nad brwią i znikającą gdzieś we włosach. Ładna blizna. To była porządnie zszycia rana. Ciekawe, co się stało? Widzi, że się przyglądam. Wydaje się rozdrażniony, więc odwracam wzrok. Nie obchodzi mnie to.

\* \* \*

Przypominam sobie jego twarz. Był w moim wieku, może niewiele starszy, ale duchem bardzo młody. Nie dorósł do noszenia munduru. Nawet jeżeli chodzi o niemiecki mundur, który sam musiał przerobić. Wciąż był zdenerwowany albo zawstydzony. Ja miałam tylko dziewiętnaście lat, a czułam się na dwa, może trzy razy więcej. Pewnie dlatego, że w moim życiu sporo się wydarzyło. Dużo widziałam. Krwi i strachu. Spotkałam całe mnóstwo ludzi. Wszystkich nie mogłam zapamiętać. Lecz byli i tacy, których zapomnieć się nie dało. Tacy jak on. Nikt nie wiedział, kto jest kim. Chyba był we mnie zakochany. Ja w nim nie. W takich chwilach ludzie szukają bratnich dusz. Ja już swoją miałam. Mimo to spotykałam się z nim. Przychodził do mnie po papierosy, a czasem po chleb. Zwykle to ja mówiłam za nas dwoje. Opowiadałam mu o wszystkim, co działo się wokół mnie.

\* \* \*

— A u ciebie co nowego? — pytam, kończąc obgryzać brzeg kromki.

Kiwa tylko głową. Domyślam się, że wszystko dobrze.

— Od strzelaniny w Bazarze byłem raz na Cytadeli.

— Tym lepiej dla nas — prowokuję go, żeby powiedział coś więcej.

Milczy.

— W szpitalu mieliśmy wtedy tylu rannych... Brakowało wszystkiego. Byłeś tu wtedy?

— Nie — ucina krótko i zapala papierosa.

Nie powinien palić w szpitalu.

— Tak myślałam. Chyba bym cię pamiętała. A ten, hm, Ratajczak? Znałeś go?

— Trochę. — Skrzywił się lekko. Poczul gryzący zapach. Ja nie zwracam już na niego uwagi, bo zbyt często przebywam w szpitalu.

— Kiedy tylko go przywieźli, wiedziałam, że nie przeżyje. — Wzdycham, gryząc miękką część kromki. — Szkoda. Z twarzy było widać, że to dobry człowiek. Nic nie dało się zrobić.

Przytaknął, sięgając po kubek. W tym momencie do dyżurki wchodzi lekarz. Uśmiecham się do niego, ale jest zbyt skupiony, żeby mnie zauważyć. Bierze to, czego potrzebował, i wychodzi, rzucając na nas jeszcze jedno niezadowolone spojrzenie. Ciekawe, co sobie pomyślał. Oby nic złego. Przecież nic mnie z nim nie łączy. Po prostu rozmawiamy. Powiem mu to później. Powiem, że to tylko powstaniec. Nic o nim nie wiem. Znamy się i już. Tak. Tak mu powiem.

— Kto to był? — Odstawia kubek i gasi papierosa.

— Mój przyjaciel. — Unoszę lekko głowę.

Znów się krzywi, ale tym razem nie przez zapach.

— Pracujemy razem.

Burczy coś. Wstaje.

— Muszę iść. Pewnie macie dużo pracy. — Nie patrzy na mnie.

— Ostatnio bardzo dużo — mówiąc to, też wstaje i mam zamiar podejść do drzwi.

On łapie mnie za rękę. Odwracam się.

— Masz takie piękne włosy — mówi, stając bliżej mnie. — Ale te oczy. — Marszczy brwi.

Co z nimi nie tak? Pytam siebie, zanim zdążę opanować myśli. Przecież wszystkim się podobają. Szczególnie w tym niecodziennym

zestawieniu: blond włosy i czekoladowe oczy. Patrzy prosto we mnie. Chyba to ja powinnam się zarumienić, ale on to robi. Jakby był zawstydzony własnymi słowami. Czuję niesamowite zażenowanie. Mógł po prostu wyjść.

— Uważaj na siebie.

— Ja? W szpitalu? — wrywa mi się. — To ty masz broń. Ty się narażasz! — mówię, zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Z pewnością go to uraziło.

— Tak... — Wychodzi czerwony, nie zamykając za sobą drzwi.

Po chwili też wychodzę, trzaskając nimi. Idę na salę, tam gdzie poszedł mój przyjaciel.

— Kto to był? — pyta, przeglądając papiery. Też na mnie nie patrzy.

— Nikt ważny. — Wysilam się na delikatny uśmiech, którego i tak nie widzi. — Zwykły powstaniec. Przyszedł porozmawiać. Nie mogłam go wyrzucić.

— Mogłaś. — Odkłada dokumenty. — Następnym razem przyjdź do mnie. Sam go wyrzucę.

Kiwam głową i przysuwam się, gdy mnie obejmuje. Nie będę się teraz martwiła następnym razem. To nie zepsuje mi dnia.

\* \* \*

Dla niego byłam po prostu ładną dziewczyną. Przynajmniej tak wtedy sądziłam. Nie denerwował mnie. Słuchał dokładnie tego, co mu opowiadałam. On świetnie mówił po niemiecku. Dziwiło mnie to. Później miało się okazać, że moje obawy były uzasadnione.

\* \* \*

— Ten język jest okropny. Wszystko jest na odwrót. — Odrzucam włosy na plecy i chwytam jeden kosmyk w palce. Robię tak zawsze, gdy się denerwuję.

— Bo taki jest niemiecki. — Jego głos jest spokojny, ale widzę, że zaczyna się niecierpliwić.

— Brzmi strasznie. — Wzdrygam się. — Nie jest ani trochę romantyczny, tylko przerażający.

— Romantyczny? — Obrzuca mnie zdziwionym spojrzeniem.

— Yhm. Za to francuski! — Przypominam sobie aksamitne brzmienie pewnej pani, którą kiedyś spotkałam w szpitalu. — Francuski jest najpiękniejszym językiem na świecie.

— Może. — Krzywi się. — Ale niemiecki jest praktyczniejszy. Szczególnie teraz — kwituje, jakby dyskusja się skończyła.

Spoglądam na niego beznamiętnie i przysiadam przy nim na murku. Jest zimno.

— Kiedy skończy się powstanie, pojedę do Francji. — Znowu wstaję, by trochę się rozgrzać.

Mogliśmy siedzieć w dyżurce, ale gdyby on nas nakrył, pewnie by go wyrzucił. Poza tym nie chcę, żeby widział nas razem.

— Po co? — pyta bez jakichkolwiek uczuć.

— Chcę zobaczyć Paryż. Usłyszeć jeszcze raz ten cudowny język. I... — Na chwilę milknę, patrząc na niego. — Przecież nie ma nic złego w marzeniach. — Pocieram rękę. Biorę kosmyk w palce.

— Są niebezpieczne.

— Dlaczego? — Krzywię się. Pierwszy raz słyszę coś takiego.

— Gdy człowiek za mocno uwierzy w marzenia, głupieje. Zdaje mu się, że może wszystko. — Wstaje i się przeciąga. Myśli, że ostatnie słowo należy do niego.

— Ale — zaczynam, lecz przerywa mi huk wystrzału.

Przez krótką chwilę patrzymy na siebie unieruchomieni strachem. Później on chwyta za broń i gdzieś znika, a ja chowam się w budynku. W tym szpitalu nie można żyć marzeniami. Zabijają w natychmiastowym tempie.



\* \* \*

Z każdym naszym kolejnym spotkaniem coś zmieniało się w świecie, który znałam. Powstanie nas pochłonęło. Mimo że on brzydził się marzeniami, wiedziałam, że miał jedno: chciał, żeby powstanie się skończyło. Ja także o tym marzyłam. Szybko można się było uczyć w szpitalu, gdy przybywało tylu rannych. Jeszcze szybciej — wypalić. Nie każdego dało się uratować. Niektórzy za mocno zatracili się w tym zrywie. Tak było też z nim. Mówił, że marzenia są niebezpieczne. Ale ryzykował. I myślał, że może wszystko. Bardzo się zmienił. Gdy go poznałam, był ogromnie nieśmiały, nie wychylał się i robił swoje. Zmężniał. Nie drżał już na dźwięk wystrzału. Dopiero wtedy dostrzegłam, że jest starszy ode mnie. Gdy widziałam go podczas powstania po raz ostatni, miał dwadzieścia cztery lata. I naprawdę był mężczyzną. Jednak zanim się nim stał, jeszcze sporo czasu musiało minąć.

\* \* \*

— Już prawie koniec. — Ucinam nic zaraz przy skórze. Wygląda całkiem nieźle. Biorąc pod uwagę fakt, że po raz pierwszy w życiu szyla komuś łuk brwiowy.

On był blady i spocony. Trudno się dziwić. Trochę krwi wlało mu się do oka.

— Dobrze się czujesz?

— Hm...

Podaję mu dłoń. Jestem dobrą, miłą sanitariuszką. Zakończyłam szycie, ale pacjent pewnie nadal czuje pulsujący ból. Żałuję, że dałam mu rękę. Do koniuszków nie dochodzi mi krew.

— Do wesela się zagoi. — Uśmiecham się, choć nie czuję palców. — Byłeś bardzo dzielny. Poza tym po raz pierwszy szyla w tym miejscu.

Spogląda na mnie przerażony.

— Dziękuję za praktykę. — Uśmiecham się znów, tym razem przepraszająco.

— Do usług. — Głos ma cichy. Wcale nie rusza się z miejsca.

— Mam jeszcze dużo pracy. — Zachęcam go, by wstał. Nie rozumie aluzji. — Czy mógłbyś?

— A tak.

Jest lekko speszony, ale się nie rumieni. Podnosi się powoli i spogląda na mnie.

Uśmiecham się głupio.

— Co? — pyta zdezorientowany.

— Nic, nic! — Puszczam do niego oko i zabieram się za sprzątanie.

On lekko dotyka miejsca skaleczenia, ale szybko łapie go za rękę, upuszczając wszystkie rzeczy na ziemię. Jeszcze mi tu zemdleje. Odbiera to inaczej. Patrzy prosto w moje oczy, ani na chwilę nie odrywając wzorku. Wpatruję się w niego hardo. Mój dobry humor znika w chwili, w której mnie pocałował. Odpycham go mocno, tak że traci równowagę i wpada na ścianę. Wszystkie rozsypujące się narzędzia robią hałas.

— Co ty wyprawiasz!? — krzyczę wściekła. Robię to celowo. Zaraz tu przyjdzie.

— Prze... Prze... Przepraszam.

Z rany poleciała krew.

— Wynoś się!

Nie rusza się z miejsca. W tym momencie otwierają się drzwi. Staje w nich lekarz, którego on zdążył już poznać. Mierzy go wzrokiem, a jego spojrzenie jest ostre jak skalpel, który trzymam w palcach. Nie wiem, jak on się tam znalazł.

— Nie słyszałeś? — zwraca się do niego, stojąc w drzwiach. — Wynocha ze szpitala. — Nie krzyczy. Głos ma donośny, ale spokojny.

— Przepra...

— Wynocha!

Patrzy na mnie błagalnie, a ja nie wiem, co robić. Coś kapnęło na moją bluzkę. Krew? Zastanawiam się. Nie, to łza. Płaczę? Dlaczego ja płaczę? Szybko się odwracam i ukrywam za parawanem. Nie chcę, żeby ktoś widział mnie w takim stanie. Przez chwilę słyszę, jak się kłóca, aż w końcu wchodzi. Jest cicho. Wypuszczam z ręki skalpel. Lepiej nie kusić losu. Ocieram twarz i wychodzę zza przesłony.

— Idź już do domu — mówi troskliwie. — Odpocznij.

Kiwam głową. W drodze do wyjścia zarzucam płaszcz, ale się nie zatrzymuję. Gdy w końcu czuję zimne powietrze, uspokajam się. To, co wydarzyło się w szpitalu, zostaje w szpitalu. Każdy to powtarza. Nie zabieraj do domu wspomnień. Biorę głęboki oddech. To, co wydarzyło się w szpitalu, zostaje w szpitalu.

\* \* \*

Myślałam, że to koniec znajomości. Nie wiedziałam, że kiedyś jeszcze go zobaczę. Jednak następnego dnia spotkałam go przed budynkiem. Przeprosił mnie, a ja jego i to, co się wydarzyło, odeszło w niepamięć.

Więcej się tam nie spotykaliśmy. Nigdy.

\* \* \*

— A jak jest po niemiecku... — zastanawiam się chwilę.

Siedzimy w parku przy jakimś drzewie. Jest ciepło jak na zimą. Możemy tu długo zostać. Żadne słowo nie przychodzi mi do głowy.

— Miłość. Nie! Śmiech. — Zmieniam słowo.

— *Gelachter* — odpowiada.

— O nie.

— Co ci się nie podoba tym razem?

— Wyobraź sobie dwie śmiejące się osoby. Są radosne, a to słowo wcale tego nie oddaje.

Przewraca tylko oczami.

— Ty jesteś osłuchany. A ja nie. Dla ciebie to normalne.

— Skąd wiesz? — Spina się i wpatruje we mnie z napięciem.

— To chyba oczywiste. — Prycham, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Kto ci powiedział?

— Nikt. Boże... Spokojnie. — Rozglądam się nerwowo. Na szczęście oprócz nas nie ma tu ludzi.

— Przecież nie wyglądam na Niemca! To przez ten mundur?

Dociera do mnie sens jego słów. Nieruchomieję i wpatruję się w niego.

— Jesteś Niemcem? — pytam z niedowierzaniem.

— Sama zaczęłaś! — Słyszę dobrze znany akcent.

To niemożliwe, powtarzam w myślach.

— Nie o to mi chodziło! — Dlatego mało mówił! Bał się, że zdradzi go akcent! — Okłamałeś mnie! — Złoszczę się na niego i na siebie. Jak mogłam się niczego nie domyślać? Teraz przekonałam się, że nie mówi świetnie po niemiecku, tylko słabo po polsku. Jaka ja jestem głupia!

— Nie chciałem! — Słyszę wyraźnie jego akcent i łyzy pojawiają mi się w oczach. — Kocham Polskę! — Gdy widzi, że to na mnie nie działa, dodaje: — Kocham ciebie!

Nie wiem, co mam powiedzieć. Wstaję i przez chwilę chodzę dookoła. On też podnosi się z ławki. Chce podejść, ale obrzucam go ostrym spojrzeniem. Unoszę dłoń, lecz zamiast go uderzyć, zaciskam ją w pięść i odchodzę. Paznokcie wbijają mi się w skórę, tworząc krwawe półksiężycy. Zaciskam drugą dłoń. Boli, ale nie bardziej niż moje serce. Przypomina mi się to, co mówił o oczach. Są brązowe, a nie niebieskie.

\* \* \*

Nigdy wcześniej nie płakałam tak bardzo. Nawet po śmierci mojego taty, mamy czy siostry. Wszyscy zmarli na hiszpankę. Nie było czasu na żałobę. Po prostu odeszli, a ja musiałam się z tym pogodzić. Nie nosiłam czerni i nie płakałam tak, jak wtedy. To oznaczało koniec. Koniec spotkań, koniec rozmów. Koniec mojej jedynej przyjaźni. Czułam się ogromnie samotna. Pewnie dlatego tak łatwo mu wybaczyłam.

\* \* \*

— Pojedziesz ze mną do Paryża? — Męski głos odzywa się za moimi plecami.

Nie odwracam się. Udaję, że nie słyszę. Akurat dzisiaj. Akurat dzisiaj, gdy on przyszedł, nie mam zbyt wiele pracy.

— Pojedziesz ze mną do Paryża? — powtarza, a ja wiem, że nie mogę go dłużej ignorować.

Krzyżuję ręce na piersi i w końcu odwracam się w jego stronę. Ma podbite oko i rozcięty łuk brwiowy. Odruchowo chwytam za narzędzia i wskazuję kozetkę. Siada posłusznie, nic nie mówiąc.

— Co ci się stało? — pytam z powagą.

— Biłem się.

— Aha. — Szyję szybko. Mechanicznym ruchem, który wszedł mi w nawyk. To po prostu kolejna rana. Kolejny pacjent.

— Nauczyłaś się lepiej szyć — zauważa.

Słyszę akcent. Nie powinnam o tym myśleć.

— Kilku takich jak ty się przewinęło. — Próbuję naśladować beznamiętny głos lekarzy. Nie wychodzi mi. Oboje zaczynamy się śmiać.

Ucinam nić przy skórce i odkładam narzędzia. Siadam obok.

— Pojedź ze mną. — Chwyta moją dłoń.

Patrzę na niego i nie mogę przekonać siebie, że przecież powinienam go nie lubić. Jest Niemcem, wrogiem.

— Nie. — Iskry w jego spojrzeniu gasną. — Chcę zostać w Polsce. Z tobą.

Uśmiecha się.

Po raz pierwszy zdarza mi się widzieć płaczącego ze szczęścia mężczyznę. W szpitalu pełno jest cierpienia i łez, ale nie takich jak te. Przytulam go i poklepuję po plecach. Z chłodnym profesjonalizmem przyjęłam do wiadomości fakt, że właśnie przytulam płaczącego Niemca. Drogi świecie, czym jeszcze chcesz mnie zaskoczyć?

\* \* \*

Myślałam, że to koniec przygód. Powstanie się kończyło. Pogodziłam się z tym, że mam przyjaciela Niemca. Zdawało mi się, że to naprawdę koniec. On bardzo mnie kochał. Oświadczył mi się nawet. Powiedziałam „tak”. Nie miałam innych planów. Byłam sierotą. A naprawdę go lubiłam. Może z czasem nawet bym go pokochała.

Nie dawało mi spokoju wspomnienie tego wydarzenia, gdy powiedział o moich oczach. Byłam Polką, a on Niemcem. Jak w *Pięknej i Bestii*, tej francuskiej baśni o niecodziennej miłości. Tylko że Piękna powinna kochać Bestię, a nie darzyć uczuciem zupełnie przeciętnym, wypełnionym zwykłą akceptacją. Może to nie ja byłam Piękną? Nigdy się nie dowiedziałam.

Jest szesnasty dzień lutego, a ja leżę na śniegu, próbując zrozumieć.

\* \* \*

Wychodzę ze szpitala. Chciałam zabrać swoje rzeczy ze stacji i zanieść do jego mieszkania. Idę spokojnie ulicami Poznania. Czuję się bezpieczna. Ta chwila jest lekka i słodka. Udało mi się. Przetrawiłam powstanie. Jeżeli to mi się udało, przetrwam wszystko inne.

Uderzyło mnie to dopiero teraz. Udało się! Żyję! Powstanie wygrane! Śnieg skrzypi pod butami. Jestem już prawie na miejscu. Widzę budynek, który był mi domem, odkąd rodzice umarli. Będę za nim tęsknić. Idę pewnie, z uśmiechem na ustach. Pozwalam myślom szaleć. Powstanie, przeprowadzka, przyszłość.

Z tego stanu wyrывa mnie potworny ból w dole brzucha. Przystaję i opieram się o ścianę. Spoglądam w dół na swoją dłoń, którą przycisnęłam do płaszcza. Krew. Jak to krew? Dlaczego? Ktoś przede mną stoi. Na początku go nie poznaję. Nie ma na sobie lekarskiego fartucha. W ręce ma skalpel. Ten sam, który trzymałam podczas ich kłótni.

— Co się stało? — To jedyne pytanie, jakie przychodzi mi do głowy. Jestem zbyt przerażona, by krzyżeć. Wykrwawiam się. Dokładnie wiedział, gdzie dźgnąć. Oczywiście, że wiedział. Jest lekarzem.

— Zostałaś pchnięta w wątrobę — mówi spokojnie, przytrzymując mnie za ramię.

Patrzę w jego oczy i boję się. Ma chłodne spojrzenie, jakby nic się nie działo. Moje usta poruszają się, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Czuję ciepłą krew, która spływa na śnieg. W końcu upadam, ale wciąż żyję.

— Dlaczego? — Udaje mi się w końcu wyszeptać.

— Chciałaś wyjść za Niemca? — Przykłęka przy mnie. — Mało masz Polaków wokół siebie? Na mnie się obrażałaś, gdy ci pierścienek proponowałem, a za Niemcem poleciałaś od razu?

— Skąd... — Nie mam siły mówić. Widzę coraz mniej wyraźnie. Nie czuję swojego ciała. Jest mi strasznie zimno. Dlaczego nikogo nie ma? Nikt tego nie widzi? Dlaczego nie krzyżeć?

— Gdzie jest teraz twój Niemiec?

Zamykam oczy. Nie chcę umierać. Jeszcze nie teraz. Nic nie przychodzi mi do głowy. Muszę coś wymyślić.

— Idzie tutaj — jęczę ostatkiem sił.

Zaczynam odpływać. Próbuję się uszczypnąć, ale nie czuję już nic.

\* \* \*

Mam wrażenie, jakbym leżała w ciemnym pokoju. Wiem, że nie śpię, ale nie mogę się obudzić. Muszę poukładać sobie w głowie wspomnienia. Wiem, że to pomoże.

\* \* \*

— Zamieszkaś ze mną?

Jemy kolację w restauracji. Jest wieczór, a mnie nie chce się o niczym myśleć.

— Czemu nie? — Pocieram oczy. — Dobry pomysł.

W miejscu publicznym bardzo pilnuje, żeby jego akcent był niezauważalny. Pewnie tylko ja to słyszę. Jak to możliwe, że tak płynnie posługuje się jednym i drugim językiem?

— Mam pytanie — podejmuję, by podtrzymać rozmowę. — Gdzie nauczyłeś się tak dobrze mówić po polsku?

— Moja mama była Polką, a tata...

Rozumiem. Kiwam głową, a on się uśmiecha. Ciekawe dlaczego Polka związała się z Niemcem. Może z tego samego powodu co ja?

Pocieram powieki i opieram się o krzesło.

— Boli cię głowa?

— Trochę. — Uśmiecham się słabo. To był ciężki dzień. Nie z powodu pacjentów, tylko lekarza. Po raz kolejny próbował wcisnąć mi pierścionek. Nie powiem mu o tym, ale może powinnam znaleźć inną pracę. Inny szpital. — Nie wyspałam się — kłamię gładko.

— Jutro spakuj swoje rzeczy, a ja przyjdę o dziewiętnastej i pomogę ci je przenieść — proponuje i czeka na moją reakcję.

— Dobrze. Czemu nie.



\* \* \*

Leżę w szpitalu. Dociera do mnie znajomy zapach. To znaczy, że żyję. Próbuję się poruszyć. Wszystko mnie boli. Uchylam lekko oczy. Tak. Na pewno żyję. W pokoju nikogo nie ma. Jest tu tylko jedno łóżko. I ja.

Powoli ruszam głową. Przyzwyczajam się do światła. Nie wiem, jaki dziś dzień ani która godzina. Czuję, że muszę się spieszyć. Ciało odmawia posłuszeństwa, ale siadam na łóżku. Dotykam stopami przeraźliwie zimnej podłogi i próbuję się podnieść. Upadam. Opieram się o ścianę i powoli wstaję. Wychodzę z pokoju, szukając wzrokiem czegoś, czym mogłabym się bronić. Czuję, że on chce mnie zabić. Widzę dyżurkę, w której zawsze odpoczywa, gdy nie ma nic do roboty. Boję się, że tam jest. Nagle drzwi się otwierają. Chowam się w mojej sali. Idzie korytarzem. Słyszę jego kroki. Mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Nie panikuj, tylko nie panikuj, powtarzam w myślach. Nie zauważa mnie. Nawet tu nie wchodzi. Zanim ktoś zdąży się zorientować, jestem już w dyżurce. Pomieszczenie jest małe, więc powinnam szybko znaleźć to, po co przyszłam. Otwieram szufladę w biurku. Jest. Nawet nie starał się go schować. Niczego się nie spodziewa. Biorę skalpel. Mocno ściskam rękę w lewej ręce. Ta jest pewniejsza i mocniejsza. Chowam się w rogu, by zasłoniły mnie drzwi, gdy ktoś je otworzy.

Czas ogromnie się dłuży. Nie potrafię opanować drżenia ciała i szalejących myśli. Spokój chyba nigdy nie był moją mocną stroną. Nie wiem, jak długo tak stoję. Już mam zrezygnować, gdy słyszę kroki. To na pewno on. Idzie powoli, nigdzie mu się nie spieszy. Pewnie nie zauważył, że mnie nie ma w łóżku. Czy będę potrafiła to zrobić? Oby. A co, jeżeli zacznie krzyczeć? Nie mam już czasu. Drzwi się otwierają. Wchodzi do środka. Zauważa mnie. Nie zdążył nawet się mocno skrzywić, gdy skalpel przebił mu tchawicę. Chwytam go

szybko za ramiona. Jeżeli upadnie, zrobi hałas. Nie potrafię utrzymać równowagi. Po ścianie osuwam się na posadzkę, a on ze mną. Brudzi mnie krwią. Leży na mnie. Oczy ma otwarte. Wpatruje się we mnie. Chyba zaraz zwymiotuję. Przesuwam go na bok. Znowu mogę od-  
dychać. Podnoszę się z podłogi. Zamykam drzwi.

Mam trochę czasu, zanim się zorientują. Wyjmuję skalpel. Trzymam go przez chwilę w dłoni, wycieram o szpitalną koszulę nocną i odkładam na podłogę. Nie wiem, czy to najlepszy pomysł, ale nie mam innego. Otwieram szafę. Znajduję w niej swoje ubranie. Nie mogę tego założyć. Nadal jest brudne od krwi. Szukam dalej. Kiteł sanitariuszki. Przymierzam. Pasuje. Zapinam się, a szpitalną koszulą wycieram krew, by nie wylała się za drzwi. Trupa przeciągam w naj-  
dalej położony kąt dyżurki. Otwieram okno. Nie jest aż tak wysoko, ale z pewnością połamałabym sobie nogi, skacząc. Postanawiam za-  
ryzykować i wyjść drzwiami. Poprawiam ubiór. Wychodzę i zatrza-  
skuję drzwi. Na nikogo nie patrzę. Kieruję się prosto do wyjścia. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. To dobrze. Zimno uderza mnie od razu. Nie mam płaszcza. Przed szpitalem ktoś pali. Panuje półmrok, więc nie potrafię dojrzeć, kto to.

— Siostro! Co z nią? — Papieros gaśnie i nieznajomy podchodzi bliżej.

— To ty! — Chwytam go za ramię. — Musimy stąd iść.

— Dlaczego nie jesteś...

— Teraz — przerywam mu ostro.

Potakuje głową i pomaga mi iść. Powraca ból. Adrenalina jednak robi swoje.

— Powiesz mi, co się stało?

— Tak. — Spoglądam po raz ostatni na szpital. Wiem, że już nigdy tu nie wrócę. — Powiem ci, ale jeszcze nie teraz.

Nigdy później o tym nie rozmawialiśmy. W końcu zrozumiał, że to, co wydarzy się w szpitalu, zostaje w szpitalu.





Rafał Pawlak  
**Zryw**

➔ Mężczyźni w mundurach polskich w Atelier. Nieznany czas powstania zdjęcia.

*Zamach i przewrót można zaplanować, rewolucję — nigdy.*

Ryszard Kapuściński

**T**erkot karabinu maszynowego zamienia się w ochrypy kaszel. Jakub otwiera oczy. Widzi koliste, poszarpane wzory zacieków na suficie. Czuje ciepło leżącej obok Elizy, której kaszel przedostał się do jego snu. Uciekał przed śmiercią, a teraz boi się, że jego ukochana umrze.

Czeka, aż jej oddech się uspokoi, a jego myśli powrócą ze wzgórz pod Verdun do robotniczego mieszkania przy poznańskiej Kronprinzenstrasse. Ostrożnie unosi pierzynę i wyslizguje się z łóżka. Spod przykrycia wystaje tylko rzymski nos żony. Odgarnia jej jasne włosy i przykładą rękę do bladego czoła. Nic się nie zmieniło. Gorączka, która powaliła Elizę poprzedniego dnia, nadal buzuje w jej ciele jak ogień w rozgrzanym piecu.

Mimo to Jakub czuje ulgę. Słyszał, że hiszpanka potrafi zaatakować rano i do wieczora pozbawić życia nawet najsilniejszych.

Chwyta wiadro, które napełnił i postawił obok drzwi poprzedniego dnia. Nalewa lodowatej wody do miednicy stojącej na taborecie w kącie. Przemywa twarz, pachy i tors. Szybko zakłada ubrania, siłując się zgrabiętymi palcami z guzikami kufajki. Potem nachyla się nad piecykiem ustawionym w przeciwnym kącie pokoju. Otwiera drzwiczki i haczykiem rozgarnia popiół tak długo, aż na ruszcie po-

zostają tylko kawałki szlaki i niewypalonego węgla. Ze stojącej obok węglarki wybiera drobne kawałki drewna i układa je na zwiniętej gazecie. Dodaje podziurawione przez korniki połamane deski, z których sypie się jasny pył, i dorzuca na wierzch dwie duże bryły węgla. Ignoruje natrętną myśl, że zużywa cały opał. Eliza potrzebuje ciepła.

Odpala zapałkę o zardzewiałą krawędź pieca i podkłada ogień pod ułożony stos. Wyschnięte drewno szybko się zajmuje i zaczyna strzelać. Migający blask rozprasza blade światło wlewające się przez zaparowaną szybę.

Wszystko będzie dobrze.

Z papierowej tytki wyciąga kawałek czerstwego chleba. Przełamuje go na pół. Jedną część odkłada, drugą zaczyna żuć. Na blacie stoją dwa blaszane kubki. W pierwszym wyschnięte fusy przypominają plażę po odpływie. Drugi wypełniają widelce i noże, każdy z innego zestawu. Do jedzenia zostały tylko kawałek chleba i otręby. Nie musi nawet sprawdzać.

Stawia na piecu ronderek. Wyciąga dłonie do ciepła. Czeką, aż woda się zagotuje. Przelyka ostatni kęs i zalewa fusy kawy zbożowej z poprzedniego dnia. Do reszty wody wysypuje otręby. Gdy owsianka jest gotowa, bierze garnek, zabezpiecza jego dno ręcznikiem i siada na skraju łóżka.

Eliza otwiera i zamyka powieki, walcząc ze snem.

— Jesteś... — Uśmiecha się, gdy dostrzega Jakuba.

Ten odwzajemnia miły gest. Cieszy się na dźwięk powitania, które słyszy za każdy razem, odkąd wrócił z frontu. W brązowych oczach dostrzega rezolutne iskry, które pokochał.

— Zjesz coś?

— Zrobię ci kawy. — Eliza odsuwa pierzynę, opuszcza blade stopy na podłogę i staje na chwiejnych nogach, ale po chwili pada na łóżko, ciężko dysząc.

— Już piłem. — Jakub poprawia poduszkę, pomagając żonie

wygodnie usiąść. Na podolku stawia parujący garnek z owsianką, którego ciepło przenika przez owinięte dno.

Karmi ją przez chwilę, a ona w milczeniu skupia się na przepychaniu papki przez obrzęknięte gardło.

— Wychodzisz?

Jakub mimowolnie odwraca wzrok. Robi tak codziennie od miesiąca w odpowiedzi na pytanie, które słyszy.

— Przycisnę jeszcze raz Więckiewicza.

— Raczej nie zmieni zdania.

— Może, ale długi musi spłacić.

— A moi rodzice? — Eliza skubie dłonią poszarpaną krawędź pościeli.

— To nie wchodzi w grę. — Jakub wstaje, wkłada rondel do miski z wodą i długim łykiem opróżnia blaszany kubek z namiastką kawy. — Zdobędę opał i leki. — Sięga po wojskowy płaszcz z odprutymi insygniami.

— Jestem tylko trochę zmęczona. To nic takiego.

Mężczyzna udaje, że nie słyszy lekkiego załamania w twardym tonie, którym Eliza stara się przykryć strach. Cała złość ulatuje z niego jak powietrze z przekłutej opony.

— Spróbuję zdobyć trochę chininy. Podobno pomaga.

— Dobrze — odpowiada żona coraz bardziej zmęczonym głosem.

— Uważaj na siebie. Niemcy są nerwowi. Wczoraj odłączyli prąd w całym mieście.

— I tak nie powstrzymali Paderewskiego. Są słabi.

— Wróć do mnie... — Jej powieki opadają pod naporem zmęczenia.

— Przetrwiałem Verdun. Tutaj nic mi nie grozi. — Całuje ją w usta i rusza do drzwi.

Zatrzymuje się, gdy wyczuwa w kieszeni małe zawiniątko. Odwraca się i widzi, że Eliza ma przymknięte powieki. Nie chce jej budzić, więc udaje, że niczego nie zauważył.



— Wróć. — Chowa kark w podniesione kłapy płaszcza i wychodzi w chłód zimowego poranka.

\* \* \*

Na ulicy nie ma śniegu. Jest mroźno. Niebo jest przejrzyste, ale słońce nie wzbilo się jeszcze na tyle, aby oświetlić osłoniętą wysokimi kamienicami Kronprinzenstrasse. Jakub dołącza do tłumu otoczonego obłokami pary z ust. Ludzie żywo gestykują. Domyśla się, że omawiają wydarzenia poprzedniego wieczora.

Paderewski dał im nową nadzieję.

Przepełniony tramwaj bez szyb przemyka z piskiem środkiem ulicy. Jakub zastanawia się, czy gdyby ludzie wiedzieli, że w okopach choroby najszybciej rozprzestrzeniały się w przepełnionych przybudówkach i bunkrach, nadal by się w nich tłoczyli. On nie miał wyboru: Polak w niemieckiej armii musiał spać pod gołym niebem. Być może dzięki temu nigdy nie zachorował.

Po kilku minutach marszu staje przed bramą zakładów Hipolita Cegielskiego. Tłum robotników napiera na bramę. Mężczyźni przepychają się, ale Jakub zostaje z boku. Wie, że z niemieckim nazwiskiem nie przejdzie kontroli dokumentów. Mógłby spróbować w koszarach, gdzie od końca wojny chętnie wymieniają Niemców na Polaków z niemieckimi nazwiskami, ale ma dosyć słuchania rozkazów.

Wrócił żywy, ale nigdzie nie pasuje.

Wypatruje prawie pozbawionej rysów, nalanej twarzy i gdy w końcu krzyżuje wzrok z Cezarym Więckiewiczem, czeka tak długo, aż ten odpowie skinieniem. Tłum zaczyna wlewać się przez otwartą bramę do środka. Jakub znika za drzwiami stróżówki po lewej stronie.

— Znowu ty, Kroll? — Więckiewicz wyciąga papierośnicę i spogląda na Jakuba.

Ten kręci głową, choć na zapach tytoniu czuje znajome ciepło w dole brzucha.

\* \* \*

Zapach wody kolońskiej Więckiewicza miesza się z zatęchłym powietrzem ciasnego pomieszczenia wyposażonego w krzesło, mały stolik i stalowy piecyk. Mężczyzn oddziela od siebie tylko kilkanaście centymetrów. Przy ubranym w garnitur Więckiewiczu z gładko ogoloną twarzą, przystrzyżonym wąsikiem i wypomadowanymi włosami, nieogolony i nieostrzyżony Jakub w znoszonym ubraniu wygląda jak żebrak. Podobne mają tylko oczy — błękitne i nieufne. Więckiewicz odpala papierosa i wydmuchuje mu dym prosto w twarz.

— Myślałem, że zrozumiałeś.

— Jesteś mi coś winien.

— Już nie.

— Nie?!

— Spłaciłem dług, pomagając Elizie.

Jakub wytrzeszcza oczy.

— Myślałem, że się domyśliłeś. — Więckiewicz się uśmiecha. — Jak niby miała przetrwać te wszystkie miesiące, kiedy ciebie nie było? Sama, bez rodziny, którą dla ciebie poświęciła?

Oczy Jakuba zasnuwa mgła wstydu i narastającej złości.

— Nie rozumiesz reguł, prawda? Gdy Polacy odzyskają władzę, a takie kundły jak ty zostaną przypięte do łańcuchów, może wreszcie się czegoś nauczysz. — Mruży oczy, napawając się wypowiedzeniem kwestii, którą wielokrotnie ćwiczył w myślach. — Ona nigdy nie była dla ciebie, Kroll.

— Jest chora.

Więckiewicz odwraca wzrok i nieruchomieje na kilka sekund.

— Dla mnie jest martwa jak Hiszpan. — Rzuca niedopałek na ziemię i przygniata go butem.

Jakub popycha go na drzwi i łapie za klapy marynarki.

— Ej, ej, spokojnie! — Więckiewicz ściska knykcie napastnika, aż ten rozluźnia dłonie. — Chcesz pieniędzy? — Wygląda pomięty materiał i wyciąga z kieszeni zwitek niemieckich banknotów. — Bierz! Jutro i tak będą gówno warte.

Jakub patrzy na niego i dyszy. Odsuwa się z obrzydzeniem. Wychodzi.

— Powiedziałem tylko to, co już wiesz — rzuca za nim Więckiewicz.

Usłyszane słowa snują się za Jakubem jak przekleństwo. Do południa nie udaje mu się znaleźć żadnego zajęcia. Przeszedł Kronprinzenstrasse i ruszył na zachód, oddalając się od centrum i szukając rzemieślników gotowych go zatrudnić.

Większość głoduje i nikt nie chce mu dać pracy.

Przechodzi całe Jeżyce i Grunwald aż do Auguste-Victoria-Strasse. Gdy decyduje się wracać, słyszy odbity od budynków metaliczny dźwięk przypominający nierówną pracę maszyny. To okazja, aby ją naprawić. Rusza w tamtym kierunku, próbując zlokalizować dźwięk.

Maszyna okazuje się grupą młodych mężczyzn ćwiczących przeładowywanie pistoletów i karabinów. Jakub podgląda ich zza załomu domu z czerwonych cegieł na końcu jednej ze ślepych uliczek odchodzących od głównej arterii. Mają prawdziwą broń, ale w oczach Jakuba wygląda to jak dziecinna zabawa. Chce się wycofać, lecz potyka się o stojący pod ścianą pień.

— Stój!

Kroll nie ma ochoty uciekać i zginąć z rąk jakichś smarkaczy po tym, jak przeżył piekło pod Verdun. Wstaje, a młodzi mężczyźni go otaczają. Z bliska widzi, że to jeszcze wyrostki. Niektórzy już się gola, inni wyglądają, jakby dopiero odłożyli zabawki i zastąpili je niemieckimi karabinami.

Jakub lokalizuje przywódcę bandy. Jest nim ubrany w czarną pilotkę wysoki blondyn ze szramą na czole i wystającym jabłkiem Adama, które drży, zdradzając zdenerwowanie.

— Wracajcie do zabawy — zwraca się bezpośrednio do niego.

— Stul kalafę! — Blondyn spluwa przed nogi podglądacza i patrzy mu prosto w oczy. — Szpiegujesz?

— Szukam roboty.

— Trzeba było walczyć, a nie symulować, Kaczmarek. — Z pogardą patrzy na wojskowy, pozbawiony odznaczeń płaszcz.

Jakub wie, że chłopak wziął go za żołnierza uchylającego się od służby.

— Niemcy nazywali takich Katschmarkenregiment — rzuca młodzian, a grupa zaczyna rechotać.

Jakub uderza otwartą dłonią w twarz blondyna, a ten upada na ziemię. Śmiech się urywa. Mężczyzna odwraca się i odchodzi.

— Poradzę sobie, kurwa! — Głos blondyna, któremu kompani pomagają wstać, brzmi piskliwie, ale gdy rozlega się ponownie, jest już twardy i zdecydowany: — Stój, bo strzelał!

Jakub się nie zatrzymuje.

Pierwszy strzał sprawia, że ma ochotę wrócić i zabić młodego, ale idzie dalej.

Trzy kolejne kule świszczą nad jego głową. Czwarta i piąta odrywają kawałek muru ze ściany domu, obok którego przechodzi. Dopiero szósta, która trafia w ziemię dwa metry przed Jakubem, zatrzymuje go w miejscu. Siódmy strzał sprawia, że Kroll odwraca się i rusza w kierunku blondyna trzymającego niemiecki pistolet luger na wyciągniętym ramieniu. Widzi na jego twarzy grymas oznaczający niezdecydowanie, który znika, gdy chłopak opanowuje drżenie dłoni, zaciskając palce na rękojeści i unosząc broń do poprzedniej pozycji.

Kolejna kula przelatuje tuż nad głową Krolla. Ten sunie do przodu jak taran i tylko lekko mruży oczy na dźwięk kolejnego wystrzału.

Dłoń z wyciągniętym pistoletem zaczyna drżeć. Jakub staje przed chłopakiem. Widzi pot na jego czole i zaciśnięte zęby. Prowokuje go, markując atak.

Klik.

Iglica uderza w puste miejsce po kuli. Oczy blondyna wychodzą z orbit wpatrzone w bezużyteczny kawałek stali. Jakub uderza go ponownie w twarz. Tym razem zaciśniętą pięścią. Blondyn osuwa się na ziemię jak worek ziemniaków.

\* \* \*

Przez kilka kilometrów Jakub idzie roztrzęsiony i ciągle odwraca się za siebie. Chce mu się palić, martwi się o Elizę i wie, że nie może wrócić do domu z pustymi rękami. Nie tym razem. Decyduje się wrócić do centrum i spróbować zarobić kilka groszy przy rozładunku towaru dla jednego ze składów. Im bardziej zbliża się do celu, tym więcej widzi polskich flag powiewających z okien.

Od Jezyc Jakubowi towarzyszy niemiecki oddział maszerujący w równym bloku kilkadziesiąt metrów za nim. Na Sankt Martin Strasse parada przeradza się w zrywanie polskich flag i niszczenie witryn polskich sklepów. Tak jak przewidział, Polacy prędzej czy później będą musieli zapłacić za radość z przejazdu Paderewskiego przez Poznań.

Ludzie umykają przed żołnierzami. Jakub wyciąga nogi. Schodzi Sankt Martin Strasse na wschód.

— Przybycie Paderewskiego i anarchia w Berlinie. Wiara! Czytajcie „Kurier Poznański”! — Chudzielec z gazetami na ramieniu wydziera się na całą ulicę.

Jakub chwyta gazetę. Dowiaduje się, że Ignacy Paderewski został na noc w hotelu Bazar i wygłosił stamtąd przemówienie. To tłumaczy nerwowość niemieckich oddziałów.

— Dotknięte, kupione! — Chłopiec wyciąga rękę w stronę Jakuba. Ten kładzie mu na dłoni gazetę.

— Nekrologi, nekrologi! Giną starzy, giną młodzi! — Gazeciarz rzuca za nim.

Mężczyzna skręca w ulicę Szkolną i rusza w kierunku rynku. Mijając zakład zastawniczy, nieświadomie dotyka zawiniątka w kieszeni. U wylotu ulicy stoi furmanka z trumnami na pace. Ludzie omijają ją, prawie przyklejając się do ścian.

Mężczyzna w meloniku i błyszczących butach pochyła się nad pojazdem złożonym z przodu od motocykla i drewnianej skrzyni z przytwierdzonymi kołami od taczki.

— Świece?

Właściciel odwraca twarz w kierunku Jakuba.

— Żeby to wiedział... — Elegant unosi melonik i przeciera chusteczką spocone czoło, do którego przykleiły się siwe włosy. — Nie znam się. Antoni się znał, ale teraz leży z tyłu. — Wskazuje wzrokiem tylną część pojazdu.

Jakub podchodzi do kierownicy i się nachyla. Sprawdza włącznik zapłonu, iskrownik i przewód prowadzący do świecy zapłonowej. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda dobrze. Rusza manetką gazu, wrzuca na luz, włącza ssanie i kopie nogą starter, próbując odpalić. Silnik krztusi się, ale nie zaskakuje.

— Nie boi się pan zarazić? — Mężczyzna kładzie dłoń na trumnie.

— Boję.

Kroll nachyla się nad silnikiem. Czuje zapach paliwa, więc szuka wycieku. Palcami wyczuwa, że wąż doprowadzający olej jest luźny. Zdejmuje go i sprawdza śrubę. Starty gwint sprawia, że wąż się zeslizguje. Kawałkiem sznurka zabezpiecza połączenie.

— Ale robię swoje. — Kopie starter ponownie. Tym razem silnik załapał.

— Nie ma poruty! — Mężczyzna w meloniku wciska w ręce Jakuba dwadzieścia marek.

— Wymieni pan sznurek na drut i jeszcze pochodzi. — Kroll klepie dłonią w bak i oddala się, jakby dopiero teraz naprawdę bał się zarazić od ciał spoczywających w trumnach.

Dwadzieścia marek. Mała fortuna. Może nawet wystarczy na coś do jedzenia? Jakub cieszy się z zarobionych pieniędzy i rusza w kierunku apteki w północnej części Starego Rynku.

Omija kolejkę, ale nikt nie reaguje. Być może z powodu niemieckiego płaszcza, być może dlatego, że regały świecą pustkami. Fiolki i słoiczki na półkach błyszczą czystością. Jakub podchodzi do chudego, łysego aptekarza o zapadniętych oczach schowanych za drucianymi oprawkami.

— Chinina?

— Będzie.

— Po ile?

— Czterdzieści.

— Wczoraj było piętnaście.

— Wczoraj było mniej trupów. — Mężczyzna opuszcza wzrok.

Jakub nie odpowiada. Wie, jak po wojnie szaleje niemiecka waluta i powiązana z nią polska marka. Zapłata otrzymana rano może wieczorem na nic nie wystarczyć. Żałuje, że nie zażądał więcej za naprawę motoru grabarza.

Wychodzi z apteki i rusza z powrotem na Szkolną, tym razem bojąc się dotknąć zawiniątka, jakby jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji. Wchodzi do ciemnego wnętrza zakładu zastawniczego. Za ladą w chmurze dymu papierosowego siedzi mężczyzna i czyta. Ogromne cielsko wylewa się przez krawędź krzesła. Podnosi wzrok dopiero, gdy Jakub staje przed nim.

— Niech zgadnę... — Grubas odkłada gazetę, a krzesło jęczy z wysiłku. — Żołnierz polskiego regimentu oprócz ran i przegranej walki o nieswoją sprawę przywiózł z frontu pamiątkę i chce ją sprzedać.

Jakub ignoruje zaczepkę. Przez chwilę stoi w bezruchu, aż w końcu zdecydowanym gestem, jakby bał się, że zmieni zdanie, odwija z brudnego materiału małe pudełko i kładzie je ostrożnie na ladzie.

Mężczyzna sięga po monokl, wpasowuje go w tłustą fałdę nad policzkiem i otwiera pudełko. Wyjmuje srebrny pierścionek z drobnym jasnym kamieniem. Błysk w oku błednie.

— Pięć. — Odkłada pierścionek.

— Marek?

Zamiast odpowiedzi mężczyzna otwiera szufladę i pokazuje Jakubowi setki podobnych pierścionków nawleczonych na sznurki.

— Wyglądasz na zakapiora. Możemy się dogadać.

— Nie pracuję w ten sposób. — Jakub chowa biżuterię do kieszeni.

— Kajzer dawał tylko rozkazy, ja daję też pieniądze.

Kroll odwraca się i wychodzi. Złość pomieszana z ulgą przepelnia go, gdy opuszcza duszne pomieszczenie. Tak naprawdę wcale nie chciał sprzedawać pierścionka, który odziedziczył po matce i podarował Elizie. Cieszy się, że zawiniątko wróciło na miejsce, ale martwi, że nie wystarczy mu na leki.

Wraca. Widzi, jak pod aptekę podjeżdża dorożka wyładowana skrzyniami. Rusza w jej kierunku, choć na razie bez planu. Wtapia się w stojący przed apteką tłum i patrzy, jak dwóch postawnych mężczyzn podaje sobie skrzynki z lekami, jakby nic nie ważyły. Wie, że w pojedynkę nie ma z nimi szans, ale nie oznacza to, że nie spróbuje czegoś ukraść.

Wyszukuje wzrokiem napisu *quinine*, który widział na froncie, ale większość paczek jest nieoznaczona. Rozpoznaje tylko jedną z nich. Wygląda identycznie jak te leżące obok lazaretów pod Verdun. Serce bije mu mocniej. W środku są prawdopodobnie blaszane pudełka ze strychniną, adrenaliną i morfiną pozostałe po zakończonej wojnie. Słyszał, że jakiś warszawski lekarz leczy nimi hiszpankę.



Jakubowi wydaje się, że wszyscy na niego patrzą, choć nic jeszcze nie zrobił. Ocenia, że skrzynka jest zbyt nieporęczna, aby dało się z nią biec. Gdy tragarz na pace furmanki podnosi ją i puszcza na dłonie drugiego, Jakub popycha mężczyznę obok.

— Uważaj, ćwoku! — Pracownik traci równowagę. Skrzynka przelatuje mu przez ręce, uderza kantem w bruk, a wieko odskakuje jak kapsel z butelki. Jedno z blaszanych pudełek poukładanych ciasno przy sobie wysuwa się tuż pod nogi Jakuba.

Wystarczy tylko sięgnąć.

Z tłumu wyskakuje mężczyzna, chwytając w biegu blaszane pudełko i ucieka.

Muszę go dogonić, myśli Kroll, otrząsając się z letargu. Złodziej przecina rynek, odpychając ludzi i omijając dorożki. Kieruje się na zachód w stronę ulicy Nowej. Ma przewagę ponad dwudziestu metrów. Jakub wybiera pozornie dłuższą drogę wzdłuż krawędzi rynku wyznaczonych przez kolorowe kamienice ze strzelistymi dachami. Nie musi mijać ludzi ani żadnych przeszkód i skraca dystans, wbiegając w ciągnącą się pod górę ulicę Nową.

To dodaje mu otuchy.

Skupia wzrok na plecach mężczyzny biegnącego przed nim. W myślach nazwał go złodziejem, choć sam był o krok od kradzieży pudełka z lekami. Gdyby się nie zawahał, być może ich role by się odwróciły.

Złodziej jest chudy, wysoki i ubrany lekko jak na tę porę roku. Klapy marynarki narzuconej na wełniany sweter rozwiane pędem biegu łopoczą niczym flagi. Gdy odwraca się przez ramię, Kroll dostrzega młodą, wychudzoną twarz. Gdyby nie za duże buty, które czynią bieg złodzieja nieco pokracznym, nie miałby szans go dogonić. Już teraz po kilkudziesięciu metrach pościgu płuca palą go tak, jakby sam diabeł wznicił w nich ogień.

Jakub jest w połowie drogi pod górę i widzi, że złodziej zaraz zniknie za szczytem, gdy słyszy terkot karabinu maszynowego. Wy-

daje mu się, że to echo snu lub przywidzenie, ale druga seria rozwija wątpliwości. Ktoś naprawdę strzela, a kurz z odpadającego tynku u wylotu ulicy, na której narożniku znajduje się hotel Bazar, sugeruje, że za cel obrał sobie odpoczywającego tam Paderewskiego. Nie ustaje w biegu. Jego przeznaczeniem jest teraz pudełko z lekami. Złodziej znika u szczytu, a Jakub biegnie dziesięć metrów za nim, gdy z przejścia pomiędzy budynkami wyskakuje grupa mężczyzn. Wpada na jednego z nich, przewraca i ląduje razem z nim na twardym bruku. Podnosi wzrok i widzi toczący się cylinder.

— Polak?

Kroll odwraca się na plecy, aby sprawdzić, kto pyta. Widzi wycelowany w głowę karabin.

— Odłóż to, idioto! — Reaguje instynktownie i przesuwa ręką wylot lufy, która zionie czarną otchłanią.

— Uważaj, jak łazisz, ćwoku — odgryza się mężczyzna.

Ktoś sięga po leżący na ziemi kapelusz i zakłada na głowę starszego człowieka o długich, szpakowatych włosach.

— Pilnuj lepiej Paderewskiego, bo nie będzie miał na co kapelusza założyć.

Jakub zrywa się na równe nogi i biegnie do wylotu ulicy. Wprost pod kule ryjące front hotelu Bazar.

\* \* \*

Wilhelmsplatz wraz z sąsiednimi ulicami jest pogrążony w chaosie. Ludzie biegają i szukają schronienia w składach ciągnących się wzdłuż ulic otaczających prostokątny plac. Spłoszone konie dorożek rwą i tratują wszystko na swojej drodze. Dwa opuszczone tramwaje stoją na jezdni zamykającej plac od południa.

Pochylając głowę, choć strzały świszczą wysoko w powietrzu, Jakub próbuje rozeznaczyć się w sytuacji. Stanowisko karabinu maszynowego znajduje się jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim na wyło-

żonym betonowymi płytami zachodnim sektorze placu. Nie widzi go zza części stanowiącej park, której kraniec sąsiaduje z ulicą Nową, skąd właśnie wybiegł. Jest zasłonięty pomnikiem cesarza oblanym białą i czerwoną farbą.

Jakub zna żołnierski dryg, dlatego domyśla się, że Niemcy ustawili karabin pod schodami Arkadii, niskiego budynku zamykającego plac od zachodu. Prawdopodobnie obok pomnika z lwem, który daje dobrą osłonę. Rozgląda się na boki. U wylotu ulic gromadzą się ludzie. Część z nich chwytą karabiny rozdawane przez harcerzy. Inni kiwiają głową i przyklejają się plecami do bezpiecznego muru, który osłania ich od ujadającego karabinu maszynowego. Za stojącym na cokole cesarzem w pikelhaubie, pod balustradą skierowaną w stronę Arkadii, Jakub dostrzega chłopaka, którego ściga.

Ich oczy się spotykają.

Złodziej nie ma wyjścia, musi się poddać. Przed sobą ma karabin maszynowy i rzędy kamienic odgradzające go od reszty miasta. Rozgląda się nerwowo dookoła. Przypomina zwierzę złapane w pułapkę. Jeśli zdecyduje się cofnąć do wylotu którejs ulicy, Jakub z łatwością przetnie mu drogę. Łapie oddech zgięty wpół, zbierając siły na zryw złodzieja. Wie, że mężczyzna złapany w potrzask prawdopodobnie go zaatakuje. Ma nad nim przewagę ciężaru, wzrostu i doświadczenia, ale nie chce pozostawiać niczego przypadkowi.

Rusza schylony w jego kierunku.

Wchodzi na niskie zaokrąglone schody, u których szczytu ustawiony jest cokół z pomnikiem, gdy wszystko cichnie.

Niemieccy żołnierze muszą przeładować.

Złodziej przeskakuje balustradę i znika w krzakach oddzielających go od pustego placu.

Jakub rzuca się w pogoń.

\* \* \*

Terkot karabinu maszynowego zastępują pokrzykiwania mężczyzn rwących się do walki. Jeszcze nie są gotowi, aby ruszyć do ataku, ale gdy Kroll wbiega za złodziejem na plac, mężczyźni traktują to jak sygnał i wysypują się z ulic zamykających plac po północnej oraz południowej stronie. Część rusza ostrożnie, kuląc się pod ścianami kamienic, reszta zajmuje pozycje pod pomnikiem Wilhelma II.

Jakub biegnie jak wicher i odlicza w głowie sekundy. Po dźwięku wystrzałów rozpoznał MG08. Jeśli obsługujący go żołnierze są wyszkoleni, przeładowanie nie zajmie im więcej niż dziesięć sekund. Za mało, żeby dobiec do ulicy Kohleisa. Złodziej tego nie wie i pruje, przeskakując po drodze ławki. Niemcy instalują taśmę z nabojami i strzelają w jego kierunku. Kule rozrywają powietrze i burzą krew w poznaniakach, którzy obserwują tę scenę. Złodzieja ratuje tylko to, że w ostatniej chwili dobiegł do pomnika niemieckiego generała spoglądającego na plac ze swojego rumaka u wylotu Kohleisa. Gdyby Niemcy wycelowali w Jakuba, leżałby już w kałuży krwi. Jemu też udaje się dopaść do cokołu. Przywiera do niego plecami, ramię w ramię z chudzielcem.

Krzyczą do siebie, ale wszystko zagłusza terkot karabinu. Kule orzą betonowy plac.

Uzbrojeni poznaniacy formują się w mniejsze oddziały i przyklejani do ścian kamienic zaczynają posuwać się na zachód, w kierunku stanowiska karabinu maszynowego. Inna grupa pojawia się u wylotu Kohleisa, gotowa zaatakować Niemców formujących się pod Arkadią.

Ktoś strzela i trafia w lwa stojącego na cokole obok stanowiska karabinu maszynowego. Kamienny jęzor wypada z paszczy.

Niemiecki żołnierz unosi lufę karabinu i puszcza serię. Wypolerowany cokół, za którym ukrywają się Jakub i złodziej, pokrywa się

kraterami przypominającymi powierzchnię księżyca. Kroll przenosi się pod Verdun i zapomina o rzeczywistości. Zatyka uszy i ciężko dyszy.

Któryś z poznaniaków rzuca się z krzykiem do przodu, a za nim kolejni. Wyglądają jak żołnierze po przeciwnej stronie. Mają podobne mundury, tę samą broń, wydają komendy po niemiecku, których nauczyli się na wojnie. Jeszcze nie myślą o odróżnieniu się od Niemców, tak jak nie myślą, że właśnie rozpoczęli powstanie wielkopolskie.

\* \* \*

Niemieccy żołnierze strzelają do poznaniaków, ale jest ich tak wielu, że właściwie nie wiedzą, do kogo celować. Uzbrojone oddziały wylewają się z Kohleisa, zagrażając nieosłoniętemu z tej strony stanowisku. Niemcy porzucają je i wycofują się do Arkadii.

Skryty za pomnikiem Jakub podnosi głowę i widzi biegających dookoła ludzi. Ktoś podaje mu niemieckiego lugera. Oderwawszy dłoń od uszu, słyszy tylko pisk. Patrzy w bok, ale złodziej zniknął.

Jeszcze ma szansę odejść, wrócić do Elizy, pozwolić wydarzeniom toczyć się bez niego, ale wie, że nie może tego zrobić. Zaciska dłoń na rękojeści pistoletu i wybiega zza pomnika. Wpada wraz z innymi na parter Arkadii, gotowy w każdej chwili oddać strzał, ale wszystkie pomieszczenia okazują się puste.

Powstańcy zajmują pozycje w oknach wychodzących na zachód, gdzie po przeciwnej stronie, w budynku prezydium policji, lokują się wycofujący się Niemcy. Strzelają na oślep w otwarte okna, chowają i przeładowują. Z przysadzistego, dwupiętrowego gmachu o prostych ścianach sypie się tynk. Odpowiada im grad kul z przeciwnej strony.

Pozbawiona osłon Theaterstrasse pomiędzy budynkami staje się ziemią niczyją. Wystające z okien prezydium niemieckie karabiny powstrzymują zapal powstańców.

Nagle z parteru Arkadii wyskakuje drobny mężczyzna i ląduje na chodniku. Zacięta twarz o gęstych brwiach i zakręconym wąsiku zdradza determinację. Nieznajomy zrywa się i biegnie w kierunku drzwi otoczonych półkolumnami.

Pojedynczy strzał trafia go w ramię. Upuszcza karabin i osuwa się na bruk.

Na moment wszystko cichnie.

Jakub wyrywa się do przodu, pociąga za mundur potężnego mężczyzną w przekręconej na bok rogatywce i rusza w kierunku rannego. Zanoszą go do wnętrza Arkadii. Powstańcy są już po drugiej stronie ulicy.

Rozpoczyna się oblężenie prezydium.

\* \* \*

Jest ciemna noc, gdy Jakub wraca do domu. Eliza na pewno się martwi, tak jak on martwi się o nią. Zamiast leków niesie kawałek słoniny, kielbasę i butelkę koniaku z zapasów niemieckiego oficera, którymi powstańcy celebrowali zdobycie siedziby policji. Na dziś będzie musiało wystarczyć.

Słyszy strzały w oddali odbijające się echem po Poznaniu.

Kroczy żwawo zachodnią stroną Kronprinzenstrasse, licząc na to, że w razie niebezpieczeństwa zdąży się schować, a sypiący się z nieba śnieg go osłoni. Od wpatrywania się w biel bolą go oczy. Skupia wzrok tylko na tym, co jest za wirującymi płatkami.

Czyjeś ręce łapią go i wciągają w bramę. Przez chwilę się szamocze, ale napastnik odwraca go frontem do siebie i zaciska dłoń na jego ustach. Rozpoznaje złodzieja, którego ścigał. Chce go uderzyć, ale powstrzymują go rozbiegane oczy wskazujące ulicę. Patrzy w tym samym kierunku. W śniegu majaczą charakterystyczne niemieckie helmy z wystającym grotom. Puszcza złodzieja i szarpie za kłamkę dębowych drzwi odgradzających go od podwórza. Zamknięte.

Słyszy podniesione głosy. Wyjmuje schowanego pod płaszczem lugera. Równie dobrze mógłby trzymać w ręku zabawkę. Wie, że atak na grupę uzbrojonych żołnierzy to samobójstwo. Oddaje pistolet chudzielcowi i sięga za pazuchę po butelkę koniaku. Skinieniem nakazuje mu się schować. Chłopak kładzie mu dłoń na ramieniu, ale Jakub niewzruszenie wychodzi żołnierzom naprzeciw. Odkręca korek i dodaje sobie odwagi sporym łykiem gryzącego alkoholu. Wytacza się na ulicę, udając pijanego.

— Kamraci, na szczęście was znalazłem! — odzywa się płynnym niemieckim.

— Stój! — odpowiada głos z naprzeciwka.

Jakub już wie, że popełnił błąd.

— Nie! — Udaje mu się jeszcze krzyknąć, zanim pada na ziemię ugodzony kulą.

— Mamy pierwszego!

Z grupy mężczyzn wybiega blondyn z włosami zaczesanymi do tyłu, pełnymi topniejących płatków śniegu. Ma bliznę na czole i podbite oko. Staje nad Jakubem, który charczy, próbując mówić z ustami wypełnionymi krwią.

— Coście zrobili? Coście, kurwa, zrobili?! — Chudzielec wyrwa się z ciemności i odpycha blondyna.

— To Polak? — Blondyn wybałusza oczy na leżące na śniegu ciało.

— To powstaniec!

Chudzielec wkłada dłoń pod marynarkę i ścisną blaszane pudełko z lekami, którymi chciał się podzielić z towarzyszem broni.

\* \* \*

Jakub Kroll zginął dwudziestego siódmego grudnia 1918 roku niecały kilometr od domu.

Roman Dych, złodziej, który ukradł leki dla rannego brata, poległ we wrześniu 1939 roku, gdy Niemcy, pamiętając zniewagę

przegranego powstania, skatowali jego i setki innych w murach prezydium policji.

Eliza wyzdrowiała i wyszła za Cezarego Więckiewicza. Uzależniła się od morfiny i kokainy, którymi próbowano ją leczyć. Zginęła pod Mosiną w 1943 roku w akcji państwa podziemnego.

Pandemia grypy w latach 1918–1919, zwana hiszpanką, pochłonęła do stu milionów istnień. Chorowała na nią jedna trzecia populacji. W Polsce czoło hiszpance stawiał doktor Szczęsny Bronowski. Próbował różnych form terapii: od narkotyków, przez wstrzykiwanie roztworów mleka, aż po strychninę i terpentynę. Spośród dziewięciuset pacjentów doktora Bronowskiego zmarło tylko sześćdziesięciu czterech.

Powstanie wielkopolskie zakończyło się szesnastego lutego 1919 roku. Było jednym z czterech zwycięskich powstań w dziejach Polski.







Przemysław Semczuk  
**Lecimy, panowie!**

➤ Grupa mężczyzn w mundurach polskich na tle pejzażu w Atelier. Nieznana data powstania negatywu.

— Tej, szpyncnij<sup>1</sup>, jako tu gemyła<sup>2</sup> na Jeżycach jest — powiedział przyciszonym głosem niski krępy chłopak o pucułowatej twarzy, wskazując na poprzewracane stragany. — A jak nos szkiebry<sup>3</sup> dorwom? — dodał.

— Ty mosz z gorem, szkiebry ganc fyrli na Ławica<sup>4</sup> — odpowiedział mu wysoki chłopak. — Teraz się nikt nie stracha groźnej gęby szkiebrów. Jakby mieli innego ducha, zrobiliby z nas marmolade. A tak fyrli i trza ich pęchcić<sup>5</sup>.

Szli ostrożnie wzdłuż ścian budynków. Przeskakiwali od bramy do bramy, tak by w każdej chwili móc uskoczyć w ciemność podwórka. Jeżyce nie były ich dzielnicą. To na Łazarzu czuli się jak u siebie. Tam znali każdą wnękę, każdy dziedziniec, piwnicę i strych. Wiedzieli, jak zgubić pościg, gdzie się ukryć. Tu na granicy miasta nie czuli się pewnie. Pokusa okazała się jednak silniejsza.

---

<sup>1</sup> W gwarze poznańskiej: zobaczyć.

<sup>2</sup> W gwarze poznańskiej: bałagan.

<sup>3</sup> W gwarze poznańskiej: Niemcy (również szkiejbry).

<sup>4</sup> W gwarze poznańskiej: Masz coś z głową, Niemcy uciekli na Ławicę.

<sup>5</sup> W gwarze poznańskiej: A tak uciekli i trzeba ich gonić.

Ulica tonęła w mroku. Wątle plamy światła padające z gazowych latarni tworzyły niewielkie błyszczące wysepki mokrego bruku. Ciszę styczniowej nocy zakłócały tylko kroki trzech mężczyzn. Ich ciemne kurtki i czapki zsunięte głęboko na czoła nie pozwalały dojrzeć twarzy.

— Ciemno i pusto. Nijakich szkiebrów nie ma — odezwał się szepsem krępy chłopak. — Ale oni nie darują. Swojego będą szpycować, co my zrobimy — dodał.

— Ktoś lezie! — Wysoki chłopak uniósł ostrzegawczo rękę i wsunął się do najbliższej bramy.

Dwóch jego kompanów kilkoma susami przeskoczyło na drugą stronę ulicy i zniknęło wśród straganów. Po chwili ulicę wypełnił rytmiczny dźwięk wojskowych butów. Każdy krok odbijał się echem od ścian.

Ukryty w mroku chłopak patrzył, jak dwóch niemieckich żołnierzy Heimatschutzu zbliża się w jego stronę. Mieli na sobie ciężkie wojskowe płaszcze. U pasów wisiały ładownice, bagnety, a na plecach mauzery. Patrol zatrzymał się przy latarni. Żołnierze rozejrzeli się wokół, sprawdzając, czy ktoś ich obserwuje. Uznali najwyraźniej, że jest bezpiecznie, bo spokojnie zapalili papierosy. Przez chwilę stali w milczeniu, wciąż rozglądając się dokoła.

Wreszcie do chłopaka ukrytego w bramie dobiegły pojedyncze słowa. Z trudem udawało mu się cokolwiek zrozumieć. Odwrócił głowę i przyknął oczy. Całą uwagę skupił na rozmowie, która stawała się coraz wyraźniejsza. Wynikało z niej, że miejsce, w którym stali, jest granicą pomiędzy strefą kontrolowaną przez powstańców a Niemcami. Nie zamierzali iść dalej. Jeden złościł się, że władze zwlekają ze zdecydowanym atakiem na polskich bandytów. Drugi uspokajał, że lada dzień nadsięgną posiłki i powstanie zostanie stłumione.

Nagle żołnierz rzucił papierosa i wprawnym ruchem zdjął z pleców karabin. Kompan wydawał się zaskoczony. Widocznie nie do-

strzegł zagrożenia, ale odruchowo zrobił to samo. Wpatrywali się w ulicę biegnącą w stronę centrum Poznania.

— O jery! A jo myślał, żech oni cołki fyrli — jęknął chłopak pod nosem, widząc, że obaj mundurowi ruszyli, by ukryć się właśnie w jego bramie. Cofnął się o kilka kroków i wcisnął w zagłębienie przy wejściu na schody.

Żołnierze schronili się i zaczęli nasłuchiwać. Minęła może minuta, gdy na ulicy mignął jakiś cień. Obaj wyskoczyli z ukrycia, unosząc gotowe do strzału mauzery.

Chłopak ostrożnie wyszedł ze swojej kryjówki, by zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Stojąc wciąż w mroku korytarza, widział, jak Niemcy obszukują młodego chłopaka. Byli tak zajęci, że nie zwracali na nic uwagi. Przysunął się bliżej wejścia i spojrzął w kierunku straganów po przeciwnej stronie ulicy. Dostrzegł zarys postaci. Uniósł rękę. Postać odpowiedziała tym samym. Mimo chłodu poczuł, jak robi mu się gorąco.

— Trzebno chyba<sup>6</sup> — wyszeptał, wkładając dłoń do kieszeni i zrobił krok na ulicę.

— Cipnąć mi te knary!<sup>7</sup> — warknął, stając za plecami Niemców. — Rug cug!<sup>8</sup> — rzucił, celując w plecy żołnierza.

Jednocześnie zza straganów po drugiej stronie wybiegło dwóch jego kolegów. Jeden z nich trzymał uniesiony pistolet. Zaskoczeni żołnierze posłusznie wykonali rozkaz. Odłożyli karabiny i unieśli ręce. Niski grubasek pobierał broń i zarzucił karabiny na plecy. Potem odpiął mundurowym pasy i założył je sobie przez głowę. Z kieszeni jednego żołnierza wyjął pistolet. Teraz już cała trójka była uzbrojona.

---

<sup>6</sup> W gwarze poznańskiej: Trzeba się schować.

<sup>7</sup> W gwarze poznańskiej: Rzucić te karabiny!

<sup>8</sup> W gwarze poznańskiej: szybko, zwawo.

— Zyga, patrz, co ten stary nyrol miał w kiejdzie<sup>9</sup>. — Grubasek pokazał koledze ośmiostrzałowy pistolet. — Parabellum, dwa mauzery i wuchta patronów<sup>10</sup>!

— No dalej. Do bramy z nimi. Tej, ty, szuszufołu<sup>11</sup>, tyż. — Wskazał na zatrzymanego przez Niemców chłopaka.

— Ja? — wyjąkał tamten.

— Tak. Znom cie. Co się kielczysz<sup>12</sup>? Ty jesteś rojber<sup>13</sup> z Wildy. Skędy się tu wzioł? Skędykiś wychycnął? Tamdotąd lażeś? Na Ławica? Do szkiebrów? Żgnąć<sup>14</sup> nas chcioeś?

— To niezły kawał lujnta<sup>15</sup>! — Grubasek doskoczył zwinnie. — Zeńdź mi z oczu, luntrusie<sup>16</sup>, mówie, bo jak cie rne, to ci dundle z klubra poletom<sup>17</sup>!

Gdy tylko wszyscy znaleźli się w ciemnej bramie, Zyga znowu wydał rozkaz:

— Ruła<sup>18</sup> mi tu i nie rumotać. Fyrać<sup>19</sup> mi na jednym łączku<sup>20</sup> pod ścianie!

Trójka zatrzymanych posłusznie wykonała polecenie. Niemcy chyba nic nie rozumieli, ale robili to, co chłopak, który razem z nimi stał się więźniem.

---

<sup>9</sup> W gwarze poznańskiej: Zyga, spójrż, co ten sknera miał w kieszeni.

<sup>10</sup> W gwarze poznańskiej: dużo naboju.

<sup>11</sup> W gwarze poznańskiej: brudas, człowiek nieporządny.

<sup>12</sup> W gwarze poznańskiej: uśmiechać się

<sup>13</sup> W gwarze poznańskiej: łobuz.

<sup>14</sup> W gwarze poznańskiej: donieść na kogoś.

<sup>15</sup> W gwarze poznańskiej: sukinsyn, pies (prawidłowo kiejtr, ale obraźliwie lujnt).

<sup>16</sup> W gwarze poznańskiej: sukinsyn.

<sup>17</sup> W gwarze poznańskiej: Jak cię strzelę, to ci smarki z nosa wypadną.

<sup>18</sup> W gwarze poznańskiej: spokój.

<sup>19</sup> W gwarze poznańskiej: zasuwać.

<sup>20</sup> W gwarze poznańskiej: but (współcześnie także opona samochodowa).

— Franek, wynoraj<sup>21</sup> rychtyg<sup>22</sup>, co majom w kiejdach. — Kiwnął do niskiego grubaska, sam nie opuszczając broni wycelowanej w Niemców.

Wskazany kompan oparł o ścianę karabiny, pistolet wetknął za pasek kurtki i zabrał się za sprawdzanie kieszeni żołnierzy. Pugilaresy, zegarki i pieniądze zapakował do niewielkiego płóciennego worka, który wyjął z kieszeni. Nie pominął nawet nieśmiertelników i obrączek. Na koniec zabrał się za chłopaka z Wildy. Nie miał przy sobie nic. Ani dokumentów, ani pieniędzy. Pospiesznie obmacane kieszenie były puste.

— Zyga, on nic ni mo! — krzyknął grubasek.

— Zamknij sznupe i maraj dalej, ady rychtyg<sup>23</sup>. Ten szczon<sup>24</sup> to juchta<sup>25</sup>, a nie elegant z Mosiny<sup>26</sup>. Moryc, najsampierw szpyncnij, czy kto nie idzie. — Zyga wydał polecenie trzeciemu koledze.

Drobna postać o blond włosach poderwała się i chwyciła karabin. Moryc ostrożnie wyjrzał i wyszedł na ulicę. Widok był groteskowy. Mauzer był większy od niego. Grubasek wyszczerzył zęby w uśmiechu i kucnął przed chłopakiem z Wildy. Jego ręce powędrowały niżej, sprawdzając nogawki.

— Mom! Zyga, mom! On ma w porach<sup>27</sup> jakieś flepy<sup>28</sup>. — Unosząc głowę, spojrział w oczy chłopaka.

---

<sup>21</sup> W gwarze poznańskiej: sprawdź, poszukaj.

<sup>22</sup> W gwarze poznańskiej: dobrze, dokładnie.

<sup>23</sup> W gwarze poznańskiej: Zamknij gębę i szukaj dalej, tylko dokładnie.

<sup>24</sup> W gwarze poznańskiej: chłopak, gówniarz, młody.

<sup>25</sup> W gwarze poznańskiej: chuligan, złodziej.

<sup>26</sup> W gwarze poznańskiej: sarkastyczne określenie wystrojonego kawalera, cwaniaka.

<sup>27</sup> W gwarze poznańskiej: spodnie.

<sup>28</sup> W gwarze poznańskiej: papiery, dokumenty.



— Jak się chce, to wszystko idzie zrobić — odpowiedział Zyga z uśmiechem.

— Wynupaj, abo cołkie pory ci pojapie!<sup>29</sup> — zagroził Franek.

Chłopak bez słowa wsunął dłoń do kieszeni. Powędrowała tak głęboko, że aż się musiał schylić, by dosięgnąć dna. Wreszcie wyjął z niej pomiętą kopertę i ścisnął ją w dłoni. Franek wyciągnął po nią rękę, gdy zatrzymany nieoczekiwanie niezdarnie usiłował go kopnąć.

— Idź lołs z tóm giyróm, bo ci jóm przetrónce!<sup>30</sup> — krzyknął Franek.

— Nie ruszej! Ady godoł zech zostow<sup>31</sup>. — Chłopak z Wildy usiłował jeszcze protestować i nie wypuścić koperty.

Franek ścisnął jego przeguby. Zdobycz upadła na bruk. Podniósł ją.

— To jo zdecyduje, co można, a co nie — powiedział, oddając kartkę przywódcy grupy.

— Godoł ci zech roz, nie ruszej, to wojskowe flepy! — zaprotestował chłopak, widząc, że Zyga otwiera list. Patrzył ze złością, jak przechyła kartkę, by odczytać tekst w wątlým świetle padającym z ulicznej latarni. Nawet w mroku dało się dostrzec, że treść zrobiła na nim wrażenie.

— Szkiebry do sklepu<sup>32</sup>. A on lyzie z nami — wydał kolejny rozkaz swoim kompanom. — Trza związać chamanów<sup>33</sup>. Ziomal, weź powrozek. — Spojrzał jeszcze na chłopaka z Wildy, ale teraz już łagodniej.

---

<sup>29</sup> W gwarze poznańskiej: Wyciągnij albo całe spodnie ci potnę.

<sup>30</sup> W gwarze poznańskiej: Zabieraj won tę nogę, bo ci ją złamię.

<sup>31</sup> W gwarze poznańskiej: Przecież mówiłem, żebyś zostawił.

<sup>32</sup> W gwarze poznańskiej: piwnica.

<sup>33</sup> W gwarze poznańskiej: cham.

Dziesięć minut później cała czwórka ostrożnie wyszła na ulicę. Zyga skręcił w stronę centrum Poznania.

— Mi mus iść na tamten fyrtel<sup>34</sup> — zaprotestował zatrzymany chłopak, wskazując w przeciwną stronę na Ławicę.

— Mus? — Zyga spojrział na niego z zaciekawieniem. — Nie ma musu ni pana — dodał. — Jak się nazywosz, ejbrze<sup>35</sup>?

— Jasiek.

— Jasiek juchta — zaśmiał się Franek.

— No nie dudło<sup>36</sup>, jak mu chciołeś pory pochrympać<sup>37</sup> — stwierdził Zyga. — Jasiek jak? — pytał dalej.

— Soszyński.

— Słuchej, Jasiek. Bier pan te flepy i idź pan łoś<sup>38</sup>. Te flepy to twój chłopot. — Podał list i odwrócił się na pięcie.

— Takie z wos Poloki?

Zyga zatrzymał się i nosem głęboko wciągnął powietrze.

— Takie? — mówił dalej Jasiek. — Chorobne dekwoniki, ski-biorze i juchty odchowane na klamotach u Fater-Filipa<sup>39</sup>. Ino się nie przestraszcie nocom, jak gdzie strzał huknie, bo my tu się bierem za chachły<sup>40</sup> ze szkiebrami.

— Tej, ty szuszfolu jeden! — Zyga odwrócił się i złapał Jaśka za poły kurtki.

— No dej mi wiks!<sup>41</sup> — Jasiek z drwiącym uśmiechem patrzył w oczy Zygi. — Dej mi wiks i chybej za winkiel.

---

<sup>34</sup> W gwarze poznańskiej: okolica, dzielnica.

<sup>35</sup> W gwarze poznańskiej: łobuz.

<sup>36</sup> W gwarze poznańskiej: płakać.

<sup>37</sup> W gwarze poznańskiej: postrzępić.

<sup>38</sup> W gwarze poznańskiej: precz.

<sup>39</sup> W gwarze poznańskiej: Wypasione na dobytku Fater-Filipa (niemieckiego pana).

<sup>40</sup> W gwarze poznańskiej: karki.

<sup>41</sup> W gwarze poznańskiej: Uderz mnie.

— Czego chcieć od takiygó papudroka<sup>42</sup>?! — warknął Zyga.

— Mom własnymi oczami patrzeć, jak sobie gzyby kalafy tłuką albo jak im juszka z klubrów ćknie?<sup>43</sup> Ni. Ruła. Jasiak, bier flepy i chybej sa stędy — powiedział Franek.

Zyga rozluźnił palce, a potem wygładził kurtkę chłopaka.

— Gdzie mosz dać te flepy?

— Ni powiem. Godoł ci zech roz, to wojskowe flepy. Ni mosz prawa głapić się w nie. Co się tak na mnie glapisz<sup>44</sup>? I tak nic wyncy nie zoboczysz.

— Zyga nam czeba chybać sa stędy. Szkiebry w sklepie, knary i patrony<sup>45</sup> momy — stwierdził Franek, rozglądając się nerwowo wokół.

Zyga, nie czekając, ruszył. Ale nie tam, gdzie zamierzał. Zaczął iść w stronę Niemców.

— Tej, Zyga, mosz ainzweg<sup>46</sup>? — odezwał się wreszcie ten trzeci.  
— Momy knary i patrony, wrocomy.

— Momy mus pomóc temu elegantowi z Mosiny.

— Co? Czymu momy słuchać jakiegoś juchty z Wildy?

— Może i mom z gorem, ale tak czeba — mówiąc to, Zyga ruszył zdecydowanym krokiem, a wszyscy, ociągając się, poszli jego śladem.

Dopiero na końcu ulicy zrównali się z nim i z Jankiem. Szli ostrożnie, uważając, by nie wpaść na kolejny patrol Heimatschutzu. Broni i amunicji mieli wystarczająco, ale wdawanie się w bezpośrednią walkę było zbyt ryzykowne. Kluczyli pomiędzy rzadko rozrzuconymi chałupami, przemykając często przez podwórka. W końcu zabudowa

---

<sup>42</sup> W gwarze poznańskiej: partacz, niezdana.

<sup>43</sup> W gwarze poznańskiej: krew leci z pyska.

<sup>44</sup> W gwarze poznańskiej: gapić, zaglądać.

<sup>45</sup> W gwarze poznańskiej: pistolety i naboje.

<sup>46</sup> nie ten kierunek (z niem.).

stała się tak rzadka, że zachowanie ostrożności zupełnie straciło sens. Szli brzegiem drogi, na wszelki wypadek blisko rosnących wzdłuż pobocza drzew.

— Gdzie my leżymy? — Zyga zapytał, nie patrząc na Jaśka.

— Na Ławice.

— Po jaką cholerę? Tam przecież sami szkiejbry — wyjąkał Franek ze strachem.

— Coś wyczytał w tych flepach? — Trzeci dopytywał o list. Było jasne, że to przez niego pchają się na teren Niemców.

— W liście jest rozkaz dla naszych — wyjaśnił Jasiek. — I zamknijcie się wreszcie, bo na kilometr słychać wasze blubranie<sup>47</sup>. Tędy! — Wskazał polną drogę odbijającą od głównego traktu.

— Dla jakich naszych? Tam same szkiejbry.

— Stul sznupe, bo przez twoje blubranie ktoś nas usłyszy! — Zyga warknął na Franka.

Ziemia była zmarznięta. Księżyc krył się za chmurami i w mroku poruszali się wolno. Po piętnastu minutach w oddali zamajaczyły zabudowania. Po kolejnych dziesięciu byli na tyle blisko, by rozpoznać kształt hangarów i wieżę Die Fliegerstation Posen-Lawitz. Wiara z Poznania dobrze знаła to miejsce. Latem często przychodzili podglądać startujące aeroplany. Celem wycieczek było także lądowisko zeppelinów na Winiarach. Mówili „zeppeliny”, choć wiedzieli, że to sterowce. Każdy zdawał sobie sprawę, że konstruktorem największych był Ferdynand von Zeppelin.

Wiara w ich wieku marzyła, by choć raz usiąść w aeroplanie. A za lot tym cackiem oddaliby wszystko. Tak samo jak za podróż przez ocean do Ameryki. Jednak na takie wyprawy trzeba było mieć sporo pieniędzy, a oni klepali biedę, żyjąc z drobnych kradzieży.

---

<sup>47</sup> W gwarze poznańskiej: gadanie.

Dzisiejszy łup zdobyty na dwóch żołnierzach Heimatschutzu należał do rzadkości.

Okrażenie lotniska zajęło im kolejne pół godziny. Ze względu na wartowników nie chcieli zbliżyć się do ogrodzenia. Jasiak odnalazł jakąś ledwie widoczną ścieżkę. Idąc nią, dotarli do dziury w płocie. Przeszli na drugą stronę. W końcu stanęli przy niskim murowanym budynku. Przycupnęli przy ścianie. Jasiak wyjął zegarek i kręcił nim przez chwilę, by w nikłym blasku przebijającego przez chmury księżycowego światła odczytać godzinę.

— Rychtyg — wyszeptał.

Nikt mu nie odpowiedział. Widocznie trójka jego nowych kompanów zrozumiała, że muszą teraz na coś lub kogoś poczekać. Po kilku minutach dostrzegli zarys postaci zbliżającej się od strony zabudowań lotniska. Mężczyzna przystanął jakieś pięćdziesiąt kroków od budynku i zapalił papierosa. Błysk i światło zapalki wyraźnie zdradziło jego obecność. Zar co chwila oświetlał delikatnie twarz.

Jasiak zahukał, udając sowę. Mężczyzna drgnął na ten dźwięk. Rzucił niedopałek i wolnym krokiem podszedł do murowanego budynku. Gdy był już ledwie kilka metrów od nich, Jasiak poderwał się i stanął na wprost nieznanego. Mężczyzna miał na sobie niemiecki mundur lotniczy, grubą kurtkę z baranym kołnierzem i czapkę pilotkę.

— Ja od Leokadii po tabletki na grype — rzekł przyciszonym głosem.

— Tabletki bydom jutro — odpowiedział mężczyzna.

W tym momencie dostrzegł kompanów Jaśka. Nie czekając na wyjaśnienia, wyszarpnął zza pasa pistolet i wycelował.

— Nie strzelaj! Oni są ze mną! — Jasiak zatrzymał go gestem ręki. — Po drodze chycili mnie szkiejbry z Heimatschutzu. Gdyby nie oni, to bym przepadł. To wiara z Łazarza.

Pilot opuścił broń, ale jej nie schował. Nawet w ciemności można było dostrzec, że jest zaniepokojony.

— Masz? — zapytał, nie czekając na dalsze wyjaśnienia.

Jasiek skinął głową i podał list.

— Czytałeś to? — Pilot wyraźnie się zdenerwował.

Zyga podniósł się z ziemi i podszedł do mężczyzny w lotniczym mundurze.

— To ja. Nie wiedziałem. Myślałem, że on coś ukrywa i...

— Powiniennem was zabić. Skąd mogę wiedzieć, że nie zdradziliście nas po drodze? Że to nie jest pułapka? — Machnął ręką i podał Jaškowi zapałki. — Zaświeć, bo nie odczytam.

— Uderzą nad ranem. Ostrzał artylerii. — Zyga wyrecytował z pamięci.

Mężczyzna się uśmiechnął.

— Umiecie strzelać?

— Tak. — Zapytany kiwnął głową. — Mamy dwa stare naganty, a tym Niemcom zabraliśmy jeszcze nowiutką parabelkę i dwa mauzery.

— Dobrze — pochwalił nieznajomy z wyraźnym podziwem. — Jestem sierżant Wiktor Pniewski. Pilot Pniewski. Dowodzę naszym oddziałem na lotnisku. Od teraz jesteście żołnierzami.

— Zygmunt Małecki, Zyga. A to Franek Gieraj — wskazał na niskiego grubaska — i Maurycy Goldbaum.

Chłopak z karabinem kiwnął głową.

— Przydacie się. — Sierżant Pniewski klepnął Zyge w ramię. — Mamy ledwie czterdziestu ludzi, a Niemców dwie setki. Dobra, dość gadania. Chodźcie za mną.

Teraz już w pięciu ruszyli ścieżką w stronę zabudowań lotniska. Sierżant kazał im iść pewnie, jakby ich obecność w tym miejscu była zupełnie normalna. Parę minut później znaleźli się w niskim murowanym baraku. Korytarzem przeszli do niewielkiej hali, w której ustawiono maszyny, tokarnię, sporą wiertarkę stołową, prasę i stoły stolarskie. Pniewski nie włączył światła. Wskazał, by ukryli się w rogu za stertą skrzynek. Sam zniknął gdzieś na dłuższą chwilę. Gdy

wrócił, miał ze sobą chleb, kilka kawałków kielbasy, bańkę z gorącą kawą zbożową i tabliczkę czekolady. Mimo że byli bardzo głodni, czekoladę zjedli na początku. Moryc i Franek pierwszy raz w życiu mogli jej skosztować.

— Zostańcie tu. Mam ważną sprawę. — Pniewski podniósł się i spojrzął na Jaśka. — Zaatakują za dwie godziny, a ja muszę wymyślić sposób, aby się włamać do centrali telefonicznej i odciąć łączność lotniska z Berlinem. Jeśli Niemcom uda się zawiadomić, że atakujemy, godzinę później przylecą samoloty z Frankfurtu. A wtedy niech Bóg ma nas w opiece.

— To rech robota dla nas! — Zyga wyrwał się jako pierwszy.

— Niby jak? — Pniewski zaśmiał się, patrząc na chłopaka. — Centrala jest w głównym budynku. Drzwi pancerne. Wysadzić nie da rady, bo wokół pełno żołnierzy. A klucza nie udało się zdobyć.

Moryc uniósł kącik ust w chytrym uśmiechu, ale się nie odezwał.

— Pan pozwoli. — Zyga zrobił teatralny gest, zataczając ręką szeroki łuk. Jego dłoń zatrzymała się, wskazując Moryca. — Oto mistrz juchty z Łazarza. W całym Poznaniu nie ma takiego zamka, którego by rug cug nie odkluczył. Starczy powiedzieć, że mieszkanie i kasa ogniotrwała radcy Schelingera to jego dzieło.

— Potrafisz otwierać zamki? — Pniewski aż otworzył usta z zaskoczenia.

— Coś tam potrafię. — Moryc odpowiedział, skromnie wzruszając ramionami.

— To do roboty! Musimy jak najprędzej odciąć linie telefoniczne. Trzeba was szybko przebrać w niemieckie mundury. W tych cywilnych łachach za bardzo rzucacie się w oczy.

\* \* \*

Odległy głuchy grzmot rozdarł nocną ciszę. Nie przypominał jednak odgłosu burzowego gromu. Ten był o wiele niższy i krótki.

Mimo to zapowiadał nadciągającą nawałnicę. Kilka sekund później, już całkiem blisko, nastąpił wybuch, a po nim dźwięk dzwonek alarmowych wypełnił budynek koszar. Krzyki i łomot wojskowych butów zagłuszyły dobiegające z zewnątrz wycie syreny alarmowej. A potem nastąpił kolejny wybuch, po którym zamigotały światła. I jeszcze jeden.

Czterech młodych chłopaków przebranych w niemieckie mundury siedziało w kucki przy bramie ogromnego hangaru. Patrzyli, jak z budynków wylewa się fala żołnierzy. Bez czapek i płaszczy, w niedbale pozapinanych mundurach. Biegli pochyleni do swoich stanowisk. Dla czterech chłopaków z poznańskiej wiary ten widok był czymś nowym. Pierwszy raz patrzyli na Niemców złamanych w pół, jakby kłaniali się nadciągającym Polakom. Jeszcze próbowali stawiać opór, ale nikt nie miał wątpliwości, że czas ich panowania dobiegł końca.

Pniewski wyjaśnił chłopakom, że zdobycie lotniska ma ogromne znaczenie. Nie była to jednostka bojowa, a tylko stacja pomocnicza, za to dobrze uzbrojona i wyposażona. W hangarach znajdowały się maszyny gotowe do lotu, a w magazynie amunicji kilkaset ton bomb. Ta siła w każdej chwili mogła zostać skierowana przeciwko powstańcom, którzy opanowali Poznań. Mogła też złamać zryw i zatrzymać zwycięską falę, która rozlewała się od kilku dni po całej Wielkopolsce. A co gorsza, zagrażała cywilom.

W środku nocy samoloty nie mogły startować i zagrozić natarciu na lotnisko. Mimo to Pniewski zostawił przy hangarze chłopaków, by na wszelki wypadek pilnowali maszyn. W chwili zagrożenia Niemcy mogli podpalić maszyny, by nie wpadły w ręce powstańców. Sam dowodził Polską Organizacją Bojową Zaboru Pruskiego, konspiracyjną grupą, do której wciągnął pięciu pilotów, dwóch obserwatorów i trzydziestu dwóch mechaników. Wszyscy byli Polakami wcielonymi do niemieckiej armii. Przez lata szkolili się i zdobywali doświadczenie. Dla rodzących się polskich wojsk lotniczych byli skarbem.



Nawet cenniejszym niż sprzęt zgromadzony na lotnisku, w sumie dwadzieścia sześć samolotów, spory zapas karabinów i amunicji.

Kolejny głuchy grzmot armatniej salwy rozdarł powietrze. Po nim nastąpił cichy gwizd i eksplozja. Pocisk trafił dokładnie w sam środek wieży lotniska. Nadbudówka wyleciała w powietrze z niewyobrażalnym trzaskiem. Huragan rozsypującego się szkła przygniótł niemieckich żołnierzy znajdujących się w ustawionych pod wieżą stanowiskach karabinów maszynowych. Uciekali w popłochu. Zdawało się, że celne trafienie spowodowało panikę i całkowicie załamało obronę. Nadciągająca od strony pola startowego piechota zajmowała kolejne zabudowania lotniska bez większego oporu.

— Rzucić broń! — krzyknął żołnierz celujący do chłopaków z karabinu.

— Tej, my sa styndy<sup>48</sup>! — Jasiek szybko krzyknął do żołnierza.

— Łejjjj, dejże spokój chłopie. — Zyga odezwał się, kładąc karabin na ziemi i unosząc ręce.

— Stynd? A mundury to co?

— A ty jaki masz ancug<sup>49</sup>? Tyż szwabski<sup>50</sup>, ino z nowymi pagonami — odciął się, nie czekając. — My są wiara z Łazarza.

— Gadaj za siebie — wtrącił Jasiek. — Ja jestem z Wildy.

Żołnierz zwątpił. Lekko opuścił broń, ale pozostał nieufny.

— Skąd się tu wzięliście?

— Przynieśliśmy rozkazy z dowództwa. Sierżant Pniewski dał nam mundury i kazał pilnować hangaru, coby szkiejbry nie spalili aeroplanów.

— Co tu się dzieje?! — krzyknął sierżant Pniewski, wybiegając zza rogu budynku. — To moi chłopcy! Opuść broń!

---

<sup>48</sup> W gwarze poznańskiej: Tej, jesteśmy stąd! (tej — gwarowe zawołanie).

<sup>49</sup> Garnitur, uniform, ubiór (z niem.).

<sup>50</sup> W gwarze poznańskiej: niemiecki.

Żołnierz posłusznie wykonał rozkaz, choć i teraz nie był pewien, czy powinien słuchać kogoś ubranego w niemiecki mundur lotnika.

— Już po wszystkim. Dwadzieścia minut. Dzięki wam nie zdążyli nawet zawiadomić dowództwa o ataku. Mamy dwadzieścia sześć samolotów i dwadzieścia karabinów maszynowych.

— Ktoś zginął, panie sierżancie?

— Jeden nasz i dwóch Niemców. Jest trochę rannych. Niestety, sporo szwabów zwało, gdy zobaczyli, co się dzieje. Pewnie zameldują, że lotnisko padło. Musimy się przygotować na atak. A na razie chodźmy. Mamy trochę czasu na świętowanie. I musicie oficjalnie dostać stopnie wojskowe. Za to, co zrobiliście, należy się wam.

\* \* \*

— Też mi awans. Starszy szeregowy, malarz. — Zyga sarknął pod nosem, otwierając puszkę z białą farbą.

— A czegoś chciał? Zostać generałem?

Żart Jaśka wywołał salwę śmiechu kolegów. Cała czwórka przewała prace. Moryc wyjął portcygar i rozdał kolegom ćmiki. Usiedli na skrzynkach i zapalili. Byli mocno zmęczeni. Ostatnie dwa dni dały im się we znaki. Niemcy atakowali dwukrotnie z powietrza, zrzucając bomby. Spłonął drewniany barak i zginęło kilku ludzi. Zbombardowali też miasto, wywołując panikę. Ale w końcu dostali za swoje. Celny ogień z karabinu maszynowego dosięgnął jedną z maszyn. Do sierżanta Pniewskiego, który teraz dowodził lotniskiem, dotarła informacja, że samolot wylądował koło Bledzewa. Piloci spalili maszynę, ale złapali ich okoliczni mieszkańcy. Kilka godzin później Niemcy siedzieli już w poznańskiej cytadeli.

Chłopcy nie mieli okazji wykazać się w boju. Zamiast karabinów dostali pędzle. Pokrywali czarne krzyże na zdobycznych samolotach. A potem malowali biało-czerwone szachownice. Robotą była niemal na ukończeniu.

— Generałem to nie chcę być, ale chętnie bym się choć raz w życiu takim samolotem przeleciał. — Zyga westchnął, patrząc na albatrosa. — To musi być widok tak zobaczyć Poznań z góry. Ciekawe, jak nasz Łazarz wygląda.

— A jak ma wyglądać? Bambrejewo<sup>51</sup>. Nie to, co Wilda. — Jasiek miał nastrój na żarty.

— Łejjj, ty chcesz, abym ci luchnął w sznupe? — Zyga ciepłał niedopałek na ziemię i zacisnął pięści.

— Daj spokój, Zyga. — Moryc chwycił go za rękę. — Widzisz, że klibry bebla<sup>52</sup>. Dzisiaj nieważne, że my z Łazarza, a on z Wildy. Dzisiaj my są w jednym wojsku.

— Też mi wojsko. Pyndzle zamiast knarów. Zamiast luchać szkiejbrów, to my w sztekla<sup>53</sup>. — Zyga wyjął z kieszeni tafelkę czekolady i zaczął łamać. Podał Morycowi i Frankowi. Zastanowił się chwilę i wysunął rękę w stronę Jaska. — Masz.

— Zyga! — Jasiek znowu się odezwał. — Żeby sie nie wiyim jak sztromowoł, to i tak wiyncy jak met szeździesiónt ni mosz. To ci knarów nie dadzą. A tu choć futer<sup>54</sup> momy. Sznytek ile chcesz. Eintopf<sup>55</sup> taki zech nigdy nie jodł. I czekolada.

— Co jest, tej? Znowu się objiacie, nygusy? — Sierżant Pniewski, nie wiedzieć skąd, znalazł się za ich plecami. — Robota nieskończona, a ja was chciałem w nagrodę zabrać na wycieczkę.

— Rajzować<sup>56</sup> bydziem? — odpowiedzieli chórem.

— Ano rajzować. Do Frankfurtu?

---

<sup>51</sup> W gwarze poznańskiej: wiocha (bamber — gospodarz).

<sup>52</sup> W gwarze poznańskiej: głupoty gadać.

<sup>53</sup> W gwarze poznańskiej: gra w sztekla (podwórkowa).

<sup>54</sup> W gwarze poznańskiej: jedzenie.

<sup>55</sup> W gwarze poznańskiej: gęsta zupa, obiad jednodaniowy.

<sup>56</sup> W gwarze poznańskiej: podróżować.

— Dokąd? — Zyga poderwał się znowu ze skrzynki. — Przecież to ze sto kilometrów. Tam sami Niemcy. Jak?

— Mamy samoloty. — Pniewski wyszczerzył zęby w uśmiechu, wskazując maszynę, na której akurat malowali biało-czerwoną szachownicę.

Cała czwórka doskoczyła do niego, zasypując pytaniami. Chłopaki przekrzykiwali się, więc dowódca nie był w stanie nic zrozumieć.

— Spokojnie. Nie wszyscy naraz!

— Panie sierżancie, my z panem? Samolotem? — Zyga nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

— Razem ze mną jest sześciu pilotów. Ale mamy tylko dwóch obserwatorów. Mechanicy się nie nadają. Same wielkie chłopy. A wy jesteście cherlaki. Ważycie połowę tego, co oni. Dzięki temu więcej bomb zabierzemy.

— Bomb?! — odpowiedzieli chórem.

— A co, myśleliście, że lecimy szwabom złożyć wizytę z kwiatami? Trzeba im dać bobu! Niech nie myślą, że mogą tu bezkarnie zrzucić swoje pociski.

— Tak po prawdzie te samoloty i bomby też są ich. — Jasiek uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Teraz już nasze, Jasiu. A nawet lepiej, jak ze swojego dostaną. Bardziej ich zaboli. Mamy czym dołożyć. W hangarze zeppelinów na Winiarach zdobyliśmy niemal trzysta samolotów rozmontowanych na części. Będzie z tego kilka eskadr. Za parę dni wyślemy transport do Warszawy. Niech wiedzą, że poznaniacy też coś dadzą dla polskiego lotnictwa. Ale dość gadania. Musicie szybko przejść szkolenie na bombardierów.

— Hura, lecimy, panowie! — Zyga zerwał czapkę z głowy i wyrzucił z rozmachem.

Pozostali zrobili to samo, a potem podnieśli sierżanta do góry.





Jakub Skibiński  
**Sobowtór**

➤ Portret mężczyzny w mundurze polskim w Atelier  
C. Sikorskiego. Nieznany czas powstania zdjęcia.

**S**tatek szedł powoli swoim rytmem, przecinając fale niczym nożyce krawca tną materiał. Boże Narodzenie zbliżało się wielkimi krokami, do Wigilii pozostały niespełna cztery dni, jednak nie było czuć klimatu świąt. Niedawno zakończona wielka wojna odcisnęła swoje piętno na całym świecie.

Ten rejs był wyjątkowy.

Dochodziła północ, gdy zza jednej z szalup wyłonił się dystyngowany jegomość. Podszedł do drugiego mężczyzny i wyciągnął rękę na powitanie. Ten bez skrępowania zdjął białą rękawiczkę i uściśnął mu dłoń, zagadując:

— Baron Hans von Schwarzmüller.

— Ignacy Paderewski, panie baronie.

— To wielka radość dla mnie, maestro, że w końcu mamy szansę się spotkać — odpowiedział szlachcic po polsku z wyraźnie niemieckim akcentem. — Poprosiłem o spotkanie, gdyż wiem, jak ważna jest pańska podróż do Polski. Wiem też, że moi rodacy zrobią wszystko, żeby przeszkodzić.

— Zdaję sobie sprawę z sytuacji, jaka panuje w moim kraju. Dlaczego to pana tak interesuje?

— Od dziecka kocham utwory Chopina, a jeden z nich zawsze mnie chwyta za serce.



— Jakież to utwór, baronie?

— Etiuda c-moll z cyklu dziesiątego, utwór numer dwanaście...

— Etiuda rewolucyjna tak pana chwyta za serce?

— Ha, właśnie etiuda rewolucyjna, bo kojarzy mi się z panem, maestro. Może papierosa? — Mężczyzna wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę, otworzył ją i poczęstował Paderewskiego papierosem. Zapalając zapalną, zasłonił ją dłonią przed morskim wiatrem i odpalił papierosa najpierw rozmówcy, a potem sobie. — Domyślam się, po co pan zmierza do Polski. Wiem, że jedzie pan do Poznania. Nietrudno zgadnąć, dlaczego. Chcę ostrzec, gdyż jeśli zamierza pan pojawić się w Poznaniu, to może tam żywy nie dojechać.

— Grozi mi pan, baronie? — Paderewski przymknął oczy, które zmieniły się w wąskie szparki. — Nie przywykłem do takiego tonu rozmowy i raczej nie zamierzam wysłuchiwać podobnych frazesów.

— Nie grożę. Ostrzegam. Jestem tylko skromnym emisariuszem równie skromnego narodu niemieckiego — odpowiedział baron z sarkazmem w głosie.

— Ach, więc to tak... Te zgadywanki o etiudzie, te liściki w kajucie to po prostu trik, żeby mnie ośmieszyć?

— Maestro, ja tylko sprawdzam, czy jest pan tym, kim myślę, że jest. Mało kto zna etiudę rewolucyjną. Musiałem się upewnić, a teraz składam panu dżentelmeńską prośbę... Apeluję, by nie jechał pan do Poznania. Proszę udać chorobę czy cokolwiek. Oczywiście nie za darmo. Jestem upoważniony do przekazania panu stu tysięcy dolarów w carskim złocie. Czyż to nie kusząca perspektywa? Warunek jest taki, żeby pan nie przyjeżdżał do Poznania. Tylko tyle i aż tyle. Jeżeli pan mnie nie posłucha, to będziemy rozmawiali inaczej...

— Inaczej?! Pan dobrze wie, że tu nie chodzi o mnie, a o ludzi, którzy pod waszym jarzmem zostali. Myśli pan, że się was nie spodziewałem, że się boję? Nie powstrzymacie mnie! Już za późno, panie baronie.

— Tak myślałem, maestro... Ogromnie mi przykro, bo ja naprawdę cenię pański talent, ale nie mogę pozwolić na to, żeby pan zrobił to, co zamierza... Zbyt wielkie ryzyko niesie ta wizyta w Poznaniu.

Niewidoczny dla postronnych sztylet pojawił się w rękę rozmówcy Paderewskiego. Szybki cios w gardło zaskoczył mistrza. Morderca, zbliżając usta do jego ucha, wyszeptał:

— Teraz jesteś dla mnie tylko polskim ścierwem, a mogłeś żyć, mogłeś sobie dalej grać. Zdychaj...

W tym samym momencie wyciągnął mu portfel z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Odepchnął bezwładne ciało od siebie. Kucając, wytarł narzędzie zbrodni w koszulę ofiary. Patrzył z politowaniem. Rozrzucił monety na deskach pokładu, pozorując zabójstwo na tle rabunkowym. Uśmiech tryumfu pojawił się na jego twarzy. Jeszcze dla pewności obejrzał się na wszystkie strony, aby w razie czego namierzyć ewentualnych świadków zdarzenia. Nikogo nie zobaczył. Wziął solidny rozbieg i zniknął z pokładu, wyskakując za burtę.

Wszystko to obserwował marynarz ukryty w szalupie ratunkowej. Dostał wyraźny rozkaz: „Cokolwiek by się działo, nie wolno ci zdradzić, że jesteś blisko. Dopiero gdy niemiecki szpieg zniknie z pokładu, wkraczaj”. Marynarz był przygotowany na taką sytuację. Miał lekarską walizkę z medykamentami i opatrunkami oraz doświadczenie frontowe w leczeniu rannych. Szybkim ruchem odkrył plandekę, która przykrywała szalupę, wyskoczył z niej i w dwóch skokach dobiegł do leżącego pianisty. Gwizdnął dwa razy i z drugiej łodzi wyskoczył jego pomocnik — sanitariusz.

Oczy Paderewskiego zaczęły zachodzić mgłą. Plama krwi na pokładzie robiła się coraz większa. Palce obu rąk poruszały się, jakby grał jakiś utwór na fortepianie. W głowie słyszał dźwięki etiudy rewolucyjnej: Tam ta dam, tata ta... Da... Zobaczył, że podbiega do niego dwóch mężczyzn. Jeden z nich natychmiast zatamował krew. Maestro usłyszał jeszcze ich przytłumione głosy.

— Jesteś pewien, że już czysto?

— Tak. Może się nie wykrwawi... Szybko!

\* \* \*

Hotel Bazar był pełen gości, którzy spędzali święta w Poznaniu. Dopiero przybył tu Ignacy Paderewski, co nie umknęło mieszkańcom. Zaczęli zbierać się pod budynkiem i skandować nazwisko maestra.

Do apartamentu pianisty zapukał starszy siwy mężczyzna. Drzwi lekko się uchyliły i pojawiła się w nich twarz osobistego lekarza.

— Maestro wciąż słaby — zagaił rozmowę medyk.

— Przed hotelem gromadzą się ludzie. Nie słyszy pan?

— Co ja mam niby zrobić, skoro mistrza trapi gorączka? Bredzi przez sen o statku, zresztą pan to już wie.

— On musi dzisiaj przemówić. Nie wiem, jak to zrobicie, ale musi.

— Może pan wejdzie, generale? — Doktor Władysław Kiełpiński szerokim gestem zaprosił Jerzego Sobańskiego do pokoju. — Panie generale, mamy poważny problem. Obawiam się, że maestro nabawił się grypy podczas długiej podróży na statku i nie będzie w stanie mówić. Zapewne również wydarzenia, które miały miejsce w czasie rejsu, nadwyrężyły jego nerwy.

— Słuchaj no, doktorku! — Generał się rozsierdził. — Potrzebuję, żeby dziś maestro stanął w oknie i przemówił. Jakkolwiek to zrobisz, ma być wykonane, zrozumiano? Mamy alternatywę...

\* \* \*

Jesień tego roku w Berlinie była po prostu brzydka i to pod każdym względem. Mimo że Boże Narodzenie miało być za miesiąc, w sztabie generalnym niemieckiej armii nikt jeszcze nie myślał o świętach. Echa wielkiej wojny jeszcze nie przebrzmiały, a już trzeba było planować kolejne ruchy na planszy Europy.

Walter Nicolai jako dowódca wywiadu wojskowego miał już za sobą wiele doświadczeń. Blizna, która zaczynała się w całkowicie białym prawym oku, przechodziła przez nos i kończyła się w lewym kącie ust, nadawała twarzy upiorny grymas. Przedwcześnie posiwiałe włosy dopełniały efektu. Ciało jednak mówiło co innego. Walter stał odwrócony plecami do drzwi na wprost wielkiego okna. Dym z papierosa wypełniał cały gabinet. Przez okna wpadał blask jesiennego słońca. Chociaż on rozświetlał mroczne pomieszczenia dowódcy. Ciężkie drewniane meble nadawały temu miejscu dostojności. Walter przechadzał się po gabinecie i raz po raz spoglądał na zapieczętowaną, leżącą na biurku kopertę. Palił papierosy jednego za drugim. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Wejść! Ach, to wy.

W progu stanął około trzydziestoletni oficer.

— Powiedziałem: wejść. Zamknij za sobą drzwi i podejdź tu do okna. Domyślasz się, dlaczego cię wezwałem. Chyba nie muszę ci mówić, jak ważna jest ta misja?

— Oczywiście, rozumiem!

— W kopercie leżącej na moim biurku masz wszystkie niezbędne informacje. Zapoznaj się z nimi dokładnie. Najważniejsze jest to, że jeśli obiekt zgodzi się na wszystko, co mu zasugerujesz, to nie zabijać! Zrozumiano?

— Tak jest! — odpowiedział młody oficer.

— Teraz otwórz kopertę i wyjmij zdjęcie, jedyne, jakie tam jest.

Oficer podszedł do biurka. Jednym cięciem noża do korespondencji usunął pieczęć i wyjął fotografię. Spojrzał na Waltera z niedowierzaniem.

— Czy to...

— Tak. Paderewski. Niech to wygląda na wypadek.

Oficer zaszalutował, odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem opuścił gabinet dowódcy, zamykając za sobą drzwi.

Nicolai stał przez chwilę przy oknie, aż na jego twarzy zagościł szelmowski uśmiech. Usuniemy Paderewskiego raz na zawsze, w ten czy inny sposób. Polacy niech wiedzą, kto tu rządzi, pomyślał.

W rogu pod wielką biblioteką stał fotel, w którym siedział szef operacji międzynarodowych. Oficer nie mógł go widzieć, stojąc przy oknie. Mężczyzna czekał na znak od Waltera. Przysłuchiwał się rozmowie, aż nadeszła jego kolej.

— Wiesz, co masz zrobić, Herman? — odezwał się Walter.

— Tak, panie generale. W kopercie, którą zabrał Hugo, są wszystkie szczegóły operacji, włącznie z tym, że ma po akcji dostać się do Poznania, gdzie, że tak powiem, pozbędziemy się go.

— Pamiętaj, Herman, że tylko ty, ja i Hugo wiemy o tej misji. Wolałbym, żebyśmy jej cel znali tylko ty i ja.

— Ależ panie generale, porządek musi być.

\* \* \*

W kajucie pierwszej klasy przed lustrem zasiadł Ignacy Paderewski. Widząc liścik w kwiatach, zwrócił się do służącego:

— Kto przyniósł ten bukiet?

Lokaj właśnie wszedł do pomieszczenia z tacą z jedzeniem. Skupił się na tej czynności, żeby nie rozlać wina z kieliszka.

— Yyy... Słucham, maestro?

— Wiesz, że nie lubię powtarzać. Kto przyniósł te kwiaty?

— No... Ten służący niemieckiego barona. Tego, który, był dzisiaj w południe na pańskim koncercie w restauracji. Siedział w pierwszym rzędzie. Widać, że ceni maestra, skoro był gotów zapłacić za miejsce na przodzie.

Paderewski jednym ruchem wyciągnął bilecik spomiędzy płatków i przebiegł wzrokiem jego treść.

*Szanowny Maestro, nasi wrogowie zaczynają nerwowe ruchy.  
Proszę o kontakt.*

— Jerzy — zagadnął ze spokojem w głosie — poproś dyskretnie barona o spotkanie. To sprawa niecierpiąca zwłoki, tym bardziej że nie czuję się dziś najlepiej. Oby to nie była żadna poważna choroba. Mam nadzieję, że dopadł mnie tylko efekt tej morskiej bryzy. Powtarzam, a nie lubię tego robić: poproś barona o dyskretne spotkanie, najlepiej bez świadków.

Jerzy skinął głową i odpowiedział:

— Tak jest, maestro, tymczasem proszę zjeść kolację, bo wystygnie. Dzisiaj przygotowałem pańską ulubioną polędwicę w truflach. — Zaprosił gestem do posiłku i opuścił kajutę, zamykając za sobą drzwi.

Zamiast zająć się jedzeniem, Paderewski wziął do ręki pudełko zapalek, wyjął jedną, odpalił, przyłożył do liściku i patrzył, jak płonie. Zapach palonego papieru unosił się w pokoju. Maestro wciągał głośno powietrze przez nos i zamykając oczy, zatopił się w myślach: Już niedługo wszystko się rozwiąże.

Odczekał chwilę i również opuścił kajutę, upewniając się, że nie ma nikogo na korytarzu. Stał przed drzwiami do kabiny naprzeciwno. Zapukał trzy razy, chwila przerwy, dwa razy, przerwa, raz. Usłyszał kroki, przekręcanie zamka i drzwi się otworzyły. Przez ułamek sekundy minął się w progu z człowiekiem łudzaco do siebie podobnym. Przynajmniej tak mu się zdawało. Nieznajomy wszedł do jego kajuty, a on do pomieszczenia nieznajomego. W cieniu siedziały dobrze mu znane postacie. Wiedział, że to już.

\* \* \*

Restauracja na statku niczym nie różniła się od tych dobrze znanych lokali, jakie Hugo pamiętał z Berlina. Kryształowe żyrandole pod sufitem oświetlały salę, sprawiając, że ściany wykładane maho-

niową boazerią wydawały się pokryte złotem. Orkiestra smyczkowa przy akompaniamencie fortepianu przygrywała gościom do wieczornego posiłku. Hugo wpatrywał się w kieliszek czerwonego wina, który stał na jego stoliku. Dostrzegając, jak płyn kołysze się w rytm statku. Skupił się na tym widoku, przerywając jedzenie.

W uszach słyszał odgłos spadających bomb i terkot karabinu maszynowego. Przypominał sobie, jak biegł w stronę okopów wroga, zdjął bagnet z karabinu, odrzucił broń i z zaskoczenia wskoczył do okopu między żołnierzy. Patrzyli na niego z niedowierzaniem. Ręka Hugona zatoczyła wtedy łuk. Trafił bagnetem w szyję pierwszego. Ciął przez krtań. Trysnęła krew. Wykonał obrót, jakby robił w prawo zwrot i kontynuując ruch, dosięgnął drugiego żołnierza. Ten jednak odparował cios bagnetu, ale Hugo już zdążył się uchylić i z cholewy buta wyjął nóż, chwytając go drugą ręką. Zadał cios w brzuch i wykończył cięcie aż do mostka. Znowu krew... Tak pragnienie krwi manifestowało się u Hugona. Zawsze tak samo przeczuwał, że musi użyć swoich zdolności. Musi czy chce?

Ubrany w nieskazitelnie wyprasowany czarny garnitur, z monoklem w oku, wyglądał, jakby nigdy nie miał nic wspólnego z brudną profesją. Był teraz człowiekiem z wyższych sfer. Wywiad niemiecki świetnie napisał jego historię. Jeszcze miesiąc wcześniej nie znano takiego barona. Cel został jasno zdefiniowany. Nie ma odwrotu.

Nagle do stolika podszedł osobisty asystent Ignacego Paderewskiego, co wyrwało Hugona z jego krwawych myśli. Uśmiechnął się z aprobatą i gestem zachęcił, żeby Jerzy usiadł, na co ten odparł:

— Bardzo dziękuję, panie baronie, za zaproszenie. Ignacy Paderewski prosi o spotkanie. Chciałbym niezwłocznie dać mu pańską odpowiedź.

— Dobrze — odpowiedział Niemiec ściszym głosem — ale wolalby spotkać się w bardziej ustronnym miejscu. Proszę... — Niepostrzeżenie wsunął Jerzemu w dłoń liścik, w którym było napisane:

*Spotkajmy się dziś około północy na górnym pokładzie przy szalupach ratunkowych.*

Jerzy przejął korespondencję i czym prędzej wrócił do chlebodawcy.

Hugo był przekonany, że tylko upewnił maestra w podejrzeniach. Wiedział, że plan jest prosty. Trzeba zlikwidować i jego, i służącego, pozorując napad rabunkowy. To dla niego pestka i przepustka do awansu. Nieważne, jaki będzie finał.

\* \* \*

Hugo zjadł kolację i został na wieczornym koncercie, który zakończył się dokładnie o dwudziestej trzeciej trzydzięci. Następnie udał się do swojej kajuty na pierwszym pokładzie. Stał przed drzwiami. Trzymał rękę za plecami pod marynarką. Ściskając rękęjęc lugera P08, sprawdził, czy pozostawiony w szparze włos nadal tam jest. To upewniło go, że nikt pod jego nieobecność nie wchodził do kajuty. Wyjął rękę zza pleców, z kieszeni wyciągnął klucz i wszedł do kabiny.

Pokój był utrzymany w nienagannym stanie: pościel ułożona w kostkę, ubrania leżące w walizce na łóżku również idealnie poskładane. Hugo podszedł do skórzanej brązowej torby. Z obu jej stron przytwierdzono ozdobne złote guzy. Nacisnął jednocześnie na oba i z walizki wysunęła się ukryta szuflada. Na czerwonej wyściółce leżały w odpowiednich przegrodach najróżniejsze noże: długie, krótkie, proste, zakrzywione, a nawet zestaw skalpeli. Wybrał jeden z nich i schował dyskretnie w pochwie na lewym nadgarstku. Spod rękawa nie było go widać. Drugi, krótszy nóż ukrył na kostce prawej nogi. Wydobył również kamizelkę ratunkową wypełnioną korkiem, na tyle cienką, że mógł ją założyć pod marynarkę. Po chwili sprawdził, czy ubranie nie wzbudza jakichkolwiek podejrzeń.



— W sumie i tak jest ciemno, więc nikt mnie nie zobaczy — powiedział do siebie. Zamknął walizkę, żeby nie zainteresowała sprzątaczek, i opuścił kajutę, kierując się w stronę kabiny Paderewskiego.

Pomieszczenia pianisty mieściły się za rogiem długiego korytarza. Podłogę wyściełano ciemnoczerwonym dywanem, który skutecznie tłumił kroki. Lamy na ścianach w kształcie świeczek, mimo że niezbyt jasne, całkiem dobrze oświetlały drogę. Stanął za zakrętem, udając, że interesuje się jedną z nich, i dyskretnie obserwował wejście do kajuty Paderewskiego. Co jakiś czas patrzył na złoty kieszonkowy zegarek. Gdy dochodziła dwudziesta trzecia pięćdziesiąt, drzwi otworzyły się i maestro we własnej osobie opuścił lokum, udając się w stronę wyjścia na górny pokład. Hugo odczekał chwilę, założył czarne skórzane rękawiczki, z pochwy na lewym nadgarstku wyjął nóż i zapukał do drzwi.

Jerzy otworzył i zamarł. Hugo zakrył lewą dłonią usta lokaja, żeby zdusić krzyk, i pchnął ostrze w jego brzuch, podstawiając mu nogę. Jerzy upadł na podłogę, ale praca silników w maszynowni skutecznie zagłuszyła wszystko. Hugo wyjął nóż z ciała służącego i dźgnął nim w dolną szczękę pod brodą. Nóż przebił się przez żuchwę i zakotwił w górnym podniebieniu. Ofiara nie była już w stanie otworzyć ust do krzyku. Napastnik szybko zamknął drzwi, by dokończyć dzieła na górnym pokładzie. Jego żądza krwi się rozbudziła.

\* \* \*

Przed lustrem w kajucie siedział mężczyzna, który jeszcze godzinę wcześniej wyglądał jak najzwyczajniejszy robotnik. W rzeczywistości był aktorem Teatru Polskiego na uchodźstwie. W podobnym wieku do Ignacego Paderewskiego, podobnej postury, został dyskretnie wybrany spośród wielu potencjalnych kandydatów. Atutem było to, że potrafił również grać na fortepianie. Fryzjer właśnie kończył golenie brody oraz skracanie włosów.

W kajucie w cieniu czekało dwóch mężczyzn. Instruowali fryzjera. Jeden z nich w końcu odezwał się do aktora.

— Wiemy, że to dziś. Znasz swoją rolę. Od tego, jak wieczorem zagrasz przed naszym niemieckim gościem, wiele zależy.

— Długo się przygotowywałem do tej roli. — Wstał. Dokończył się ubierać. Stał przed lustrem i ujrzał w nim Paderewskiego.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi kajuty. Trzy razy, chwila przerwy, dwa razy, przerwa, raz. Wiedział, że to znak. Przekręcił klucz w zamku. Minął się z człowiekiem łudząco do siebie podobnym. Przynajmniej przez ułamek sekundy tak mu się zdawało.

\* \* \*

Miejscowość Montpellier niedaleko Paryża była doskonałym miejscem dla ludzi chcących odpocząć od zgiełku miasta. Powstanie wielkopolskie skończyło się kilka miesięcy temu. Teraz, w maju 1919 roku, Hugo przypomniał sobie ten dzień.

Wysłali go do Poznania, żeby się upewnił, że misja się powiodła. Już w drodze czuł, że coś jest nie tak. Za dużo wiedział, był zbyt drogocennym klejnotem. Bał się, że może trafić w nieodpowiednie ręce. Stał przed hotelem Bazar, słuchając, jak ci głupi ludzie krzyczą: „Paderewski! Paderewski!”. On dobrze wiedział, że to nic nie da. Nagle otworzyło się okno i zobaczył jego. Jak ducha zza grobu. Stał ten sam, ten z górnego pokładu. Niemożliwe. Hugo słyszał jego przemowę, ale nie to zwróciło uwagę szpiega. Domyślił się, dlaczego niezależnie od wyniku misji skierowano go tu. Miał zniknąć na zawsze. Zauważył w tłumie dwóch agentów. Szli w jego kierunku. Już wiedział. Walter Nicolai wysłał go tu specjalnie, żeby go upokorzyć. Zaczął przeciskać się przez tłum. Uciekł. Uciekł aż tu. Przez Berlin, Frankfurt i Paryż. Był pewny, że nikt go nie ściga.

Siedział przy stoliku, pijąc kawę i delektując się spokojnym i pięknym dniem. Od czasu wielkiej porażki jego misji nie miał

kontakty z dowództwem. Ukrywał się. Miał rozległe kontakty we Francji. Tutejszy wywiad chętnie przystał na współpracę. Hugo znał szczególnie tajnych misji, więc był łakomym kąskiem. Przynajmniej tak sądził.

Do stolika podszedł kelner. Hugo nie zwrócił na niego uwagi. Pracownik obsługi w mgnieniu oka wyciągnął sztylet i z szybkością pocisku uderzył nim prosto w szyję Hugona. Ten, dławiąc się, patrzył z niedowierzaniem.

— Pozdrowienia od polskiego wywiadu, skurwielu — wyszeptał kelner.

Szpieg upadł twarzą na stół, a krew z tętnicy miarowo wypompywała się na blat. Patrzył w dal, nie wierząc, że to już. Jego życie zostało przerwane. Zapadła ciemność.

\* \* \*

Paderewski właśnie skończył przemawiać do mieszkańców Poznania. Zamknięto okiennice i w apartamencie nastąpiła cisza. Maestro rozpiął koszulę pod szyją. Opatrunek zdążył nasiąknąć krwią.

Generał zagadnął:

— Świetny występ. Gratuluję. To twoja najlepsza rola.

Aktor spojrział na leżącego w łóżku prawdziwego Paderewskiego, który spał spokojnie, gdyż gorączka zelżała. Po chwili odpowiedział:

— Dziękuję z całego serca. Mam nadzieję, że będę miał jeszcze okazję zagrać równie wymagającą rolę.

— Najważniejsze, że odratowaliśmy pana na statku. Było naprawdę krucho, ale na szczęście zamachowiec popełnił błąd.

— Cóż, szczęście w nieszczęściu...

Nóż w jego gardle pojawił się zniemacka. Lekarz zaszedł go od tyłu i wbił ostrze tak, że mężczyzna nie był już w stanie krzyknąć. Fałszywy maestro upadł na kolana, krztusząc się krwią. Patrzył z niedowierzaniem.

— Tam, na statku, uratowaliśmy cię, żebyś zagrał tę rolę do końca — rzekł generał. — Jednak teraz musisz zniknąć. To, w czym brałeś udział, jest najtajniejszą misją naszego wywiadu. Nikt się nie dowie, że w ogóle istniałeś.

Aktor upadł w kałużę krwi.

Po chwili dwóch mężczyzn zawinęło zwłoki w dywan i wyniosło je z pokoju. Wyszli tylnymi drzwiami z hotelu. Załadowali ciężar na wóz grabarza.

— Przykre jest to, że o nas też nikt nie będzie pamiętał. Mam tylko nadzieję, że nie skończę kiedyś jak on — powiedział generał, zwracając twarz w stronę lekarza.

— Panie generale, jest takie stare powiedzenie. Otóż pewne są tylko dwie rzeczy w ludzkim życiu: śmierć i podatki.

— Ze smutkiem muszę przyznać panu rację.

Medyk odwrócił się do wielkiej miski wypełnionej wodą z mydlinami. Oplukał w niej ręce ubrudzone krwią. Poplamione rzeczy zapakował do walizki, z której wyciągnął strzykawkę i zrobił Paderewskiemu zastrzyk. Pianista obudził się jak nowo narodzony z pytaniem:

— Co... co się stało?

— Rozpalił pan iskrę, maestro. Iskrę — odpowiedział generał.

— Gdyby pan widział, jak ci ludzie patrzyli! Był pan jak w amoku. Może ta gorączka dodała odwagi. Poznaniacy wzniecą teraz ogień. Dosłownie. Wszystko dzięki panu, maestro!

— M... miałem sen, w którym widziałem człowieka wyglądającego jak ja. Jakby sobowtór.

— A kto nie miewa takich snów?! Może maestro nie pamięta, ale w gorączce przemówił pan tak, że pisać będą o tym przez wieki.

— Naprawdę?

— Czy wyglądam na kogoś, kto by mógł kogokolwiek okłamać?

— odpowiedział wojskowy z delikatną ironią w głosie.

Wieść o powstaniu dotarła do Waltera z prędkością błyskawicy. Już po nieudanej akcji na statku wiedział, że to się tak potoczy. Stał jak zwykle zamyślony w swoim gabinecie, patrząc na półkę z książkami. Przebiegał wzrokiem po tytułach wypisanych na grzbietach książek, aż wybrał jedną: Cezar, *O wojnie domowej*. Przekartkowując tom, myślał intensywnie. Do rzeczywistości przywołało go pukanie do drzwi.

— Wejść!

Próg przekroczył niski, raczej otyły mężczyzna w garniturze i druczianych okularach.

— Jakie wieści?

— Wiemy, dokąd zamierza uciec Hugo, panie generale — zameldował szef operacji międzynarodowych. — Został rozpoznany przez jednego z naszych oficerów na dworcu w Berlinie. Kupił bilet do Frankfurtu nad Menem, a stamtąd do Paryża. Cały czas ma ogon. Śledzimy go zgodnie z rozkazem, od czasu gdy nie dał się złapać w Poznaniu.

— Ostatni raz posłuchałem twojej rady, Herman! Polski wywiad nas przejrzał. Paderewskiego trzeba było ubić, zanim wszedł na statek. Tego by się nie spodziewali. No, ale mam dla ciebie inny rozkaz.

— Tak jest, panie generale!

— Wszystkie informacje o miejscu pobytu Hugona przekażesz ambasadzie Polski w Paryżu! Razem z jego fotografią. Zrozumiano?

— Zrozumiano.

— Niech uwierzą w gest dobrej woli z naszej strony. Kiedy Polacy się uspokoją, to może nas nie zaatakują. Zginie niedoszły morderca Paderewskiego, a my będziemy mieli trochę spokoju.

— Co pan ma na myśli, generale?

— Widzisz, naczytałem się ostatnio wspomnień Juliusza Cezara. Od jakiegoś czasu planujemy większy projekt. Mogę na razie zdra-

dzić roboczą nazwę „Wódz”. Czy masz dokumenty tego żołnierza artysty z talentem aktorskim?

— Ma pan na myśli naszego agenta? Tego Austriaka Adolfa H.?

— Tak. Dokładnie. Przynieś mi jego teczkę personalną. Już wkrótce zaczniemy nad nim pracować. Kto wie, jaki będzie efekt... Sprawimy, że Rzesza znów się odrodzi!





Ewa Spławska

**A po wojnie pójdziemy na Plajtę**



➤ Fotografia ślubna. Kobiety ubrane w białe sukienki, mężczyzna w mundurze polskim. Nieznana lokalizacja. Nieznany czas powstania zdjęcia.

**L**eon Witkowski płakał w dorosłym życiu trzy razy. Kiedy leżał w lazarecie polowym zaraz po ataku na Fort Vaux pod Verdun, rozmyślał o matce, o braciach rozrzuconych na frontach, ale najwięcej o córce konduktora z ich kamienicy, której pewnie już nigdy nie zobaczy. Nie odważył się do niej napisać. Inni żołnierze dostawali listy miłosne od narzeczonych i żon, on jedynie korespondencję od matki i kartki od braci. Był pewien że umiera, zwłaszcza że zaraz po ataku odznaczono go Krzyżem Żelaznym za męstwo. Ale *Stabsarzt*<sup>1</sup> zdiagnozował, że ma dużo szczęścia. Płuco jest całe, bo bagnet wszedł nad obojczyk. Żołnierz stracił wprawdzie sporo krwi i był ogłuszony, ale to normalne, skoro szrapnel wybuchł tuż nad jego głową.

Jeśli myślał, że dostał *Heimatschuss*<sup>2</sup>, to się przeliczył. Doktor skinął na sanitariuszy, żeby go opatrzyli.

— Będzie żył. Może dalej bić się za kajzera<sup>3</sup>.

---

<sup>1</sup> Lekarz wojskowy w stopniu kapitana (niem.).

<sup>2</sup> Tzw. postrzał na wyjazd do domu, tj. rana, która umożliwia przeniesienie do służby garnizonowej lub definitywne zwolnienie z wojska.

<sup>3</sup> Cesarz niemiecki (daw.).

Kolejny raz zapłakał nad grobem Marianny, jedynej siostry. Wojna się kończyła, Wiluś<sup>4</sup> abdykował i uciekł do Holandii, Niemcy trawiła rewolucja, a Marianka zachorowała na hiszpankę. Influenza pokonała ją w dwa dni. Nie zdążył zauważyć, jak z dziewczynki stała się panną, bo cztery lata spędził w zabloconych okopach we Francji, nie licząc przemarszu przez Belgię na początku wojny. Płakał więc za Marianną, płakał nad sobą, nad całym pokoleniem takich jak on, co przyszło im spędzić czas na obcej wojnie, nad zabitymi kolegami z pułku, z którymi przesiedział długie miesiące w zauszonych ziemiankach ze szczurami.

Trzeci raz zdarzył się dzisiaj.

### *Poznań, listopad 1931 roku*

W południe udali się z inspekcją z magistratu na Wesołe Miasteczko<sup>5</sup>. Leon nie mógł zrozumieć, dlaczego dwa lata po PeWuCe<sup>6</sup> nadal tak nazywano to miejsce, bo z dawną fogiełką<sup>7</sup> nie miało już nic wspólnego.

Przed pierwszym pawilonem uderzył go odór uryny. Z każdym krokiem w głąb było gorzej. Wewnątrz zobaczyli coś na kształt prowizorycznych boksów, kojców, porozdzielanych lichymi przepierzeciami ze starych szmat, desek i brudnych worków.

Stęchły zapach nędzy.

---

<sup>4</sup> Poznaniacy nazywali tak cesarza niemieckiego Wilhelma II.

<sup>5</sup> Tereny, na których w czasie Powszechnej Wystawy Krajowej zorganizowano wesołe miasteczko, potem — w okresie kryzysu — były zamieszkiwane przez bezrobotnych.

<sup>6</sup> Powszechna Wystawa Krajowa zorganizowana w Poznaniu od 16 maja do 30 września 1929 roku.

<sup>7</sup> W gwarze poznańskiej: wesołe miasteczko.

Szedł ostatni, bo sztywne kolano, pamiątkę po walkach pod Szubinem w styczniu 1919 roku, odczuwał dość uciążliwie w jesienne dni.

Majewski, architekt z ich wydziału, przystanął i czekał na Leona.

— Tu jak nie wybuchnie pożar, to na pewno jakaś epidemia. Tyfus albo cholera. Nie mogę na to patrzeć. Czy oni naprawdę muszą płacić komorne miastu za te klitki? — mówił sam do siebie.

Leon zacisnął zęby. Polityka mieszkaniowa. Bezrobotni lądowali na bruku całymi rodzinami. Co tydzień słyszał o kolejnych eksmisjach. To miejsce obrosło złą sławą. Gazety rozpisywały się, że trzeba pomagać bezrobotnym, towarzystwa kwestowały, pomagały parafia i Caritas, ale to wszystko nie wystarczało. Nie sądził, że jest aż tak źle.

Ból w kolanie sprawił, że zatrzymał się przed kolejną marną izdebką i zajrzał do środka. Na łóżku, jedynym meblu w tym kilkumetrowym pomieszczeniu, leżał mężczyzna. Leon spojrzął na niego i mimo że nie był medykiem, od razu postawił diagnozę: zaawansowana gruźlica.

Coś go pchnęło do środka, chociaż czuł, że nie powinien odzierać tych ludzi z prywatności. O ile w smutnym miasteczku o jakiegokolwiek intymności można w ogóle mówić. W nogach chorego siedziały skulone dzieci. Nad nimi stała ich matka. Patrzyła przestraszona na Leona w obawie, że przyszedł zakomunikować, iż mają opuścić i tę namiastkę izdebki.

Twarz chorego była znajoma. Witkowski poczuł, jak kurczy mu się gardło. Przed nim leżał szeregowy Władysław Kaczmarek, jego druh z powstania. Gdy Leon zdezerterował z wojska jesienią 1918 roku, Władek pomógł mu się ukryć, a w piątkowe popołudnie dwudziestego siódmego grudnia wspólnie ruszyli bronić Paderewskiego i Bazaru.

Starał się opanować wzruszenie.

Na wychudzonej twarzy Kaczmarka pojawił się grymas przypominający uśmiech.

Obydwaj się zawstydzili. Leon zdawał sobie sprawę, jak upokarzający musi to być moment dla chorego kolegi, niepokornego zabiaki, który zawsze głośno się upominał o swoje i kompanów prawa.

Witkowski przełknął ślinę, ale czuł, że polyka łyzy. Stał nad łóżkiem umierającego kolegi ubrany w ciepły wełniany płaszcz, syty, ze smakiem prawdziwej, dobrej kawy na podniebieniu, którą wypił do śniadania.

Czuł się winny.

— Jak mogę wam pomóc? — zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle. — Władku, nie wiem, co powiedzieć... Macie jakieś wsparcie? Bony? Badał cię lekarz? — Słowa wypływały z niego bez składu, a kiedy wybrzmiały, poczuł bezsens zadanych pytań. Oni na pewno nie mają ubezpieczenia, a tym bardziej pieniędzy na leki.

Władek hardo patrzył mu w oczy. Za to spojrzenie i przez to, że zawsze mówił, co myślał, trafił do batalionu śmierci<sup>8</sup> i był wysłany z innymi buntownikami już po powstaniu do dalszych walk na Wschód. Maleńka trupia czaszka, którą przyczepiali do rogatywki, ich znak rozpoznawczy, idealnie pasowała do Władka. Takiego go Leon widział po raz ostatni.

— Co mogę, to dam wam od razu. — Chwycił za portfel.

Z kieszeni wypadł mu bilet na sobotni spektakl *Fontanka w Słońcu*. Wydał pięć złotych na przedstawienie, a oni tu nie pamiętają smaku chleba.

— Nie trudź się, Leon. Nie trzeba nam jałmużny. Syn zarabia.

Kobieta prychnęła:

---

<sup>8</sup> Około czterystu żołnierzy, którzy mieli problem z dyscypliną wojskową, zostało zesłanych do formacji nazwanej ochotniczą. Odizolowani w ten sposób przez gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, brali udział w walkach na Wschodzie.

— Władek! Co ty wygadujesz...

— Milcz, Helena. Romek gazety roznosi po lekcjach, więc zarabia. Tak czy nie?

Leon czuł, jak pieką go policzki. Z trudem rozpoznał żonę druha. Widać było, że życie jej nie oszczędzało.

— Potraktuj to jako pożyczkę. Oddasz, gdy wyzdrowiejesz. — Podał banknot Helenie. — Weź dla dzieci. Muszę dogonić naszą delegację, ale wrócę. Obiecuję...

Wybiegł na zewnątrz. Potarł z całych sił oczy chustką, jakby chciał wetrzeć w materiał zapas łez nagle uwolnionych po latach. Nie potrafił zliczyć, ilu żołnierzy umarło przy nim na wojnie od ran albo od infekcji, ale nie mógł pojąć, jak to możliwe, że powstaniec, żołnierz polski, który przelał krew za wolną ojczyznę, został eksmitowany do tej podłej nory, gdzie walczy ze śmiercią o każdy oddech.

Leon nie miał rodziny. Mieszkał z matką i bliskimi brata. Było im ciasno, ale nie głodowali.

Mężczyzna mocno zdusił powieki, żeby nie płakać, aż obraz stał się niewyraźny.

Wtedy ją zobaczył. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Przemknęła w głębi korytarza. Chciał podbiec, ale nogi miał jak z ołowiu. Przetarł oczy. Nikogo nie było. Z emocji tracił zmysły.

To niemożliwe! Przecież Jadwiga nie żyje.

### *Poznań, październik 1918 roku*

Jadwiga mieszała rzadką zupę. Chłopcy wrócą ze szkoły i będą głodni, więc po grochowej za chwilę nie będzie śladu.

Matka poszła do pracy za szafnerkę<sup>9</sup> na kolei elektrycznej. Mężczyźni wyruszyli na front. Brakowało rąk do pracy i pieniędzy. Pro-

---

<sup>9</sup> W gwarze poznańskiej: konduktorka.

wadzenie domu spadło na Jadzię. Robiła zakupy, gotowała, szorowała podłogę, nosiła węgiel, cerowała ubrania, prała. Wstawała wcześniej, splatała co rano długi ciemny warkocz i upinała go w kok. Dłonie miała szorstkie, popękane jak jaka posługaczka. Schudła. Nie lubiła patrzeć w lustro.

O nauce i maturze mogła jedynie marzyć.

W ich oficynie od wczoraj panował radosny nastrój, bo syn dozorczyńni przyjechał na urlop. Stara Maciejewska szalała ze szczęścia, że ma Franka w domu po dwóch latach rozłąki.

Starsi bracia Jadwigi, Władek i Stachu, też byli w Poznaniu, chociaż nie w domu, bo Staś leżał w lazarecie, a Władek ukrywał się u ciotki na Chwaliszewie. Zdezerterował z wojska szybko. W drodze na front wyskoczył z pociągu jeszcze przed francuską granicą.

O ojcu mieli sprzeczne wieści. Najpierw matce powiedziano w sztabie, że jest w niewoli, potem jego imię i nazwisko znalazło się na *Verlustlisten*<sup>10</sup>, ale jak ktoś się nazywa Józef Kaczmarek, to nietrudno o pomyłkę. Z Kaczmarków można było tworzyć całe regimenty.

Ciotka Wikta, siostra ojca, twierdziła, że jej brat jest w Błękitnej Armii, u Hallera. Tak usłyszała u wróżki, do której chodziła w sprawie swojego męża i synów.

Tylko o Johannie nie było żadnych wieści.

Najprościej byłoby pójść do jego matki i zapytać, ale Jadzia się nie odważyła.

Dziewczyna lubiła wyobrazać sobie, jak to będzie, kiedy wojna się skończy. Przymykała oczy i widziała, że idą całą rodziną na Plajtę. Na pewno będzie grać orkiestra. Ona i matka założą odświętne

---

<sup>10</sup> Lista strat, rannych i zaginionych żołnierzy w niemieckiej armii w pierwszej wojnie światowej (niem.).

kapelusze. Piekarnie zaczną wypiekać biały chleb, nie ten paskudny *Kriegsbrot*<sup>11</sup>, ale prawdziwy chleb i bułki.

W tej euforii jakoś powiedzą, że ona i on, że to nie pierwszy raz przecież, kiedy Polka i Niemiec... Są sąsiadami. Rodzina Johanna mieszkała na pierwszym piętrze sąsiedniej kamienicy od frontu, jej brat Staszek i Johann chodzili do tej samej klasy w gimnazjum Bergera i razem odjeżdżali z Poznania na front w mundurach grenadierów.

Ojciec nic nie powie, tylko zapali fajkę, może przypomni o strajkach szkolnych, o Hakacie, ale i tak będzie chciał Jadzi szczęścia. Matka oburzy się, że Dziunia chce iść za Niemca, że on ewangelik, ona katoliczka, więc jak wychowają dzieci? W czyjej wierze będą pacierz mówić?

Bardziej jednak niż własnych rodziców bała się lodowatych oczu matki Johanna.

A może to wszystko tylko jej się zdaje: ta cała miłość? Bo ile może znaczyć jeden spacer i pocałunek? I jak to możliwe, że tylko do niej nie dochodzi poczta z frontu, a inne dziewczyny dostają? Wstydziła się zapytać listonosza, czy matka Johanna otrzymuje wiadomości od syna. Uwierało ją gdzieś w środku, co pomyślą inni, że Polka o Niemca pyta.

Dziunia spojrzała na zegar zawieszony w jadalce. Stwierdziła, że musi się zbierać, jeśli chce odwiedzić Stasia w lazarecie. Powinna wyjść wcześniej, bo z Łazarza na Królewską<sup>12</sup> jest co dreptać. No i wieczorem ma się do niej ktoś zgłosić na zastrzyk.

---

<sup>11</sup> Chleb wypiekany w czasie wojny musiał być czerstwy, nie mógł być z pszennej mąki.

<sup>12</sup> Obecnie ul. Libelta.



Szpital był przepelniony. W salach panował zaduch, zapach medykamentów mieszał się z potem, krwią i ropą. Znała niektóre pielęgniarki z kursu, więc łatwo było jej się dostać.

Stachu leżał pod oknem. Kiepsko wyglądał.

— Jadzia! Cześć, siostrzyczko! Coś o ojcu nowego? A jak Władek? — pytał o wszystkich na jednym wydechu.

— W porządku. Władek to już prawdziwy juchta<sup>13</sup> z Chwaliszewa. A ty, braciszku, lepiej się czujesz? — Niepokoiła się.

Przeszedł w trakcie urlopu operację ruptury<sup>14</sup>. Pachwina bardzo długo się goiła, a gdy wydobrzał i usłyszał, że wraca na front, to sam zaaplikował sobie zastrzyki z nafty w kolano. Widziała, że gorączkuje.

Milczeli, aż na salę wszedł lekarz i zaczął się popołudniowy obchód. Wstała.

— Nowy. Z frontu zjechał — wyszeptał Staszek. — Też się prochu nawąchał. Wczoraj mnie badał, opatrunek zmieniał, zabronił dotykać pielęgniarkom. Chyba się domyśla...

Pogładziła brata dłonią po twarzy.

Gdy wychodziła z sali, medyk poprosił, żeby zaczekała w korytarzu. Odnalazł ją po dłuższej chwili i bez ogródek zakomunikował:

— Jeśli brat nie przestanie majstrować przy kolanie, to będziemy musieli amputować.

Mówił po polsku. Jej zdziwiona mina wyrażała wszystko.

— Niech się pani nie boi, jestem Polakiem. Kazano nam przed wojną w rodzinie zmienić nazwisko ze Szmyta na Schmidta, ale narodowości nam nie zmieniono. Stanisław ma wysięk z ropą. Gorączka się utrzymuje. Dopiero przeszedł jedno ciężkie zakażenie rany

---

<sup>13</sup> W gwarze poznańskiej: chuligan.

<sup>14</sup> Przepuklina (daw.).

pooperacyjnej, więc organizm jest za słaby na kolejne, a jak się ko-  
lano nie będzie goić, to amputacja. Nikt go tu nie będzie trzymał  
tygodniami. Łóżek brakuje, a mój przełożony, Niemiec, nie bardzo  
współczuje chłopcom, co zapadają na polską chorobę. Uważa, że jak  
symulują i na front nie chcą, to on im to załatwi definitywnie.

Jadzia pobladła.

— Nie róbcie nigdy zastrzyków bezpośrednio w staw kolanowy.  
Wyżej trzeba. Nie uczą was tego na kursach?

Dziewczyna się zaczerwieniła i skinęła głową.

— Muszę komuś pilnie pomóc — powiedziała cicho. — Co mogę  
podać zamiast benzyny? Żeby opuchlizna była wiarygodna...

— Okład z octu niech pani zrobi i może trochę jodypiny dla od-  
miany. Na tyłach mamy magazyn. Pani poczeka, uda, że pali, to  
zaraz coś przyniosę.

Wyszli na zaplecze.

— Proszę zostać koło tego baraku. Tu mieści się nasz oddział  
psychiatryczny dla tych z *Kriegs-Neurosen*<sup>15</sup>.

Zostawił ją. Zaczęła liczyć w myślach, żeby zagłuszyć odgłosy  
dochodzące ze środka. Była obca, w cywilu, więc po chwili wyszła  
pielęgniarka, by sprawdzić, kto się kręci.

— Dziunia! — bardziej stwierdziła niż zapytała Aniela, jej przy-  
jaciółka ze szkoły. — Dobrze, że jesteś. Przykro mi, że twój tata jest  
w takim stanie. Nareszcie matka ci powiedziała! Kazała mi przysiąc,  
że nic nie zdradzę, a ja tak nie lubię kłamać! Byłaś już u niego? Boisz  
się wejść. Mam rację? Chcesz, żebym z tobą poszła? Tylko się nie  
przestrasz, bo on nie mówi i nikogo nie poznaje.

— Od kiedy tu jest? — wydukała Jadzia.

— Od sierpnia. Staś nic nie wie.

---

<sup>15</sup> Stres pourazowy, w tym przypadku reakcja żołnierzy na trudne przeżycia wo-  
jenne (niem.).

\* \* \*

W drzwiach stał Leon w niemieckim mundurze. Zmęźniał, chociaż to niełatwe na żołnierskim wikcie. Zdjął czapkę.

— Dobry wieczór, Jadziu. Poznałaś mnie? — zapytał wesoło. — Właściwie to miałem powiedzieć, że przychodzę w sprawie węgla — ściszył głos i mrugnął do niej, a Jadzia się roześmiała.

Karteczkę z adresem sanitariuszki odebrał dwie godziny wcześniej od kuriera w Kaffeehaus Hohenzollern<sup>16</sup>. Starał się być opanowany. Działali przecież w konspiracji. Ale jak miał zachować powagę przed druhem, który mówi, że masz zapamiętać ulicę i numer mieszkania, a potem zniszczyć kartkę, kiedy punktem docelowym jest sąsiedni dom obok kamienicy, w której mieszkał? Pseudonim skautki i zarazem sanitariuszki, która miała zrobić mu zastrzyk, nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

— Podobno możesz mi pomóc. — Tym razem jego głos zabrzmiał już naturalnie.

Dziunia była rozbawiona.

— Wejdz, Leon. Chodźmy do kuchni.

Usiadł przy stole, a ona się zbliżyła.

— Mam jodypinę. Zrobię ci jeszcze okład z octu. To wywoła stan zapalny skóry i nie będzie widać śladu ukłucia, a to ważne. Zdejmuj spodnie. — Przeszła od razu do konkretów, lecz gdy tylko wypowiedziała te słowa, splonęła rumieńcem.

Leon też poczuł się nieswojo.

Odwróciła się.

Gdy był już gotowy, przemyśla punkt nad kolanem i szybko wbiła igłę. Leon zamknął oczy. Okryła skórę gazą z octem.

---

<sup>16</sup> To dawna Cafe Esplanade w gmachu budynku Arkadii. Zmiana nazwy z francuskiej na niemiecką nastąpiła we wrześniu 1914 roku.

— Może szczytać, ale powinno spuchnąć i zaczerwienić się. Jeśli nie zadziała, to przyjdź nad ranem... — Starła się wszystko robić delikatnie.

Mężczyzna się uśmiechnął. Gdyby Dziunia widziała, jak się obchodzili z nimi medycy w okopach albo w lazaretach polowych!

— Na pewno się uda. Myślę, że zyskam tydzień zwolnienia. Już postanowiłem, że zostaję. Możesz mnie skontaktować z Władkiem?

Skinęła głową.

— Co z twoim ojcem? Wrócił czy dalej w polu? — zapytał.

Jadzia w odpowiedzi się rozplakała. Łkała coraz bardziej, więc mocno ją przytulił.

*Poznań, 7 listopada 1931 roku*

Po sobotnim spektaklu Leon odłączył się od towarzystwa i włożył się bez celu. Nie potrafił się cieszyć rewią. Wdzięki Fontanki, występy Sendeckiego i girlasek<sup>17</sup> nie poprawiły mu humoru. Knajpy pękały w szwach. Zdobycie stolika w dobrej restauracji w sobotnią noc to było coś.

Na rogu Krętej zaczęły go prostytutki. Twarz jednej zdała mu się znajoma.

— Pani Helena? — zawiesił głos.

Pozostałe wybuchnęły śmiechem.

— Jaka z niej pani?! Dziewczynka! Jak my wszystkie! — Blondyna w kraciastej chuście na plecach wyszczerzyła zęby.

— Znowu nam klienta chce podebrać. Nowa, to jeszcze się nie opatrzyła — pisnęła kolejna.

---

<sup>17</sup> Tancerki rewiowe (pot.).

— Kochanieńki, ona nawet nie ma książeczki, a my wszystkie jesteśmy kontrolne, przebadane. Pan pójdiesz ze mną. Ja wiem, co taki wielmożny lubi, a ta jeszcze jaką francą zarazi.

Odepchnęły Helenę. Gdy Leon próbował ją osłonić, w ferworze dostał w twarz.

Nieźle. Z kobietami jeszcze się nie biłem.

Helena czmychnęła w stronę Plajty. Dogonił ją bez trudu i chwycił pod ramię. Przeszli na ulicę Kantaka. Wepchnął ją do Moulin Rouge.

— Idziemy na wódkę. Musimy pogadać. Dam ci pieniądze, więc nie będziesz stratna.

\* \* \*

Helena rzuciła się na sałatkę jarzynową i wprawnym ruchem wychyliła kieliszek wódki. Leon podsunął jej swoją porcję jedzenia.

— Od dawna to robisz?

Wzruszyła ramionami. Miała brudne ręce. Czuć było od niej Miasteczko.

— A kto mi dzieciaki wykarmi? Gdyby nie one, to dawno bym z mostu na Chwaliszewie skoczyła. Z Władka pożytku nie ma. Z każdej roboty go wyrzucali. Jeszcze jak PeWuKę szykowali, to zarobił parę groszy na budowie, ale teraz kryzys jest, nie ma roboty, a tyła przyjezdnych zostało w Poznaniu, że pracy dla swoich brakło.

— Od kiedy Władek choruje?

Gdy spojrzała na pusty kieliszek, skinął na kelnera i ręką wskazał, że ma podać to samo. Nie odpowiadała. Zapalił papierosa.

— Nikt nam nie chce pomóc. Nawet bonów nie dają, bo mówią, że on komunista. Jak robota jaka była, to chcieli zaświadczenia od księdza, że do kościoła chodzi. Pokazywał, że jest odznaczony Krzyżem Powstańców Wielkopolskich, to się śmiali, że zamiast walczyć, mógł o posadę zawczasu zadbać.

— On musi się leczyć, bo inaczej — zawiesił głos — sama wiesz.

— Jedna gęba mniej do wykarmienia będzie!

— Nie wolno ci tak mówić!

— Bo co? Bo prawdy trudno słuchać?! — wrzasnęła. Alkohol dodał jej odwagi. — Chory jest. W więzieniu się suchot nabawił — dodała po chwili. — Siedział za ulotki. Głupi był. Myślał, że nie znajdują, że drukarz to na powielaczu umie... Mnie policjanci nie zabrali, bo w ciąży byłam. Dobrze i to, że litość mieli, bo inaczej to bym rodziła na Młyńskiej.

— A bliscy, bracia Władka nie mogą wam pomóc?

— Niby kto? Rodzice nie żyją, Stachu nie żyje... Przecież sam wiesz, że zginął pod Warszawą w dwudziestym roku. Na powstanie się nie załapał, to chociaż bolszewików chciał bić. Wiktor do Francji na roboty do kopalni wyjechał, a Marcyś uczy się na księdza. Pożarli się kiedyś z Władkiem o Boga, o komunizm, o wiarę. Nie gadają od lat. Wychyliła trzeci kieliszek.

— Za Niemca miałam pracę. Na posługę chodziłam do żony bankiera. Jak wojna była, to wynosiłam dla naszych, co się dało. Mało to dezerterów wykarmiłam? Broń do skrytek przenosiłam, w powstaniu gotowałam dla naszych w kuchni polowej na dworcu, gdzie pani prezydentowa zarządzała. I co mi z tego teraz? Kto pamięta? Trzeba było w domu siedzieć i grzać się przy piecu. — Odchyliła się i wyprostowała na krześle.

Była w ciąży.

Leon siedział wstrząśnięty. Jezu, w takim stanie zarabia na ulicy?!

*Poznań, 10 grudnia 1918 roku*

Szli pod rękę w kierunku mostu Chwaliszewskiego. Trochę kluczyli, bo Dziunia była przekonana, że obserwuje ich szpicel. Ustalili z Leonem, że w razie kontroli będą udawać parę. Mieli to już przećwiczone.

W ostatnich kilku tygodniach często się widywali, bo łączniczka przносиła rozkazy i dwukrotnie pomagała Leonowi zmienić kwatery. Teraz, gdy przychodził do domu listonosz, już nie czekała na list od Johanna. Raczej się bała, że w końcu ten list nadejdzie. Co miałyby mu odpisać? Że już nie wie, co czuje i do kogo?

Gdy dotarli bezpiecznie pod umówiony adres przy Wenecjańskiej, Leon na pożegnanie dał jej buziaka w policzek. Mimo grudniowej temperatury poczuła, jak po całym ciele rozchodzi się fala gorąca. Było szaro, więc nikt nie powinien zauważyć, że mocno się zarumieniła.

— Jadzia, ja bym nie chciał już dłużej udawać, a ty? — przyznał Leon.

W odpowiedzi przytuliła się do niego. Był wysoki, znacznie wyższy niż jej bracia. Dziewczyna sięgała do jego szyi. Nabrała powietrza, bo chciała wciągnąć jego zapach i zatrzymać przy sobie jak najdłużej.

— Do zobaczenia — wyszeptła.

Pobiegła do domu. Nie była w stanie iść wolno.

*Poznań, 22 grudnia 1918 roku*

Dziewczyny przystanęły przed główną bramą. Hela otuliła się mocniej chustą. Zimno. Trzymała kosz z ziemniakami. Przeszły w głąb podwórza.

— Lecę na górę. Jeśli nie zapukasz za pięć minut, to zostawiam kosz, udaję, że ino pyrki przyniesłam, i wracam bez broni. — Wyrecytowała jak wyuczoną lekcję. — Najpierw pytam o hasło, chyba że to ktoś znajomy.

Jadzia położyła jej palec na ustach.

— Ciszej mów. Idź, a ja się rozejrzę. Zawsze masz pytać o hasło. Nie ma wyjątków — wysyczała.

Hela zniknęła na klatce w oficynie. Ziemniaki przynoszą służące, a te nie wchodzi główną bramą. Jadwiga pomyślała z irytacją, że miała rację: ta dziewczyna nie nadaje się do konspiracji. Wsypie ich kiedyś. Tyle razy upominała Konstancję, żeby nie przydzielała Heli do takich zadań, ale zastępowa stwierdziła, że właśnie ze względu na usposobienie dziewczyny nikt nie będzie podejrzewał, że jest łączniczką.

Leon owinął parabellum w płótno. Helena podała koszyk i przysunęła się bliżej.

— Uważaj na niego, proszę.

— Połóż tu, nakryję perkami. Bezpiecznie ci go przeniesiemy na Garbary. Odbierzesz w dobrym stanie. Wam, chłopcom, to gorzej z pistoletem się rozstać niż z kobietą. — Zachichotała.

Położył delikatnie broń na dnie koszyka. Stał odwrócony plecami do uchylonych drzwi. Po chwili usłyszeli cztery głośne stuknięcia we framugę. Zawiasy skrzypnęły.

— To znak, że mogę iść. Na dole czysto. — Helena zmrużyła oczy i niespodziewanie dla niego wspięła się na palce. Pocałowała go prosto w usta. Przywarła swoimi wargami, wbiła mu język między zęby, objęła mocno za szyję, ale jej wzrok błędził w kierunku drzwi.

Nie wiedział, jak zareagować. Starał się ją odepchnąć.

Co ona wyprawia? Przecież jest dziewczyną Władka. Skąd to nagłe zainteresowanie?

— Hela, przestań, no już. — Odsunął ją od siebie.

Dziewczyna zdawała się zadowolona.

— Nie mogłam się powstrzymać. Tacy jesteście odważni i piękni w tych mundurach. To było na szczęście. Nie wiem, kiedy się zobaczymy... — Wyszczrzyła nierówne ząbki. — To musi zostać naszą tajemnicą. Władkowi ani słowa, bo sprabły cię, że mu narzeczoną chcesz odbić.

Leon westchnął.

Wariatka!



\* \* \*

Jadzia zbiegała, skacząc po dwa stopnie. Byle dalej stąd!

Głupia! Myślała, że Leon coś do niej czuje! Dla niego postanowiła definitywnie zerwać z Johannem. Powierzyła mu tajemnicę o ojcu, o jego obłądzie wojennym.

Pomyliła się.

Widocznie każdą podrywa. Ot, żołnierz na przepustce. Ale gdyby całował się z inną, nie bolałoby tak, jak teraz, gdy zrobił to z Helą.

Co oni w niej widzą? Ani ładna szczególnie, ani mądra, nawet czytać dobrze nie umie, rachuje tylko po niemiecku, ledwo do dwudziestu, tyle co ją w szkole ludowej nauczyli. Oby Władek przejrzał na oczy. Powinna mu powiedzieć, co o niej mówią na mieście, ale ten dureń gotów do piekła za tą lafiryndą skoczyć.

*Poznań, 26 grudnia 1918 roku*

— Grenadierzy wrócili! Grenadierzy! — Wiktorek biegał w kółko po kuchni i darł się niczym uliczny gazeciarz.

Jadzia poczuła ucisk w żołądku. Zdjęła fartuch. Chwyliła się za włosy. Zaczęła je odruchowo przyglądać.

— Wybierasz się dokądś? O tej porze? — Matka weszła do kuchni. — Chyba nie pod koszary jak jakaś dziewczka? I to w święta! Kogo idziesz tam szukać?

Jadzia poczerwieniała.

— Do Anieli miałam pójść — skłamała, ale bez przekonania.

Matka usiadła przy stole. Pokazała jej, że ma zrobić to samo.

— Czego ty chcesz? Nie rozumiem cię, Dziunia. Szyjecie biało-czerwone sztandary, a z Niemcem chcesz się prowadzać? Po co polski elementarz co wieczór czytasz chłopcom?

Jadzia wstała.

— Nie osądzaj mnie tak łatwo, matko.

— Bóg mi świadkiem, że jeśli wyjdiesz teraz, to możesz już do domu nie wracać.

Tak wzburzonej matki jeszcze nie widziała. Nawet gdy malcy wyjedli zapas cukru do paczki dla ojca, nie zapiekliła się tak jak teraz.

— Myślałam, że już ci to głupie zadurzenie minęło. Na miłość boską, Jadzia! On jest Niemcem! Żadne wyznania miłosne w listach tego nie zmienia!

— W listach? Johann wysłał do mnie listy? Daj mi je! Czytałaś? Tak nie można! — krzycząc, zaczęła otwierać szuflady w kredensie i przeszukiwać szafki. — Gdzie one są?!

Wiktor i Marcyś ze strachu weszli pod stół. Nigdy nie widzieli, żeby Jadzia tak się denerwowała, a już na pewno nie na matkę.

— Niczego nie znajdziesz. Spaliłam. Dla twojego dobra. Kiedyś mi za to podziękujesz.

— Za to, co robisz z ojcem, też ci mam dziękować? Ty chyba nie masz uczuć! Nienawidzę cię!

Jadwiga patrzyła z satysfakcją, jak twarz matki kurczy się w bólu. Ale już po chwili ochłonęła, a dziewczyna poczuła dobrze wymierzony mocny policzek.

*Poznań, 27 grudnia 1918 roku*

Wiktor zakładał nieporadnie płaszczyk. Wpychał rączkę, aż rozdarł rękaw pod pachą.

— Pokaż. — Dziunia zdjęła z niego okrycie. — Załatam, ale dopiero wieczorem. Teraz musisz tak iść. Trudno. — Oglądała uważnie dziurawe odzienie braciszka.

— Ależ jest znoszony... Musisz usiedzieć w domu ze dwa dni, to go przenicuję.

Popatrzyła z troską na Wiktoraka. Przebierał niecierpliwie nóżkami. Na wszystko od dawna były kartki. Na odzież także.

— Pospiesz się, Jadziu. Proboszcz nie będzie czekał i pójdą beze mnie. Idziemy do Bazaru! Do Paderewskiego! Do Bazaru! — wykrzykiwał Wiktor.

— Nie krzycz, Wiciu — poprosiła matka. — Marcyś dopiero zasnął, a gorączkę ma. Odprowadzisz brata do kościoła na zbiórkę? — Zmierzyła córkę chłodnym spojrzeniem.

Nie rozmawiały od wczoraj.

\* \* \*

Pochód dzieci wyglądał imponująco. Wyruszyli spod kościoła Matki Boskiej Bolesnej. Jadzia obserwowała ze wzruszeniem, jak braciszek wcisnął się na przód kolumny. Razem z Jakubem od Fraysów machali białoczerwonymi chorągiewkami i proporczykami z białym orzełkiem.

Na czele szedł ksiądz Kazimierz Maliński<sup>18</sup>. Jak zawsze podpierał się laską.

Dzieci miały ochronę, bo do Bazaru ciągnęli wraz z nimi ochotnicy ze straży ludowej. Z karabinami i opaskami na rękawach wyglądali dostojnie. Ulice na trasie przystrojono we flagi polskie i sojusznicze. Barwy Francuzów oraz Anglików zdobiły okna i bramy. Kolorowo jak na procesji w Boże Ciało, pomyślała Jadzia. Szła raz z boku, raz z tyłu. Kibicowała braciszce, żeby udało mu się zobaczyć mistrza i zagranicznych gości.

Kto mógł, ten zmierzał w stronę placu Wilhelmowskiego. Na dworze brzmiała radośnie i głośno polska mowa. Ona też szła na Plajtę. Stamtąd będzie blisko do lazaretu, do ojca i do Staszka.

---

<sup>18</sup> Proboszcz parafii łazarskiej w latach 1913–1927 w kościele Matki Boskiej Bolesnej w Poznaniu.

Poznań, 10 listopada 1931 roku

Leon pił poranną kawę w Carltonie i jak zawsze czytał do niej „Nowego Kuriera”. Artykuły na pierwszych stronach opisywały proces polityczny Centrolewu<sup>19</sup> i starcia polsko-żydowskie na uniwersytetach.

Ciężkie tematy. Nie miał nastroju na lekturę o tym, jak sanacja rozprawia się z opozycją. Umówił się tu z radcą miejskim, żeby porozmawiać o możliwości leczenia Władka. Matka Leona i bratowa zgodziły się gotować skromne obiady dla dzieci Kaczmarków, zbierały też po sąsiadach ciepłe ubrania, buty i wszystko, co mogłoby im pomóc przetrwać zimę. Najstarszy mógłby przychodzić do nich jeść zaraz po szkole, mógłby się pouczyć i ogrzać. Rodzina Leona od dwóch lat mieszkała przy alei marszałka Focha niedaleko dworca.

Po spotkaniu pójdzie przekazać informacje Władkowi.

Dosypał więcej cukru i zamieszał w filiżance. Przewrócił gazetę na ostatnie strony i zatrzymał wzrok na kronice obyczajowej. Wypadki.

*Przechodzący wczoraj ulicą Wyspiańskiego posterunek znalazł trzydziestoletnią Helenę Kaczmarek leżącą na chodniku po wypiciu lizolu. Bezrobotna matka trójki dzieci wiała się w bólu. Przewieziono ją do szpitala miejskiego, gdzie lekarze próbowali uratować jej życie.*

Upuścił łyżeczkę.

Próbowali? Uratowali ją czy nie? Piszą, byle sensacja tylko była!

Ruszył w pośpiechu do drzwi.

— A rachunek?! — wrzasnął za nim kelner.

Mężczyzna rzucił zmięty banknot na blat.

---

<sup>19</sup> Chodzi o polityczny proces brzeski przywódców Centrolewu przed Sądem Okręgowym w Warszawie w 1931/1932 roku.

Poznań, 27 grudnia 1918 roku

Dziunia wyszła z lazaretu. Podążała chodnikiem przed siebie.

Wiadomość, że ojciec nie żyje, zadała jej ogromny ból. Doktor Szmyt pocieszał, że tak jest lepiej, że chory nie cierpi, a ostatnio już nawet nie chciał jeść. Zmarł nad ranem.

— Niech matka przyjdzie po dokumenty. — Usłyszała za sobą.

Ulica krzyczała, ale tym razem po niemiecku. Już nie było polskich przechodniów i rodziców podziwiających wcześniej pochodź dzieci. Teraz królowały grupy niemieckie, zarówno cywile, jak i żołnierze. Niektórzy byli uzbrojeni.

— *Posen ist eine deutsche Stadt!*<sup>20</sup> — wrzasnął jej w twarz starszy pan w kapeluszu.

Wszyscy byli rozjuszeni. Na chodnikach leżały flagi alianckie, pozrywane z tak pięknie udekorowanych bram i okien. Jeszcze przed południem ulice były kolorowe. Teraz Jadwidze zdawało się, że jest w innym mieście, że to nie ten sam Poznań.

Martwiła się o to, czy Wiktorek bezpiecznie dotarł do domu.

Zaczęła biec, ale wpadła pomiędzy żołnierzy i potknęła się. Upadła. Wytarła łzy i nos, spojrzała na dłoń i spostrzegła, że jest we krwi.

Mundury nie pozostawiały wątpliwości: grenadierzy.

Szła coraz szybciej. Z bramy wypadł młody mężczyzna z polską flagą, którą rzucił wprost pod jej nogi i zdeptał.

— Johann... Co robisz, Johann? — Miała nadzieję, że chłopak jakoś to wytłumaczy, że zrozumie, że powie cokolwiek.

Poznał ją. Prychnął.

— Idź do domu, Jadwiga. To jest nasze miasto. Musimy wam, Polakom, o tym przypomnieć.

---

<sup>20</sup> Poznań to niemieckie miasto! (niem.).

Błękitne oczy były lodowate jak u jego matki. Czy wojna aż tak zmienia? Czy to jest jej Johann?

— To wszystko, co masz mi do powiedzenia?! Po dwóch latach?! Że mam iść do domu?! — krzyczała.

Była wściekła. Zaczęła okładać go pięściami po klatce piersiowej. Odepchnął ją mocno, aż odskoczyła na bok. Zachwiała się. Takiego spotkania nie potrafiłaby przewidzieć. Przeleciały jej przez głowę wszystkie tkliwe sceny, jakie sobie kiedyś wyobrażała.

— A co chciałabyś usłyszeć po liście, jaki do mnie wysłałeś? Nie ty jedna jesteś na świecie!

— Johann, ja nic nie pisałam! Nie dostałam żadnego z twoich listów! Matka je schowała... Spaliła...

— Daruj sobie te bajeczki! — przerwał jej ostro. — To był błąd i tyle. Teraz to wiem. I lepiej nie mów dziś po polsku na ulicy, bo możesz pożałować.

Jadzia patrzyła z niedowierzaniem.

— Poza tym ja już mam kogoś. Poznałem ją w Dreźnie zaraz po tym, jak zerwałeś ze mną, więc byłem wolny. Chcemy się pobrać z Lottą. Idź stąd *raus*, ale już! — Odwrócił się i pobiegł za swoimi kamratami.

Jadwiga czuła, jakby coś rozrywało jej klatkę piersiową. Przywarła do muru. Łapała powietrze ustami. Pulsowały jej skronie. Wszyscy ją zdradzili: matka, Leon, Johann. Na swój sposób zdradził też ojciec, bo zmarł i ją zostawił.

Na ulicy się kotłowało, a ona tkwiła w bezruchu. Czyjeś ręce wciągnęły ją do bramy. Kobieta w czerni zaprowadziła Jadzię do stróżówki.

— Wejdz, dziecko. Nie możesz tak stać. To niebezpieczne. Mogą zacząć strzelać.

Podawa jej szmatkę nasączoną wodą.

— Obmyj buzię. Jesteś ranna?

Na te słowa Jadwiga się ocknęła. Dotarło do niej, że jeśli wywiąże się walka, będą ranni. Ona i Aniela miały wyznaczone punkty sanitarne, gdzie powinny się zgłosić.

Walka!

To jest teraz najważniejsze.

*Poznań, 31 grudnia 1918 roku*

Oddział Władka czekał przed koszarami. Chłopcy przebierali nerwowo nogami.

— Zaraz się zacznie. Mówię ci, że nas ostrzelają. Nie odejdą. — Władek patrzył zaczepnie na Leona.

Dowódcy wynegocjowali wczoraj wyjazd 6. Pułku Grenadierów z miasta. Gdyby doszło do walk, szanse powstańców byłyby niewielkie, bo grenadierzy to przeciwnik świetnie wyszkolony, zwłaszcza po pięciu latach na froncie, a i uzbrojony jak trzeba.

Obie strony o tym wiedziały. Ale żołnierze poza koszarami byli już otoczeni Polakami. Ustalili, że ich wypuszczą z Poznania z honorami. Wyszli w zwartym szyku z bronią osobistą. Karabiny maszynowe zostały w koszarach.

Johann podązał za innymi z dumnie podniesioną głową, ale czuł upokorzenie. To jest jego miasto. Nikt nie ma prawa go stąd wypędzić. Jeszcze tu wróci pod broń. Inaczej wtedy będzie. Żadnych negocjacji.

*Poznań, 10 listopada 1931 roku*

Pielęgniarka wskazała mu salę chorych.

— Leży pod oknem. Jest źle, ale miejmy nadzieję, że z tego wyjdzie. Dziecko nie przeżyło.

Patrzyła uważnie na odwiedzającego. Nie zapytała, ale domyślał

się, że chce wiedzieć, kim jest. Może podejrzewała, że jest sprawcą nieszczęścia, ojcem pozamałżeńskiego dziecka.

— Z kim mogę porozmawiać o kosztach leczenia? — Leon przeszedł do konkretów.

— O to proszę się nie martwić. Wszystko mamy dogadane. Proszę wejść, ale na krótko. Pięć minut.

Czyżby ktoś z opieki społecznej chciał zapłacić?

Usiadł przy łóżku Heleny. Na stolczku stały kwiatki. Kobieta leżała umyta, siostry przebrały ją w czystą koszulę. Była blada, miejscami sina. Czuła, że na nią patrzy, bo otworzyła powieki.

— Musiałam, Leon. Już nie mam sił. — Błądziła wzrokiem po sali. — Mam syfilis — dodała po dłuższej chwili.

Milczał, bo co miał powiedzieć? Że wszystko się ułoży i będzie dobrze? Pogładził ją po ręce. Helena pochwyciła jego dłoń i zamknęła ją w mocnym uścisku.

— Pomogę wam. Obiecałem to Władkowi i słowa dotrzymam. Mój znajomy szuka dla niego miejsca na oddziale dla gruźlików.

Pokręciła głową.

— Szkoda zachodu. Jego dni są policzone...

Chciał się wyswobodzić z jej uścisku. Kobieta zmrużyła oczy i uniosła się wyżej na poduszce. Na jej twarzy pojawił się lekki drwiący uśmiešek.

O co jej chodzi? Podążył za jej wzrokiem.

W uchylonych drzwiach sali stała Jadwiga. Wyprostowana, w elegancko skrojonym płaszczku, z gustownie dobranym kapeluszem patrzyła prosto na Leona i Helenę.

Dziunia.

Więc żyje! Jest tu i teraz, w Poznaniu, w szpitalu. To nie może być złudzenie!

Helena nadal trzymała jego dłoń. Zaśmiała się głośno. Zauważył, że brakuje jej paru zębów.



Odwrócił się ponownie do drzwi, ale nikogo już tam nie było. Usłyszał tylko głośny stukot oddalających się obcasów.

Helenę bawiła reakcja Leona.

— Ty naprawdę myślałeś, że ona nie żyje? Kaczmarkowa ją z domu wyrzuciła. Głupio jej było, że starego do zakładu chciała dać, że zmarł w takich warunkach, a Jadźka chciała się ojcem opiekować, do domu zabrać, no i ta bezsensowna heca o listy Johanna. Plotła wszystkim, że ona to córki już nie ma. Jednym nagadała, że zginęła, innym, że za Niemcem poszła, że do samej Ameryki popłynęła. Co kto chciał słyszeć, to gadała.

Leon czuł, że ma nogi jak z kamienia.

— Mnie powiedziała, że nie żyje, że na wojnie z bolszewikami przepadła bez śladu. Dlaczego nie powiedziałaś o Dziuni, gdy byliśmy w Moulin Rouge? O każdym mówiłaś, tylko nie o niej...

— Bo nie zapytałeś.

— Proszę kończyć wizytę. Pacjentka musi odpocząć — upomniała pielęgniarka.

\* \* \*

Jadwiga stała przy wejściu do szpitala. Nerwowo wydmuchiwała dym z papierosa.

— To na swój sposób zabawne — powiedziała do Leona. — Jakbym miała *déjà vu*.

Patrzył na nią i nie mógł zrozumieć, co się właściwie dzieje.

— Helena jest bardzo chora. Staram się im pomóc — zaczął wyjaśniać spokojnym tonem.

— Wiem. Ma kiłę — przerwała mu.

Strzepnęła popiół pod nogi. Leon nie wyczuł w tonie Jadwigi współczucia. Przeciwnie: była w tym jakaś wrogość.

— Nawet nie wiesz, ile czasu cię szukałem. Pisałem do Czerwonego Krzyża. Co się stało? Czemu zniknęłaś? Zerwałaś kontakt ze wszystkimi!

— Kiedy was widziałam ostatni raz, całowaliście się, a teraz po latach wysiadujesz przy jej łóżku jak jakiś spóźniony amant. Zawsze wolałeś Helę, a nie mnie! Widziałam wasz pocałunek, kiedy byliśmy razem po broń... — Rzuciła mu niedopałek pod nogi i zniknęła za rogiem.

Jego pamięć odtwarzała zdarzenia sprzed trzynastu lat jak stary film w zwolnionym tempie, klatka po klatce.

To chyba żart.

Przecież Hela wtedy z niego zakpiła! Gdyby nie tamto głupie popołudnie, gdyby nie urażona duma Dziuni, wszystko mogło potoczyć się inaczej!

*Poznań, 6 stycznia 1919 roku*

Drzwi były zamknięte. Zastukała. Nic. Już myślała, że nikogo nie ma w domu, gdy matka po dłuższej chwili otworzyła.

— Władek jest ranny — oświadczyła Jadzia bez zbędnych wstępów. — Postrzelili go na Ławicy, ale nie chciał zostać w szpitalu. Wyjęli mu kulę i opatrzyli. Ja też pomagam jako sanitariuszka. — Patrzyła wyczekująco na matkę.

— Jeśli myślisz, że cię pochwałę, bo opatrujesz rannych, albo przeproszę za listy, to się mylisz.

Dziunia pokiwała smutno głową.

— Przeczytałaś i spaliłaś je. Rozumiem. Ale żeby podszyć się za mnie? Co mu napisałaś? Nie chciał ze mną rozmawiać, a przecież mogliśmy rozstać się jak przyjaciele...

— Ty nadal o nim? Przyjaciel Niemiec? Wstyd mieć taką córkę!

— To podłe, co zrobiłaś. Z ojcem. Z Johannem. Sama umiem podejmować decyzje. Ciekawe, co powiesz chłopcom. Jak im wytłumaczysz, że wstydziałaś się męża zabrać do domu?

— Wyjdz! — wrzasnęła matka. — Tu nie ma miejsca dla takich jak ty.

— Dla jakich?

— Zdrajczyń!

Z oczu Jadzi trysnęły łzy.

— Ojciec nie żyje przez ciebie! Może w domu by ozdrowiał, ale ty wolałaś go oddać do zakładu! Ty mnie wyrzucasz? To ja nie chcę takiej matki! Już tu nie wróć!

Trzasnęła drzwiami.

*Poznań, 15 listopada 1931 roku*

Siedzieli w kawiarni u Dobskiego. Ulicą zmierzały coraz większe tłumy.

— Powstanie jakieś się szykuje? — Jadzia próbowała zażartować, ale nie było jej wesoło.

— Wracają z mszy za Waławskiego<sup>21</sup>. No wiesz, za tego, co w Wilnie zginął. Rano w kaplicy odprawiali w domu akademickim<sup>22</sup> — wyjaśnił mężczyzna.

— Przecież ich są setki! To jakiś potok ludzki.

Przed witryną kawiarni zatrzymała się spora grupa. Ktoś zaczął skandować: „Hańba!”. Tłum podchwycił i wkrótce wszyscy krzyčeli coraz głośniej, a niektórzy pluli.

— Czego oni chcą? Mało im hecy z Żydami na uniwersytetach? — Dziunia się wystraszyła. — A jeśli polecą kamienie?

Leon też był niespokojny.

— Żydzi tu grają w orkiestrze — wyjaśnił. — A endecy ich nigdzie nie chcą.

---

<sup>21</sup> Student, który zginął w 1931 roku w Wilnie w trakcie zamieszek na tle narodowościowym.

<sup>22</sup> Mowa o wybudowanym na PeWuKę domu akademickim (Hanka) przy alei Niepodległości.

Jadzia przestała jeść.

— Myślałam, że w wolnej Polsce będzie miejsce dla wszystkich.  
Marcyś mnie znalazł i zawiadomił.

Tłum na ulicy przeredził się. Było spokojniej.

— Dziękuję, że przyszłaś...

— Po tym liście, który napisała do mnie Helena, uznałam, że może jednak mamy coś do wyjaśnienia.

Leon długo patrzył w jej oczy. Chwyił kobietę za rękę.

— Pójdziemy wieczorem na spacer na plac Wolności? Napijemy się wina, może gdzieś potańczymy? Opowiedz mi, co robiłaś i gdzie byłaś.

Jadzia się uśmiechnęła.

— Zawsze chciałam pójść po wojnie na Plajtę w miłym towarzystwie.





Kamil Tułaza  
**Piewca**

➤ Mężczyźni w mundurach polskich w Atelier C. Sikorskiego na tle imitującym wnętrze pokoju z oknem. Nieznany czas powstania zdjęcia.

**Z**ostały dwa dni do Bożego Narodzenia 1918 roku.  
— *Es muss, Herr Antowik, es muss*<sup>1</sup>. — Usłyszał Grzesz Antoniewicz.

Profesor Bachmeier nie podejmował prób poprawnego wymówienia nazwiska młodzieńca. W wypełnionym rachunkami zeszytcie pojawiła się wielka, wypisana z czytelną rozkoszą dwójka. Semestr — na ten moment — obłany. Matematyk miał w zwyczaju traktować błędy drobne jako kardynalne. Te, wedle jego filozofii, w przeciwieństwie do błędnych założeń czy tez, miały świadczyć o rozkojarzeniu oraz braku pomysłu młodego pokolenia. Grzegorz nie zmienił znaku, przenosząc wyrażenie na drugą stronę równania.

Zbudowany z czerwonej cegły gmach Miejskiej Szkoły Realnej imienia Gotthilfa Bergera odbijał w swych wielkich oknach światło zachodzącego nad Poznaniem słońca. Otworzyły się ciemne dębowe drzwiska. Z wnętrza budynku wyłoniła się rozeźlona twarz Grzecha.

Był lodowaty, bezchmurny zimowy dzień. Od strony Berlina rozciągał się radykalny, poprzecinany strugami dymów kominowych pomarańcz nieba. „W stolicy awantura” — pisał dzienniki.

---

<sup>1</sup> Trzeba, panie Antowik, trzeba (niem.).



Siedemnastolatek przemknął pod nagimi ozdobnymi drzewami i minął kutą bramę. Znalazł się na ulicy Strzeleckiej. Po symetrycznie odśnieżonej jezdni ślizgały się tramwaje, dreptały konie i posuwały się pojedyncze samochody. W ostatnich miesiącach ruch uliczny w Poznaniu zgęstniał. Pierwsze po wojnie święta szykowały się wystrzałowo.

W szkole Grzegorz odstawał, choć nie był nielubiany. Swoją nastrojowością doprowadzał do szewskiej pasji nauczycieli ścisłego gimnazjum. Dzięki temu zaskarbił sobie szacunek rówieśników. Wiecznie niezrzeszony. Wiecznie w zadumie. Wzbudzał tym podejrzliwość znajomych uniformowo pozapisywanych do Sokola czy tajnego skautingu. Zawsze z tomikiem wierszy krakowskich lub warszawskich. Jako pierwszy w domu wykazywał niedorozwój manualny i miłość do sztuki, czego nikt w kolejarzkiej rodzinie nie był w stanie zrozumieć.

Dlaczego znowu? I czemu zaraz przed świętami? Młody Antoniewicz dopatrywał się powodów swej klęski. Na gwarnym, gęsto zabudowanym placu Świętego Piotra<sup>2</sup> minął potężny kościół tegoż patrona. Młodzieniec podjął wspinaczkę ulicą Podgórną, decydując się na okrężną drogę.

Skąd on się tu wziął? — Szukał w archiwach własnego mózgowia. Łysiejący, acz zaczesany algebraik o topornych wąsach uczył w Bergerze zaledwie od początku semestru. Wszyscy wiedzieli, że pedagog nie miał dotychczas styczności z Polakami. Izba nauczycielska pod jego nieobecność pokpiwała z wysokoniemieckich, stuttgarckich wstawek nowego belfra. Podczas ataków gniewu był wprost nie do zrozumienia. Do historii przeszedł słynny wypadek, gdy wymyślany i okładany linijką uczeń nie wytrzymał. Po nastym razie linealem na pozbawiony zegarka nadgarstek... parsknął śmiechem. W ślad

---

<sup>2</sup> Dzisiejszy plac Wiosny Ludów.

za nim — cała klasa. Jeszcze tego samego dnia odprawiono ucznia z pismem poświadczającym o usunięciu z listy.

— Ludziów jak mrówek! — Grzegorz zasłyszał kawałek rozmowy dwóch kobiet, wchodząc na plac Wilhelmowski<sup>3</sup>.

Słowo stało się ciałem: po bokach prostokątnego przestworu roilo się od rodzaju człowieczego. Bożonarodzeniowy handel wiał górę. Kalendarze czy drobne upominki były dostępne w dowolnym lokalu. Po bruku śmignął omnibus z reklamą kolektury gry liczbowej obiecującą zdwojoną hojność fortuny w czasie adwentu.

Gdyby nie jeden głupi błąd, miałbym teraz spokój — snuł dalej Grzechu, analizując swój tragiczny los.

— Bacność! — Zdążył usłyszeć, nim pod wpływem uderzenia w twarz wywrócił się siedzeniem na twarde, lepki od piasku śnieg.

— Wej... Gdzie pón z tom kastom<sup>4</sup>? — rzucił ku wąskiej postaci usiłującej podnieść sporą skrzynię, która również znalazła się na chodniku.

— Ślizgi śnieg jezd... Ostrzegalem! — wysapał chuderlawy tragarz mebla, parokrotnie zresztą cięższego od siebie. — Psiakrew! — zaklął, dostrzegłszy zawartość kufra.

Grześ Antoniewicz zdumiał się, widząc, że leży przed nim roztraskana kasta, z której kaskadą wysypała się amunicja.

— Pomogę pozbierać! — zaofiarował się bezinteresownie.

— Won, bo zleję! — krzyknął nietutejszy jegomość, próbując machaniem rąk zasłonić to, co właśnie wyszło na jaw.

Wtenczas doskoczyło do niego trzech kompanów, którzy zaczęli wytwarzać wokół atmosferę sztucznego zamieszania. Młodzieniec odbiegł, a gdy parę kamienic dalej spojrzął za siebie, w miejscu kolizji nie było już ani czterech mężczyzn, ani kufra, ani nabojów. Stała tyl-

---

<sup>3</sup> Dzisiejszy plac Wolności.

<sup>4</sup> W gwarze poznańskiej: skrzynia.

ko para staruszków oglądająca cytryny na wystawie składu kolonialnego. Zawiało mocniej. Gdy odtworzył w pamięci przebieg zdarzenia, odkrył w aparycji każdego z czterech tragarzy obcy pierwiastek.

Dziwne incydenty miały zresztą miejsce coraz częściej. Kolporterzy gazet z tygodnia na tydzień odtrąbiali wieści o rozbrojeniu kolejnego policjanta w biały dzień — czy to na Rybakach, czy ubogim Chwaliszewie. Część kumpli z klasy spostrzegła, że ich ojcowie w tym samym momencie zaczęli brać nadgodziny. Właśnie teraz, gdy wojsko nie zamawia już niczego na tony. W mieście coraz to bardziej bezkarnie zaczęły pojawiać się barwy narodowe...

Nim młody Grzechu trafił pod swój dom przy ulicy Ogrodowej, naprzeciw cmentarza ewangelickiego, przejrzał się w chromowanej witrynie sklepu z antykami. Ujrzał swoją okrągłą, upierzoną na brunatno głowę, swój zwyczajny tułów — poszerzony znacznie przez zbyt duży płaszcz z demobilu — oraz mokre spodnie. Zobaczył mgliście własne, wyautowane, melancholijne, na co dzień stalowe oczy. Dziś jeszcze bardziej niż zwykle przypominały ślepia bezpieczeństwa kundla w psią pogodę.

— Łed łodejścia kajzera już nik nie wie, co jez łoś<sup>5</sup>. — Usłyszał gimnazjalista, wchodząc po schodach.

Obserwacją podzieliła się siwiejąca już, zużyta, pięćdziesięcioparoletnia pani Bajerlein z pierwszego piętra. Wdowa ustawicznie gotowała przy otwartych drzwiach. Zagadywanie lokatorów podczas przyrządzania gęstych ajntopfów<sup>6</sup> zawsze windowało ją — w jej mniemaniu — do pozycji co najmniej cesarzowej Augusty Wiktorii. Może się wydawać, że przyjechała tu z rozparcelowanego majątku tylko po to, żeby upewnić się, że jej chory na grypę hiszpańską mąż nie zjedzie ze świata bez talerza pożywnej zupy.

---

<sup>5</sup> Od odejścia (abdykacji) cesarza już nikt nie wie, co się dzieje.

<sup>6</sup> Potrawa jednogarnkowa (z niem.).

— Coś wisi dziś w świecie — potwierdził Grzegorz, nie podnosząc głowy. Mimo to potknął się na stopniu. Dopiero wtedy uznał, że skoro już patrzy w wytarte deski schodów, mógłby przynajmniej patrzeć, gdzie stawia kroki. Nim miał okazję zapobiec kolejnemu upadkowi, wdrapał się na czwartą kondygnację budynku. Otworzył drzwi. Gdy tylko przekroczył próg własnego mieszkania, został wypchnięty na zewnątrz.

— Rozbierz się na schodach! — wrzasnęła starsza siostra Maria. — Ledwo co sprzątałam! — dodała prędko.

— Siostrzyczka, jak widzę, w swoim żywiole — powiedział ku niej.

— A ty, gilejzo<sup>7</sup> jedna? — kontynuowała koncert uprzejmości praktykantka u szwaczki. — Też zaraz się do czegoś zabierzesz, już ja ci ino coś znajdę!

W gruncie rzeczy nie miał za co kochać siostry, ale nakazano inaczej. Doprowadził się do porządku, by dać się porwać przygotowaniom do Bożego Narodzenia. Przez parę kolejnych godzin słyszał i wycedzał tylko zdania w trybie rozkazującym. Po pokojach snuły się zaborcze opary z kapusty, delikatna woń zupy rybnej oraz impertynencki zapach surowego śledzia. Dopiero około godziny ósmej wykonano wszystkie zaplanowane czynności. Grzechu oraz Marysia usiedli z matką wokół przyciemnionej lampki elektrycznej.

— List od ojca — zawiadomiła pocziwa Czesława Antoniewicz, co skupiło na niej dwie pary stęsknionych, choć już niemal dorosłych ocząt. — Powiada, że nie ma pewności, czy w ogóle zdąży wrócić na Wigilię — referowała. — A to jedni! Myślałam, że kto ma we łbie olej, ten idzie na kolej.

— Tyle gotowania... I co teraz? — zapytała Maria retorycznie.

---

<sup>7</sup> W gwarze poznańskiej: oferma, gamoń.

— Tyle że sami tego nie spucniemy<sup>8</sup> — odpowiedział jej brat. — Nawet gdy już przyjadą Kuśnierki...

— Najwyżej pójdzie się z tym do siostrzyczek. Sierotki dostaną jeść — westchnęła matka obojga. — Się nie zmarnuje.

To miały być pierwsze po wojnie normalne święta. I pierwsza Wigilia bez ukochanego wuja z Leszna, którego ciało znaleziono obok wadliwego zbiornika z iperytem podczas porządkowania ziemi niemieckiej we Francji. Grześ, choć teraz już prawie dorosły, nie przebierze się już w jego oficerski mundur. Od paru lat miał to w zwyczaju robić, inscenizując dowódcę oddziału wojsk Heroda: *Hände hoch! Wo ist der kleine Herr Jesus?*<sup>9</sup>.

\* \* \*

Hanna Kuśnierkowa, wdowa po lejtancie Janie Kuśnierku, nie zaopatrzyła się jeszcze dobrze w strój żałobny, gdy wprowadził się do niej młodszy brat świętej pamięci męża Florian Kuśnierek. Ten trzydziestodzieciolatek znany był jako wiecznie zabiegany kawaler o niejasnych powiązaniach. Od razu, prawie bez pytania, zaczął wnosić do domu rozmaite pakunki, zbiorniki, futerały. Wdówka najczęściej nie zdążyła nawet zapytać, co to za artykuły, a Florian był już poza domem.

Jakie zdziwienie u Antoniewiczów wywołała depesza, że pierwszy raz od 1908 roku Florian przyjedzie z bratową do nich na święta! Bordowe mury dworca głównego w Poznaniu przechodziły gruntowny sprawdzian wytrzymałości. Składy wagonów wypluwały na perony kolejne bataliony mieszkańców Obornik, Środy, Buku, Szamotuł, a innych tam właśnie odprawiały. Bożonarodzeniowi pielgrzymi wypełniali następnie tramwaje odchodzące z placyku.

---

<sup>8</sup> W gwarze poznańskiej: zjeść.

<sup>9</sup> Ręce do góry! Gdzie jest dzieciątko Jezus? (niem.).

Słońce promieniowało przyjemnie. Mróz dokądś wywędrował, więc śniegi topniały. Sinobłękitne powietrze przecinały szybujące wrony, perorujące nieustannie w swym malkontenckim dialekcie polszczyzny.

— Mistrz w Poznaniu! Mistrz w Poznaniu! — darł się wniebogłosy gazeciarz, który mógł mieć może trzynaście lat, nie wiedząc nawet, czyj przyjazd zapowiada. Z pewnością było mu zimno.

Przechodnie kupowali jego bulwarówkę raczej z litości, by ten szybciej skończył wartę. Latem mógłby tak stać i do późnej nocy.

Grzegorz biegł od Kaponiery, rozbryzgując podeszwami pluchę. Dostał tylko parę fenigów na bilet powrotny, gdy już odbierze ciotkę Hankę. Młody Antoniewicz szybko odnalazł leszczyńską krewną. Złożył lakoniczne kondolencje, roniąc nawet małą, szczerą łzę na cześć wuja oficera. Miał już odwrócić się na pięcie, by zaprowadzić siostrę matki do wnętrza tramwaju, lecz został pociągnięty za kołnierz. Tak, jakby znów miał mieć sześć lat.

— Jak to? Nie poznajesz wuja Florka? — zapytał mrukliwie szczupły, brodaty mężczyzna. — Ile to wiosen minęło?! — prawie krzyknął.

Zmiana tonu zmusiła Grzecha do szybkiego przewertowania rejestru wszystkich znanych twarzy. Zadziało, choć to raczej zasługa prędkiej analizy własnego drzewa genealogicznego dokonanej w ułamku sekundy przez szare komórki.

— Łe, wuja! — Wyszedł w końcu z krainy umysłu. Rzucił krótkie spojrzenie na chudego jegomościa i uściśnął kościstą dłoń, wodząc wzrokiem gdzieś po krawężniku.

Cała trójka wsiadła do tramwaju. Na obłąconym przez tłumy Świętym Marcynie rozmowa wciąż się nie kleiła. Krótkie odpowiedzi młodzieńca zbijały uprzejmościowe pytania ciotki. Z jej towarzyszem wymieniał się nieufnymi spojrzeniami.

Podawano do stołu, a tradycyjne puste miejsce zajął Florian Kuśnierek. Jego przyjazd, pomimo telegramowego zaanonsowania, przyniósł ogólne zdziwienie. Pozostawał jeszcze jeden dodatkowy talerz dla głowy rodziny, Marcina Antoniewicza. Ojciec Grzesia i Marysia mógł teraz być wszędzie — w Krzyżu, w Zbąszynku, w Pile. Mógł akurat grzebać przy jakiejś zwrotnicy lub łączyć wagony. Krewni mieli z tyłu głowy, że ten człowiek nigdy nie pozwoliłby sobie pracować w święto rodzinne i kościelne.

Nagle rozległ się trzask tłuczonej porcelany.

Florian na nowo gdzieś wyparował, a reszta domowników zaczęła zajmować się kolazem zbitej salaterki oraz porcji suszonych czarnych łebków, które znalazły się w kałuży kompotu na kuchennej podłodze.

— Kto dopuszcza we wigilię do takiej marnacji? — utyskiwała Czesia.

— Raz po raz zdarza się każdemu. — Ciotka Hanka stanęła w obronie nieodkrytego sprawcy.

— Ja już widziałam, że to Grzechu puścił! — obwiniła siostra.

— Ty stara hekso<sup>10</sup>! — odegrał się oskarżony.

— Nie grzeszyć mi tu takim gadaniem, bo jeszczek na pasterce kto do komunii świętej nie pójdzie! — podsumowała Czesława Antoniewicz.

Gwar ucichł. Wyszuszone i ochuchano już ze wszystkich stron poupadane podgrzybki, a węgierkową płamę z parkietu wytarto tak, aby się później nie kleiła.

Wtem usłyszano grzmotnięcie zatrzaskiwanych drzwi poprzedzone dyskretnym gwizdem mroźnego wiatru od strony klatki schodo-

---

<sup>10</sup> W gwarze poznańskiej: wiedźma, babsztyl.

wej. Oznaczało to, że wpieryw ktoś ostrożnie je otworzył, a za nim zamknął nieuważnie ktoś inny. Z cienia antrejki<sup>11</sup> wyszedł ku rozświetlonemu dużemu pokojowi czterdziestoletni mężczyzna. Miał na sobie strój roboczy. Prędko zdjął ciepłą czapkę, odsłaniając kanciasty profil uświetniany przez grube faworyty oraz zaczesane do tyłu włosy koloru jasny blond. Nie mógł to być nikt inny jak specjalista na drogach żelaznych, Marcin Antoniewicz, dźwigający już na szyi uściski całej rodziny. Za nim stał brodaty leszczyński dziwak ze swą posturą stojaka na kapelusze. Skompletowana familia zasiadła do wieczerzy.

— Światło Chrystusa. — Kolejarz czynił honory.

Pierwszy powojenny opłatek obfitował w rzeczywiście szczerze życzenia. Jedzenie było wyborowe, a szczególnie wytarte i wydmuchane upadłe czarne łebki. Doznania smakowe zostały jednak przyćmione przez powracające jak wiosenny deszcz wspomnienia świętej pamięci porucznika Kuśnierka.

Gdy rozmowa miała właśnie zejść na to, kto ostatnio na co zachorował, Florian wstał od stołu. Poprawił bindkę<sup>12</sup>, po czym odchrząknął głośniejsz niż wypada. Przez chwilę rozmawiano jeszcze o niedoborach aspiryny w aptekach, nim zauważono, że dziwny wujaszek ma jakiś zamiar.

— A teraz — rzekł, waląc pięścią w biały obrus, przez co uczestnicy wieczerzy podskoczyli na parę milimetrów — będzie o tym, po co tu przyjechałem — zaczął. — Pierwszy raz od dziewięciu bodaj lat. Otóż, jak wiecie, zajmowałem się w Lesznie drobnym handlem, do robkiewiczostwem. Oficjalnie. Sprzedawałem laczki<sup>13</sup>, montowałem rury... — ściszył głos. — W rzeczywistości przedsięwzięłem pewnego rodzaju działalność konspiracyjną. Znacie przecież moje oddanie

---

<sup>11</sup> W gwarze poznańskiej: przedpokój.

<sup>12</sup> W gwarze poznańskiej: krawat.

<sup>13</sup> W gwarze poznańskiej: obuwie domowe.



sprawie. Mogę dumnie powiedzieć i nie skłamać, że każdy mauzer<sup>14</sup> każdego rozbrojonego w Leszczyńskim szkiebra<sup>15</sup> przeszedł choć raz przez moje ręce.

— Ty, stary — weszła mu w słowo Hanna Kuśnierkowa — w moim domu zbrojownię robisz?

„Możesz być i cymbałem, możesz dureń być siarczysty...” — cytował w myślach Grzegorz.

— To *pro publico bono*. — Uciszył ją kawaler, kontynuując niecodziennie otwarty wywód. Rodzina nie przerywała mu teraz raczej tylko dlatego, że nigdy dotąd nie wygłosił wypowiedzi tak długiej. — Jedenastego listopada skończyła się wojna. Za Skalmierzycami odrodziła się Polska. Z pewnością słyszeliście ostatnio, że do Poznania, grodu Przemysła, stołecznego miasta, przybywa przejazdem sam mistrz klawiszów i dyplomacji Ignacy Jan. — Nazwiska nie podał, stosując jakiś niezbyt zgrabny zabieg retoryczny. — Obawiam się, jak też moi przełożeni, o których więcej powiedzieć nie mogę, że wydarzenie to zadziało jak iskra wzniecona nieopodal beczki prochu.

— A to eligant zez Leszna! — nazwała wują Maria. — Spiskowiec!

„Byłeś z mocą i zapalem kraj miłował macierzysty!” — zakończył gimnazjalista.

— Pozwolę sobie przerwać — wtrącił Marcin Antoniewicz. — Zasadniczo właśnie wróciłem z pewnej akcji pracowników kolei, czynnych dla sprawy. Zrobiliśmy wszystko, co się dało, a także przeprowadziliśmy tajne inspekcje trasy, by mistrz Paderewski dojechał bezpiecznie w drugie święto do Poznania.

— W mojej walizce jest sztuk broni jednaście, nabojów... — wyliczał Florian.

---

<sup>14</sup> Model broni wyprodukowanej przez niemieckie zakłady Paula Mausera. Tutaj chodzi konkretnie o gewehr 98.

<sup>15</sup> W gwarze poznańskiej: Niemiec.

— Za Polskę! Bóg się rodzi, moc truchleje... — zaintonowała pani domu w rytm poloneza.

Goście pociągnęli narodową kolędę.

Tylko Grześ wlepił nierdzewne ślepia w okno, całkowicie zamyślony, poczuwszy frapujące ciężenie.

\* \* \*

Pierwsze święto minęło w nastroju bynajmniej nie biernym. Zamiast wylegiwać się rozwiązłe po przydługawej pasterce, dorośli znów gdzieś wyszli na cały dzień.

Grzechu został. Mocował się z własnymi myślami: tak sprzeczny, tak nienawistny. Miał ochotę chwycić nóż, by poszlachtować wszystko w zasięgu wzroku. Gdy nie bolała go głowa, brał się za poezję. Współczesną: Przybyszewskiego, Tetmajera. Zeszytu z algebrą pozbył się rano, gdy rozpałał w piecu. Dźwigał wielki ciężar, ale nie wiedział dokąd. Widział siebie jako kometę ciśniętą w kosmos. Gorycz skakała mu do gardła za każdym razem, gdy chciał wykonać swą komedią powinność niszczycielską. Trząśł się. Odmówił przyjaciołom, którzy wpadli do niego z propozycją udziału w jakimś patriotycznym odsłuchu rymów częstochowskich.

Humor zepsuła mu na dodatek siostra. Maria wszczęła głośnie apele o to, by jej brat w końcu „zaczął być mężczyzną”. Rzucił się na nią w obłędzie, w sekundowym przypiływie gniewu. Strącony jednym ruchem ręki, nie tylko wywołał skandal. Przede wszystkim wystawił się na pośmiewisko.

\* \* \*

Tylko przyjazd Ignacego Jana Paderewskiego wydobyl Grzegorza Antoniewicza ze stanu marazmu. Jedyna rzecz, która w najbliższym czasie mogła go zainteresować w prowincjonalnym Poznaniu. Postać światowego formatu. Człowiek gestu. Przyjaciel gigantów. Idol Ame-

ryki. Tłumy płaciły, by słuchać dźwięków mianowanych ruchami jego palców. Wielbiony przez masy, choć twórca kultury wysokiej. Gimnazjalista nawet nie wiedział, czego spodziewać się po jego przyjeździe. Pomimo to osoba pianisty działała na niego magnetycznie. Czekał więc do wieczora, nic konkretnego nie robiąc.

Parę chwil przed godziną dziewiątą miał minąć Kaponierę, by przedostać się na Dworzec Cesarski. Nie zdołał. Zebrany tłum wypełnił przestrzeń ulicy Dworcowej aż potąd. Powszechny ścisk podnosił temperaturę w otoczeniu o wyczuwalne parę stopni. Elektryczne latarnie dwoiły się i troiły, aby oświetlić sylwetkę każdej z zebranych osób. Śpiewano pieśni narodowe oraz kościelne. Choć euforia brała górę, Grzechu mierzył wszystkich spojrzeniem pełnym szronu. Przyszedł tu przecież obcować z reprezentantem kultury wysokiej, a nie z widowiskiem godnym wiejskiego odpustu. Gdzie jest jego ukojenie po blamażu w szkole, po ambarasie w domu?

Dostrzegł idących od strony Zamku trzech niemieckich oficjeli. Maszerowali równym krokiem po torowisku tramwajowym. Wtenczas wystąpiła spośród wiwatujących grupa rosłych młodych osób. W jej centralnym punkcie — dziewczyna w wieku Grzegorza. Jedyna samica otoczona barczystymi szczónami<sup>16</sup>. Nurtowała. Emanowała niezwykłą urodą, widoczną pomimo wdziania grubego, zimowego stroju. Mignęła do niego bladą poświatą twarzy, a zamachnąwszy główką, przeciągnęła przez eter kosmyk jasnych włosów. Uczestnicy zbiorowości zerkali z ciekawością w stronę potencjalnego starcia. Zakapturzona blondynka odwróciła się tak, iż Grześ widział teraz jej szlachetny profil oraz wyśnioną figurę. Pośród tęgich chłopisk poruszała się z wyróżniającą gracją, swobodą i płynnością gestów. Kilku postronnych poznaniaków dołączyło do dziwnej szajki, która, jak na ćwiczeniu musztry, otoczyła pru-

---

<sup>16</sup> W gwarze poznańskiej: chłopak, łobuziak (również szczun).

skich urzędników szczelnym kordonem. Następnie przeszła z nimi gdzieś między budynki Akademii Królewskiej. Jedynym śladem po nich pozostał jakiś papier, szybko zabrany i wyrzucony przez małe dziecko do śmietnika. Grzegorz zapamiętał malutkie oczy rozwarte może na cal w odległości trzydziestu metrów od niego. Z nabożnością archiwisty zarejestrował trawiastą zieloność spojrzenia dziwnej damy.

Nikt już na to nie patrzył. Ustały pieśni. Od strony dworczyka rozległy się fanfary jak burza. To musiał być mistrz. Pochód wokół otwartego powozu ruszył na plac Wilhelmowski, do hotelu Bazar. Znikąd pojawili się emeryci, by rozdać maszerującym pochodnie domowej roboty. Właśnie wyłączono prąd w całym Poznaniu. Uniósł się zapach palonej benzyny, a fasady kamienic zarumieniły się ciepłym światłem płomieni. Ktoś biegł, rozdawał ulotki. Na usta wróciły hymny. To *Rota!*

Cień uciekiniera przesuwiał się po pierzei, znów gdzieś bokiem, dostrzeżony tylko przez Grzegorza. Szczurza maniera, zrywność kroków. Czy to profesor Bachmeier zdąży na pociąg do Stuttgartu?

Po górnym granacie pędziły gwiazdozbiory jak pociągi z węglem Śląska. Paderewski przemawiał z okna hotelu Bazar. Mówił o sprawie Polaków, wieszczył powrót Rzeczypospolitej. Spod całej warstwy semantycznej uderzała nieskalana intencja powrotu narodowej swobody. Dla tego męża własny kraj stanowił potrzebę najbardziej czystą, dziecięcą, oczywistą. Patetyczne, ambitne słowa szły w eter, by od razu spadać i bombardować serca poznaniaków, wtłaczając w nie nowe umocnienie. Gdy mistrz kończył fragment oracji, tubalne owacje z placu Wilhelmowskiego z wszystkimi odchodzącymi ulicami wibrowały w atmosferze.

Tylko Grzegorz Antoniewicz stał zmarszczony, nie wysłuchawszy koncertu, nie ujrawszy fortepianu, nie uświadczwszy popisu światowej klasy sztuki.

\* \* \*

Następną dobę Grzesz spędził w łóżku, rozgorączkowany czymś dziwnie. Pokłócił się z rodzicielami o napaść na siostrę. Wyszedł też na jaw sekret oceny z algebry. Nie stawiał się na obiedzie. Cały dwudziesty siódmy dzień grudnia dumał, przykryty po podbródek pierzyną, z głową opartą o puchową poduszkę. Dopiero teraz poczuł, w jak zimnym domu mieszka.

Przez cały dzień zza okna słyszał wrzawę. Okrzyki, ustne rozkazy — na przemian po polsku i po niemiecku. Krzyk kobiety. Zdecydowany głos męża. Zaborca krzyczący: *Schweinehund!*<sup>17</sup>. Grzecha nic z tego nie zainteresowało. Wstał tylko, by zamknąć szczelnie okno. Ponownie zawiął się w kołdrę. Próbował czytać, ale przeogromny żal nie pozwalał mu tknąć tomiku z poezją.

Chwilę przed godziną siedemnastą słychać było już regularną strzelaninę od strony Ritterstrasse<sup>18</sup>. Syn kolejarza drzemał, cierpiąc apokaliptyczne koszmary, gdy w akompaniamencie bicia dzwonów do mieszkania wparowali Marcin Antoniewicz oraz Florian Kuśnierek.

— Mamy powstanie! Niech żyje wolna Polska! — obwieścili od progu.

— Co? Jak? — zdziwiły się kobiety. — Hura! Wiwat! — Obrzuciły ich uściskami, zajęte dotychczas obierunkiem ziemniaków. Radości nie żałowała nawet Hanna w swoim pełnym stroju żałobnym.

Ustalono, że dorośli mężczyźni pójdą pomóc zdobyć Dworzec Główny. Następnie ojciec Grzesia uda się na Cytadelę, a Florian przejmie pociąg do Wrześni, by zanieść tam rozkaz do insurekcji. Ze względów bezpieczeństwa ciotka miała pozostać w Poznaniu i pomóc Czesławie w organizacji kuchni polowej dla walczących

---

<sup>17</sup> Drań (niem.).

<sup>18</sup> Dzisiejsza ul. Ratajczaka.

Polaków. Bez wahania dołączyły do nich Maria oraz pani Bajerlein z gotowym już garem ajntopfu.

Gimnazjalista spał twardo. Od kiedy matka sprawdziła, czy jest w pokoju, nikogo już nie obchodził.

\* \* \*

Kolejnego dnia przemożna wewnętrzna ochota zaciągnęła Grzegorza na dach własnego domu. Uwielbiał tam przebywać latem. Jakaś niedocieczona potrzeba zabrała go w to miejsce w godzinie szczytowego mrozu i wiatru.

U jego stóp, po ulicy Ogrodowej, szedł pluton wyjątkowo młodych Niemców. Defilowali zwartymi kolumnami w stronę fortu Grolmana, powtarzając w kółko refren tego samego marsza, jakby nic innego nie znali. Minęli cmentarz. Grzechu przypatrzył im się staranniej. Przecież to jego szkolni koledzy: Hoffmann z Fajferem! A na czele legendarny Wierzejewski!

— Tej! — rzucił ku dołowi, lecz nie uzyskał odpowiedzi.

Przysiadł na krawędzi mansardowego dachu. Patrzył tylko, jak ludzki wężyk zakręca w lewo, by przejść przez plac ćwiczeń i zniknąć we wrotach ceglanej warowni.

Antoniewicz siedział w tej pozycji bite dziesięć minut, nie myśląc o niczym. Po pewnym czasie jedno okno fortu otworzyło się. Para rąk wytoczyła z ciemnego wnętrza długą białoczerwoną wstęgę. Coś go tknęło. Uczuł wtedy najszczerszą gorycz, przekłuwanie ropiejących pęcherzy w głębi klatki piersiowej. Patrzył na dzieło, a tężyła w nim gniew oraz potęga. Legł na dachu. Z postępującą szybkością mieszały mu się myśli. Krew pulsowała coraz intensywniej. Kaskady dreszczów spadały na plecy. Widział zmiennie: ostro — nieostro. Kończyny porwały epileptyczne drgawki. Ziemia zdawała się przepolawiać na jego tułowiu. Rozelektryzowanym ciałem miało po dachu. Z czasem przeszło. Wstał. Cisza.

Rozdarcie!

Brzęmię tajemne rozczzerwieniło się. Mieniło się jak słońce! Strugą światła wypaliło w sercu treść! On złapał się za gorejącą pierś. Pod nią wrzała lawa duszy. Topiły się srebra. Chciał chwycić za żebra. Upadł.

— Z miliona jeden... Ja, który czuję. Stąd, skąd do świata. Monetą i maszyną. Ten bez fachu. To popychle, ta gamuła<sup>19</sup>, ten kmieć. Pośród prostoty, mieszczaństwa, tępoty... Daj! Tam, gdzie jest sztuka. Tam, gdzie bogowie! Daj na obłoku! — krzyknął do nieba. Wstał na klęczki, ale ścięty kosą wiatru, upadł ponownie. — Nie... — Nastąpiła chwila ciszy, tylko świsty podmuchów, czasem strzały docierały z oddali. Niebo było bezchmurne. — Nie... Tutaj nie trzeba nowych bogów! Nie stoję nad tym, co miota kule. Nie jestem powyżej tego, który stawia barykadę, powyżej tej, która wata łąta ranę... — Wstał na obie nogi. — W mieście, gdzie myśl Cegielskiego, Wawrzyniaka wciąż góruje. To jest twarda, lecz nadal słuszna dewiza tej ziemi. Zdrowe cielsko od stóp po głowę — mruknął, ocierając zgięciem palca wskazującego ślinę z brody. — Kapituluję, przyznaję rację. Czyn czy słowa... Czyn potrzebuje warg! Potrzebuje barda. Pieśniarza! Opiszę bunt, dam mu piękna funt! — wydarł się, aż spojrzeli nań przechodnie z dołu. — Idę! Ja, piewca!

\* \* \*

Tego dnia doszło do niespodziewanego rozejmu Grzegorza Antoniewicza z rodzicami. Młodszy z rodzeństwa przeprosił wciąż pogńiewaną siostrę. Od ojca usłyszał, że i tak walczyć z bronią w rękę nie może.

Grzechu przysłał więc z oddziałem skautów Wierzejewskiego u boku starszych towarzyszy: Fajfera oraz Hoffmanna. Nikomu jed-

---

<sup>19</sup> W gwarze poznańskiej: oferma, ciemięga.

nak nie meldował, wymykał się podczas sprawdzania stanu. Był na doczepkę — potrzebował pewnej elastyczności. Gdy nie podawał amunicji lub nie biegł gdzieś z informacją, wypełniał papier atramentem. Pisał panegiryki, pieśni, sonety — wzmacniał nimi *esprit de corps* drużyny. Smarował też lżejsze formy, którymi przy posiłku zabawiał dziesiątki powstańców. Tak minęło kilkanaście dni, na dobre i na złe. Grzechu był w transie twórczym. Nie liczył już czasu.

Nadejście nowego roku przeszło niezauważenie jak dzień powszedni, a później o rzeczy zapomniano. Dużo lepszą cezurą od sylwestra byłby dwudziesty siódmy grudnia. Trzech uczniów gimnazjum imienia Bergera wysyłano do kolejnych zadań, z których zawsze wywiązywali się celująco.

\* \* \*

Szósty dzień stycznia 1919 roku zastał powstańców na peryferyjnej ulicy Bukowskiej. Przebudzono ich wcześniej niż zwykle, jeszcze po ciemku. Pary poranne skradały się posuwicie, osadzając się w postaci szronu na wąsach dowódców. Mróz pokrył też jelce ich szabli, które stały się teraz kryształowe.

Dano komendę. Odmaszerowano.

Rzeka powstańców wypełniająca całą szerokość jezdni płynęła na zachód. Bez mówienia, bez tupania. Z przecznic łączyły się z nią nieskończone dopływy Wielkopolan. Mętnie, cicho. Nie intonowano piosenek. Tylko tajne przebieranie nogami oraz drzemiące chrapanie artylerii składało się na szmer całości. Ospałe maszyniska skrzyły w stronę Niestachowa i Woli. Szeptem rozkazano czekać. Wokół senny sad; słońce miało zaraz wzejść. Skauci oparli się plecami o korę, wciąż jeszcze kuszeni przez Morfeusza. Toczyła się powolna, płynna polemika nocy z dniem. Wiara trwała, przytulona do drzew, półświadoma położenia pomiędzy łagodnym spływem ulicami a gwałtem natarcia.



— Na ramię broń! — krzyknął nagle chorąży, budząc co poniektórych.

Chłopcy wzięli to, co mieli nieść: sprzęt wywiadowczy, skrzynkę z granatami i zwój kabla telegraficznego. Wschodni horyzont mienił się coraz bardziej na złoto. Za chwilę miał odbyć się szturm na poznańskie lotnisko.

— Za mną naprzód marsz! — rzekł dowódca.

Ruszyły zastępy powstańców. Przekroczyły linię drzew. Pierwszy strzał! Nie wstrzymał szarży... Biegli, ile sił w nogach, z każdym stawianym krokiem otrząsając się z resztek snu. Rozpoczęła się wymiana ognia.

— Pozycja!

Grzesiek z Fajferem skryli się za murem ogrodzenia.

— Artyleria!!! — krzyknął ktoś, zapowiadając bliskie uderzenie pocisku, które pozostawiło dźwięczny pisk w uszach.

Hoffmann został gdzieś z tyłu. Trwali w bezruchu przez parę sekund. Wskoczyli i ruszyli do nakazanego celu. Paręnaście metrów przed pierwszym hangarem znaleźli towarzysza, który właśnie skręcił kostkę. Na betonowym podłożu wybuchła beczka z paliwem, rozświetlając lica trójki. Krzyki, kanonady. Ktoś pchał samolot. Padł trup.

Wtem cisza. Nic. Głucho. Brak dźwięków prócz syczenia ognia. Jeszcze chwilę... Pojedynczy strzał i jęk! Skauci trwali w bezruchu jeszcze przez moment, aż usłyszeli gwizdek wieszczący koniec bitwy o lotnisko Ławica.

Dziesiątki Niemców wychodziły gęsiego na pas startowy. Przywódca negocjowali warunki bezpiecznego odesłania kapitulantów do domów. Słońce nareszcie wzeszło. Polacy gwizdali, wznosili okrzyki, wsadali za stery zdobytych maszyn. Mechanicy prowadzili wstępne oględziny łupu. Dwadzieścia sześć samolotów kosztem jednego zabitego.

Fajfer patrzył bezmyślnie w dal. Hoffmann leżał na plecach. Podwinął spodnie, by obserwować spuchnięcie. Grzechu siedział oparty plecami o szpulę kabla. Pośród radości zwycięstwa, jęku garści rannych, w triumfalnym wschodzie słońca i smrodzie spalenizny znalazł swą zielonooką mużę z Kaponiery. Tę jedyną białogłową pośród trzynastu czarnych byków. Delikatnie stąpała ku niemu po kryształowej trawie grzanej promieniami porannego słońca. Zbliżała się, choć zdawało się to nie mieć końca. Miała na sobie śliczny biały strój, niepasujący zupełnie do okoliczności. Przy pasku przypięła apteczkę, przy piersi — biało-czerwoną rozetę.

Grzegorz nie wiedział, czy bardziej cieszy się na widok dziewczyny, czy rozety.

*Poznań, marzec 2018 roku*





Magdalena Wasilewska  
**Ritterstrasse**

➤ Fotografia ślubna w Atelier C. Sikorskiego na tle imitującym wnętrze pokoju z oknem. Kobieta ubrana w białą suknię z welonem, mężczyzna w mundurze polskim.

— Panienska Maria to w końcu giry<sup>1</sup> sobie na tych schodach połamie! — krzyknęła stara Miszczakowa, machając miotłą.

Maria zapomniała, że jeden stopień miał niebezpieczne wgłębienie. Znowu się poślizgnęła. Złapała się poręczy i zaczęła schodzić spokojniej. Zerknęła na dozorczynię, której wzrok zdradzał dezaprobatę.

— Niech się pani nie martwi, pani Tereso — uspokoiła ją.

— No ja widzę, jak panienska tu hycy. Łe jery<sup>2</sup> kochany, wte i wewte. — Stara znalazła pretekst, żeby zagadać. — A w święta to też panienska gdzieś dylała<sup>3</sup>? — Wścibskie spojrzenie przewierciło Marię.

— A tak, miałam zaproszenie — odpowiedziała dziewczyna wymijająco. Chciała skończyć, ale Miszczakowa nie dawała za wygraną.

— Do tych Niemców, tak? — dopytywała. — Panienska to często tam do nich biega. A ja myślałam, że do Jeżewa się uda. Święta to i odpocząć można. I zjeść ździebko. I do kościoła pójść. To w domu panienska nie była?

---

<sup>1</sup> W gwarze poznańskiej: nogi.

<sup>2</sup> W gwarze poznańskiej: taaak, oj.

<sup>3</sup> W gwarze poznańskiej: tańczyć.

— Pani Tereso, muszę iść, potem — ucięła.

— No ja się nawet nie pytam, gdzie znowu tak gna — podsumowała. — Szal i kapelusz u panienki takie eleganckie. Ja nie pierduśnica<sup>4</sup>, ale wiara<sup>5</sup> gada.

Maria nie słuchała. Już po chwili podążała ulicą Naumanna. Grudniowy chłód mroził jej twarz i ręce. Owinęła się szczelniej białym futrzanym szalem, a dłonie włożyła w mufkę. Zimowy komplet był prezentem od wuja Franciszka i ciotki Heleny z Kościana. Dostała go trzy lata temu na podróż do Berlina. Przywoływał dobre wspomnienia i przypominał o przyszłej przeprowadzce do stolicy Niemiec, o której marzyła.

Za rogiem na Wittinga poczuła słodko-gorzki zapach cynamonu i czekolady. Mijała cukiernię. Za szybą leżały puszyste pączki i bułeczki. Wciąż była w świątecznym nastroju. Bożonarodzeniowa kolacja u Tanzlerów skończyła się około dwudziestej trzeciej. Maria wczorajszy dzień spędziła, leżąc i czytając. Teraz gnała na lekcje z Anne i Cosimą. Zajrzała do skórzanej torby przewieszanej przez ramię i upewniła się, czy na pewno zabrała ze sobą książki. Odetchnęła. Dwa tomiki Apollinaire'a, o które jeszcze przed świętami prosiła Cosima, były na miejscu. Uczennice uwielbiały bawić się, losowo wybierając wiersze, co nazywały wróżeniem z poezji. Maria wiedziała, że tym sposobem łatwiej przekona dziewczynki do francuskiego. Sama też czuła smak niespodzianki, wertując kartki książek.

Dotarła do placu Królewskiego. Gdyby się okazało, że czegoś zapomniała, jeszcze stąd mogła wrócić na stację, nie narażając się na spóźnienie. Woląла jednak iść przed siebie. Słońce łagodziło przedpołudniowe zimno. Oświetlało kamienicę Hirschberga, eksponując jej niderlandzką fasadę i zdobienia z czerwonej cegły. Lubiła ten

---

<sup>4</sup> W gwarze poznańskiej: plotkarka.

<sup>5</sup> W gwarze poznańskiej: ludzie, grupa ludzi.

wyjatkowy budynek z wieżyczką na dachu. Przechodząc przez plac Królewski, zerknęła na odciętą głowę Meduzy. Na szczycie imponującej fontanny Perseusz trzymał w górze trofeum. Maria wiedziała, że krew Meduzy była trucizną, a jednocześnie miała moc przywracania życia. Nieraz ją to zastanawiało.

Spojrzała na ogłoszenie zawieszane na słupie naprzeciw fontanny: *Tanie i dobre obiady dla delegatów Sejmu Dzielniceowego. Zapraszamy na koncerty do Cafe Intercontinental!* W Cafe Intercontinental była kiedyś z Tanzlerami. Walce i polki grano do sznycla wiedeńskiego. Nie podobało się jej. Po koncercie w berlińskiej operze nic nie brzmiało wystarczająco dobrze. Trzy lata temu, kiedy jechała powozem do Staatsoper przy Unter den Linden, zakochała się w Berlinie. Rodzina Tanzlerów, u której w Poznaniu została guwernantką, zabrała ją wtedy pierwszy raz do stolicy Niemiec. Zauroczyły ją ulice i kamienice oraz rozległy Tiergarten. Tak wielki jak centrum Poznania. Przynajmniej tak jej się wtedy wydawało.

— Maria, masz takie rozmarzone oczy! — Młodsza córka Tanzlerów przyglądała się jej.

— Anne, siedź spokojnie. — Próbowwała odwrócić uwagę.

— Tato, tato, Maria się rumieni! Widać, że nigdy nie byłaś w Berlinie — naśmiewała się z niej dziewczynka.

Maria poprawiła jasny kapelusz. Wiatr rozwiewał jej długie kruczoczarne włosy, za co była niezmiernie wdzięczna. Mogła się nieco za nimi ukryć. Jechali na premierę *Symfonii alpejskiej* opowiadającej o wspinaczkę górskiej. Chwilę później Maria zaczarowana patrzyła, jak gesty Straussa, dyrektora opery, wyzwały dźwięki ponad setki instrumentów, a te zamieniały się w żywe obrazy. Mogłaby przysiąc, że sama wspiwała się wtedy w górach. Rozpoczęła wędrówkę o świcie i zakończyła o zmierzchu. Rozrzedzone powietrze nie pozwalało oddychać. Biel śniegu oślepiała. Przeżyła euforię, zdobywając szczyt, i dramat z powodu burzy śnieżnej.



— Tylko nie rozumiem, po co się tak męczyć! — powiedziała doktorowa, kiedy wracali po koncercie do mieszkania Tanzlerów przy Kurfürstendamm.

— Nie wszystko musi mieć sens, moja droga — filozofował doktor.

— To z pewnością sensu nie ma. Wychodzić z ciepłego domu i narażać się na śmierć? — Kobieta miała już swoje zdanie.

Maria w zamyśleniu nie zauważyła, że zbliża się do skrzyżowania placu Wilhelmowskiego z Ritterstrasse. Na chwilę przystanęła, tracąc pewność, czy jest w dobrym miejscu. Niemal całą przestrzeń wypełniał tłum. Nigdy wcześniej nie widziała tu tylu ludzi. Postanowiła przejść na drugą stronę ulicy. Przytrzymała długą spódnicę i starała się jej nie pobrudzić. Używała tego gestu, kiedy czuła się niepewnie. Było sucho. Mimo zimowej pory nie padał śnieg. Ludzie na ulicy zachowywali się głośno.

— Mistrzu! Niech żyje Paderewski! — wykrzykiwali.

Jaki Paderewski? Przecież jego wizyta została odwołana, przypominała sobie rozmowę u Tanzlerów podczas świątecznej kolacji. Niemcy mieli go namówić na ominięcie Poznania. Kapitan Andersch miał go powstrzymać.

W tłumie zobaczyła dzieci. Były radosne. Wiele z nich unosiło polskie chorągiewki. Na niektórych był orzeł.

— Emilia?! — Wypatrzyła o trzy lata młodszą kuzynkę. — Emilia! — krzyknęła i pomachała, ale jej słowa utonęły w hałasie ulicy.

Ziębnięta blondynka musiała jednak usłyszeć, bo odwróciła się w jej stronę. Uśmiechnęła się, choć Maria nie była pewna, czy to wyraz życzliwości. Odmachała. Maria chciała podejść i spytać, co się dzieje, ale w tym momencie Emilę zasłoniła starsza kobieta w czarnym kapeluszu. Rozpoznała ciotkę. Kobieta była bardzo zajęta, bo nie zwróciła uwagi na krewną. Nerwowo gestykulowała i wydawała zuchom instrukcje. Marii nie udało się ponownie

odszukać kuzynki. Pomyślała, że ciotka Zofia jest w swoim żywiole, i w jednej chwili pojęła, dlaczego na Ritterstrasse było tylu skautów.

— Paderewski! Polska! Niech żyje Polska! — krzykali.

Język polski wybrzmiewał wyraźnie. Pomyślała o Jeżewie. Ciekawe, jak rodzicom minęły święta? Poczula smutek i coś jakby kamień na piersi. Z tym ciężarem skręciła w ulicę Święty Marcin. Zrobiła jeszcze kilka kroków i znalazła się przed okazałą kamienicą. Bywała tu trzy razy w tygodniu. Wchodząc na górę, poczuła zapach smażonych ryb. U Tanzlerów słychać było ożywioną dyskusję. Kiedy zapukała, głosy ucichły. Usłyszała podskoki którejś dziewczynki. Drzwi otworzyły się i przed Marią stanęła wysoka nastolatka o długich jasnych włosach, na których nosiła zrobioną z apaszki opaskę. Ciemnofioletowa suknia pasowała do jej niebieskich oczu. Delikatnej urody dziewczyna uśmiechała się, pokazując drobne białe zęby.

— Maria, masz Apollinaire'a? — Cosima wypytywała od progu. — Słyszałaś już? Ojciec mówi, że musimy jutro wyjechać do Berlina. Jedziesz z nami. Cieszysz się? — mówiła tak szybko, że Maria nie nadążała za nią. Uwielbiała żywiołowość dziewczyny, ale teraz, w jednej chwili, jej temperament stał się irytujący.

— Cosima, o czym ty mówisz? — Próbowała zrozumieć, zdejmując płaszcz.

— Tatuś ci wszystko opowie. Prosił, żebyś po lekcji zapukała do jego gabinetu — wyjaśniła.

W pokoju czekała Anne. Siedziała w czerwonym fotelu zapatrzona w okno. Blond loki opadały na granatową sukienkę tego samego kroju co ubranie siostry. Ich ubiór różnił się tylko kolorem i rozmiarem. Nie sposób było nie zauważyć, że dziewczynki są siostrami.

— Maria! — Anne rzuciła się z radością w stronę nauczycielki i przytuliła ją mocno. — Masz ochotę na herbatę?

Na małym stoliku przygotowano imbryk i białe filizanki malowane w czerwone maki. Na tacy leżał pokrojony strudel z nadzie-  
niem jabłkowym.

— Nie. Dziękuję, Anne. — Maria była zziębnięta, ale niepokój odebrał jej ochotę na gorący napój, przy którym zawsze plotkowały. Wołała skupić się na lekcji. Miały przed sobą cztery godziny nauki. Wyjęła z torby tomik poezji i podała go Cosimie. Ta, nie czekając na polecenie, zamknęła oczy, puszczając kartki w ruch.

— Stop! — Cosima położyła dłoń między stronami. Otworzyła oczy i przeczytała: — *Merlin et la vieille femme*. Merlin i stara ko-  
bieta — przetłumaczyła po chwili. — O czym to jest?

Zaczęły pracować. Lekcję skończyły gotowym tłumaczeniem wiersza.

— Na rozdrożu, gdzie oprócz róży wiatrów innych kwiatów nawet z kolcami świat umieścić nie śmiał, Merlin czyhał na życie i wieczną przyczynę, która sprawia, że ginie i rodzi się wszechświat — czytała Maria.

— Ten fragment podoba mi się najbardziej — przyznała Cosima.

Wiersze Apollinaire’a czytały częściej, od kiedy dowiedziały się, że zmarł tragicznie na hiszpankę w Paryżu. Było to dla nich najważ-  
niejsze wydarzenie z listopadowej prasy.

\* \* \*

Po lekcji Maria udała się do gabinetu pana domu, by z nim po-  
rozmawiać. Doktor siedział przy biurku.

— Chciał pan ze mną mówić.

— Tak, Mario. Poczekaj, proszę. — Dokończył pisać i odłożył  
pióro na bok.

Maria stała blisko drzwi niemal gotowa do ucieczki. Czują się  
nieszwojo. Tanzler od razu przeszedł do rzeczy.

— Sytuacja w Poznaniu jest niepewna. Cosima rozpocznie co  
prawda naukę w liceum w Berlinie dopiero we wrześniu, ale robi

się niebezpiecznie i nie możemy tu czekać do lata. Postanowiłem, że odeślę rodzinę. — Popatrzył na Marię. — Wyobrażam sobie, że zgodnie z ustaleniami pojedziesz z nimi.

— Ale doktorze, ja muszę do końca czerwca prowadzić zajęcia w gimnazjum Gertrudy Linke.

— Nie ma czasu na wątpliwości. Zwłoka może nas drogo kosztować. Musisz spakować najważniejsze rzeczy. Bądź jutro rano z powrotem. — Tanzler był stanowczy.

— Doktorze, mieliśmy przecież wyjechać latem. — Maria rozpaczliwie próbowała szukać jakiegoś rozwiązania, ale widziała, że decyzja została podjęta. Zresztą traciła pewność, bo wciąż słyszała niecodzienny hałas za oknem. Spróbowała jeszcze raz: — Ta dzisiejsza manifestacja... Żadna zawierucha się z tego nie urodzi, doktorze. Znam tych ludzi. Tam są dzieci — dodała.

Pomyślała o ciotce i wydało jej się niedorzecznością sądzić, że ta kobieta ze swymi harcerzami mogłaby przyczynić się do prawdziwego przewrotu. A już na pewno nie takiego, który mógłby mieć wpływ na rodzinę doktora czy przyszłość Marii.

— Albo przyjdiesz jutro, albo tu zostaniesz. — Niemiec pozostał nieubłagany.

Guwernantka wychodziła od Tanzlerów zagubiona. Jak to wyjechać? — pomyślała. Spakować się i jednego dnia pożegnać ze wszystkim? Jeśli wyjadę z Poznania bez słowa, mogę zapomnieć o pracy dla Frau Linke w jej gimnazjum. I dla każdego, kto jest ważny w tym mieście. Nie będę miała czego tutaj szukać. — Maria czuła, jak z bezsilności napływają jej do oczu łzy.

Odgłosy dobiegające z ulicy budziły jeszcze większy niepokój. Od rana coś się działo. Ludzie biegali, krzyczeli. Wiwatowali na cześć Paderewskiego, a jednocześnie odgrażali się Niemcom.

Na dole schodów dostrzegła małą smugę światła wpadającą przez szparę w drzwiach. Pociągnęła za klamkę i wyszła na chodnik.

— Dobry Boże... — wyszeptwała.

Tłum zatrzymał tramwaj. Ludzie stali na torach i blokowali drogę. Przy zadaszaniu, nad stopniami wozu, powiewała polska flaga. Marii przemknęło przez myśl, że powariowali.

Co za bite Polaki! Przecież Niemcy im tego nie zapomną, pomyślała i ruszyła ku Alejom Wilhelmowskim.

— Panienska to uważa, żeby w panienskę kto kamieniem nie ciepnał. — Usłyszała, mijając skład zegarmistrza Henzla.

Przed rozbitą witryną stało dwóch chłopców. Rudy, który ją zagadnał, trzymał rękę w kieszeni wypłowiałego płaszczka. Zgiął nogę w kolanie i paląc papierosa, nonszalancko oparł się o kamienicę. Jego kolega o zaczerwienionej nalanej twarzy nieufnie świdrował Marię wzrokiem. Dostrzegła wypomadowane i zaczesane do tyłu brudne blond włosy.

— Pilnuj swojego nosa! — rzuciła, z odrazą mijając chłopaków.

— O, panienska Polka! — zatriumfował elegancik.

Kawałki szyby leżały na chodniku. Z wnętrza salonu dobiegły ją głosy. Na wszelki wypadek odwróciła wzrok, przyspieszając. Chłopakom wyraźnie zebrało się na żarty, bo zaczęli się głupio śmiać.

— Nie chichraj się, ćwoku, bo panienska nerwowa. Nie widzisz?! — Usłyszała jeszcze za sobą.

Podbiegła kilka kroków. Już prawie Wilhelmowskie, pomyślała z ulgą.

Szła jeszcze chwilę wzdłuż kamienic na Sankt Martin Strasse. Niespełna sto metrów od niej pod kościołem Świętego Marcina dostrzegła wiernych. Niewielki ceglany budynek zdawał się tonąć w biało-czerwonych flagach. Przypomniała sobie o proboszczu Wiślańskim. Widziała go kilka razy u ciotki Zofii. Nieraz myślała, że z tymi swoimi tajemnicami mogliby być małżeństwem. Ale zawsze gryzła się w język po takich bluźnierstwach.

To pewnie sprawka księdza Stanisława. Że też ci ludzie się nie boją! — zastanawiała się, patrząc na tłum. Wydawało się jej, że roz-

poznaje polskie słowa pieśni, którą śpiewano pod kościołem. *Otaczał blaskiem potęgi i chwały i tarczą swojej zasłaniał opieki...* Nie była pewna słów, zresztą nie miała już szansy nasłuchiwać, bo w tej samej chwili rozległy się strzały.

Głupi ludzie! Zdenerwowała się. Tarcza ze słów przeciwko niemieckim karabinom? Doegrali się!

Przebiegła na drugą stronę. Za rogiem na Alejach ludzi było więcej. Pokażny tłum kłębił się pod Bazarem. Część zebranych krzyczała coś pod oknami hotelu, część biegła w jej stronę.

— Uciekaj! — krzyknęła kobieta, która na nią wpadła. — Strzelają!

Otwarte w owal usta Marii i wystraszone oczy wskazywały, że za chwilę — wzorem postaci ukazanych na reprodukcjach, które widziała w Berlinie — chwyci w swe dłonie przerażoną twarz. Sylwetka wykrzywi się i wraz z poznańską ulicą przybierze sinusoidalny kształt. Zdarzało się, że w trudnych chwilach wracały do Marii znajome obrazy, czasem groteskowe, jednak bliższe niż rzeczywistość, na którą nie była gotowa.

Kolejny świrdrujący dźwięk przywołał ją do rzeczywistości. Głosne wystrzały sprawiały ból. Zmarszczyła czoło, przymykając oczy. Czuła, jakby ktoś klaskał rytmicznie wewnątrz jej głowy.

To od strony placu i Ritterstrasse. Nie mogą tamtędy wrócić, pomyślała, wbiegając z przypadkowymi osobami w bramę. Miejsce wydało jej się znajome, ale dopiero po chwili rozpoznała podwórko kamienicy. Przy wejściu na klatkę schodową umocowano w ziemi małą rzeźbę w kształcie morskiej muszli. Maria bywała tu latem, kiedy wypełniona wodą misa miała przynosić mieszkańcom ulgę. Teraz na dnie kamiennego naczynia leżały zeschnięte liście.

— Francuskie wynalazki — syknęła ciotka Zofia któreś niedzieli po mszy w Marcinie, kiedy zabrały z Emilią Marię do siebie na obiad, a ona za bardzo ekscytowała się fontanną na dziedzińcu. Zo-

fia natychmiast zatrzymywała wszelkie objawy entuzjazmu, zanim przekroczyły akceptowalne dla niej granice dziewczęcej naiwności.

Ciotka i kuzynka mieszkały tu od trzech lat. Maria podniosła głowę. Wszystkie okna na czwartym piętrze były zamknięte. Z tej odległości i tak nie mogła zajrzeć do środka, ale wiedziała, że w mieszkaniu okno kuchenne wychodzi na podwórko. Nie miała wyboru. Musiała się u nich schować, by przeczekać, aż wszystko się uspokoi.

Ostatnio, gdy w Zaduszki na cmentarzu w Jeżewie widziała ciotkę, stara Zofia skarżyła na nią swojemu bratu.

— Maria za bardzo z nimi trzyma, jakby zapomniała, skąd jest — rozprawiała. — Jeszcze teraz, kiedy rosną nadzieje. Kiedy trzeba pokazywać, kim się jest. Jakby to, czego ją nauczyliśmy, poszło na marne. Za chwilę ci Niemca na zięcia sprowadzi. A wtedy nie licz na mnie, bo palcem nie kiwnę. I Świnynty Marcin jej nie pomoże.

Chyba ksiądz Stanisław — dodała w myślach dziewczyna, przysłuchując się gędzącej ciotce.

Ojciec miał jednak więcej wyrozumiałości, bo tego wieczoru przed jej wyjazdem do Poznania nie wrócił do rozmowy, choć Maria tego się spodziewała. Zawsze słuchał starszej siostry i nawet kiedy się z nią nie zgadzał, przytakiwał, żeby nie drażnić matrony. Zofia od dawna oceniała bratanicę surowo. Krewna opiekowała się polskimi dziećmi i młodzieżą. Potajemnie uczyła języka polskiego. Prowadzenie stowarzyszenia było dla niej święte i kwestia uczuć Marii przegrywała ze sprawą państwową. Nie podobało się ciotce, że przez pracę w niemieckim domu bratanica traci dystans i nie udziela się społecznie jak kiedyś. Dziewczyna chciała być niezależna. Uznała, że ma prawo do własnych wyborów. Poza tym pamiętała Zofię radośniejszą, gdy ta jeszcze wierzyła, że wspólną pracą można zbudować dobrą przyszłość. Ciotka rzecz jasna zawsze przeciwstawiała się Niemcowi, jednak była rozumna, więc nie pochwalała ślepych emocji i gwałtownych rozwiązań. Kiedyś często zastępowała Marii

rodziców, szczególnie w pierwszych latach nauki w Poznaniu. Ale wtedy była inna. Potrafiła się śmiać.

Maria uwielbiała historię sprzed wielu lat, gdy krewna ze śmiechu omal nie spadła z drabiny stojącej przy jabłonce w sadzie rodziców. Staremu Marychowi, który pomagał przy zbiorach, dziewczynki zrobiły dziurę w koszu. Część jabłek lądowała na trawie, co Marych dostrzegł zdecydowanie za późno, tracąc mnóstwo czasu na bezsensowną pracę. A może oboje z Zofią wiedzieli wtedy o dziewczęcych żartach, ale niepisana umowa nakazywała im dać dzieciom odrobinę radości? Wspomnienia tamtych dni w sadzie ogrzewały Marię zimą. Jednak od dłuższego czasu ciotka wydawała się zbyt surowa, wręcz obłąkana, więc dziewczyna starała się jej unikać. Ostatni raz była u niej we wrześniu na urodzinach Emilii. Zapomniała już o drażniącym zapachu stęchlizny na klatce przy Wilhelmowskich. Dopiero teraz, wchodząc po schodach, zauważyła, że nie ma białego szala, po który sięgnęła, żeby zasłonić się przed ciężkim powietrzem.

— Oj, nie! To niemożliwe — jęknęła z żalu.

Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go zgubiła. Ręką na próżno dotykała płaszcza. Odwróciła się jeszcze, ale na schodach nie było niczego poza mokrymi mazistymi plamami. Pomyślała, że to zły znak. Przygnębiona wspięła się na górę.

Drzwi do mieszkania ciotki były uchylone. Zastukała, ale chyba za cicho, bo nikt nie zareagował. Zapukała ponownie, tym razem mocniej. Spodziewała się kroków, ale za drzwiami wciąż nikt się nie ruszał.

Co one znowu knują? — spytała siebie w myślach, przekonana, że spiskują.

Weszła. Na podłodze w holu leżały niedbale rzucone ubrania. Długi korytarz kończył się wejściem do kuchni. W mieszkaniu znajdowały się jeszcze sypialnie obu kobiet oraz nieduży salon. Maria przeszła w głąb domu. Na ziemi zauważyła krople krwi. Chciała przełknąć ślinę, ale miała zbyt sucho w ustach.



Usłyszała coś jakby jęczenie. Odgłosy dochodziły z salonu. Na sofie w otoczeniu ciotki, jakiejś kobiety i starszego mężczyzny leżała Emilia. Wyglądała na chorą. Oczy miała zamknięte. Ciotka położyła dłoń na jej głowie, ale nawet nią nie dała rady zasłonić bólu widocznego na zmarszczonym czole. Z lekko otwartych ust Emilii wydobywał się jęk. Jej koszulę rozpięto do wysokości piersi, a gorset rozsznurowano. Stara kobieta przykładła opatrunek pod lewym obojczykiem dziewczyny. Kiedy podniosła rękę, by go zwilżyć, Maria zobaczyła krwawiącą ranę. Woda w wiadrze przybrała ciemniejszy kolor.

— Jezu! Emilia, co się stało?! — krzyknęła, burząc ciszę w pokoju.

Kuzynka spróbowała otworzyć oczy, ale na jej twarzy pojawił się tylko grymas bólu.

— Ciszej! — syknął mężczyzna, w którym dopiero teraz Maria rozpoznała sąsiada ciotki. Zdarzyło jej się mijać go na schodach, kiedy szła w odwiedziny. Zazwyczaj łagodny, teraz ruszył w jej stronę. W jego przygaszonych oczach zobaczyła lęk i złość.

— Zostaw ją, Karolu! — wycedziła gospodyni. — To moja bratanica. Co tu robisz? — Spojrzała na Marię.

— Co się stało? Co z Emilią? Na dole strzelają. Nie miałam dokąd pójść.

— I dlatego o nas sobie przypomniałaś? — rzuciła ciotka z ironią. — W Boże Narodzenie zapomniała, gdzie mieszkamy. Kiedy opłatkiem trzeba było się po polsku dzielić, to jej nie było, a teraz schronienia szuka!

— Ale ciociu...

— Ojciec nie potrafił ci przemówić do rozsądku, to może mnie się uda. Choć już za późno. Widzisz, co ci twoi Niemcy Milci zrobili? Dumna jesteś? Córka moja jedyna! Gdzie ja lekarza teraz znajdę? A ta pyta, co się stało!

Maria spuściła wzrok. Chciała zaprzeczyć z całych sił. Przekonać, że nie ma z tym nic wspólnego, ale stała nieruchomo wpatrzona w podłogę. Poczwała zapach choinki.

Tylko świerk może tak pachnieć! — pomyślała.

Podniosła oczy. Na stole leżało kilka zielonych gałązek, które zostały po świętach. Igliwie wypełniało pokój świeżym zapachem lasu.

— Słuchasz, co się do ciebie mówi? — Nerwowy głos ciotki wyrwał ją z zamyślenia.

Dziewczyna spojrzała na kuzynkę. Miała wrażenie, że widzi, jak ta zaciska dłoń i próbuje podnieść rękę, jakby prosiła, by matka przestała mówić.

— Nie pomożesz nam. Przeszkadzasz tu. — Zofia znalazła winnego.

Maria widziała przerażoną siostrę ojca, która wyładowywała na niej swój gniew. Mimo to nie chciała zostawić Emilii w takim stanie.

— Ciociu, chciałabym coś zrobić!

— Niby co, moja droga? — zapytała krewna z przekąsem. — Patrzeć, jak mi się dziecko wykrwawia?

— Pobiegnę po doktora Tanzlera. Mieszka niedaleko. Za kilka minut będę z powrotem.

— Nie bądź naiwna! Jeden Niemiec strzela, a drugi biegnie z pomocą? Tak to widzisz? Akurat! To powstanie, dziewczyno! A nawet gdyby — rzuciła zaciekle — niepotrzebni tu żadni Niemcy! Chcemy, żeby wreszcie stąd poszli! — Ciotka skierowała ramię w stronę drzwi, wskazując drogę do wyjścia. Patrzyła jeszcze przez chwilę na dziewczynę, by znów przykucnąć przy sofie.

Marii ostatnie spojrzenie ciotki wydało się puste. Jakby zobaczyła śmierć. Stała w tym samym miejscu jeszcze przez chwilę.

— Wróć zaraz! Zobaczysz, pomożemy Mili! — Zerwała się i wybiegła.

W holu i na schodach było ciemno. Na zewnątrz zapadał zmierzch. Małe szyby na klatce nie przepuszczały wystarczająco światła, by

oświecić wewnątrz. Maria wiedziała, że liczy się czas. Czuli ogromny żal. Uciekając do krewnych, chciała uwolnić się od lęku. Liczyła, że schowa się przed chaosem. Jak podczas wspinaczki na górski szczyt, gdy zgiełk zostaje w dole. A teraz niosła prawdziwy ciężar. Nie mogła pozbyć się widoku wykrzywionej grymasem bólu twarzy Emilii. Nie chciała jej stracić. W dzieciństwie wiele czasu spędzały razem, głównie w wakacje i w święta w Jezewie. Latem kąpały się w rzece, zimą objadały makiełkami. Tegoroczne Boże Narodzenie Maria po raz pierwszy spędziła poza rodzinnym domem. W jakże innym nastroju niż w tej chwili szła dwa dni temu do domu Tanzlerów na zaproszenie gospodarzy. Wtedy była szczęśliwa. Teraz w jej głowie zamieszkał zamęt podobny do tego na Wilhelmowskich. Na ulicy słychać było pokrzykiwania. Pod Bazarem stali ludzie. Jacyś wojskowi zmierzali w kierunku placu Wilhelmowskiego.

— Doktor pomoże Emilii — powtarzała z nadzieją. — Doktor uratuje Emilię.

Nieraz widziała ludzi przychodzących do Tanzlerów z prośbą o pomoc. Medyk przyjmował w wojskowym lazarecie na Królewskiej oraz w punkcie sanitarnym na Chwaliszewie, które od zawsze zamieszkiwali głównie Polacy. W nagłych przypadkach nie odmawiał konsultacji nawet w domu. Zszywał rany, oglądał zmiany skórne, nastawiał kości, a potem odsyłał na kontrolę do szpitala w godzinach swojej pracy. Kiedyś wyciągał gwóźdź ze stopy chłopaka z sąsiedztwa. Dzieciak darł się przeraźliwie, ale jeszcze głośniej wydierała się jego matka. Chciała, żeby przestał krzyczeć. Ostatecznie Maria musiała przerwać lekcje i zabrać dziewczynki na spacer w stronę Zamku Cesarskiego. Po drodze zaszły do cukierni w Bismarck-Tunnel na produkowane w tamtejszej wytwórni cukierki. Teraz dobiegał stamtąd przerywany odgłos strzelaniny.

Wracała tą samą drogą, którą pokonała kilka kwadransów temu. Obok składu zegarmistrza spostrzegła szal. Futro, które kie-

dyś było białe, podeptano. Zniszczone i brudne leżało na ziemi. Poczwała pustkę. Nie miała zamiaru po nie sięgać. Szal nie należał już do niej. Podobnie jak przestawały do niej należeć marzenia o wyjeździe.

Wbiegła do kamienicy Tanzlerów. Jak najszybciej musiała znaleźć doktora. W środku panował mrok, co ją zaskoczyło. Dotąd w korytarzu zawsze świeciła się lampa elektryczna, a teraz żarówka była martwa. Dziewczyna ostrożnie postawiła stopę na pierwszym stopniu. Musiała uważać. W długiej wąskiej spódnicy nie mogła ani przyspieszyć kroku, ani po męsku przeskakiwać po dwa stopnie za jednym zamachem. Trzymając się poręczy, dotarła na piętro i uderzyła pięścią w drzwi. Nie było czasu na grzeczne pukanie. Gdy załomotała po raz drugi, odpowiedziały jej kroki.

Po chwili w progu stanęła Frau Grotze.

— Panienska znowu... — Nie zdążyła dokończyć, bo Maria odpchnęła ją, wbiegając do środka.

— Pani Stefo, muszę pomówić z doktorem!

— Ale doktor zajęty, paniensko Mario! — Służąca próbowała zastrzymać guwernantkę, która nie zwracając na nic uwagi, chwyciła za klamkę i wpadła do gabinetu.

— Moja kuzynka umiera! Trzeba jej pomóc! — wykrzyknęła, podbiegając do siedzącego za biurkiem doktora.

Tanzler przyglądał się jej zdziwiony.

— Doktorze! Moja kuzynka umiera! — powtórzyła, jakby to, co powiedziała za pierwszym razem, do niego nie dotarło. — Nie wiem, co mam robić! Nie znam nikogo innego! Tylko pan może pomóc!

Mężczyzna poprawił okulary i wstał. Był bardzo wysoki, więc wcale nie przypominał jej ojca.

— Emila. Moja kuzynka. Córka ciotki Zofii. Ona umiera. Potrzebny jest lekarz. Doktorze. Doktorze, proszę — powtarzała ze łzami w oczach.

— Dziewczyno, nie rozumiesz, że mogą nas zabić? Na co ty nas narażasz?

— Doktorze! Ona umiera! Obiecałam, że pana przyprowadzę — wyszeptala łamiącym się głosem.

Niemiec poruszał głową, jakby sam nie dowierzał, że sięga po torbę lekarską stojącą na stoliku pod oknem. Dziewczyna poczuła, że rozumiał, z jak ważną sprawą przybiegła. Chciała mu się rzucić na szyję i podziękować.

— Zostałem wezwany do punktu opatrunkowego. Jestem potrzebny na Królewskiej. Jutro wysyłam rodzinę do Berlina. Jak mówiłem, możesz jechać z nimi. — Z górnej półki kredensu wyjął brązową butelkę z płynem, a z szuflady niżej metalowy skalpel. Włożył wszystko do torby i skierował się ku drzwiom.

— Maria! Jesteś! Tak się bałam! — Anne wbiegła do gabinetu. Objęła Marię, nie przestając mówić: — Wróciłaś! Jutro wyjeżdżamy. Jedziesz z nami. Tatuś powiedział, że rzeczy nam przywiozą. Mamy zabrać tylko to, co najważniejsze. Przeczekamy w Berlinie, zanim wuj Filip zrobi tu porządek. Podobno ktoś się zbuntował.

— Anne, ja chyba nie pojadę... — wyszeptala guwernantka, przełykając łzy. — Muszę zostać. Moja kuzynka jest ranna. Umiera. Przyszłam prosić doktora o pomoc.

Dziewczynka wypuściła Marię z uścisku i spojrziała na ojca. Nic nie mówiła. W pokoju słychać było tylko płacz Marii. Tanzler spojrział na córkę i westchnął głęboko.

— Idziemy — rzucił krótko. — Pospiesz się, zanim się rozmyślę.

— Doktorze! — zawołała za nim Frau Grotze, gdy wychodzili na schody.

— Na pewno wrócę! — odpowiedział już z korytarza.

Mężczyzna niemal biegł. Maria próbowała nadążyć, ale cały czas trzymała się kilka kroków za nim. Będzie dobrze, powtarzała w myślach. Była pewna, że Tanzler uratuje Emilię.

Na ulicy było już ciemno. Gazowe lampy tonęły w mroku. Maria rozejrzała się za latarnikiem, który o tej porze powinien już tu być. Nie widziała nikogo, kto rozświetliłby ulicę.

— Aleje Wilhelmowskie, wysoka kamienica z wykuszem na pierwszym piętrze — przekazała adres, doganiając doktora.

— A gdzie szwabiki się wybierają? — Jak spod ziemi wyłonił się człowiek w płaszczu i zagroził im drogę.

Maria rozpoznała wypomadowanego typu spod witryny zegarmistrza.

— Przepuść nas! — syknęła.

Nagle obok stanęło jeszcze dwóch. Blondyn złapał ją za rękę i przytrzymał.

— Nie puszczasz się chyba z Niemiaszkiem, co? — Zaśmiał się szyderczo.

Dziewczyna poczuła jego ciężki oddech.

— Mario! — Tanzler próbował wyminąć chuliganów i pociągnął ją za rękaw.

Udało jej się wyrwać oprychowi. Przyspieszyli kroku. Dziewczynie wydawało się, że doktor biegnie teraz za nią. Odwróciła się dopiero po chwili. Tanzlera nie było. Nie rozumiała, co się stało, aż kilka metrów dalej zauważyła, że ktoś leży na chodniku. Pojęła, że to doktor Tanzler. Zbliżając się do niego, minęła kamień, który potoczył się aż pod ścianę budynku. Spojrzała na Niemca. Upadł przy krawędzi chodnika. Leżał twarzą do ziemi. Z jego głowy sączyła się krew. Spływała po krawężniku. Płynęła niespiesznie, równo wypełniając zagłębienia pomiędzy brukowymi kostkami.

Maria stanęła. Nie miała już dokąd uciekać. Patrzyła przed siebie. Nie widziała doktora. Nie widziała Anne, która kilka kamienic dalej wyglądała przez okno, wypatrując powrotu ojca. Nie widziała oddziału niemieckich żołnierzy, który pojawił się właśnie od zachodniej strony Świętego Marcina, by zrobić z Polakami porządek.



## Biogramy

### Nauczyciele

#### Piotr Bojarski

pisarz i dziennikarz „Gazety Wyborczej”, autor cyklu kryminałów retro (m.in. *Kryptonim Posen, Mecz, Pętla, Arcymistrz*), a także powieści *Ściema, Juni* (o Czerwcu 1956), *Biegacz* i *Pokuszenie*. Akcja jego najnowszej książki *Cwaniaki* rozgrywa się w 1918 roku — m.in. w trakcie powstania wielkopolskiego. Jej bohaterami są autentyczni powstańcy Józef Jęczkowiak i Franciszek Jach, a także wiele innych postaci wielkopolskiej insurekcji z 1918 roku.

#### Sylwia Chutnik

pisarka, publicystka i działaczka społeczna. Laureatka Paszportu Polityki, trzykrotnie nominowana do Nagrody Literackiej Nike. Jej książki zostały przetłumaczone na dziewięć języków. Doktor nauk humanistycznych.

#### Przemysław Semczuk

pisarz, dziennikarz, publicysta. Zajmuje się głównie historią PRL. Publikował na łamach tygodników „Newsweek” i „Wprost”, obecnie współpracuje z miesięcznikiem „Wysokie Obcasy Extra”. Autor książek *Czarna wołga. Kryminalna historia PRL*, *Maluch. Biografia*, *Zatajone katastrofy PRL*, *Magiczne dwudziestolecie*, *Wampir z Zagłębia*, *Kryptonim Frankenstein* i *Tak będzie prościej*. Dwukrotnie Laureat Nagrody Prezydenta Lublina — Kryształowej Karty Polskiego Reportażu.



## Pozostali autorzy

**Maria Elżbieta Budzyńska** — rocznik '05, uczennica szkoły podstawowej w Gnieźnie. W mieście tym mieszka od urodzenia. Opowiadanie o powstaniu wielkopolskim jest jej debiutem, który — jak dotąd — uważa za swoje największe osiągnięcie.

**Joanna Ciechanowska-Barnuś** — polonistka, zawodowo związana z edukacją i doskonaleniem nauczycieli. Jest absolwentką Szkoły Liderów PAFW, była radną Sejmiku Województwa Wielkopolskiego IV kadencji. Aktywnie działa w sektorze pozarządowym, angażując się w projekty społeczne, między innymi wspierające udział kobiet w życiu publicznym oraz prawo osób w wieku dojrzałym do aktywności i rozwoju. Dla równowagi pisze blog [www.senioralki.blogspot.com](http://www.senioralki.blogspot.com).

**Anna Czachorek** — siedemnastolatka z Krotoszyna, uczennica liceum. Chociaż opisuje siebie raczej jako umysł ścisły i żyje w lepszych stosunkach z matematyką niż z przedmiotami humanistycznymi, w wolnych chwilach z przyjemnością bierze długopis do ręki i zaczyna pisać. Historia o powstaniu wielkopolskim jest jej szczególnie bliska — pradziadek Ani brał udział w walkach.

**Tomasz Genow** — poznanianin, rocznik '91, absolwent filozofii. Aktualnie pracuje w korporacji na stanowisku konsultanta technicznego z językiem niemieckim i bułgarskim. W Poznaniu tworzył murale z wierszami. Sam też pisze wiersze i występuje na slamach. Interesuje się historią i językiem.

**Przemysław Godyla** — z zamiłowania historyk, w wolnych chwilach rekonstruktor. Pisze niewiele, wiele czyta. Nie lubi herbaty, mieszka w Poznaniu.

**Magdalena Hrycz** — wzrost — niski, wiek — średni, miłość do literatury — ogromna. Ukończyła Uniwersytet im. Adama Mickiewicza i Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu. Mimo że kawał życia pracowała w bankowości i instytucjach finansowych, w głębi duszy woli słowa niż cyfry. Poza czytaniem ma jeszcze jedną pasję — rękodzieło. Wykorzystuje stare techniki koronkarskie, ale używa nowoczesnych materiałów, na przykład tych z marketów budowlanych. Mieszka w Poznaniu i póki co nie zamierza się stąd ruszać.

**Jagoda Jabłońska** — tegoroczna maturzystka pilskiego liceum. Przygodę z pisaniem rozpoczęła już w szkole podstawowej. Ukończyła Międzyszkolne Regionalne Warsztaty Dziennikarskie oraz Studium Reportażu w Bydgoszczy. Jej autorskie słuchowisko radiowe zostało wyemitowane na antenie polskiego Radia Pomorza i Kujaw. Jest laureatką I miejsca w wojewódzkim konkursie na reportaż o stanie wojennym. Swoje teksty publikowała w ogólnopolskich czasopismach: „Pod Wiatr”, „Cogito” oraz „Outro — wychodzimy poza schemat”.

**Dorota Kotas** — rocznik '94, studiowała socjologię stosowaną i antropologię społeczną w ISNS na UW. Publikowała opowiadania w „Nowych Peryferiach” i „Wizjach”. Wygrywała różne ważne konkursy. W tej chwili pracuje nad swoją książką, która ukaże się już niedługo. W Poznaniu najbardziej kocha palmiarnię. Kiedyś w niej zamieszka, jeśli zbije fortunę na literaturze.

**Damian Kruczkowski** — rocznik '82. Urodzony w Koninie, mieszka i pracuje w Poznaniu. Działacz społeczny i miejski aktywista, z zamiłowaniem historyk i regionalista. Walczący, by lokalną historią zainteresować jak najszersze grono. Człowiek wielu pasji, działa m.in. w Towarzystwie Przyjaciół Konina, Stowarzyszeniu Akcja Konin, Wielkopolskim Stowarzyszeniu Na Rzecz Ratowania Pamięci

FRYDHOF i Stowarzyszeniu Łazęga Poznańska. Wraz z FRYDHOF inicjuje i prowadzi akcje renowacji ewangelickich cmentarzy większych z terenu wschodniej Wielkopolski. Publikuje w „Koninianie” i „Miasteczku Poznań”. Pisze artykuły wspomnieniowo-historyczne, odkrywając wielokulturową historię Konina.

**AleXander Mielczyński** — czterdziestolatek. Z zawodu architekt, z ducha człowiek wolny, z zamiłowania harcerz. Rezyduje na wsi, hen daleko, za Notecią, gdzie jako rolnik amator próbuje prowadzić małe gospodarstwo. Miłośnik rzeczy analogowych, dobrych kryminałów, najlepszej fantastyki i przedwojennej literatury poradnikowej. Mąż jednej żony, ojciec sześciorga dzieci, dla których i dzięki którym pisze to, co pisze.

**Emilia Teofila Nowak** — poznanianka (rocznik ’92). Zadebiutowała powieścią *Piromani* (2015), traktującą o dylematach wchodzących w dorosłość studentów jednego z poznańskich akademików. Aktualnie ukończyła prace nad drugą książką, dalej publikuje (m.in. opowiadanie *O trzech wykastrowanych kotach* w kwartalniku „Fabularie” nr 4/2017) i prowadzi blog fabrykadygresji.pl, na którym opiera własną działalność. Uwielbia prozę Johna Irvinga. Feministka. Lubi kwiaty w doniczkach, czerwień, góry i bieganie.

**Joanna Nowak** — urodzona w Strzelnie, od ponad 10 lat mieszka w Poznaniu. Ukończyła Uniwersytet im. Adama Mickiewicza na kierunku administracja, obecnie pracuje jako księgowa. „Książkoholiczka”, każdą wolną chwilę spędza na czytaniu albo pisaniu. Uwielbia powieści obyczajowe, kryminały, fantastykę i swojego psa. Ceni czas spędzony z rodziną, dlatego chętnie powraca w rodzinne strony. Początkująca pisarka, obecnie pracuje nad swoją drugą książką.

**Anna Pacyna** — rocznik '02, uczennica III Liceum Ogólnokształcącego w Ostrowie Wlkp. Kocha jesień, pisanie i czytanie książek przy kubku gorącej herbaty. Pisać zaczęła w podstawówce i robi to do dziś.

**Rafał Pawlak** — rocznik '84. Wychowany na komiksach i horrorach, fan Stephena Kinga. Dwukrotny laureat konkursu na opowiadanie kryminalne lub sensacyjne w ramach MFK we Wrocławiu, gdzie pod okiem Marcina Wrońskiego oraz Katarzyny Bondy szlifował swoje umiejętności. Jego opowiadanie fantastyczne *Kto się nie rusza, zostaje w tyle* ukazało się w antologii *Złoczyńcy w uzdrowisku 2*. Pracuje w poznańskiej agencji marketingowej. Nadal nie wie, czym jest jego własna mroczna wieża, ale wie, że chciałby ją napisać.

**Jakub Skibiński** — rocznik '86, z wykształcenia magister inżynier, z zamiłowania pisarz, tekściarz i muzyk. Przez 9 lat lider poznańskiego heavymetalowego zespołu M.o.s.s.a.D (w zespole był wokalistą, gitarzystą, tekściarzem i współkompozytorem). Zespół tworzył utwory historyczne, nawiązujące do ważnych wydarzeń z dziejów Polski. Kryminał, thriller, science fiction, fantastyka to jego chleb powszedni, zarówno w literaturze, jak i filmie. Uzależniony od zabaw z synem, czytania książek i gry w szachy.

**Ewa Spławska** — radca prawny. Absolwentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na co dzień zajmuje się prawem rodzinnym i medycznym. Laureatka konkursów na opowiadanie kryminalne w latach 2015 i 2016 oraz konkursu na treatment filmowy w roku 2017 w ramach Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu. Debiutowała opowiadaniem *Wokanda*, które ukazało się w magazynie literacko-kulturalnym „Chimera” w 2015 roku, wśród najciekawszych tekstów w ramach konkursu Otwartym Tekstem.

**Kamil Tułaza** — student filologii polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Na brak zajęć nie narzeka. Instruktor harcerski Poznańskiej Czarnej Trzynastki, odpowiedzialny m.in. za organizację akcji na rzecz osób poszkodowanych przez nawałnice w 2017 roku. Autor bloga. Fascynat autostopu, żuźła, spadochroniarstwa oraz innych okazji do zrobienia sobie krzywdy. *Piewcę* napisał jeszcze jako uczeń klasy maturalnej V Liceum Ogólnokształcącego im. Kludyny Potockiej w Poznaniu.

**Magdalena Wasilewska** — urodziła się pod koniec lat 70., kiedy słońce zaczęło zmieniać krajobraz zimy stulecia. Ukończyła polonistykę i filmoznawstwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Studiowała także marketing i to z nim związała się zawodowo na kilkanaście lat, odpowiadając za wizerunek i komunikację marek. Zafascynowana różnorodnością i nieprzewidywalnością świata, szczególnie od kiedy w jej domu pojawił się dodatkowy chromosom. Mama Nadii i Kaliny. Nieustannie odkrywająca swoją kobiecą tożsamość.



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA  
WIELKOPOLSKIEGO**



## **Posłowie Marszałka Województwa Wielkopolskiego**

Szanowni Państwo,

jesteście po lekturze zbioru opowiadań, będących efektem warsztatów literackich, zrealizowanych z inicjatywy Samorządu Województwa Wielkopolskiego. Tłem tych utworów stało się powstanie wielkopolskie, od wybuchu którego mija właśnie 100 lat. 26 grudnia 1918 roku do Poznania przyjechał Ignacy Jan Paderewski, pianista i kompozytor, ale też — a może przede wszystkim — działacz niepodległościowy. Przywitały go tłumy Wielkopolan. Paderewski wygłosił przemówienie, w którym podkreślił, że w Poznaniu pojawił się jako symbol pewnej idei — WOLNOŚCI. Już następnego dnia ci, na których słowa tego wielkiego Polaka wywarły największe wrażenie, rozpoczęli zbrojny zryw i padły pierwsze strzały. Dwa dni później

w rękach powstańców był już prawie cały Poznań. Do połowy stycznia 1919 roku wyzwolona została większa część regionu, a powstanie zapisało się w historii naszego kraju jako jedno z zaledwie kilku zwycięskich zrywów. Wpłynęło ono istotnie na przebieg dotychczasowej zachodniej granicy Polski, a większość terenów Wielkopolski znalazło się w jej obrębie.

Tom *Powstanie'18. Opowiadania Wielkopolan* ukazuje te doniosłe historyczne wydarzenia z perspektywy ówczesnie żyjących Wielkopolanek i Wielkopolan. To oni je zorganizowali i brali w nim udział. W większości są to postaci fikcyjne, bohaterowie literaccy. Imiona i nazwiska nadali im autorzy opowiadań — współcześni mieszkańcy Wielkopolski. Właśnie dzięki tym literackim kreacjom powstańcze idee stają się nam dziś bliższe, łatwiejsze do zrozumienia. Możemy je nie tylko zracjonalizować, ale i poczuć.

Polecam Państwu tę książkę, którą Samorząd Województwa Wielkopolskiego przygotował z myślą o potrzebie nieco odmiennej formy uczenia pamięci o powstaniu i powstańcach. Za cel postawiliśmy sobie spopularyzowanie wiedzy o historii sprzed 100 lat wśród mieszkańców naszego regionu oraz kraju. Chcemy, aby powstanie wielkopolskie było obecne w pamięci historycznej wszystkich Polaków. Utrwalając pamięć o tym, jaką drogą Wielkopolska zmierzała w kierunku własnej niepodległości, uczymy się ją nie tylko doceniać, ale także nieustannie wspólnie o nią dbać.

Marek Woźniak  
Marszałek Województwa Wielkopolskiego

## Spis treści

Sto lat temu... ..	5
Piotr Bojarski, <i>Incydent w Royalu</i> .....	9
Maria Elżbieta Budzyńska, <i>Słowianka</i> .....	23
Sylwia Chutnik, <i>Powstań, draniu</i> .....	45
Joanna Ciechanowska-Barnuś, <i>Lekcja</i> .....	63
Anna Czachorek, <i>Szczęśliwego polskiego roku</i> .....	83
Tomasz Genow, <i>Poznański zryw</i> .....	91
Przemysław Godyla, <i>Z rąk do rąk</i> .....	107
Magdalena Hrycz, <i>Aniela</i> .....	127
Jagoda Jabłońska, <i>Poczytaj mi, dziadku</i> .....	145
Dorota Kotas, <i>Biało-czerwone</i> .....	155
Damian Kruczkowski, <i>Cieniutka teczka życia</i> .....	171
AleXander Mielczyński, <i>1918. Śmiały. Początek</i> .....	187



Emilia Teofila Nowak, <i>Niepokonana Helena Stein</i> .....	209
Joanna Nowak, <i>Mój grudzień 1918 roku</i> .....	231
Anna Pacyna, <i>Zapomniana historia</i> .....	249
Rafał Pawlak, <i>Zryw</i> .....	267
Przemysław Semczuk, <i>Lecimy, panowie!</i> .....	289
Jakub Skibiński, <i>Sobowtór</i> .....	309
Ewa Splawska, <i>A po wojnie pójdziemy na Plajtę</i> .....	327
Kamil Tułaza, <i>Piewca</i> .....	357
Magdalena Wasilewska, <i>Ritterstrasse</i> .....	379
Biogramy.....	399
Posłowie Marszałka Województwa Wielkopolskiego .....	405



SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA  
WIELKOPOLSKIEGO

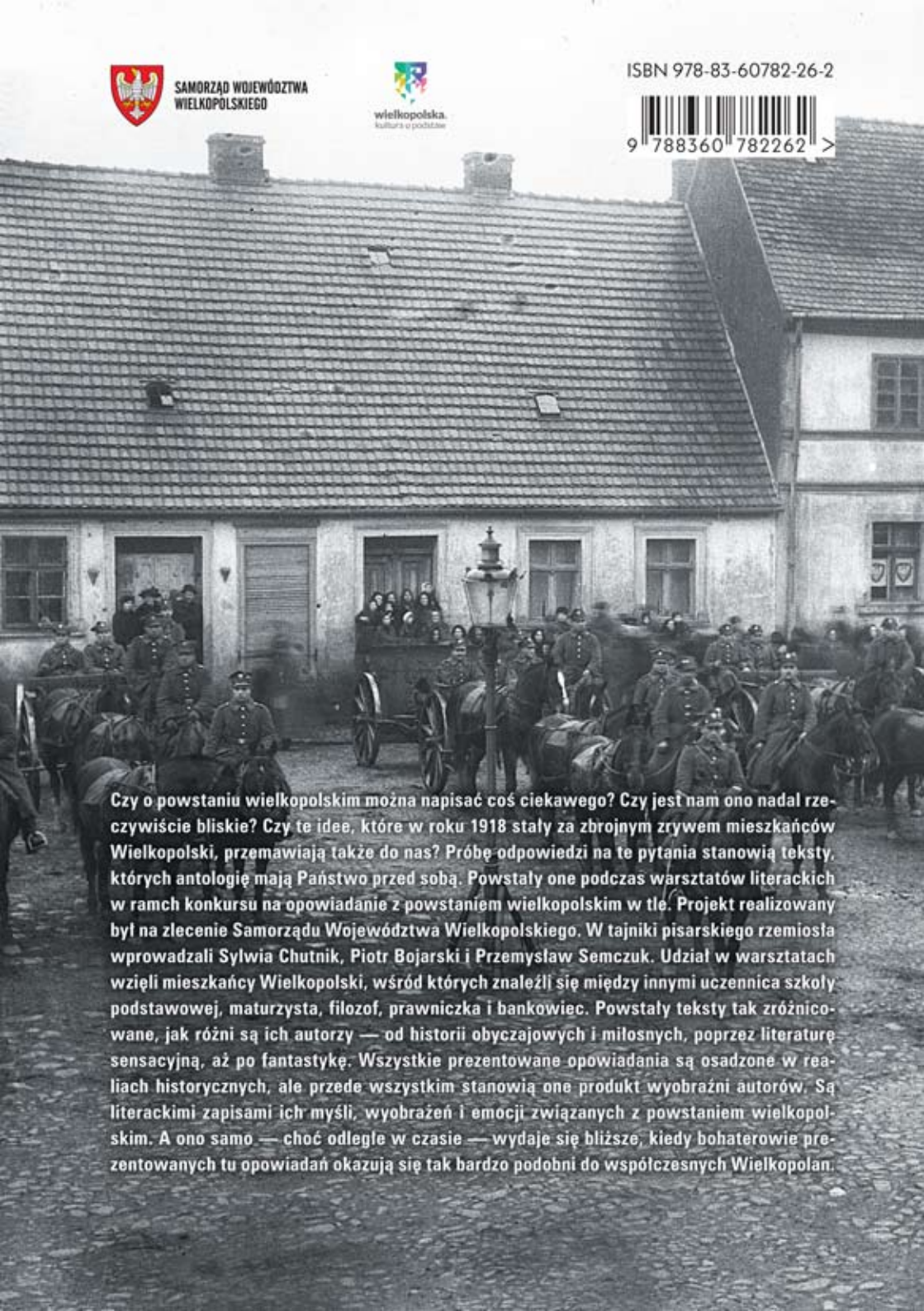


wielkopolska  
kultura u podstaw

ISBN 978-83-60782-26-2



9 788360 782262 >



Czy o powstaniu wielkopolskim można napisać coś ciekawego? Czy jest nam ono nadal rzeczywistością bliskie? Czy te idee, które w roku 1918 stały za zbrojnym zrywem mieszkańców Wielkopolski, przemawiają także do nas? Próbe odpowiedzi na te pytania stanowią teksty, których antologię mają Państwo przed sobą. Powstały one podczas warsztatów literackich w ramach konkursu na opowiadanie z powstaniem wielkopolskim w tle. Projekt realizowany był na zlecenie Samorządu Województwa Wielkopolskiego. W tajniki pisarskiego rzemiosła wprowadzali Sylwia Chutnik, Piotr Bojarski i Przemysław Semczuk. Udział w warsztatach wzięli mieszkańcy Wielkopolski, wśród których znaleźli się między innymi uczennica szkoły podstawowej, maturzysta, filozof, prawniczka i bankowiec. Powstały teksty tak zróżnicowane, jak różni są ich autorzy — od historii obyczajowych i miłosnych, poprzez literaturę sensacyjną, aż po fantastykę. Wszystkie prezentowane opowiadania są osadzone w realiach historycznych, ale przede wszystkim stanowią one produkt wyobraźni autorów. Są literackimi zapisami ich myśli, wyobrażeń i emocji związanych z powstaniem wielkopolskim. A ono samo — choć odległe w czasie — wydaje się bliższe, kiedy bohaterowie prezentowanych tu opowiadań okazują się tak bardzo podobni do współczesnych Wielkopolan.